



*Jolanta Kosowska*

# **NIEMORALNA GRA**

NOVAE RES

# Jolanta Kosowska

## Niemoralna gra

- Wychodzisz?

Wzrok Natalii przeszył mnie na wylot. Zatrzymał tuż przy drzwiach.

- Ostatnio ciągle gdzieś wychodzisz tuż po kolacji - zabrzmiało jak wyrzut.

Nic poczułem się winny. Położyłem już rękę na klamce i walczyłem z sobą, żeby jej jeszcze przez chwilę nie nacisnąć.

- Co dzisiaj? - świdrowała mnie wzrokiem. - Umówiłeś się w klubie z Rafałem?

- Nie umówiłem się z Rafałem. Rafał wyjechał do Wenecji...

- Masz trening siatkówki? - przerwała mi gwałtownie. - Idziesz popływać? Musisz się przygotować na jutrzejsze zajęcia ze studentami? - Rzuciła pytanie za pytaniem, napędzała się z minuty na minutę coraz bardziej. Jej głos nagle się zmienił.

Stał się dziwnie nieprzyjemny i szorstki. - Co dzisiaj znowu wymyślisz?

- Nic - burknąłem pod nosem. W głowie poczułem pustkę. - Zatęskniłem nagle za samotnością... - Raptem odechciało mi się kłamać.

Jak to dzisiaj wykrzyczała do mnie na zajęciach ta studentka? „Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa. To ponoć już nawet Kant wiedział. Tylko idioci nie mają odwagi być sobą”. Nazwała mnie publicznie idiotą, a ja gdzieś tam w środku podświadomie przyznałem jej rację.

- Co proszę? - Głos Natalii aż drżał z oburzenia.

Ona chyba jednak wołała słyszeć ode mnie kłamstwa.

- Coś ty powiedział?

- Wychodzę, bo chcę być sam - powtórzyłem dobitniej.

Tego się nie spodziewała. Zbliżyła się do mnie.

Jakby niechcący odchyliła brzegi atlasowej podomki. Mignęła gdzieś, niby przypadkiem, skąpa czarna bielizna. Otoczył mnie zapach jej perfum. Drapieżny, kuszący, zmysłowy, w którym słodka nuta drzewa sandałowego współgrała z ciężkim zapachem piżma, a wszystko okraszone było subtelną wonią różowego pieprzu, wisterii, trawy cytrynowej i wanilii. Sam niedawno zamówiłem te perfumy specjalnie dla niej. Kiedyś ktoś mówił, że zapachy określają ludzi. Ten zapach idealnie pasował do prze-wrotnej natury Natalii. Poczułem się nagle jak odurzony. Zmysłowa jest ta Natalia.

Ciemnokasztanowe włosy opadały jej teraz na ramiona, choć zwykle były ujarzmione gdzieś z tyłu czarną aksamitką i przywołane do porządku paroma wpiętymi z boku spinkami. Duże zielone oczy o tym rzadkim szmaragdowym kolorze, który wydaje się wprost nienaturalny, wbite były we mnie. Subtelnie zarysowane brwi uniosły się ze zdziwienia do góry, a nienaturalnie długie rzęsy wydawały się aż ciężkie od czarnego tuszu. Usta, jakby odrobinę za duże, podkreślone wyraźnym malinowym kolorem, wydęte w grymasie oburzenia, były wręcz stworzone do pocałunków. Całości dopełniały mocno opalone szczupłe ramiona, wąska talia, kusząco zaokrąglone biodra, długie, wysmukłe nogi, które nijak nic dawały się przysłonić kusym odzieniem... Aż dziwne, że całe to zmysłowe bogactwo można było

okiełznać białą, pod szyję zapiętą bluzką, i długą, czarną, sięgającą do ziemi, wąską spódnicą w czasie wieczornych koncertów w filharmonii. Kiedy trzymała w ręku smyczek, kiedy długimi palcami naciskała struny, kiedy opierała twarz na podbródku pudła skrzypiec, wyglądała zupełnie inaczej. Wydawała się wtedy grzeczna, poukładana, uduchowiona. .. Brakowało jej tylko aureoli nad głową i skrzydeł u ramion, by można było ją wziąć za anioła, który zstąpił z nieba, żeby chwalić niebiosa koncertem Vivaldiego, Mozarta, Paganiniego lub Schumanna.

Jeszcze w trakcie oficjalnych kolacji czarowała wszystkich skromnie spuszczonego wzrokiem, nieśmiało rzucanymi spojrzeniami, niewinnym uśmiechem, przelotnym rumieńcem na twarzy... A po powrocie do domu następowała swoista metamorfoza, jakby po przekroczeniu progu swego mieszkania ta wyśniona, wymarzona i niedostępna księżniczka w okamgnieniu przemieniała się w kuszącą kurtyzanę.

- Chcesz być sam? - spytała nęcąco.

Stała tuż obok. Przeciągnęła dłonią po mojej koszuli. Niby mimochodem zaczęła palcem o guzik. Przyłgnęła ustami do odsłoniętej skóry. Jej ciepły oddech musnął moje ciało.

- Nie musimy rozmawiać... - usłyszałem je szept. - Każdy czasami ma ochotę pomilczeć...

Zmęczony? Nic nie szkodzi. Ja dzisiaj nie czuję się zmęczona. Dam radę za nas dwoje...

Jej ręce coraz śmieiej ślizgały się po mojej skórze. Rozpinały się kolejne guziki. Ciepły oddech wędrował coraz odważniej po moim ciele.

- Wcale nie musimy dzisiaj rozmawiać - bardziej domyśliłem się, co mówi, niż zrozumiałem wypowiedziane przez nią szeptem słowa.

Dałem się opętać jej pocałunkom, kuszącemu zapachowi perfum, wypitemu przy kolacji wina, zapachowi pośpiesznie zdmuchniętych świec, otulającej nas nagle ciemności. Przez krótką chwilę pomyślałem, że nie mam ani siły, ani ochoty jej się opierać. Oprzytomniałem, kiedy poczułem chłód atlasowej pościeli. Kurwa! Mam gówna, nie wolę!

Nic dziwnego, że wszyscy studenci za moimi plecami śmieją się ze mnie. Zastrany Casanovą, którego światem rządzą tylko hormony i penis. Nauczyciel etyki bez etyki, uczący czegoś, czego sam nie posiada i nie rozumie. Potrzebuję tego seksu jak jedzenia i picia, czy tylko to sobie wmówiłem? Są ludzie, którzy spotykają się z sobą, którzy z sobą rozmawiają, są tacy, którzy piją razem kawę, są też tacy, którzy z sobą śpią, bo jest im z tym dobrze.

Może to jest godne potępienia i niewłaściwe, ale mimo wszystko lepsze od tego, co ja już kolejny raz robię w moim życiu. Za każdym razem wmawiam sobie, że spotkało mnie coś wielkiego, niepowtarzalnego, jedyne, buduję wbrew logice świat fikcji, czując się z tym z dnia na dzień coraz gorzej. W końcu rzucam wszystko i uciekam w popłochu, rozczarowany tą fikcją, obiektem swoich westchnień i coraz bardziej samym sobą. Rzucam się w wir nowych poszukiwań, by po paru miesiącach ponieść kolejną klęskę. To wszystko jest idiotyczne, rujnujące i za każdym razem coraz bardziej żałosne.

- Nie! - usiadłem gwałtownie na łóżku. Wyciągnąłem rękę w kierunku stojącej na szafce lampki nocnej. Potrąciłem szklankę. Zimna woda chlusnęła mi na bosa stopy. To mnie jeszcze bardziej otrzeźwiło.

- Czemu nie? - szepnęła kusząco Natalia. - Chcesz inaczej?

Przyłgnęła do moich pleców, musnęła językiem skórę pomiędzy łopatkami, przytuliła głowę. Jej ręce zaczęły wędrować po moim ciele. Poczułem przebiegający po skórze dreszcz.

- Zostaw! - Próbowałem się odsunąć. - Nie chcę...

- Jak to, nie chcesz? - nie mogła albo nic chciała zrozumieć. - Przecież czułam, że chciałeś...

W półmroku znalazłem spodnie i rzuconą gdzieś w pół drogi między drzwiami i łóżkiem koszulę. Zakląłem szpetnie, kiedy potknąłem się o niedbale postawione krzesło, przez którego brzeg przewieszona była ta jej kusząca atlasowa podomka. Wciągnąłem spodnie, w pośpiechu zapinałem guziki koszuli. Natalia zapaliła lampkę i przyglądała mi się uważnie z nieukrywaniem zainteresowaniem.

Czyżbyś uciekał pośpiesznie? - Powiało ironią a może tylko tak mi się wydawało. - Każdy ma czasami kłopoty... - rzuciła w moją stronę, spoglądając spod opadającej jej na czoło burzy włosów.

- Leków na potencję jeszcze nie potrzebuję - rzuciłem odruchowo i nagle poczułem się rozbawiony tą sytuacją.

Patrzyła, jak wkładam buty.

- Naprawdę wychodzisz? - spytała z niedowierzaniem. Siedziała na tym swoim metalowym łóżku, opierając się plecami o ścianę. Naciągnęła na siebie kołdrę. Odrzuciła do tyłu włosy. Zdziwiona i zaskoczona moim zachowaniem czekała

na to, co jeszcze powiem.

- Wychodzę - stwierdziłem kategorycznie.

- Jutro mam koncert o dziewiętnastej. Wyglądało na to, że zaakceptowała moją decyzję. Gramy Bolero Ravela. Przyjdiesz." - rzuciła w moim kierunku.

- Nie przyjdę - powiedziałem pośpiesznie, żeby nic dać sobie szansy na kłamstwo.

- Masz dyżur?

- Nie - nadal brnąłem w prawdę.

- A więc dlaczego? - zabrzmiało chłodno, wręcz lodowato. - Po koncercie poszlibyśmy z przyjaciółmi na kolację, później do ciebie, albo do mnie... Moglibyśmy skończyć to, co dzisiaj zaczęliśmy... Będzie cudownie. Zobaczysz... - kusiła.

A ja nagle pomyślałem, że nie tylko nie lubię Ravela, ale też nie znoszę tych jej nadętych i pyszałkowatych przyjaciół, a wizja kolejnej kolacji z nimi przyprawia mnie o mdłości. Nie cierpię sztucznych czarujących uśmiechów, cedzonych przez zęby uwag, które pod pozorami przyjaznych tonów ukrywają jad złości.

- Nie, nie przyjdę - powtórzyłem być może odrobinę za głośno. Ostрым tonem głosu próbowałem zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Odrzuciła do tyłu włosy. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Na końcu utkwiała wzrok w mojej twarzy i milczała. Wiedziałem, że oczekuje wyjaśnień. Nic miałem nic do powiedzenia, w każdym razie nie to, na co zapewne czekała.

- Dlaczego nie przyjdiesz? - spytała w końcu lodowato.

- Nie przyjdę, bo nie lubię Ravela... - wyartykułowałem dobitnie.

- Coś ty? - Wydeła wargi z oburzenia. Przymrużyła oczy, jakby chciała przyjrzeć mi się jeszcze uważniej. - W głowę coś ci się stało?

W tym momencie uświadomiłem sobie, że przez przypadek sprowokowałem dyskusję, której wcale nie chciałem.

- Zachowujesz się jak pruderyjni mieszczanie w Paryżu w tysiąc dziewięćset dwudziestym

ósmym.

„Do pruderyjnych mieszczan to ja chyba nie należę” - pomyślałem.

- Wtedy to wygwizdano pierwsze koncertowe wykonanie Bolera - ciągnęła bezsensownie swoje wywody, niezrażona moim milczeniem. - Nic przesadzaj! Wielkie rzeczy bywają często proste. Prostota nie umniejsza ich wielkości - bredziła bez sensu. - W tej pozornej prostocie jest genialność... Zresztą nie wierzę, że ktoś taki jak ty, z takim wyczuciem muzycznym, tego nie rozumie... - Przyglądała mi się z oburzeniem, jakbym swoimi słowami skalał jakąś świętość.

Wiem - przerwałem jej gwałtownie. Coraz mniej chciało mi się z nią o tym rozmawiać. - Należę do pilnych uczniów. Lekcję na jutro odrobiłem już wczoraj - mówiłem z sarkazmem. - Jeżeli się mylę to mnie popraw: pomysł utworu oparty jest na rozwijaniu w formie prostych wariacji jednego osiemnastotaktowego tematu melodyczno-rytmicznego, granego przez różne instrumenty - recytowałem z pamięci wyuczone bzdury. - Towarzyszy mu jednostajny rytm podany na werblu na początku utworu. Dynamika narasta przez włączanie w tkankę dzieła kolejnych instrumentów, które po odegraniu tematu solo przechodzą do akompaniamentu.

Utwór kończy obsada dwudziestu sześciu instrumentów...

- Coś ty... - próbowała mi przerwać.

- Nie zgadza się? - Byłem autentycznie zdziwiony. - Niemożliwe. Przeczytałem to wszystko w Internecie.

- Co przeczytałeś w Internecie? Jak to, przygotowałeś się na jutro? O czym ty, Konrad, mówisz? - Patrzyła na mnie z ogłupiałym wyrazem twarzy. Wydawała się niczego nie rozumieć.

- Nic cierpię Ravela, filharmonii, muzyki poważnej... - zacząłem wyliczać monotonnym głosem. - To wszystko przeczytałem wczoraj przed snem, żeby jutro nie wyjść na idiotę...

Tych parę informacji wystarczy do dyskusji z twoimi przyjaciółmi. W końcu wszystko zawsze sprowadza się do krytyki, a krytykować przecież jest najłatwiej... Zawsze mogę powiedzieć, że obój nie miał dobrego dnia.

Usiadłem przy stole.

Przestałem się już spieszyć. Spojrzała w moją stronę. Podniosła się z łóżka z ociąganiem.

Patrzyłem, jak na nagość narzuciła niespiesznie podomkę, jak niby przypadkiem nie mogła jej zawiązać, jak kusila jeszcze jędrnym biustem i okrągłymi biodrami. Usiadła naprzeciw.

Wyciągnęła rękę w moją stronę. Dotknęła palcami moich palców... Cofnąłem dłoń. Znowu oddzielał nas stół, niesprzątnięte talerze po tej naszej dzisiejszej kolacji, kieliszki kuszące niedopitym winem, świecznik, na którym jeszcze nie zdążyły zastygnąć krople wosku...

- Oszukałem cię - zacząłem bez żadnego wstępu. - Tobie się tylko wydaje, że mnie pragniesz.

Ty pragniesz zupełnie kogoś innego. Chciałaś zobaczyć we mnie odzwierciedlenie swoich marzeń, faceta z twojego snu. Zobaczyłaś, z tym że to odbicie

nie jest prawdą. - Staralem się nie patrzeć w jej stronę, przemóc się i choć raz w życiu powiedzieć prawdę.

Jak to powiedziała dzisiaj ta dziewczyna, kiedy kazałem jej zostać po zajęciach?

Myślałem, że mnie przeprosi, bo przecież tak byłoby najłatwiej, a ona stanęła tuż przede mną, ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy, spojrzała na mnie jakoś dziwnie i z

niewiadomego mi powodu postanowiła mnie pograżyć. „Pan nie jest zły. Pan tylko udaje. Pana życie to ciągła gra -mówiła pewnym głosem. -Jest pan tak zakłamany, że nawet przed samym sobą nie potrafi się pan do tego przyznać. Obserwowałam pana, kiedy czytał pan list na pogrzebie Marco. Drżał panu głos, ręce się panu trzęsły. Wtedy panu współczułam. Byliście z Marco przyjaciółmi. Nigdy tej przyjaźni nie rozumiałam. Było dla mnie niepojęte, jak taki genialny facet może się przyjaźnić z takim zerem. I wtedy, na tym pogrzebie, wszystko stało się dla mnie jasne. Tam przez chwilę przestał się pan kontrolować, tam był pan sobą. Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa. Pan nas uczy etyki, a sam tego nie rozumie.

Dzisiaj próbował pan wyszydząć nasze uczucia.

Za szyderstwem próbuje pan ukryć samego siebie.

Tylko idioci boją się być sobą”. Nazwała mnie idiotą! Wpadłem w bezdech, przez moment poczułem się urażony, wyrzuciłem ją za drzwi, kazałem zmienić grupę, a powinienem był jej podziękować. To tak, jakby ktoś zniecka chlusnął na mnie wiadrem zimnej wody. Szkoda, że tak późno.

Przydałoby się dużo wcześniej. Pomogło. Nagle oprzytomniałem. Kurde, ale nisko upadłem. Etyki mogę się uczyć od moich studentów.

- Nie rozumiem, o czym bredzisz. - Głos Natalii wyrwał mnie z zamyślenia.

- Zrozumiesz... Zaraz zrozumiesz. Muszę tylko powiedzieć coś więcej... Nie cierpię muzyki klasycznej - zacząłem robić swoisty rachunek sumienia. - Nigdy wcześniej nie chodziłem do filharmonii. Z trudem odróżniam obój od klarnetu. Walkiria kojarzy mi się nie z Pierścieniem Nibelunga, a ze ścieżką dźwiękową z Czasu Apokalipsy. Nie cierpię opery... - powtórzyłem beznamiętnym głosem, a jej oczy stawały się coraz większe i coraz bardziej okrągłe. - Libretto do Rigoletta Verdiego opowiedział mi Rafał. Jakimś cudem je pamiętał.

Muzyka Beethovena kojarzy mi się tylko z Dziewiątą symfonią, słyszaną już bardzo dawno temu w szkole na lekcjach muzyki. Płyte z Czterema porami roku Vivaldiego kupiłem w zeszłym tygodniu w sklepie muzycznym...

- Niemożliwe... - Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Możliwe. - Postanowiłem mówić dalej, choć przez chwilę i mnie przeraziła ta niczym niezawołowana prawda. - Nigdy nie interesowała mnie muzyka klasyczna. Zresztą dotyczy to nie tylko muzyki - brnąłem. - Na co dzień gustuję w dżinsach i w niekoniecznie wyprasowanych koszulach. Garnitur wkładam, kiedy muszę, głównie w związku z pracą na uczelni. Nie cierpię półsurowych befsztyków i jajek na miękko. Nie lubię koszul w kremowym kolorze, bo znalazłem kiedyś pewnego pedała, który nosił tylko takie, a nie lubiłem specjalnie faceta. Nie noszę krawatów, bo ograniczają mi oddech... - wymieniałem jednym tchem, nie patrząc nawet w jej stronę. Przysunęła się bliżej stołu, jakby dzieląca nas odległość zaburzała jej komunikację. - Wolę chodzić po górach z plecakiem, spać na karimacie w schronisku, niż spędzać czas w czterogwiazdkowym hotelu z basenem... - kontynuowałem.

- Niemożliwe. Bredzisz! - przerwała mi gwałtownie. - Co ty mi tutaj chrzaniisz? - syczała.

- Pracujesz w zakładzie etyki. Uczysz studentów. Nie możesz być aż tak zakłamany. - Wydeła z obrzydzeniem usta. Zatrzepotała rękami, przetarła ręką oczy, rozmazując czarne ślady po policzkach. Teraz i ona przestała być już odbiciem moich marzeń. Nie była już ani powabna, ani piękna. Zniknęła gdzieś potrzebująca mojej opieki i wsparcia księżniczka. Jej miejsce zajęła utrzymywana przeze mnie od paru tygodni, droga i ciągle więcej ode mnie

wymagająca kurtyzana. Testowała mnie wzrokiem, próbując w myślach odróżnić prawdę od tego, co wydawało jej się następnym kłamstwem.

- Rozczarowana? - chyba dolałem oliwy do ognia.

Nagle pchnęła stół w moją stronę. Na koronkowy obrus chlusnęło czerwone wino.

- Schrzaniaj! - wrzeszczała. - Spadaj! Wynoś się z mojego życia! Że też musiałam spotkać na swojej drodze taką wesz, takiego idiotę!

\* \* \*

Wyszedłem stamtąd i raptem mi ulżyło. Zbiegłem po schodach. Miałem dziwne wrażenie, że nawet moje kroki, odbijające się echem od pustych ścian klatki schodowej, brzmiały teraz radośniej. Pchnięta z impetem brama uderzyła o ścianę.

Usłyszałem gdzieś w górze głośny trzask zamykanego pospiesznie okna. Nie odwróciłem się.

To rozstanie było już za mną. Jeszcze jedno złudzenie, które od pięciu minut należało do przeszłości. To z pogranicza cudu, że nikt mi jeszcze w życiu krzywdy nie zrobił, nie napadł w ciemnej ulicy i nie poturbował. Nie zdziwię się zbytnio, jeśli mnie kiedyś spotka coś złego.

Już od dawna mam świadomość, że nauczam etyki, sam się do jej zasad nie stosując, uczę czegoś, czego sam nie rozumiem. Jakoś nie było nikogo w moim dzieciństwie, kto zdołałby nauczyć mnie miłości. Ostatnio Rafał próbował mi to wytłumaczyć. Siedzieliśmy w knajpie, piliśmy piwo i rozmawialiśmy o seksie zaprawianym nutą miłości. Dziwny jest ten Rafał, odkąd wrócił. Zmieniła go emigracja, a może to wynajmowane przez niego mieszkanie.

Powiedziałem mu, że przecież każdy w życiu szuka tej swojej drugiej połowy, a mój problem polega na tym, że zajmuje to mi jakoś dziwnie dużo czasu. Mam w życiu pecha i może dlatego stałem się już bohaterem wielu prawdziwych melodramatów. Patrzył na mnie podejrzliwie. Chyba w natłoku tych wszystkich swoich spraw nie miał siły ze mną dyskutować. Powiedział tylko, że nie wyciągam ze swoich doświadczeń żadnych wniosków, że zawsze wszystko kończy się tak samo, a prawdę mówiąc, za każdym razem jest coraz to gorzej. Mówił, że rozdaję się innym, wystawiam własne „ja” na sprzedaż, że to rodzaj prostytucji, że pewnie już sam nie wiem, jak wyglądam i w czym gustuję, że jeśli nie oprzytomnieję, to źle się to może skończyć, bo gdy kiedyś sobie nagle uświadomię, że nie mam już własnej osobowości, to zapewne postanowię z sobą skończyć. Dziwny jest ten Rafał.

Wypiłem wtedy za dużo, on też był już dobrze wstawiony. Cały czas szukał Anny, a ja nieustannie swojej drugiej połowy. Niech mu będzie, że się sprzedaję za kilkanaście do kilkudziesięciu mniej lub bardziej upojnych nocy, że rozdaję siebie w zamian za zwiewne wrażenie, że kocham i jestem kochany, że przynajmniej przez chwilę jestem dla kogoś najważniejszy. Może to z jego strony tak wygląda.

W końcu zna mnie bardzo dobrze, chyba ze wszystkich najlepiej. Chodziliśmy do jednej klasy w ogólniaku, później do jednej studenckiej grupy. Po studiach zaczęliśmy razem pracę w zakładzie etyki zawodowej naszej uczelni. Później on wyjechał na roczne stypendium, które przerodziło się w dobrych parę lat emigracji. Ja tu zostałem. Przed paroma tygodniami pomogłem mu wrócić. Kiedy wytrzeźwiałem, zacząłem analizować jego słowa. To takt, że zawsze zakochiwałem się w okamgnieniu. Choć teraz zapewne, patrząc na Rafała, powiedziałbym, że tak naprawdę to ja nigdy w życiu nic byłem zakochany. Bawił mnie czar flirtu, niedopowiedzenia, przelotne spojrzenia, niby przypadkowe muśnięcia d łó ni... Bawiło

mnie zdobywanie, a nie posiadanie. Za każdym razem musiałem sobie udowodnić, że jestem wart czyichś uczuć, czyjejś miłości. Nie musiało być prawdziwie, musiało być idealnie, idealnie - bez względu na to, ile wymagało kłamstw, oszustw i poświęceń. Potrafiłem ugrzęznąć w każdym romansie po uszy.

Sam się później dziwiłem, że wszystko okazywało się fikcją, oszustwem, grą, mistyfikacją przed kimś i przed samym sobą. Stałem się mistrzem w dziedzinie flirtu i podrywania. Od pierwszego nieśmiałego spojrzenia do pierwszej niezapomnianej nocy potrzebowałem coraz mniej czasu. Za każdym razem cały świat miał nagle tylko jedno imię. Bezkrytycznie i pod każdym względem podporządkowywałem się swoim kolejnym wybrankom. Chodziłem ubrany tak, jak one tego od mnie oczekiwały.

Cesałem się tak, jak im się podobało. Zachowywałem się tak, jak one sobie tego życzyły.

Słuchałem tylko tej muzyki, której one słuchały. Jadłem to, co im smakowało. Czytałem to, co według nich było godne przeczytania. Chodziłem do kina na wybrane przez nie filmy.

Kupowałem koszule tylko w ich ulubionych kolorach. Spędzałem urlop tak, jak one tego chciały. Spotykałem się tylko z tymi ludźmi, których one akceptowały. Całe swoje dotychczasowe życie przewracałem do góry nogami tylko dla nich. W ciągu paru dni potrafiłem się zmienić z normalnego faceta w koszuli i w džinsach w wymuskanego, nienaturalnego typu w garniturze, z idealnie dobranym krawatem, ze złotymi spinkami w mankietach jedwabnej koszuli, z żelem na modnie przyciętych włosach, w butach tak wyczyszczonych, że w ich czubkach można było się przejrzeć, w płaszczu do kolan z fantazyjnie przerzuconym wokół szyi białym jedwabnym szalem. Zaczynałem mówić jak nie ja, zachowywać się jak ktoś zupełnie inny. Podróżowałem tylko samolotami, sypiałem tylko w luksusowych hotelach, jakbym nagle zapomniał, ile zarabiam, ile wynosi w Polsce pensja lekarza i nauczyciela akademickiego. Musiałem pasować do swej wybranki, a pasować trzeba było zawsze idealnie. Innym razem nie byłem już wymuskanyim elegantem, lecz zbuntowanym romantykiem - włosy nagle stawały się dłuższe, prawie do ramion, na twarzy pojawiał się parodniowy zarost, a flanelowa koszula, poprzecierane spodnie i porozciągany sweter dopełniały reszty. Pamiętam, jak kiedyś przeistoczyłem się w ekscentrycznego intelektualistę w obcisłym sweterku, z włosami przystrzyżonymi na jeża, z atrapą okularów w cienkich metalowych oprawkach na nosie. Nieważne, czy włosy były krótkie, czy długie, gładko przyczesane czy nastroszone, ważne, że podobały się nie mnie, lecz jej. Zawsze musiałem być żywym spełnieniem młodzieńczych marzeń swojej aktualnej wybranki.

Wydawało mi się, że każda z nich oczekiwała tego ode mnie. Zależnie od upodobań kolejnych dziewczyn słuchałem jazzu albo muzyki poważnej, jadłem ja jk a na twardo albo na miękko, byłem wegetarianinem albo miłośnikiem befsztyków. Spełniałem czyjeś marzenia i oczekiwania, zapominając na krótko o samym sobie. Chyba nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę. Po okresie spełniania oczekiwań partnerki przychodził okres drugi - czas planowania. „Jak kochać, to całym sobą, jak przeżywać, to do końca”, mawiałem zawsze.

Pierwszą dziewczyną, której się oświadczyłem, była Agnieszka. Było to w Pampelunie podczas wędrówki śladami świętego Jakuba. Później w zakonnej kaplicy zaręczyłem się z Marią. Renacie dałem pierścionek o wschodzie słońca na szczycie Śnieżki. Prosiłem o rękę Beatę na oblodzonej nartostradzie. Obiecywałem Idze na cmentarzu miłość do grobowej deski... Po czasie planowania zawsze następował okres stabilizacji. Trzeba było wspólnie



urządzać mieszkanie, remontować, pedantycznie dobierać farby, zamawiać meble na wymiar, poszukiwać wykładzin pasujących do tapicerowanych mebli, skrupulatnie dobierać dodatki...

Powoli stawałem się nie tylko mistrzem zaręczyn, ale i mistrzem remontów. O farbach, tapetach, klejach i wykładzinach wiedziałem coraz więcej. Za każdym razem inne wnętrza, za każdym razem inne klimaty - od spartańsko urządzonej kawalerki dla praktycznej i rozsądnej Renaty po wystrzałowy apartament z okrągłą wanną z jacuzzi, ze światłem przyciemnianym za pomocą głosu, z muzyką włączającą się po klaśnięciu w dłonie dla rozkapryszonej Kaśki.

Później przychodził okres poważnych zamiarów, kiedy to ze śmiertelną powagą planowałem datę ślubu, liczbę dzieci, czas spłodzenia pierwszego potomka... Był to okres, kiedy moi przyjaciele zaczęli wierzyć w moją cudowną przemianę, a rodzina wybranki wprost piała z zachwytu. Później przychodziła stagnacja, jak w dobrym starym małżeństwie. Niby jeszcze wszystko było w porządku, ale mnie już czegoś brakowało. Zdobyłem, udowodniłem sobie, że jestem wart czyjejś miłości i nagle już mi się odechciewało. Z dnia na dzień zaczynałem tęsknić za czymś nowym, za jakimś nowym wyzwaniem, za odmianą... Objawy znudzenia pojawiały się powoli - trochę dłużej wyrzucane śmieci, zakupy przeciągające się w nieskończoność, wiecznie przedłużająca się praca, niespodziewane wyjazdy służbowe, konferencje, na których trzeba b)rać, dyżury, które trzeba wziąć za innych, mecze, które trzeba było rozegrać, przyjaciele, z którymi należało się spotkać... Najczęściej wybranka jeszcze nic nie rozumiała, nie przypuszczała nawet, co się święci. Byłem coraz bardziej zmęczony, znudzony, rozczarowany trochę nią, trochę sobą i powoli zaczynałem szukać odmiany - zamiast garnituru wygodne džinsy, zamiast jedwabiu flanela, zamiast muzyki klasycznej jazz, zamiast opery rockowy koncert, zamiast bizneswoman jakiś upadły anioł.

Znowu pierwsze nieśmiałe spojrzenia... I znowu

skrzydła rosły mi u ramion. Trzeba było tylko zakończyć ciągnący się gdzieś obok poprzedni melodramat. Rozstania opanowałem do perfekcji. Rozstawać się też trzeba umieć. Wyprowadzałem się nagle. Twierdziłem, że muszę odpocząć, że wszystko toczyło się zbyt szybko, że nie jestem jeszcze do tego przygotowany, czuję się przytłoczony, osaczony, przyparty do muru. Mówiłem, że potrzebuję trochę dystansu, odrobiny swobody, że kocham, wrócę i nigdy nie zapomnę. One zostawały, a ja już pędziłem dalej. Wracałem do mojego skromnego mieszkania. Znowu cieszyłem się przez chwilę ciszą i spokojem własnych czterech kątów, muzyką, którą lubię, kawą, którą pijam w nadmiarze, papierosami, których nie powinienem palić... Początkowo te cykle były dwuletnie, ostatnio wszystko nabrało tempa i cały ognisty romans z melodramatycznym zakończeniem trwał przeciętnie nic dłużej niż dziesięć miesięcy. Bizneswoman albo była narkomanka, studentka albo instruktorka narciarstwa, szara myszka albo kobieta wamp... Ktoś mi w końcu za to wszystko mordę obje, albo znajda mnie kiedyś w ciemnej uliczce z głową rozbitą jakimś kamieniem. Na pewno nie powinienem uczyć studentów etyki, nawet tej zawodowej. I nagle dzisiaj, całkiem przypadkiem, ktoś nazwał to tchórzostwem, idiotyzmem, miganiem się od prawdziwego życia, ucieczką przed samym sobą.

Bezczelność! W pierwszej chwili zaniemówiłem z oburzenia, a później... zrozumiałem. Szkoda, że nic miałem wcześniej zajęć z tą dziewczyną. Może wtedy udałoby mi się szybciej oprzytomnieć. Wiem, że nie mogę, ale powinienem tej dziewczynie podziękować.

\* \* \*

Odkąd sięgam pamięcią, moje życie biegło od jednego romansu do drugiego, od jednego do drugiego zauroczenia i od jednego do drugiego rozczarowania. To była burza emocji, która tak samo szybko wybuchła, jak potem przechodziła w zubożenie, rutynę, rozczarowanie i nudę. I raptem, jakby całkiem przypadkiem, dysponowałem nadmiarem wolnego czasu i nie miałem jeszcze pojęcia, co zrobić z tą nagle odzyskaną wolnością.

Wziąłem za Rafała dyżur w studenckim telefonie zaufania. Idiotyzm, żeby w czymś takim pracować.

On pracował, ale nagle, z dnia na dzień, musiał pojechać do tej swojej Wenecji.

Zadzwoił do mnie, kiedy był już w drodze. Za oknem jeszcze nawet nie świtało. Byłem zaspany albo on mówił niejasno, bo koniec końców niewiele z jego słów zrozumiałem. Nie bardzo mogłem mu odmówić. Bredził o jakimś weneckim święcie, które stało się dla niego nagle takie ważne, że wszystko inne straciło na znaczeniu i że nawet wizja

rozjuszonego jego niespodziewaną nieobecnością profesora nic wzbudzała w nim żadnych emocji.

- Nie zbierasz się jeszcze do domu? - Głos szykującej się do wyjścia Melanii wyrwał mnie z zamyślenia.

- Nie, posiedzę jeszcze. Później zamknę...

- Nigdzie się nie spieszysz? - Spojrzała na mnie odrobinę uważniej. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. - Coś się stało? - dopytywała się natarczywiej. - To dla ciebie takie nietypowe...

- Mam dyżur.

- Na oddziale? - nie potrafiła ukryć zainteresowania.

- Nie.

- W pogotowiu? Mówiłeś, że po tamtej scysji z pijanym pacjentem złożyłeś wypowiedzenie...

- Złożyłem i zostało przyjęte. To nic jest dyżur w pogotowiu... - wszedłem jej w słowo.

- To co to za dyżur? - Rozpierała ją niezdrowa ciekawość.

- W studenckim telefonie zaufania... - mruknąłem niechętnie pod nosem.

Zamurowało ją. Nagle przestała się spieszyć, jakby nie miała żadnych planów na to dzisiejsze popołudnie. Usiadła na blacie sąsiadującego z moim biurka. Obciągnęła nerwowo garsonkę. Bezwiednie przesunęła ręką po zawiązanej pod szyją apasce. Wbiła we mnie wzrok i próbowała zrozumieć to, co usłyszała.

- Gdzie masz ten dyżur? - chciała się jeszcze upewnić, czy aby dobrze usłyszała.

- W studenckim telefonie zaufania - powtórzyłem odrobinę głośniejszym głosem, wyraźnie akcentując każde słowo.

- Dlaczego ty? - nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Dzisiaj jest przecież dzień Rafała...

- Rafał musiał wyjechać. Wziął urlop na telefon. Zadzwoił do mnie tuż nad ranem gdzieś z Niemiec.

Był w drodze do Wenecji. Prosił, żebym go zastąpił... Byłem na tyle zaspany, że nie potrafiłem mu odmówić.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że to nietrafiony pomysł... - wyszeptowała.

Zdziwiło mnie, że nie ma do mnie zaufania.

- Posłuchaj - mówiła pospiesznie, jakby tempo wypowiedzianych przez nią słów mogło zmienić podjętą już przeze mnie decyzję. - Zastanów się jeszcze nad tym... Nie każdy się do tego nadaje. To taka nietypowa praca. Ktoś musi cię zastąpić... - próbowała, nie mówiąc o mnie, i tak powiedzieć, co o mnie myśli. - Czasami przez wiele dni nikt nie dzwoni, spija się hektolitry kawy i rozwiązuje krzyżówki. Czasami urywają się telefony...

- Obiecałem Rafałowi, to posiedzę. - Staralem się, by zabrzmiało przekonująco.

Nic odrywała ode mnie wzroku. Poluźniła apaszkę. Rozpięła guzik pod szyją, jakby raptem w pokoju asystentów zaczęło brakować powietrza. Wtem coś na kształt uśmiechu przebiegło po jej twarzy.

- Mam pomysł - zaczęła niepewnie. - Może po prostu ja cię zastąpię...

- A cóż to, nie masz żadnych planów na popołudnie? - Poczulem się rozdrażniony. - Przecież jeszcze dzisiaj rano mówiłaś, że córka przyjeżdża do ciebie w odwiedziny...

- Julia zrozumie - przerwała mi. - Trochę zdążyła cię już poznać - dokończyła ciszej.

„Oczywiście, że zdążyła mnie poznać” - pomyślałem. Znała mnie nawet zupełnie dobrze.

Może nawet zdecydowanie za dobrze. Była przecież przyjaciółką Beaty. O tym, że jest córką Melanii, dowiedziałem się niestety znacznie później.

Z Beatą spędziłem prawie dwa słodkie lata, poznając przy okazji duże grono jej znajomych, w tym właśnie Julkę. Wszyscy oni zasługiwali na miano pozytywnie nakręconych, żeby nie powiedzieć pierdolniętych. Tacy dziwni ludzie, jakby niezupełnie z tego świata.

Jak to kiedyś powiedziała Julietta: „od narodzin aż do śmierci pozytywnie pierdolnięci”? Swoją drogą, ciekawa jest ta Julka. Studiuje socjopedagogikę, a w przyszłości chce prowadzić rodzinny dom dziecka, zastępując kilkunastu rozwrzeszczanym, skrzywionym społecznie i niekochanym przez nikogo bachorom matkę. Spędza w domu dziecka całe popołudnia, próbując udowodnić sobie i innym, że każdy człowiek w swym życiu musi być kochany, żeby móc w przyszłości kochać.

Miała kiedyś nawet przez krótki czas teorię, że i moje dzieciństwo w domu dziecka musiało być niekończącym się pasmem udręki, skoro jestem właśnie taki. Dobrze, że ten pomysł z rodzinnym domem dziecka miała już od zawsze, bo poczułbym się winny, gdyby wpadła na niego pod wpływem naszej znajomości. Wyjechała na roczną praktykę do Chile, żeby popracować na rzecz wykorzystywanych dzieci, pogłębić znajomość hiszpańskiego, pobiedować i udowodnić sobie i innym, ile jest warta. Wróciła przed paroma miesiącami, aby podjąć studia podyplomowe, które mają ją jeszcze lepiej przygotować do roli zastępczej matki. Pamiętam, jak próbowała porozmawiać ze mną po moim rozstaniu z Beatą. Umówiliśmy się we włoskiej restauracji na obrzeżach miasta. Tam przy blasku świec, przy dobrze schłodzonym prosecco, w weneckich klimatach próbowała mi uświadomić, jaki jestem beznadziejny. Spędziliśmy nawet czarujący wieczór, aż do momentu, gdy wstając od stołu, nazwała mnie „samcem rządzonym przez penis”. Zostawiła mnie otumanionego przy stole i odeszła.

Nawet przez chwilę poczułem się jak świnia. Całkiem rozkoszna jest ta córeczka Melanii - zero wyrozumiałości, nic ze swojej matki. Świat według Julii jest czarno-biały. Nie ma w nim miejsca na żadne odcienie szarości. Ja w każdym razie zostałem przez nią przekreślony raz na zawsze i znalazłem się po najczarniejszej stronie rzeczywistości. Myślę, że gdyby narysowała

wcielenie diabła, to miałby on moją twarz. Mam nadzieję, że moja starsza koleżanka z pracy nie знаła dokładnie szczegółów naszej znajomości, a już tym bardziej tamtego naszego pechowego spotkania.

- Zostanę. Julka zrozumie... - wyrwał mnie z zamyślenia spokojny głos Melanii.

„O Boże, ona w kółko o tym samym” - pomyślałem.

- Nie ma mowy! Żadnych poświęceń. Mam wolne popołudnie i zostaję - starałem się ostatecznie przerwać tę dyskusję.

- Idiotyczny pomysł - odparła dobitnie. - To telefon zaufania... Czy rozumiesz, co znaczą te słowa? - Odwróciła nagle wzrok, zaczęła się przyglądać doniczkom stojącym na parapecie za moimi plecami. Patrząc mi w oczy, nie potrafiłaby chyba powiedzieć tego, co naprawdę myśli.

- Wymyśliliśmy to parę lat temu, po tamtym idiotycznym samobójstwie w akademiku.

Nie wiem, czy to pamiętasz...

Pamiętałem. Dwa razy w życiu coś rzuciło mnie na kolana. Może więcej razy, ale tamte inne się nie liczą, należały do dzieciństwa, zwały się już dawno w jedno niewyraźne wspomnienie, zbudowane z wielu gorzkich rozczarowań. Dwa razy coś wstrząsnęło mną w dorosłym życiu - przed trzema laty tamten chłopak, który powiesił się na własnym pasku od spodni na kłamce w akademiku, i przed paroma tygodniami śmierć Marco. Wbrew pozorom też coś czuję. Nic jestem aż tak beznadziejny.

- To nigdy by się nic stało, gdyby tamten chłopak miał szansę z kimś pogadać - kontynuowała Melania. - Niejeden hoduje marihuanę w doniczce w akademiku. Niejednego już złapali, niejednemu grozili wylaniem. Każdy z nas kiedyś w życiu zapalił trawkę. To nie była sytuacja bez wyjścia, a tak głupio skończyło się ludzkie życie. Profesor nas poparł.

Znalazły się fundusze. Siłami paru asystentów z naszego zakładu zorganizowaliśmy ten telefon zaufania. W końcu z nami o etyce i życiu rozmawiają najwięcej... Odbierane telefon, przedstawiamy się z imienia i nazwiska. Liczymy na to, że budzimy w nich zaufanie.

Najlepszy był w tym Marco. Niezły jest Rafał... Ciebie to jakoś nigdy nic interesowało...

Zawsze byłeś zajęty czymś zupełnie innym... - dokończyła ciszej.

- I co z tego? - udawałem, że jeszcze nie rozumiem.

- Nie nadajesz się do tego - wykrztusiła wreszcie. - To nie jest robota dla ciebie! - próbowała w oględnych słowach przemycić to, co rzeczywiście myśli. - Nigdy się nie nadawałeś, a do tego ostatnio nie kontrolujesz się nawet na swoich zajęciach. W zeszłym tygodniu zareagowałeś impulsywnie, wyrzuciłeś dziewczynę za drzwi... Zgłosiła się do mojej grupy... Trochę mi opowiedziała...

- Zaatakowała mnie - burknąłem pod nosem. - Jeszcze tylko tego brakuje, żeby studenci poczuli się upoważnieni do oceniania naszego prywatnego życia. Nikt nie jest doskonały...

- Ona twierdzi, że nie zaatakowała ciebie, tylko poglądy, które reprezentujesz... - przerwała mi gwałtownie.

Nie odpowiedziałem. Nie chciało mi się o tym rozmawiać. Odbiegliśmy dość znacznie od zasadniczego tematu.

- Studenci nie każdego muszą kochać - rzuciłem zaczepnie. - Do dyskusji o Sokratesie czy Kancie nie potrzeba aż takiej zażyłości - napędzałem się coraz bardziej. - Nigdy nie miałem ochoty konkurować o popularność ani z Marco, ani z Rafałem...

- Nie muszą cię kochać - wpadła mi w słowo - ale muszą cię akceptować, a twoich

poglądów ostatnio nikt już nie akceptuje. Twój styl życia jest tematem większości uczelnianych plotek. To też popularność, ale zupełnie inna... - Powiało sarkazmem i ironią.

Lepsza taka niż żadna - rzuciłem zaczepnie i nagle poczułem się winny. Co ja dzisiaj wyczyniam do diabła? Przecież sam dobrze wiem, że pomysł mojego dyżurowania w telefonie zaufania jest po prostu idiotyczny. Bronię czegoś, w co sam nie wierzę. Nigdy wcześniej nie atakowałem Melanii. Najstarsza z nas, matkowała nam tutaj w zakładzie już od dawna. W ciężkich chwilach wiele razy próbowała zastępować nam rodziców. Czulem wobec niej swoisty szacunek. Nigdy nie wdawałem się z nią w dyskusje. I nagle dzisiaj jakby we mnie diabeł wstąpił.

- Oni dzwonią tu z różnymi sprawami - próbowała mi jeszcze tłumaczyć, niczym niezrażona.

- Nawet drobiazg może urosnąć do niebotycznych rozmiarów, zacząć przygniatać, pchać, dociskać do muru. Tu się liczy cierpliwość, sposób słuchania, ton głosu, nawet pojedyncze słowa... Coś, co nam może

się wydać nic nieznaczącą, śmieszna i wydumaną bzdurą, dla kogoś może stać się ciężarem nic do udźwignięcia, przełożyć się na durnowate myśli, na rozpacz, na wrażenie sytuacji bez wyjścia... Pojawia się cienka, prawie niewyczuwalna granica między „chcę” a „nie chcę”, „mogę” i „już nie”... Jeden krok do poczucia całkowitej przegranej, do nieszczęścia...

- mówiła coraz szybciej i szybciej, jakby się bała, że jej przerwę, zaburzę tok rozumowania, wytrącę argumenty z ręki... - Wiesz, kiedyś zadzwonił do mnie student - kontynuowała - który zgubił książkę z biblioteki. W sumie błahostka, banał. Było to któreś tam wydanie któregoś z tomów Anatomii człowieka profesora Marciniaka. Bibliotekarka zarzuciła mu, że sprzedał tę książkę... Chłopak obleciał wszystkie antykwariaty. Znalazł coś na Allegro. Cena przekraczała jego możliwości, a każdy dzień nabijał nowe odsetki za nieoddanie książki. Zagrał w karty.

Los się nie uśmiechnął i biedak popadł w jeszcze większe finansowe tarapaty... Ojciec przestał mu przysyłać pieniądze, twierdząc, że pewnie ćpa lub pije, prowadzi beztroski, hulaszczy tryb życia...

Zapętlili się tak, że każdy dzień przytłaczał go coraz bardziej. A wszystko z powodu takiej bzdury, jak któryś tam tom Anatomii Marciniaka. Kompletna błahostka, która nagle urosła do niewyobrażalnych rozmiarów...

- No i jak to się skończyło? - przerwałem jej gwałtownie. Coraz bardziej drażniła mnie ta opowieść.

- Miałam w domu swojego starego Marciniaka. Problem się rozwiązał - dokończyła zmieszana. - To nie chodzi o tę książkę. Chodzi o przykład... W sumie była to przecież zupełna bzdura. Trafiła tylko na niewłaściwego człowieka, a może na niewłaściwy moment...

- Rozumiem. Jeżeli chodzi o książkę z anatomii, to chyba też gdzieś jeszcze posiadam...

Mam nawet jakieś zaskórniaki. W razie czego mogę pożyczyć, jak na przykład komuś zabraknie na działkę i będzie rozważał pomiędzy napadem rabunkowym na ulicy a samobójstwem...

Skupiona do bólu na swoich wywodach nie zauważyła nawet, że żartuję.

- Tyś, Konrad, chyba raptem zidiociał... - aż się zapowietrzyła z oburzenia. - Rozum ci odebrało?

- Żartowałem - starałem się rozładować narastające napięcie.
- Dziwne masz poczucie humoru... Lepiej zostaw ten telefon zaufania innym...
- Uważasz, że nie dam rady? - przerwałem jej gwałtownie. Raptem zagotowało się we mnie. - Myślisz, że jestem totalnym dupkiem, idiotą pozbawionym wyższych uczuć?

Mój wybuch ją zaskoczył. Zeskoczyła z biurka. Stała tuż przede mną. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując spojrzenie na mojej twarzy.

- Nie wiem, Konrad, jaki jesteś - zasyczała przez zaciśnięte zęby. Jej oczy zwęziły się niebezpiecznie, twarz poczerwieniała, a loczek na czubku głowy podskoczył jak sprężyna. - Często bawisz się ludźmi. Grasz ludzkimi uczuciami. Jesteś mistrzem pozorów i mistyfikacji.

Wijesz się jak piskorz. Zmieniasz się jak kameleon. Cieszę się, że moja córka cię nie cierpi...

Nadajesz się do wszystkiego z wyjątkiem telefonu zaufania!

Wykrzyczała mi to wszystko w twarz i nagle zamilkła. Ruszyła w kierunku wyjścia. Zdjęła płaszcz z wieszaka. Zaczęła się ubierać. Włożyła na głowę kapelusz. Naciągnęła na dłonie rękawiczki. Wyjęła z torebki parasolkę. Przygotowała się na spotkanie z listopadowym zimnem i pluchą na zewnątrz.

- Rób, jak uważasz! - rzuciła lodowatym tonem.
- Wychodzę. Możesz zadzwonić, jeśli będziesz mnie potrzebował! W taką paskudną pogodę na pewno będziemy z Julka w domu.

Potrzebne numery masz w zielonym notesie na moim biurku. Nie zapomnij zgasić światła!

Wyłącz komputer, bo zwykle ja to za ciebie robię! Klucz zostaw później na portierni! - zazgrzytało jak ładowana broń, powietrze stało się aż gęste od wykrzykników.

- Miłego wieczoru! - rzuciłem pogodnie w kierunku jej oddalających się pleców.
- Tobie również!

\* \* \*

Siedziałem, nudziłem się, parzyłem kolejne kawy, opróżniałem kolejne filiżanki. Znużony sprawdzaniem prac studentów zapadłem się w fotel, wyciągnąłem przed siebie nogi i oddałem się błogiej beczynności. Godziny tego bezsensownego jesiennego popołudnia wlokły się w nieskończoność.

Jak ja nie cierpię jesieni - mgliście, melancholijnie, beznadziejnie. Za oknem już dawno rozpanoszyła się ciemność, a szarpane wiatrem gołe konary rosnącego tuż za oknem dębu raz po raz uderzały o szybę. Że też nigdy w dzień nie zauważyłem, jakie to jest denerwujące. Po chwili krople ulewnego deszczu zaczęły bębnić w metalowy parapet. Niech to szlag trafi, jeszcze tylko tego brakowało! Coraz więcej samochodów, coraz gorzej z miejscami do parkowania. Rano zaparkowałem cztery przecznice od uczelni. Nagle ciszę rozdarł dźwięk telefonu. Już prawie zapomniałem, że tutaj może ktoś zadzwonić. Spojrzałem na zegarek i pomyślałem, że to pewnie portier. Leniwie podniosłem słuchawkę.

- Słucham...

Po drugiej stronie panowała niczym niezmacona cisza. Przez krótką chwilę słyszałem czyjś oddech, a może tak mi się tylko wydawało.

- Słucham - powtórzyłem - tu studencki telefon zaufania... - dodałem dla pewności.

Ciszę przerwał stuk odłożonej słuchawki. Nie wstałem. Nie drgnąłem nawet. Siedziałem nadal z ręką na słuchawce milczącego telefonu. Minuty mijały, telefon milczał, a ja siedziałem

jak sparaliżowany. Niech zadzwoni jeszcze raz, do jasnej cholery! Skrzypnęły drzwi.

Skoczyłem jak oparzony.

- Nic wychodzi pan jeszcze? - Portier patrzył wymownie na tarczę ściennego zegara.

Wskazówki zbliżały się powoli do dziewiątej. - Pracujecie do dwudziestej pierwszej. Pewnie już nikt dzisiaj nie zadzwoni...

- Zadzwoni - stwierdziłem kategorycznie.

Spojrzał na mnie spođe łba.

- Musi zadzwonić... - Postarałem się, by to zabrzmiało przyjaźniej.

- Skoro pan tak uważa - burknął pod nosem. - Ja w każdym razie znikam na chwilę, idę na kolację.

Jakby pan chciał wyjść pod moją nieobecność, to proszę powiesić klucz na tablicy w portierni i dokładnie zatrzasać drzwi. Zresztą za jakieś pół godziny wracam...

- Bąkał coś jeszcze pod nosem, czego i tak nic zrozumiałem, i po chwili nareszcie wyszedł. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Wstałem, zacząłem przemierzać pokój od drzwi do okna i z powrotem.

Takie idiotyczne cztery kroki w przód i cztery w tył w zamkniętej przestrzeni. Nie pomogło. Serce biło mi jak oszalałe. Nagle zaczęło mi brakować powietrza.

Poszarpałem się z oknem. Ustąpiło pod naporem mojej ręki. Powiało chłodem, wilgocią, Stęchlizną, jesienią.

- Zadzwoni, do jasnej cholery! - powiedziałem w przestrzeń przed sobą.

Telefon rozdzwonił się jak na zamówienie. Rzuciłem się w jego kierunku, przerażony myślą, że nie zdążę. Potrącone w biegu krzesło runęło z hukiem na podłogę. Roztrzaskała się na skorupy ulubiona filiżanka Melanii. Niech to szlag trafi! Jakby mało było tej dzisiejszej wymiany zdań, to jeszcze za to przyjdzie mi ją jutro przeproszać.

- Halo, tu studencki telefon zaufania. - Staralem się mówić przyjaźnie i spokojnie. Chyba tylko oddech miałem odrobinę przyspieszony.

Odpowiedziała mi cisza.

- W czym mogę ci pomóc? - spróbowałem inaczej.

Wydawało mi się, że z drugiej strony ktoś się poruszył.

Przełknął ślinę.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - powtórzyłem spokojnie kolejny już raz.

- Nikt mi nie może pomóc - usłyszałem cichy dziewczęcy głos. Wcisnąłem przycisk dyktafonu. - Są takie sytuacje w życiu, kiedy nie można już nic zmienić. To koniec... Po prostu koniec - mówiła dziwnie matowym głosem. - Nic nie ma sensu, nic

się już nie liczy, wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Została tylko pustka, nic... Rozumie pan? W jednej chwili wszystko okazało się pozorem, grą, rozsypało się jak domek z kart... Wydawało mi się, że to, co było, będzie już na zawsze. To nieprawda. Wszystko jest ulotną chwilą, grą hormonów, wykorzystaną okazją... - mówiła coraz ciszej, coraz wolniej, a ja się bałem, że nagle skończy. - Powinam była zrobić to dzisiaj, ale zabrakło mi odwagi - zabrzmiało zdecydowanie. - Stałam na przystanku i czekałam na tramwaj. Raptem poczułam, że jest mi wszystko jedno: jeden krok do przodu i koniec tego ściskającego wewnątrz bólu, koniec wrazenia, że gardło stało się za wąskie, koniec żalu, że

oddałam komuś cały mój świat, a on mnie oszukał. Pamiętam zbliżający się tramwaj, pamiętam twarz motorniczego, która stawała się coraz wyraźniejsza. Początkowo rozmazana plama zyskała owalny kształt, czuprynę ciemnych włosów, białą koszulę i krawat... Miałam właśnie zrobić krok do przodu, kiedy zobaczyłam tych dwoje tuż przy mnie. Obok mnie stała kobieta z dzieckiem. Dziewczynka była mała, mogła mieć najwyżej ze cztery lata, popychała przed sobą wózek dla lalek, a pod pachą trzymała pluszowego misia. Miała buzię umorusaną czekoladą i zabawne kucyki związane kolorowymi gumkami. W gumki gdzieniegdzie wplecione były małe purpurowe pompony.

Sama nie wiem, dlaczego to pamiętam... Chyba zmysły w takich chwilach funkcjonują inaczej i rejestrują automatycznie wszystko, nawet zupełnie nieistotne detale. Pomyślałam sobie wtedy, że nie mogę tego zrobić, że unieszczęśliwię tym tę kobietę i to dziecko...

Wjechałam windą na dwunaste piętro budynku mieszkalnego. Znam go dobrze, przed rokiem w tym bloku Iza wynajmowała mieszkanie. Bywałam u niej.

Z szerokiego korytarza prowadzą drzwi prosto na wspólny dla wszystkich mieszkańców balkon. Drzwi są zawsze otwarte. Spojrzałam w dół. To byłby wspaniały lot z widokiem na prawie całe miasto.

Supersprawa - takie parę sekund, które zostaną pod powiekami już na wieczność, z obrazem ostatnich złotobrunatnych liści i odbitych w szybach okien promieni zachodzącego jesiennego słońca. Już miałam się wychylić przez poręcz, kiedy zobaczyłam tę staruszkę.

Owinięta ciepłym kocem, siedziała na balkonie dwa piętra niżej i dziergała na drutach jakąś robótkę. Siwe włosy, ciężkie oprawki okularów zsunięte na czubek nosa, kłębek błękitnej włóczki, szybko migające w powietrzu druty, kraciasty koc okrywający plecy... To idiotyczne, pomyślałam, przecież nic mogę jej tego zrobić... - Dziewczyna mówiła matowym głosem, a ja z przerażenia wstrzymałam oddech. - Poszłam dzisiaj przed południem do lekarza. Powiedziałam, że ostatnio mam mnóstwo stresów i źle sypiam. Opowiedziałam mu o niedawno postawionym u mnie rozpoznaniu i o tym, że biję się z myślami na temat czekającej mnie terapii. Nie miał za dużo czasu, by ze mną rozmawiać. Na korytarzu było aż czarno od pacjentów, a on wspomniał, że musi się spieszyć, bo po południu ma jeszcze dyżur. Przez moment poczułam się rozczarowana. Może i dobrze, pomyślałam po chwili, bo ja nie potrafię kłamać. Wypisał mi leki uspokajające. W pierwszej chwili mi ulżyło.

Wszystko się wyciszyło i zwolniło. Pomyślałam sobie, że w końcu to takie proste - wziąć kąpiel, otulić się w miękkim szlafrok, położyć się do łóżka, poczytać jeszcze parę stron jednej z ulubionych książek, połknąć tabletki, popić sokiem, czytać dalej i z książką w ręku po prostu zasnąć. Zasnąć i już nigdy więcej się nie obudzić. To byłoby takie humanitarne rozwiązanie mojego emocjonalnego problemu. Można by jeszcze włączyć ulubioną muzykę.

Jest parę rzeczy, których lubię słuchać. Pomyślałam o Michaelu Hirte i jego harmonijce ustnej, w której dźwiękach zakłęte są tylko emocje, nieprzypisane do miejsca, ponadczasowe, należące do wszystkich i do wieczności... Może udałoby mi się wyciszyć przed tą ostatnią drogą, uspokoić szalone myśli, na chwilę o wszystkim zapomnieć i słodko zasnąć.

Napuszczałam już wodę do wanny, kiedy wzięłam do ręki ulotkę. Policzyłam tabletki, przeliczyłam dawkę i nagle uświadomiłam sobie, że mnie odratują. Poczułam straszliwe rozczarowanie.

Wypluczą mi żołądek, w razie potrzeby zrobią dializę. Być może dojdzie do jakiegoś



uszkodzenia mózgu, ale to i tak nic nie zmieni... Ten ból, który jest we mnie w środku, pozostanie. Gównu, a nic rozwiązanie! Jeszcze jedno upokorzenie więcej... - mówiła spokojnie, a we nie krzychało wszystko. - Nic potrafię się powiesić. To zbyt brutalne.

Nie podetnę sobie żył w wannie... Zawsze śmieszyły mnie panienki ze sznytami na rękach, które zależnie od okoliczności skrzętnie chowają lub manifestacyjnie ukazują blizny, świadczące o potrzebie zwrócenia na siebie uwagi... I nagle mój wzrok padł na album z naszych ostatnich wrześnieowych wakacji. To było parę cudownych dni tuż przed rozpoczęciem tegorocznych zajęć. W jednej chwili powzięłam decyzję. Wyruszę w podróż, podróż jak ostatnie wspomnienie. Pojadę śladami naszych wakacji. Wyślę mu jeszcze pozdrowienia z Saksonii, a później na jakimś górskim oblodzonym zakręcie nie zdążę skręcić...

Już od dłuższej chwili walczyłem z sobą. Otwierałem i zamykałem usta. Wszystko we mnie krzychało. Serce bilo jak oszalałe. Ręka posiniała od ściskania tej durnowatej słuchawki. W końcu nic wytrzymałem.

- Co tv chrzanisz? To bez sensu! - przerwałem jej gwałtownie.

- Co, według pana, jest bez sensu? - Jej głos nadal był wyprany z wszelkich emocji.

- To, co mówisz.

- Tak pan myśli? Naprawdę? - Dziewczyna najwyraźniej się mną rozczarowała. - Ja myślę zupełnie inaczej. To już i tak nic jestem ja. Tamtej mnie już nie ma - mówiła powoli, dobitnie cedząc każde słowo. - Wszystko nagle zniknęło, odeszło, rozpadło się w pył. Byliśmy razem od ponad roku.

Przed paroma dniami postawiono mi tę diagnozę. Pomyślałam, że to nic nie szkodzi, że razem damy radę, właśnie chciałam z nim o tym porozmawiać, kiedy on nieoczekiwanie pokazał mi te obrączki. Niesamowite, splecione jakby z dwóch kolorów złota, z wygrawerowanymi ich imionami i datą ślubu, który niebawem ma nastąpić. Zareczył się z nią przed rokiem, kiedy już byliśmy razem. Ona mieszka w te) zapyziałej dziurze, z której on pochodzi. Jest właścicielką fitness klubu. Pewnie ten fakt dyskwalifikuje mnie już na starcie.

Cóż za różnica jechać za szybko i źle wymierzyć zakręt czy umrzeć trochę później na jakąś paskudną chorobę... Po co się tak męczyć... Taka nikomu do niczego niepotrzebna para w gwizdek...

Zamilkła, a we mnie nadal wszystko krzychało. Wydawało mi się, że słyszę walenie mojego serca.

- Powiedziałaś mu o tej chorobie? - Jak na złość, głos mi zadrżał.

- Po co? Co to zmieni? - stawiała pytania, na które miała już dobrze przemyślane odpowiedzi. - To nie w moim stylu skomleć i żebrać. Nikt mnie nigdy nie zobaczy na kolanach... Odwróciłam się i odeszłam. Powiedziałam, że dobrze się składa, bo ja już też miałam dosyć.

- A może jednak...

- Pan chyba nic nie rozumie! - przerwała mi gwałtownie. Rozczarowywałem ją z minuty na minutę coraz bardziej. - Moja choroba nie ma tu żadnego znaczenia. Nic cierpię litości. To obrzydliwe uczucie... Służy do poniżania jednych i wyświęcania drugich... To najgorsze, co mogłoby mnie spotkać.

Pan udaje, czy tego naprawdę nie rozumie?

- Rozumiem...

- Sypiał z nią w weekendy, w dni powszednie ze mną - mówiła dalej dziewczyna. - Jedną na poważnie miał tam, drugą tu, dla osłody studenckiego życia.

Mamił nas obie. Bezwiednie dzieliłyśmy się nim przez wiele miesięcy. Wybrał. A ja muszę się tylko do tego ustosunkować...

- To się ustosunkuj, do jasnej cholery! - nie wytrzymałem. Przestałem się zupełnie kontrolować.

- Zrób to z fantazją! Strzel go w gębę na środku korytarza! Spluń mu pod nogi!

Otwórz tamtej idiotce oczy! - Sam się przestraszyłem własnych słów. Melania mówiła, że nic wolno nikogo oceniać. W każdym razie nie tutaj, nie w tej pracy. Tu trzeba słuchać, rozumieć, podpowiadać rozwiązania. „W końcu strzelić go w twarz, to też jest rozwiązanie”, próbowałem uciszyć swoje narastające wątpliwości. - A później olej go! Zostaw go otumanionego na środku korytarza i odejdz! To dupek! Niewart jest ciebie! - bluznąłem. Puściły mi nerwy. Bardzo chciałem, ale nie potrafiłem się zdystansować.

- I pan to mówi? - W głosie dziewczyny wyczułem ironię. Wydawało mi się, że się przesłyszałem.

- I pan ma takie poglądy? - powtórzyła inaczej.

- Wiesz, z kim rozmawiasz? - wpadłem w popłoch. - Skąd? Przecież się nie przedstawiałem.

- Znam pana głos. Nawet bardzo dobrze. Mam z panem zajęcia...

Na chwilę mnie zamurowało. Profesor padłby trupem. Dobrze, że tego nigdy nie usłyszy.

Żal byłoby starego. W minutę ległby w gruzach sens nauczania szeroko pojętej etyki. Lityczne rozwiązanie problemu przez splunięcie komuś pod nogi. Odreagowanie przez trzaśnięcie w gębę. Żadnej powściągliwości, żadnego dystansu, czysty żywioł. Żadnego Arystotelesa, Sokratesa czy Kanta... Filozofia rzadko przystaje do rzeczywistości. W życiu akcja rodzi reakcję. To prawie czysta fizyka. Chamstwo należy zwalczać chamstwem, gwałt gwałtem...

Przestałem się kontrolować. Jakieś bzdury zaczęły mi się roić w głowie.

- Jak masz na imię? - spytałem, choć i tak nie wierzyłem, że odpowie.

- Nie chcę kłamać...

- Rozumiem, ale chcę ci pomóc.

- Dlaczego? Bo ma pan pecha, że zadzwoniłam akurat podczas pańskiego dyżuru?

- Dyżur skończyłem już jakiś czas temu - powiedziałem szybciej, niż zdążyłem pomyśleć.

- Chcę ci po prostu pomóc.

- Dlaczego?

Padło pytanie, a ja nagle poczułem pustkę w głowie.

- Bo zależy mi na tobie.

- To bez sensu. Nikomu już na mnie nic zależy.

Zamilkła, a ja się przestraszyłem, że odłoży słuchawkę.

- Posłuchaj, zapisz sobie mój numer telefonu: 718171785! Zapisalaś?

- To bez sensu - powtórzyła ciszej.

- Zapisz: 718171785! Tak po prostu, na wszelki wypadek. Komórkę mam zawsze przy sobie. Będę spał z telefonem przy łóżku - bredziłem bez większego sensu przerażony myślą, że ona zaraz się rozłączy i że już nic i nigdy nie będę mógł dla niej zrobić. - Zawsze możesz do

mnie zadzwonić.

- Do pana? - zabrzmiało to ironicznie albo tylko ja tej ironii oczekiwałem. - To wszystko nie ma już

sensu, ale dziękuję - mówiła coraz ciszej. - Bardzo panu dziękuję! Nawet się pan nie domyśla, jak mi pan pomógł - skończyła nieoczekiwanie.

Odgłos odkładanej słuchawki podziałał na mnie jak chluśnięcie wiadrem zimnej wody. Ale gównu! I ja z tym gównem nic więcej nic mogę zrobić. Rozłączyła się. Szlag by to trafił! Nie wstałem. Nic poruszyłem się nawet. Czekałem na kolejny dźwięk telefonu. W pokoju cisza aż dzwoniła w uszach. Słyszać było tylko beznadziejne tykanie zegara. Pokazywał godzinę dziesiątą. Krople deszczu uderzały miarowo o parapet, a wiatr raz po raz stukał konarami drzew w szyby okien. Wskazówki przesuwają się nieubłaganie. Już chyba nie zadzwoni, pomyślałem. Ciekawe, co robi? Trzyma, jak ja, słuchawkę w dłoni? Położyła się, włączyła cichą muzykę, próbuje zasnąć? Siedzi w fotelu i gapi się w ciemność za oknem? Cisnęła do kubła na śmieci mój numer telefonu? Co za gównu! Jest gdzieś tam sama, zrozwadzona, z głową pełną durnych myśli, z uczuciami, które ją przerosły. Jest gdzieś sama i nikt nie może jej teraz pomóc. Wstałem, umyłem twarz zimną wodą. Postąłem przy otwartym oknie wpatrzony w tę listopadową beznadziejność. Wiatr zawiał mocniej, deszcz zaczął bębnić o parapet. Nie cierpię tej pory roku - beznadziejnie, melancholijnie i smutno. Późna jesień to jak przypomnienie o śmierci i przemijaniu. Bzdury! Wcisnąłem klawisz dyktafonu i zacząłem słuchać. Słuchałem raz, później drugi i kolejne, jakby to, że nauczę się jej słów na pamięć, mogło coś zmienić, w czymś jeszcze pomóc.

\* \* \*

- Melanio, czy mógłbym do ciebie przyjechać?

- Boże, człowieku, czy ty wiesz, która jest godzina? - Musiała być bardzo zasnana. Moje słowa pewnie z trudem przebijały się do jej nie całkiem rozbudzonej świadomości. - Naprawdę to takie pilne? Nie możemy pogadać jutro w pracy? - Oprzytomniała na tyle, by zacząć bronić przede mną swojej prywatności.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwunasta.

- Mam problem - wykrztusiłem wbrew sobie.

- Jakiej natury? - spytała lodowato. - Pewnie i tak nie jestem w stanie ci pomóc. - Ton jej głosu nie pozostawiał złudzeń. Popołudniowa wymiana zdań zapadła jej w pamięć.

- Chodzi o telefon zaufania. - Udawałem, że nie słyszę chłodu w jej głosie.

- Telefon zaufania? - Nagle oprzytomniała. - Przyjeżdżaj! Tylko nie dzwoń, bo mi pobudzisz wszystkich w domu! Puść krótki sygnał komórką, gdy już będziesz pod bramą!

Przyjęła mnie w salonie przy słabym świetle małej lampki, jakby się bała, że w szlafroku, z chustką na głowie przykrywającą nawinięte na wałki włosy i w grubych wełnianych skarpetach sięgających prawie do kolan stanowi widok, który mógłby mnie co najmniej zgorszyć.

- Nie patrz tak na mnie! Jest środek nocy, nie mam ochoty się dla ciebie przebierać - warknęła na powitanie. - Stało się coś? - nie potrafiła ukryć zżerającej ją ciekawości.

Usiadłem i nagle uświadomiłem sobie, że zupełnie nie wiem, co mam jej powiedzieć.

- Czemuś ty taki mokry? Zostawiasz ślady na dywanie.

Sam już wcześniej zauważyłem mokre plamy, które znaczyły moją drogę z przedpokoju,

gdzie zostawiłem buty, do tej jej zabytkowej sofy w salonie. Spodnie wydawały mi się aż ciężkie i sztywne od wody, a skarpetki całkiem przemokły.

- Leje - rzuciłem obojętnie. - Zaparkowałem samochód daleko od uczelni - zacząłem się odruchowo tłumaczyć.

- To ty nie byłeś jeszcze w domu? - Spojrzała na mnie uważniej.

- Jakoś tak wyszło...

- Napijesz się czegoś? - Trochę jakby złagodniała.

- Nie, dziękuję.

- Chcesz coś zjeść? - nie ustępowała. U niej zawsze jedzenie i picie były najważniejsze.

Podobnie jak na uczelni, tutaj też chciała mi matkować, - Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Jest już zresztą bardzo późno. Nie chcę ci przeszkadzać. Chciałem tylko chwilę porozmawiać.

Usiadła naprzeciw mnie. Podparła głowę rękami, wbiła we mnie wzrok i udawała, że nie musimy się spieszyć.

- Przez parę godzin nic się nie działo. Zdążyłem sprawdzić wszystkie kolokwia. Tuż przed dwudziestą pierwszą zadzwoniła jednak jakaś dziewczyna... - zacząłem oględnie.

- Wiedziałaś przecież, że ktoś może zadzwonić. Ostrzegałam cię... Ty się zupełnie do tego nie nadajesz.

- Ta rozmowa nie daje mi spokoju - próbowałem puścić mimo uszu jej uwagę.

- Bywa, często też muszę po takim dyżurze odreagować...

- Dziewczyna ma myśli samobójcze. Próbowала zrobić to dzisiaj, ale zdrowy rozsądek jej na to nie pozwolił. Ma dziwną konstrukcję psychiczną. Nawet będąc w kompletnym dołku, martwi się o innych. Zadziwiające. Zamierza popełnić samobójstwo w jakimś bliżej nieokreślonym czasie.

- Ciekawe...

- Nie dała sobie w żaden sposób pomóc. To był właściwie monolog. Chciała się chyba tylko przed kimś wygadać.

- Tak jest najczęściej.

- Miałem wrażenie, że próbując rozmawiać, wszystko zepsułem...

- Niekoniecznie. Pewnie i tak by za chwilę zamilkła.

Melania nie odrywała ode mnie oczu. Jakby się domyślała, że to nie jest jeszcze wszystko, co chcę jej powiedzieć.

- Chyba nie zdołałem jej pomóc - brnąłem dalej.

- To trudno ocenić.

- Znała mnie - burknąłem pod nosem.

- O Boże! - Nagle oprzytomniała.

- Poznała mnie po głosie - wycedziłem powoli.

- Ma ze mną zajęcia.

- I co?

- Nie wiem, mam nadzieję, że to nic zaważyło na przebiegu naszej rozmowy. Wiedziała to przecież od początku. Skoro poznała mnie po głosie, to od początku wiedziała, z kim rozmawia - próbowałem sam siebie uspokoić.

- To gdzie tkwi problem?

Nie odpowiedziałem od razu. Problem tkwił we mnie i w tym, że rzeczywiście nie nadaję

się do pracy w telefonie zaufania. Prawdę mówiąc, kiedy pracowałem w pogotowiu, też miałem największy problem z ocenianiem stanu psychicznego pacjenta. Podziwiałem kolegów, którzy potrafili sobie z tym radzić. Może to dlatego, że ktoś kiedyś powiesił się na moim dyżurze. Było to już dawno temu, zaraz po studiach, a mnie się ciągle wydaje, że od tego nieszczęścia minęło zaledwie parę dni. Kobieta wezwała pogotowie z powodu ostrej reakcji emocjonalnej u swojego syna. Chłopak płakał i śmiał się na przemian. Wszystko stało się z pozornie błażej przyczyny, z powodu jakiegoś oblanego egzaminu.

Nie potrafiłem tego ocenić, napisałem rozpoznanie:

„ostra reakcja przystosowawcza” i zawiozłem go na psychiatrię. Chłopak uspokoił się po drodze, wyciszył, próbował nawet konwersować ze mną na zupełnie luźne tematy. Swoim zachowaniem zwiódł też dyżurnego psychiatrę, który między wierszami zdążył dać mi do zrozumienia, że zupełnie nie rozumie, dlaczego chłopaka do niego przywiozłem.

Nawet przez chwilę poczułem się winny, że może rzeczywiście mój czas na zajęciach z psychiatrii w czasie studiów był czasem straconym, skoro nie wyniosłem z nich żadnej wiedzy, a jak było widać na tym przykładzie, intuicji w tym zakresie też nie miałem. Chłopak zarzekał się, że nie miał nawet przez chwilę myśli samobójczych.

Wypuszczono go do domu, a parę godzin później pisałem jego akt zgonu. Powiesił się na haku od lampy w swoim pokoju, kiedy uspokojeni przebiegiem wydarzeń rodzice położyli się spać w pokoju obok. Byłem czysty jak łąza, nic miałem sobie nic do zarzucenia, ale i tak do dziś nie mogę się od tego uwolnić, nie mogę zapomnieć tamtego uczucia przegranej. Sporo prawdy było w tym, co powiedziała dzisiaj po południu Melania: nadaje się do wszystkiego 2 wyjątkiem telefonu zaufania. Przez przypadek miała rację, chociaż z innych, niż myślała i zupełnie nieznanymi jej powodów.

- Coś tak nagle zamilkł? - Głos Melanii przebił się przez tamto koszmarne wspomnienie.

- Chciałem, żebyś czegoś posłuchała...

- Nagrałeś rozmowę? - Przyglądała mi się zdziwiona. -Dlaczego?

- Bałem się, że coś przeoczę - mruknąłem pod nosem.

- Zdziwiasz mnie, Konrad...

Siedziała, słuchała, cofała taśmę dyktafonu... W końcu spojrzała na mnie uważnie.

- Trzeba wierzyć, że dziewczynie przejdzie - powiedziała jakoś niepewnie.

- Przesłuchałem to z dziesięć razy. Przeraża mnie ta jej obojętność. W tym, co mówi, nie ma już emocji. Tak jakby wszystko wybuchło, zapłonęło, wypaliło się i nagle zgasło. Jakby w środku nie było już nic, tylko ruiny i zgliszcza. Żadnych uczuć, żadnych wzlotów i upadków, tylko spokojna, zimna kalkulacja. Podjęła decyzję, uważa ją za słuszną, nie widzi innych możliwości, nie dopuszcza innych rozwiązań, musi tylko zrealizować swój plan...

Opowiedziała mi o tym, bo pewnie jej się wydawało, że musi to komuś opowiedzieć.

Zadzwoiła do kogoś obcego, by uniknąć dzielenia włosa na czworo i rozrywania szat...

Zadecydowała, a ja nie potrafię jej w tym przeszkodzić.

\* \* \*

Usiadłem w fotelu. Spuściłem żaluzje. Przyciemniłem światło. Włączyłem cicho muzykę.

Zapach świeżo zaparzonej kawy zaczął się rozchodzić po całym mieszkaniu. Ta kawa w środku nocy, tak nielogiczna i pozornie bez sensu, była mi w tej chwili potrzebna jak powietrze. Przemokłem na wylot. Skostniałem od listopadowego chłodu. Na chwilę odtajałem

u Melanii, ale chyba tylko po to, żeby po wyjściu od niej poczuć jeszcze dotkliwszy chłód.

Idąc do samochodu, miałem wrażenie, że dzwonię z zimna zębami. Zamarzyłem o gorącej kawie z koniakiem. Wtedy uświadomiłem sobie, jakież to cudowne - koniec z Natalią i koniec z zieloną herbatą. Nie cierpię smaku tej herbaty i nie ma znaczenia, czy jest w niej dodatek malin, limonki czy cytryny. Każda zielona herbata jest dla mnie tak samo gorzka, tak samo cuchnąca i tak samo bez wyrazu. Byłem zmęczony i wszystko zaczęło mi przeszkadzać - przemoczone spodnie, zapięta pod szyję koszula, mankiety przy rękawach... Zagłębiłem się w fotel. Wyciągnąłem przed siebie nogi. Rozpiąłem koszulę... „Nareszcie jestem u siebie” - pomyślałem. Lubię to swoje mieszkanie. Nikt nigdy tu ze mną nic nie mieszkał. Ono zawsze było tylko moje i tylko dla mnie. Była to oaza ciszy i spokoju, gdzie niezależnie od okoliczności mogłem być zawsze sobą. Odruchowo odsłuchałem sekretarkę. Pierwsza wiadomość była od Natalii. Informowała mnie obojętnym tonem, że wyjeżdża na tournée po Francji, jedzie szukać zapomnienia i nowych mocnych wrażeń. Mówiła, że nie wie, kiedy wróci, być może tam zostanie. Odetchnąłem z ulgą. Druga wiadomość była od Rafała - dojechał do Wenecji. On ostatnio oszalał na punkcie Ani, Marco i Wenecji. Mam nadzieję, że znalazł tam Anię. Nagle zagotowało się we mnie. Niech go diabli wezmą! To wszystko przecież przez tę jego Wenecję i przez ten cholerny dyżur w telefonie zaufania. Jak to powiedziała tamta dziewczyna? Powiedziała, że wie, z kim rozmawia, że zna mój głos, ponieważ chodzi do mnie na zajęcia. „Mam z nią zajęcia - zacząłem kombinować - może nie wszystko jeszcze stracone”. Mam zajęcia z etyki zawodowej w dwóch grupach na piątym i w dwóch na szóstym roku. Cztery grupy to w sumie około stu studentów. Prowadzę też ćwiczenia z propedeutyki interny na trzecim roku. „To się nie liczy - przemknęło mi przez myśl - tam mam ich tylko dwunastu”. Z tego co pamiętam, są tam tylko dwie dziewczyny.

„W grę wchodzi w sumie jakieś pięćdziesiąt dziewcząt” - kalkulowałem. Nie pamiętam nawet połowy twarzy. Nie przyglądałem się studentkom. Nigdy mnie jakoś nie interesowały. Nie mogłem sobie pozwolić na romans ze studentką. To by oznaczało koniec mojej pracy na uczelni, której regulamin jest tak stary jak jej mury, ma ponad dwieście lat i nijak nie pasuje do naszych czasów.

Jakoś nikt nie miał odwagi go zmienić. Rektor stał zawsze na jego straży. Stary był pod tym względem nadzwyczaj pryncypialny. Wyjątkiem była historia Ani i Marco, ale to w końcu zupełnie inna sprawa.

Zresztą wyjątki i tak zwykle potwierdzają regułę. „Pięćdziesiąt dziewcząt... Szlag by to trafił! Dużo, bardzo dużo... O wiele za dużo” - pomyślałem. Dziewczyna nie była wczoraj na zajęciach, spekulowałem dalej. Powiedziała, że była u lekarza. Wczoraj miałem ćwiczenia tylko w jednej grupie. Jakoś nie chciało mi się sprawdzać obecności. Szkoda. Ale pracowali w małych grupach nad pewnym projektem, kombinowałem. Gdzieś mam nawet fragmenty ich pracy. Wystarczy sprawdzić nazwiska i porównać z listą. „To i tak niewiele zmienia - pomyślałem. - Ona wcale nie musiała mieć wczoraj ze mną zajęć”. Muszę sprawdzić w

"I · "I · · -f · -f \*1\* · · · ·

dziekanacie, jaki plan mieli wczoraj inni moi studenci, zacząłem obmyślać dalsze działania. Postaram się ustalić, kto prowadził z nimi te zajęcia. Spróbuję nawiązać kontakt z prowadzącymi. Może uda mi się zdobyć listę obecności, a właściwie - nieobecności. Ciekawe, czy to w ogóle jest do sprawdzenia...

Podpisać się za kogoś na liście obecności to w końcu żadna sztuka. Przed laty podpisywałem się często nawet za paru kolegów. „Mówiła, że była wczoraj u lekarza -myśli kłębiły mi się w głowie. - Ciekawe gdzie? Może w naszej przychodni studenckiej? Dzisiaj tam po południu pracuję. Trochę wysiłku i odrobina szczęścia, a wieczorem wszystko może Wglądać już zupełnie inaczej”.

\* \* \*

Melania stanęła tuż przy moim biurku, spojrzała mi przez ramię na leżącą przede mną kartkę zapaćkaną nic nieznaczącymi bazgrołami i wyartykułowała to najbardziej otwarte na świecie pytanie.

- I co?

- Gównno! - rzuciłem pod nosem.

- A tak trochę bardziej opisowo? - Nie potrafiła ukryć błakającego się po jej twarzy uśmiechu.

- A tak bardziej opisowo, to totalna klapa.

Spoważniała. Chyba wyczuła, że nie mam ani siły, ani ochoty dzisiaj żartować. Postawiła na biurku kubek z parującą kawą. Nie pytając o nic, wsypała do niego dwie czubate łyżeczki cukru, wlała śmietankę, zamieszała energicznie i postawiła przede mną. Przysunęła sobie krzesło. Usiadła obok i czekała.

- Nic znalazłem jej - rzuciłem z ociąganiem.

- Tego to się już domyślam.

- U mnie wczoraj na zajęciach byli wszyscy, czyli dziewczyny z grupy dwudziestej pierwszej z piątego roku odpadają. W każdym razie wszystkie podpisały się na pracach oddanych w ramach realizowanego w tej grupie projektu. Przyglądałem

się tym podpisom i myślę, że są autentycznie. Grupa dwudziesta czwarta miała wczoraj tylko wykłady, żadnych ćwiczeń. O dziwo, wykładowca sprawdził obecność. Brakowało tylko dwóch chłopców i dwóch dziewcząt. Ponoć cała czwórka należy do sekcji pływackiej przy naszej uczelni i startuje od dwóch dni, bodajże w Lublinie, na jakichś pływackich międzyuczelnianych zawodach. Tak przynajmniej głosi wersja oficjalna. Muszę tylko popatrzeć jeszcze na ich nazwiska. Zamieszczono je ponoć w ostatnim biuletynie uczelni. Grupa czternasta z szóstego roku miała wczoraj od ósmej do dwunastej ćwiczenia z chorób wewnętrznych. Te ćwiczenia odbywają się w mniejszych podgrupach. Powiedz mi, Melanio, skąd oni w ogóle wiedzą, gdzie, kiedy i z kim mają

zajęcia? - Nie mogłem ukryć mojej frustracji. - Ten pian wiszący w dziekanacie jest po prostu potworny. Kiedy próbowałem go rozgryźć, pani Irena z sekretariatu stwierdziła, że jeżeli nie rozumiem tego, co ona stworzyła, to znaczy, że mam niższy iloraz inteligencji niż przeciętny student naszej uczelni. Nic cierpię tej baby! Zresztą nigdy za nią jakoś nic przepadałem...

Po twarzy Melanii przebiegło coś w rodzaju uśmiechu. Spojrzała na mnie i spoważniała.

- Przepraszam - wcale nie zabrzmiało przepraszająco - też jej nie lubię.

Z trudem udało mi się ustalić oddziały, na których odbywają się ćwiczenia - mówiłem dalej niezrażony. - Nazwiska asystentów wziąłem z Internetu, ale tutaj to już nic się nie zgadza. Ponoć zajęcia prowadzi ten, który w danej chwili dysponuje wolnym czasem. Krótko mówiąc, wczoraj studenci pałętali się przez nikogo niechciani po oddziale, bo z powodu jesiennych

przeziębien brakowało paru asystentów, a ci, którzy byli, z trudem radzili sobie z opieką medyczną nad pacjentami. Nikt nie chciał dodatkowej kuli u nogi w postaci studentów stojących jak cień za jego plecami. Wszyscy udawali że ich nic widzą. Podpierali więc ściany na korytarzu.

Co domyślniejsi chyłkiem wymknęli się do domu.

Ponoć tylko jakiś student z Polonii amerykańskiej, który studiuje w ramach stypendium z Fundacji

Kościuszkowskiej, zapukał do drzwi pokoju asystentów, mówiąc, że on za te studia przecież płaci.

Nie wiedział chyba, co czyni. Przez przypadek dołał oliwy do ognia albo, jak kto woli, włożył kij w mrowisko. Interne to on teraz zgłębi wnikliwie. Nic chciałbym być na jego miejscu... Zresztą nie lubię tej kliniki. Jeden kolega z oddziału zapytał mnie złośliwie, czy mam ochotę założyć jakąś komórkę kontroli jakości pracy na naszej uczelni, że nagle stałem się taki dociekliwy.

Idiota! Aż się we mnie wszystko z wściekłości zagotowało... Zależy mi na czasie, a trafiam na samych nieżyczliwych kretynów...

- Zdaje się, że masz jeszcze jedną grupę - przerwała mi. - Miałam z nią w ubiegłym roku parę razy za ciebie zastępstwa.

- Szesnastą... - wszedłem jej w słowo. - Grupa szesnasta miała wczoraj rano ćwiczenia na oddziale chirurgicznym. Ponoć byli wszyscy, tylko jednej dziewczynie zrobiło się słabo w trakcie zabiegu operacyjnego i w towarzystwie dwóch innych koleżanek została odprawiona do domu. Później mieli już tylko wykład z psychiatrii, notabene wraz z grupą czternastą i jeszcze prawie trzystu innymi studentami z tego roku. Wykłady są nieobowiązkowe, bo i tak cieszą się dużą frekwencją z powodu braku dobrego podręcznika psychiatrii. Z tej racji nikt nie sprawdza obecności. Ta mała grupka z trzeciego roku, którą uczę propedeutyki interny, miała wczoraj tylko ćwiczenia z mikrobiologii, i z tego, co zdołałem się dowiedzieć, brakowało tylko jednego chłopaka...

- No więc kłapa... - podsumowała Melania.

- Kłapa! Po prostu nic! Gówno! Rozumiesz? Gówno! Coś musiałem pominąć albo przekręcić! Szlag by to jasny trafił! - napędzałem się coraz bardziej. Mówiłem chyba coraz głośniej, bo siedzący pod ścianą Tomek raz po raz spoglądał w naszą stronę. Ten facet chyba zawsze się nudzi. Że też on nigdy niema swoich zajęć.

- Jakie piękne, soczyste słowa w zakładzie etyki - rzucił jakby mimochodem. - Zawsze mówiłem, że język polski jest pełen ekspresji.

- Nie twoja sprawa... - warknąłem. Awantura wisiała na włosku. W porę ugryzłem się w język, jeszcze mi tylko dzisiaj brakowało ostrej wymiany zdań z tym profesorskim lizusem.

Rozdzwonił się telefon. Tomasz rzucił się w jego stronę.

- To jest jeszcze większe gówno, niż myślisz... - powiedziałem półgłosem do Melanii.

Spojrzała na mnie uważnie.

- Żadna dziewczyna z tych grup nic była wczoraj przed południem u nas w przychodni studenckiej. Sprawdzenie tego kosztowało panią Halinkę z rejestracji dwie godziny pracy, a mnie obietnicę załatwienia dla niej karnetu na basen.

Spojrzała na mnie zdziwiona.



- Przekupiłeś rejestratorkę? - nie mogła uwierzyć. - Człowieku, ty pracujesz w zakładzie etyki zawodowej. Tyś chyba oszalał!

\* \* \*

Rozdzwoniła się komórka. Numer wydał mi się zupełnie nieznan. Może to ta mała? Serce nagle mi przyspieszyło. Spojrzałem na pas obok. „To jakieś fatum - pomyślałem. - Czemu, kiedy prowadzę i ktoś dzwoni, to zawsze na równoległym pasie wlecze się radiowóz ze znużonymi policjantami smętnie patrolującymi okolicę?”. Pomyślałem, że jest już ciemno i leje. Pewnie i tak nikt nie zauważy tej mojej komórki.

- Konrad Adamczak, słucham...

- Julia Malczycka.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że śnię.

Co, do diabła, może chcieć ode mnie ukochana córeczka Melanii?

- Mama w pracy. Kiedy wychodziłem pół godziny temu, to właśnie rozpoczynała następane zajęcia... - bełkotałem bez sensu.

- Nie zauważyłeś, że dzwonię do ciebie, a nie do mamy? - błyskawicznie sprowadziła mnie na ziemię.

- W czym mogę ci pomóc? - spytałem zdezorientowany.

rp #1 # r · 1##1 #

- To ja chcę ci pomoc i zamorduję cię własnymi rękami, jeżeli będę tego kiedykolwiek żałować... - próbowała się wznieść ponad niechęć do mnie. - Nie pytaj, dlaczego to robię.

Chyba coś mi się z mózgiem stało...

„A jednak ludzie się nie zmieniają - pomyślałem. - Emocje nie zawsze bledną z upływem czasu. Mimo że od mojego rozstania z Beatą minęły już dwa lata, to Julia i ja nadal za sobą nic przepadamy”.

- Obudził mnie w nocy twój telefon. Kiedy przyszedłeś do mamy, byłem w pokoju obok.

Słyszałam to nagranie... Rozmawiałam niedawno z mamą. Mówiła, że się w to wszystko bardzo zaangażowałeś.

- A zdążyła ci powiedzieć, że nic mi z tego zaangażowania nie wyszło?

- Zdążyła. Co robisz dzisiaj wieczorem? - spytała niespodziewanie.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Co może ją obchodzić, jak ja planuję spędzić dzisiejszy wieczór?

- Nic - bąknąłem zdezorientowany. - Nie mam na dzisiejszy wieczór żadnych konkretnych planów.

Jakoś na nic nie mam specjalnie ochoty. Może usiądę w jakiejś knajpie przy piwie i spróbuję to wszystko przemyśleć jeszcze raz od początku.

- Spotkajmy się! - zabrzmiało zupełnie naturalnie.

- Byle nie u Włocha, bo tamtejsza atmosfera coś nam nie służy... - Na wspomnienie naszego spotkania sprzed dwóch lat mimo woli uśmiechnąłem się pod nosem.

- Mówiłeś coś o piwie. Spotkajmy się za godzinę w tym angielskim pubie na obrzeżach miasta... Tym niedaleko twojego mieszkania, parku i kortów.

Znam dobrze ten pub. Dość często tam ostatnio bywałem. Lubię atmosferę tej knajpy.

Daleko od okupowanych przez roz- wrzeszczanych turystów lokali w centrum miasta. Dość

daleko od uczelni. Trochę za drogo na studencką kieszeń. Nie widziałem tu nigdy znajomych twarzy. Chłodne beczkowe piwo, cicha muzyka, dym z dziesiątków wypalanych tu popołudniami i wieczorami papierosów powodujący, że wszystko wydaje się nierealne i nieostre w nikłym świetle rzucanym przez ciężkie mosiężne żyrandole zawieszane na grubych łańcuchach wysoko pod sufitem. Po przejściu progu tej knajpy wszystko zwalnia i się uspokaja. Nawet czas płynie tu inaczej, jakby i on przez chwilę chciał odpocząć. Na ścianach czarno-białe zdjęcia z czasów, które nigdy nie były moimi czasami. Stół do bilardu gdzieś w rogu sali, oddzielony od reszty pomieszczenia drewnianym płotkiem, po którym, mimo braku światła i dostępu świeżego powietrza, próbują piąć się w górę jakieś rachityczne rośliny. W tym rogu bywa zwykle najgłośniejsze. Zazwyczaj okupuje go paru namiętnych fanów pokrytego zielonym sukrem stołu, bil i kija. Całkiem z tyłu sali stoi na niskim podium stary fortepian.

Od czasu do czasu ktoś na nim zagra, przebiegnie palcami po klawiszach. W soboty można tu posłuchać zupełnie dobrych jazzowych kawałków. Kiedyś odpoczywałem w tej knajpie od Justyny, zanim zdążyłem na dobre poznać Natalię. Niedawno spędziłem tu parę wieczorów z Rafałem, póki nie zrozumiał, że szuka Anny. Dzisiaj przyjechałem tu od razu po rozmowie z Julią. Nic miałem po co wstępować do domu.

Położyłem komórkę na stole, hipnotyzowałem ją wzrokiem, rozkoszowałem się zimnym piwem i czekałem.

- Cześć!

Podskoczyłem jak oparzony. Nie zauważyłem, kiedy weszła.

- Cześć!

Nic się nie zmieniła ta Julietta. Widocznie są ludzie, którzy się nie zmieniają. Ona nigdy nic przywiązywała specjalnej wagi do swojego wyglądu.

Z natury niebrzydka, nie czyniła żadnych starań, żeby wyglądać jeszcze lepiej. Długie kręcone włosy zaplatała w ciężki, spadający na ramiona warkocz, a krótsze kosmyki, które nijak nie dały się uporządkować gumką, sterczały jej we wszystkich możliwych kierunkach, tworząc nad jej głową swoistą kasztanową aureolę. Zawsze za długa grzywka opadała na oczy ukryte za szklami przyciężkawych okularów, kompletnie niepasujących do delikatnego owalu jej twarzy.

Chodziła zwykle w luźnych dzinsach i obszernych swetrach, które skrzętnie ukrywały kształty jej ciała; powab spódnic i urok sukienek przegrywał w przedbiegach z praktycznością i swoistą oryginalnością powyciąganej dzianinowej odzieży i workowatych spodni. Pod tym względem Julia była zupełnym przeciwieństwem swojej matki. Melania gustowała w garsonkach, w zwężających się ku dołowi spódnicach, dopasowanych sukienkach, kobiecych bluzkach z koronkowymi kołnierzykami, opinających nogi rajstopach, butach na niewyobrażalnie wprost wysokich obcasach i bransoletkach, którymi potrzasała namiętnie nawet w trakcie prowadzenia zajęć.

- Co się tak na mnie gapisz? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Julki.

- Przepraszam, tak jakoś... Zamyśliłem się.

Usiadła. Zamówiła piwo. Odsunęła do tyłu krzesło i zaczęła mi się przyglądać.

- Mimo łajdactw wyglądasz całkiem dobrze. Hulaszczy tryb życia widocznie ci służy...

Spotkaliście się, żeby sobie podokuczać? Starałem się, żeby to zabrzmiało obojętnie. -

Masz ochotę na kłótnie?

To przerobiliśmy już przy naszym ostatnim spotkaniu... Było świetnie. Do dzisiaj pamiętam... Swoją drogą, co słyhać u Beaty?

- Wyszła za męż. Ma córeczkę. Może bez powalających uniesień, ale i bez tragicznych upadków. Takie monotonne, bezpieczne życie... W sumie, na zdrowie jej to wyszło.

- Dziękuję... - rzuciłem z sarkazmem.

- Sam pytałeś - powiedziała obojętnie.

- A więc jednak chcesz mi przyłożyć? To takie psychologiczne podejście do tematu...

- Nie, skądże - przerwała mi gwałtownie. - Nie mam najmniejszej ochoty kontynuować przerwanej przed laty rozmowy. Próbuję przekonać samą siebie, że jednak warto ci pomóc.

- Ciekawy sposób. Naprawdę. Jestem nim wprost zauroczony...

Zapaliła papierosa. Wypuściła ustami prosto na mnie kłęby dymu. „Coś jednak się zmieniło - pomyślałem. - Ten anioł, który przypadkiem zszedł na ziemię, zaczął palić”.

- Nie zadzwoniła?

Spojrzała przelotnie na leżącą tuż przy szklance komórkę.

- Nie.

- Ciągle czekasz?

- Czekam, ale myślę, że nic zadzwoni. To nie ten

typ...

Zamyśliła się. Paliła dalej tego swojego papierosa. Odruchowo wytarła ręką kropelki rosy ściekające strużkami po ściankach szklanki z zimnym piwem.

- Kiedy masz w tych grupach zajęcia? - spytała nagle. - Jutro w dwóch. W czwartek w pozostałych.

- To dobrze, bo ja w piątek wyjeżdżam.

Zamilkła, a ja pomyślałem sobie, że tak naprawdę to jest mi zupełnie obojętne, kiedy ona wyjeżdża.

- To o której masz te pierwsze zajęcia?

- O dziewiątej.

- Przyjdę... - chyba się przesłyszałem. Po co ona chce przyjść na te zajęcia?

- Widzisz, można spróbować ją namierzyć po mowie ciała - kontynuowała Julka.

Musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, bo spojrzała na mnie uważniej.

- Nie rozumiesz?

-Jakoś niespecjalnie.

- Kiedy byłam w Chile, trochę się nudziłam. Zapisalam się tam na kurs interpretacji mowy ciała. Prowadziła go młoda Amerykanka na podstawie jakichś prac Allana i Barbary Pease'ów. Brała za to niebotyczną kasę, ale mnie jakoś na te zajęcia przyjęła bez pieniędzy.

Sama nic wiem, czemu to zawdzięczać. Może wolontariatowi w tym ich domu dziecka... Kurs był poświęcony sześćdziesięciu procentom naszej komunikacji, tej niewerbalnej. Na początku podchodziłam do tego z ogromnym dystansem i dużą dozą nieufności. Z dnia na dzień zajęcia podobały mi się coraz bardziej, aż na końcu zawładnęły mną bez reszty. To przecież fascynujące potrafić rozróżnić na podstawie paru niekontrolowanych sygnałów kłamstwo od prawdy, rzeczywistą życzliwość od słownej gry pozorów, prawdziwe uczucia od tych odgrywanych... To fascynujące móc przewidzieć reakcję swojego rozmówcy, zanim on jeszcze

otworzy usta, żeby zacząć kłamać. Wiedzieć, dla kogo jestem atrakcyjna, a kto tylko udaje...

- Przerażasz mnie... - powiedziałem niepewnie.

- Wiesz, w stosunku do ciebie to byłoby nawet bardzo ciekawe. Szkoda, że wcześniej się na tym nie znałam...

- Daruj sobie. - Poczułem się nagle dziwnie rozdrażniony.

- W porządku - powiedziała uspokajająco. - No, przynajmniej na razie...

- A więc chodziłaś na zajęcia z mowy ciała - spróbowałem ukierunkować naszą rozmowę.

- Jak to się ma do moich jutrzejszych zajęć ze studentami? Jakoś nie rozumiem.

Czego nie rozumiesz? To logiczne i proste. Spojrzała na mnie zaskoczona. - Kiedy poznałam mowę ciała, wydała mi się naturalniejsza od słów.

Słowa stworzono do ukrywania myśli. Słowa mogą oszukiwać, ukrywać prawdę, mamić i zwodzić. Ktoś z tobą rozmawia, a ty próbujesz wyłuskać z dziesiątków wypowiedzianych słów ich sens. Komunikację niewerbalną trudno jest zaburzyć. To wyjątkowo złożony proces. Ludzie porozumiewają się głównie za pomocą gestów, pozycji ciała, zachowania pewnych odległości... - wymieniała jednym tchem. - Mało jest gestów, których używa się pojedynczo. Zazwyczaj są one połączone z innymi, tworząc swoisty przekaz. Kanały słowne mają zastosowanie przy przekazywaniu informacji. Kanały niewerbalne służą głównie ustalaniu stosunków międzyludzkich, czasami tylko są substytutem werbalnego przekazywania informacji.

Amerykański psycholog Albert Mehrabian odkrył, że siedem procent znaczenia wiadomości zawartych jest w słowach, trzydzieści osiem procent w brzmieniu głosu, a pięćdziesiąt pięć procent w środkach niewerbalnych. Oczywiście mówimy tu o przekazie ustnym. - Z minuty na minutę nakręcała się coraz bardziej. - Do mowy niewerbalnej należy uśmiech, sposób podania dłoni, sygnały wysyłane przez nasze ramiona, spojrzenia, ustawienie nóg, sposób palenia papierosów, spoglądania przez okular<sup>7d</sup>, a nawet malowanie się. Proste rzeczy, które widzimy u każdego, mogą stać się przyczynkiem do odszyfrowania czyichś zamiarów i emocji. To szeroka gama możliwości, z których na co dzień nie zdajemy sobie sprawy...

- Julka, wybaczone, ale to jakieś kompletne bzdury...

- Żadne bzdury - zaprzeczyła gwałtownie. - Poprowadzisz jutro zajęcia na temat wartości ludzkiego życia, a ja się tym dziewczynom poprzyglądam.

- Na temat wartości ludzkiego życia? To już chyba lekka przesada.

- Trzeba ją przecież jakoś sprowokować. Nie mówiłam, że będzie łatwo...

- To nie może się udać. Szyte zbyt grubymi nićmi. Sam temat podzieliła na tę dziewczynę jak czerwone światło na skrzyżowaniu. Obuduje się, zacznie grać i nigdy się nie zdradzi.

- Zdradzi się. Zobaczysz, że się zdradzi. - Nic nie zaburzało jej optymizmu. - Problem kłamstwa czy niemówienia prawdy polega na tym, że podświadomość działa automatycznie, niezależnie od wypowiedzianych słów, a więc kiedy kłamiemy, język ciała i tak może nas zdradzić. W momencie, gdy zaczynamy kłamać, nasze ciało wysyła sprzeczne impulsy, co pozwala obserwatorowi odczuć, że rozmówca mija się z prawdą. Podświadomość wysyła impuls emocjonalny ujawniający się jako gest, który może przeczyć temu, co dana osoba powiedziała. Istnieje lista ośmiu najczęstszych sygnałów kłamstwa. Są to między innymi: zasłanianie ust ręką, pocieranie nosa, drapanie się po szyi, rozluźnianie kołnierzyka, przykładanie dłoni do ucha, dotykanie palcem ust, pocieranie oczu... To tylko podstawy, taka

propedeutyka tematu. Poświęciłam temu sześć miesięcy mojego życia...

- To jakiś absurd... Nie żal ci tych sześciu miesięcy? Może lepiej było popływać i się poopalać... Nauka pływania na desce windsurfingowej byłaby chyba ciekawsza. To jakaś ścierna, totalne bzdury...

- Nie do końca. Na zajęciach uczysz o relacjach lekarz-pacjent. Mówisz o sposobach ustawiania krzeseł w gabinecie w celu poprawienia komunikacji między nimi. To też są elementy teorii komunikacji niewerbalnej. Skorzystaj jutro z zasady okrągłego stołu! Posadź ich w kręgu. Nie siadaj z nimi. Nie zaburzaj równowagi. Łatwiej mi będzie ich obserwować, kiedy będą się czuli równi.

Dopiła piwo. Zgasiła kolejnego już papierosa. Wyciągnęła rękę na pożegnanie. Chyba chwilowo zapanował między nami rozejm, przynajmniej w związku z tą sprawą.

- Dziwnych rzeczy uczyłaś się w tym Chile - rzuciłem.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

Po wyjściu z pubu nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o ciepłym prysznicu. Rozgrzać się, zmyć z włosów smród papierosowego dymu, odtajać, ochłonać, zapomnieć... Wydawać by się mogło, że jeden dzień nie może pomieścić tylu jałowych ruchów, nic niewnoszących działań. Para w gwizdek! Nic, nawet najmniejszego efektu. Na koniec Julka z tą dziwną propozycją. Swoją drogą, coś jednak się zmieniło w tej Julii. Wiwat wyjazdy wolontariuszy do Chile! Wcześniej, po tamtej naszej rozmowie, nawet by na mnie nie spojrzała, a teraz, proszę! Siedzieliśmy, piliśmy piwo, obmyślaliśmy wspólne strategie. Topór wojenny został, przynajmniej na chwilę, zakopany. „Ale to się nie może udać, to jakieś brednie, jeszcze głupsze od tego wszystkiego, co ja dzisiaj robiłem” - przemknęło mi przez myśl. Nie ma szans! Jutro wieczorem poczuję się tylko jeszcze bardziej sfrustrowany i przegrany. Swoisty masochizm, zgadzać się na tak idiotyczne pomysły.

To nie w moim stylu. Studenci zwątpią od razu. To z miejsca wzbudzi ich czujność. Moje zajęcia są zwykle standardowe, zgodne z programem, przez co nudne i niewiele wnoszące. Ale co mogą wnieść zajęcia z filozofii połączone z szeroko pojętą etyką zawodową? Bardziej od nabożnych życzeń i

światlistych przykładów przemawiają do wyobraźni prawne paragrafy, a te można przybliżyć studentom w niespełna pół godziny. Po co męczyć się z nimi dwa razy w każdym tygodniu przez dwa długie lata. Widmo utraty prawa wykonywania zawodu przeraża bardziej niż męki moralnych dylematów. Te zajęcia nigdy mnie nie kręciły. To był jeden z paru sposobów zdobywania pieniędzy na chleb, zachcianki kolejnych dziewczyn, benzynę, mieszkanie, nowy samochód, wypadki na narty, wakacje... Tak samo wyczerpujący i nudny jak wszystkie inne zajęcia służące temu celowi. Nie dałem się nigdy w to wciągnąć. Nie byłem taki jak Rafał czy Marco.

Swoją drogą, wstrętna mała, mogłaby przynajmniej zadzwonić. Jej pewnie już dawno przeszło, a ja, jak ten kretyn, zaczynam robić rzeczy, o które nigdy wcześniej sam siebie bym nawet nie podejrzewał. Po powrocie do domu przesłuchałem jeszcze raz tamtą taśmę. To był zły pomysł, nasilił tylko wzbierający we mnie z godziny na godzinę niepokój, ten dziwny ucisk gdzieś w środku. Woda szumiała, a ja już kolejny raz wylewałem sobie na głowę resztki szamponu. Byłem niedawno z Natalią na filmie Woody'ego Allena. Nie cierpię jego filmów, zrobiłem to tylko dla Natalii. Właściciel zakładu pogrzebowego genialnie śpiewał pod

prysznicem. Śpiewać - nie śpiewałem, ale lubię pod strumieniami ciepłej wody trochę pomyśleć. Wtem wydało mi się, że przez szum wody dotarł do mnie dzwonek telefonu.

„Bzdura - pomyślałem - przecież jest już grubo po jedenastej”. Nagle wyskoczyłem spod prysznicza jak oparzony, przecież mówiłem jej, że będę spać z komórką przy łóżku.

Poślizgnąłem się na płytkach w przedpokoju, w ostatniej chwili oparłem się ręką o ścianę, uderzyłem ramieniem o framugę drzwi prowadzących do kuchni, mokre ślady znaczyły podłogę w jadalni, duża ciemnozielona plama pojawiła się na fotelu. Szlag by to trafił! Nic dobiegłem. Rzuciłem „halo” do milczącego już telefonu. Trzy nieodebrane połączenia z numerem zastrzeżonym w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Czyżbym się mył pół godziny?

Wytarłem się pospiesznie, osuszyłem ręcznikiem włosy, narzuciłem szlafrok. „Zadzwoń jeszcze raz! Zadzwoń, do jasnej cholery - powtarzałem w myślach bez końca. - Przecież ja cały dzień czekam na ten twój zaszranony telefon!”. Telefon milczał jak zaklęty. Siedziałem, czekałem, a czas płynął gdzieś obok mnie nieubłaganie. Dobiegała druga w nocy, kiedy zrezygnowany wybrałem numer komórki Julii. Trochę trwało, zanim odebrała.

- Człowieku, budzisz mnie już drugą noc z rzędu. Czy ty przypadkiem nie przesadzasz? - rzuciła

z wyrzutem.

- Zadzwoń trzy razy - wykrztusiłem bez żadnego wstępu.

- I co?

- Nic. Kompletna kłapa.

- Milczała?

- Nie - mruknąłem niepewnie. - Nie zdążyłem odebrać telefonu...

- Trzy raz pod rząd nie zdążyłeś odebrać telefonu? Coś ty robił, do diabła? - zamilkła nagle, jakby lekko zmieszana. - Przepraszam... - mruknęła pod nosem. - Pewnie nie powinnam pytać.

- Możesz pytać - burknąłem. - Brałem prysznic.

\* \* \*

Nie ustaliliśmy dokładnie godziny naszego spotkania, ale i tak oboje przyszliśmy na długo przed rozpoczęciem zajęć. Julia wyglądała dzisiaj jakoś inaczej. Coś się jednak stało w tym Chile, w dopasowanych dzinsach i opiętym czarnym sweterku, z fantazyjnie zarzuconą na ramiona koronkową chustą, jakby przewrotnie drwiącą z panującej na zewnątrz jesieni, w butach na wysokich cienkich obcasach, podkreślających i tak niebotycznie długie nogi wyglądała zaskakująco atrakcyjnie. Nawet włosy miała rozpuszczone, spięte asymetrycznie, opadające z jednej strony na ramiona. Szkła kontaktowe zastąpiły te używane na co dzień okulary w niebotycznie ciężkich oprawkach, a dałbym sobie uciąć głowę, że z natury i tak już duże oczy podkreśliła cienką czarną kreską. Usta też zdawały się dzisiaj pełniejsze, wyrazistsze, bardziej czerwonomalinowe. Ładna jest ta córka Melanii, jakoś nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

- Co się tak na mnie gapisz? - warknęła wrogo. - Jeśli coś nie tak, to jeszcze zdążę skoczyć się przebrać do domu.

- Nie, wszystko w porządku - próbowałem tonem głosu ukryć zaskoczenie. - W każdym razie na pewno zainteresujesz komunikacją niewerbalną męską część audytorium - starałem się mówić obojętnym głosem. - Może nawet założą studenckie koło miłośników komunikacji niewerbalnej... Takie nowe rozszerzenie działalności zakładu etyki zawodowej. Akcje

Melanii, jako twojej mamy, w zakładzie wzrosną, a profesor na pewno będzie zachwycony.

- Nie nabijaj się! - Spojrzała na mnie odrobinę mniej wrogo.

- Nie nabijam się. Dla mnie bomba!

Spojrzała uważniej w moją stronę. Omiotła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Ty za to dzisiaj jakoś kiepsko wyglądasz,.. - powiedziała z lekkim ociąganiem.

- Coś nie mogłem zasnąć... Mam wrażenie, że usnąłem na pięć minut przed jazgotem budzika.

- Czyżbyś ostatnio nie miał nikogo, kto by o ciebie dbał? - Popatrzyła na mnie z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Dlaczego pytasz? - Poczulem się nagle nieswojo.

- Nic ogoliłeś się, włożyłeś wymiętą koszulę...

- Zawsze sam dbam o siebie - przerwałem jej.

- Co ty nie powiesz... - Uśmiechnęła się rozbawiona. - Mam na ten temat trochę inne zdanie,..

Zamyśliła się. Jeszcze raz rzuciła okiem w moją stronę, może chciała coś dodać, ale ja już zająłem się ustawianiem krzesel w krąg.

- Zrobimy to inaczej. Po mojemu - rzuciła niespodziewanie. - Powiem, że jestem trenerką komunikacji niewerbalnej. To prawie prawda. Opowiem trochę o sobie, trochę o Chile. Przeprowadzę z nimi regularne zajęcia. Popracujemy nad podawaniem dłoni - mówiła jak nakręcona. - To powinno ich rozluźnić, rozbawić, zmniejszyć czujność... Poćwiczmy odczytywanie najprostszych sygnałów, popracujemy nad pozycją ciała w trakcie dyskusji i na koniec - jako ćwiczenie - porozmawiamy o wartości ludzkiego życia, próbując wyłapać różne wysyłane przez nich sygnały - mówiła pewnym, spokojnym, niedopuszczającym sprzeciwu głosem. Ja nie spałem tej nocy, ale ona chyba też nie. Miała to wszystko dobrze przemyślane.

- Siądziesz razem z nimi w kole. Wystąpisz dzisiaj nie jako lider, lecz jako uczestnik zajęć. Ja jako trener pozostanę w środku. Oni będą się koncentrować na mnie. Ty będziesz miał okazję do spokojnej obserwacji. Włączony w grupę wydasz się im zupełnie niegroźny...

- Nic wiem - mruknąłem niepewnie pod nosem. -Jakoś tego nie czuję... Nie wiem, czy dam radę...

- Dasz, będzie dobrze, wierzę w ciebie. Zobaczysz... Aż dziwne, że to powiedziała.

\* \* \*

Nie zmarnowała tych popołudni w Chile. Mnie samego zafascynowało to, o czym mówiła.

Najpierw przywitała się z każdym z nas, a później brnęła przez te wszystkie możliwe uściski dłoni.

-Jeżeli chcecie być wiarygodni, to pokazujcie wnętrze dłoni. Otwarte, zwrócone w kierunku rozmówcy dłonie są oznaką otwartości i szczerości. Niektórzy mówią, że również lojalności i oddania, ale nie jest to takie oczywiste.

Początkowo raz po raz zerknęła w moim kierunku, jakby potrzebowała mojej akceptacji.

Później przestała zwracać na mnie uwagę. Stałem się dla niej jednym z nich, jednym z uczestników zajęć. Rozkręcała się z minuty na minutę coraz bardziej.

- Trzymanie ręki powierzchnią dłoni do góry oznacza uległość. Ułożenie wnętrzem do dołu oznacza dominację. Przypomnijcie sobie gesty Hitlera i innych despotów tego świata.

Ręka wyprostowana, uniesiona do góry, powierzchnią dłoni zwróconą ku dołowi mówi o władzy, sile, dominacji. To wiedział już Juliusz Cezar, kiedy pozdrawiał defilujące przed nim legiony. Ten sam ruch z dłonią zwróconą ku górze wydałby się niegroźny i śmieszny, pozbawiony agresji, proszący. Przypomnijcie sobie wyciągniętą w waszym kierunku rękę żebraka...

Nikt nie rozmawiał, wszystkie oczy skupiły się na niej. A ona zmieniała się jak kameleon - raz była Juliuszem Cezarem, innym razem siedzącym przy wejściu do kościoła żebrakiem, za chwilę parlamentarzystą próbującym zdobyć wiarygodność... Nie mogłem oderwać od niej oczu. Nie znałem wcześniej takiej Julii, a może wcześniej takiej Julii nie było.

- Sposób podania dłoni z góry ustala formę relacji - napędzała się coraz bardziej, a wszyscy słuchali jej coraz uważniej. - W starożytnym Rzymie witano się, chwytając za nadgarstki. Robiono to nie z głębokiej sympatii, a w celu sprawdzenia, czy ktoś nie ma ukrytego noża. My uważamy się za bardziej cywilizowanych, a mimo to przez ten pierwszy uścisk dłoni już na wstępie określamy nasze relacje. Zaczynajmy bardzo prosto.

Wszystko, co proste, jest jasne. Istnieje wiele możliwości. Skoncentrujmy się na trzech najczęściej spotykanych podczas pierwszego powitania. Pierwsza z nich: chcę uznać jego dominację, druga: chcę go zdominować, i trzecia: chcę utrzymać wrażenie równości. Pan doktor pozwoli, posłuży mi pan za model. Wyciągnęła pewnie rękę w moją stronę i na chwilę jakby w tym uścisku zamarła. Spojrzała na mnie uważniej. Coś jakby zdziwienie przemknęło po jej twarzy.

- Spotkał równy równego - powiedziała, pokazując nasze dłonie. - Dłonie biegną równoległe do siebie, uścisk jest mocny, żadna strona nie chce w tym układzie dominować.

Gdyby dłoń jednego z nas znalazła się u góry, oznaczałoby to, że chce on przejąć kontrolę w naszych relacjach. Osoba, która pozwala, by jej dłoń pozostała na dole, wyraża tym zgodę na dominację tej drugiej osoby. Jeżeli ktoś chce was zdominować, a wy się z tym nie zgadzacie, wystarczy położyć swoją drugą dłoń na jego dłoni...

Słuchali z wypiekami na twarzy, ćwiczyli, próbowali, a ona brnęła przez te wszystkie możliwe triki obrony przed dominacją innych, pokazywała możliwości przejęcia kontroli. Na końcu zaprezentowała osiem najgorszych możliwych wariantów uścisku dłoni, poczynając od dłoni podobnej do śniętej ryby, poprzez podawanie do

uścisku czubków palców, a kończąc na uścisku dłoni przypominającym pęczek marchewek...

- Słuchajcie, wy to wszystko wiecie. Każdy z nas wiele czynności wykonuje intuicyjnie.

Dzisiaj próbujemy nauczyć się to zauważać. Wielu sygnałów wysyłanych przez nasze ciało nie da się zmienić. Są one na tyle złożone, że nie mogą być do końca kontrolowane. Zmiana jednego elementu nie pociąga za sobą automatycznie zmiany innych. Powstaje swoista, od razu wyczuwalna niespójność. Dlatego trudno być idealnym kłamcą - powoli zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do zasadniczego tematu. Pomyślałem, że dziwnie to robi, przestałem ją rozumieć. - To wszystko bardzo pomaga znaleźć się w określonej sytuacji, odczytywać sygnały wysyłane przez innych... - zrobiła nagły unik. - Opacznie wysyłane sygnały mogą drażnić innych. Znam pewną panią profesor, która nie cierpi przedstawicieli firm farmaceutycznych, a wszystko przez sposób podawania przez nie dłoni. Myślę, że ktoś nie najlepiej im tę mowę ciała wytłumaczył, a może poświęcił temu zagadnieniu za mało czasu.



„Podają mi rękę delikatnie, próbując przykryć mą dłoń swoją dłonią” - opowiadała ta pani profesor.

- Jak mam to rozumieć? Chcą, żebym je całowała po rękach, czy uważają, że powinnam uznać dominację domokrażców nad światem nauki?”

Ćwiczyli, próbowali, bawili się przy tym świetnie. Czas pędził jak oszalały.

- Słuchajcie! - Głos Julki wzbił się ponad ogólny gwar. - Usiądźcie w kręgu. Zobaczymy, ile będzie można zrobić intuicyjnie. Potraktujmy to jako wstęp do naszych późniejszych spotkań.

Nie musiała tego drugi raz powtarzać. Usiedli pospiesznie. Patrzyli na nią z zainteresowaniem. Umilkły rozmowy. Czekali.

- Spróbujemy wykorzystać obserwację mowy ciała do ocenienia wiarygodności odpowiedzi w przypadku rozmów na drażliwe tematy. Każdy spróbuje sprawdzić swoją intuicję i spostrzegawczość. Weźcie kartki papieru. Każdy z was będzie miał przypisany numer. Każdy ocenia każdego. Spróbujcie stwierdzić, czy rozmówca mówił prawdę. Znak plus - prawda, zero - nie wiem, minus - obserwowane sygnały sugerują kłamstwo. Ja też się z wami zabawię. Zbierzemy później te kartki i następnym razem spróbujemy porównać wyniki.

To może być bardzo ciekawe. Nic podpisujemy kartek. Przy swojej wypowiedzi stawiamy kreskę. Wszystko jasne? Gotowi?

Siedzieli z kartkami w rękach i wypiekami na twarzach.

- A czego mają dotyczyć te wypowiedzi?’ - spytała dziewczyna siedząca obok Julii.

- To zależy od was, od tego, co zaproponujecie.

- Czy mieliście dzisiaj w nocy udany seks? - palnął bez większego zastanowienia jakiś siedzący na lewo ode mnie wysoki blondyn.

W grupie zawrzało. Spojrzałem na Julię, pewny, że zapłonie rumieńcem. Nic z tych rzeczy. Przyglądała się chłopakowi z wyraźnym rozbawieniem na twarzy, mierzyła go od stóp do głów, kokietowała wzrokiem.

- Sądząc po reakcji kolegów, nie są gotowi do rozmów w szerokim gronie na takie intymne tematy, a szkoda, bo to mogłoby być nawet bardzo ciekawe.

- W porządku. Nic chciecie, to nie... - wycofał się chłopak w popłochu.

- Wiecie, ja mam pomysł - rzuciła obojętnym głosem Julka. - Pobawmy się w odpowiedź na pytanie, czy mieliście kiedyś choć przez chwilę w życiu myśli samobójcze.

Zawrzało. Podyskutowali. Zgodzili się. Zaakceptowali. Pierwszy odezwał się chłopak siedzący po mojej prawej stronie.

- Nie, nigdy - mówił zdecydowanym, pewnym głosem. Siedział rozluźniony, z nogami niechlujnie wyciągniętymi przed siebie. Otwarte dłonie trzymał luźno na kolanach. Patrzył prosto na Julię. - Wydaje mi się, że myśli samobójcze są czymś nienaturalnym, sprzecznym z ludzką naturą.

Nabazgrałem na swojej kartce plus przy cyfrze jeden. Ja mu uwierzyłem.

- Raz przemknęło mi coś takiego przez głowę.

Może niezupełnie myśli samobójcze, ale jakaś refleksja o bezsensie ludzkiego istnienia - powiedziałem, nie unikając wzroku Julii.

Pomyślałem, że jeżeli ta mała jest tutaj, to może jej tym pomogę. - Było to całkiem niedawno.

Wątpić w sens istnienia jest chyba rzeczą ludzką...

Czułem na sobie wzrok studentów. Przyglądali mi się z zainteresowaniem. Ciekawe, czy skojarzyli to, co powiedziałem, ze śmiercią Marco.

Już dawno powinniśmy byli skończyć te zajęcia. Czas pędził nieubłaganie. Nikt nic patrzył na zegarek. Nikt nic szykował się do wyjścia. Mówili, słuchali, patrzyli, oceniali.

- Nie, nigdy - powiedziała ostatnia dziewczyna.

- Życie jest zbyt piękne.

Julia zebrała kartki. Do innych dodała też swoją. Obiecała omówić wyniki przy najbliższej okazji.

- Słuchajcie, byliście wspaniali. Aż szkoda, że to nie ja na co dzień uczę was etyki.

Gdybyście mieli możliwość, to zajrzyjcie do pewnej fascynującej książki. Może to poprawi wam trochę relacje damsko-męskie. Mówię o książce Allana i Barbary Pease'ów Dlaczego mężczyźni nie słuchają, a kobiety nie umieją czytać map. Fascynująca lektura. W każdym razie wiele spraw tłumaczy...

Zaczęli powoli podnosić się z krzeseł. Nagle oprzytomniałem.

- Słuchajcie, nie sprawdziłem obecności. Podpiszcie mi jeszcze listę, bo profesor mi nie uwierzy w dzisiejszą frekwencję. Najlepiej puśćcie ją wkoło, będzie prędzej... Nie zapomnijcie posprzątać krzeseł. Widzimy się w przyszłym tygodniu...

- I co? - spytałem, kiedy zostaliśmy sami.

- Dużo ciekawych obserwacji... - Omiotła mnie przelotnie spojrzeniem. Przygryzła dolną wargę i przymrużyła oczy z rozbawienia. - Bardzo się zmieniłeś. Niesamowita metamorfoza... - mówiła powoli, dosadnie artykułując każde słowo. - Dostałeś od którejś kosza? - zabrzmiało tryumfalnie. - Ktoś rozgryzł cię już na wstępie? Któraś odeszła, zanim zdążyłeś ją porzucić?

- Odczep się! - Poczuję się nagle rozdrażniony. - Przyszłaś tu dzisiaj, żeby mnie obserwować...? Mnie sobie podaruj! Tu nie chodzi o mnie, tylko o tamtą dziewczynę., - Jej na pewno nic było dzisiaj w tej sali.

\* \* \*

Cztery grupy, kilkanaście godzin pracy i zupełnie nic. Już po pierwszym dniu zacząłem wątpić w sens tego przedsięwzięcia. W czwartek byłem już całkiem zdruzgotany. Julka twierdziła, że to nie mogła być żadna z dziewcząt obecnych w sali, ale przecież nie było żadnej innej możliwości. Gdyby nie taśma z nagraniem tamtej rozmowy, to zapewne pomyślałbym, że zwariowałem i że to wszystko jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

Sprawdziłem dokładnie wszystkie listy obecności. Liczba podpisów zgadzała się idealnie z liczbą oddanych kartek. Jakiś obłąd. Brakowało tylko pięciu dziewcząt. Dwie z nich brały udział w zawodach pływackich, zdobywały dla uczelni medale i na pewno nie robiły tego z myślami samobójczymi towarzyszącymi depresji. Wieść niosła, że wracały do domu w glorii zwycięstwa i chwały. Dawno nasi studenci nie odnosili takich sukcesów sportowych. W drugiej grupie brakowało jednej dziewczyny, która reprezentowała uczelnię w międzyuczelnianym konkursie internistycznym, odbywającym się bodajże w Łodzi. Trudno raczej uwierzyć, że pojechała tam ze złamanym sercem i z głową pełną durnych myśli. W grupie czwartkowej brakowało tylko Marzeny, która przed tygodniem została szczęśliwą mamą córeczki, a której mąż też jest moim studentem, i Weroniki, która z początkiem tygodnia pojechała na międzyuczelnianą wymianę. Tamte dwie dziewczyny z trzeciego roku były na

zajęciach w poniedziałkowe przedpołudnie. Ten fakt wykluczał je jednoznacznie z naszych rozważań. Zresztą z nimi mam zajęcia dopiero od paru tygodni. Nie poznałyby mnie jeszcze po głosie. „Kłapa, totalna kłapa” - pomyślałem. Nie chciało mi się nawet wracać do domu.

Dzisiaj rano zadzwonił Rafał. Poinformował mnie, że na razie zostaje w Wenecji. Mówił szybko, bo ponoć kończyły mu się pieniądze na karcie. Nie dał mi szansy na żadne pytania.

Nie powiedział nic o Ani, a przecież musiał ją spotkać. Chce zostać, to niech zostaje, ale niech mi nie zawraca więcej głowy zastępstwami. Nie wezmę już za niego żadnego dyżuru, szczególnie tego w studenckim telefonie zaufania. Wstąpiłem do knajpy, ale dziś coś mi tutaj przeszkadzało. Zbyt duszno, za ciasno, za tłoczno, za głośno, aż popielato od papierosowego dymu. Zdecydowanie za dużo ludzi ukryło się tu przed listopadową mgłą, chłodem i wszędobylską wilgocią. Drażniło mnie wszystko - szum rozmów, zbyt głośna muzyka, nawet znajomy barman, który jak na złość uparł się dzisiaj na mnie i ciągle powtarzał, że kiepsko wyglądam. Zamówione piwo wypilem jednym haustem. Kiedy próbowałem wydobyć swoją kurtkę spod dziesiątek innych okryć wiszących na wieszaku, w jej kieszeni rozdzwonił się telefon. Zanim zdążyłem go wyjąć, ktoś zdołał się już rozłączyć. Szlag by to trafił! Numer, jak wtedy w nocy, był zastrzeżony. Może jeszcze raz zadzwoni? Poprzednio dzwoniła trzy razy. Udało mi się precyzyjnie przycisnąć pomiędzy gęściej niż zwykle poustawianymi stolikami, ominąć tłoczących się przy drzwiach, czekających na zwolnienie stolików nowych gości i wyjść z knajpy. Ruszyłem brzegiem stawu. Też pomyślałem, żeby postawić restaurację w środku parku.

Wkoło panowała nieprzyjemna ciemność, drzewa straszły nieostrymi konturami gołych gałęzi, szpalery ogołoconych z liści krzewów tworzyły czarne ściany. Pomyślałem, że coś szybko zima nadchodzi w tym roku. Tafla stawu pokryła się cienką warstwą lodu, mleczone kule świateł latarni próbowały się przebić przez panoszącą się wokół, kapiącą wilgocią ciemność, a mgła osadzała na wszystkim srebrzystą szadz. Zakląłem siarczyście, kiedy poślizgnąłem się na zamrożonej kałuży. „Ślisko jak diabli - pomyślałem. - Dobrze, że nie ruszałem samochodu spod domu”. O Boże, jak to ona powiedziała? „Pojadę śladami naszych wakacji, wyślę mu jeszcze pozdrowienia z Saksonii, a później na jakimś górskim oblodzonym zakręcie nie zdążę skręcić...”. W taką pogodę nikt nawet nie zauważy, co tak naprawdę się stało. Każdy pomyśli, że to był wypadek. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Zadzwon, zadzwon do jasnej cholery! Zadzwon, daj mi przynajmniej szansę, żebym mógł ci pomóc!

Telefon milczał jak zaklęty, a ja przemarzałem na wskroś, spacerując jak idiota naokoło tej zamrożonej sadzawki. Wracając do domu, kupiłem flaszkę w nocnym sklepie na rogu.

Nigdy nie piłem do lustra. Pokonał mnie ten dyżur w studenckim telefonie zaufania. A może w sumie pokonało mnie to wszystko - najpierw śmierć Marco, potem obłąd Rafała, później ta studentka ze swoimi opiniami na mój temat, a na koniec ten cholerny dyżur w telefonie zaufania.

Położyłem komórkę tuż przy butelce. Wpatrywałem się w nią jak oszalały. Wznosiłem kolejne toasty do milczącego aparatu. Jeden kieliszek, później drugi i trzeci... Nigdy nie myślałem, że bezsilność może mnie pokonać. Już na dobre ślaniałem się na nogach, kiedy rozdzwonił się telefon. Tym razem była to Julia.

- Czego chcesz ode mnie, do diabła? - z trudem artykułowałem słowa.

- Obudziłam cię?

Śpię... Właśnie że śpię, i to w najlepsze... Śpię i mam gdzieś to wszystko... - Skupiłem się

na tym, żeby język mi się nie plątał. - Niech ta gówniara robi co chce. Wisi mi to i powiewa. - Coraz bardziej kręciło mi się w głowie. Niedobrze mi było od tej wody. Już od dawna nie pijam czystej wódki. Nie to zdrowie, co za studenckich czasów, nie ta głowa. - Rozumiesz, co do ciebie mówię? Mam to w dupie! - cedziłem coraz wolniej każde słowo, bo mój język coraz bardziej się buntował. Miałem wrażenie, jakbym miał w ustach kołek. - W końcu każdy ma swoje życie. W dupie ją mam, bo ona ma mnie w tym samym miejscu. Nie cierpię tej gówniary, chociaż nawet jej nie znam. Zrozumiałaś? Czemu milczysz, do jasnej cholery?

Jesteś tam jeszcze? Czemu nie odpowiadasz? Nic mnie to więcej nie obchodzi! Niech spada!

Niech spadają wszyscy!

- Boże, Konrad, ty jesteś kompletnie pijany. - Głos Julki przebijał się z trudem do mojej świadomości. - Chciałam ci coś powiedzieć... Nieważne. Jutro ci powiem. Nie pij już więcej!

Położ się! Spróbuj zasnąć! Zdaje się, że jutro normalnie pracujesz. Jest już trzecia. Nie zdążysz wytrzeźwieć do świtu... Przyjadę po ciebie samochodem rano o wpół do ósmej...

- Mam to wszystko gdzieś... - przerwałem jej gwałtownie. Dlaczego ona tak dużo gada, pomyślałem. - Mam gdzieś tę durną pracę, telefon zaufania, Rafała i tę gówniarę. Nic już mnie to nie obchodzi.

- Wiem, rozumiem - mówiła spokojnie chyba

tylko po to, żeby mnie jeszcze bardziej zdenerwować. Mówiła tonem, jakim się przemawia do

rozhisteryzowanego dziecka. Dopiero zacząłem się rozkręcać, a ona już chciała skończyć tę rozmowę. - Położ się spać! Spróbuj zasnąć! Jest już późno...

\* \* \*

Budzik dzwonił jak oszalały, a mnie się wydawało, że umrę. Całą moją świadomość wypełniał jeden paskudny, tępy ból głowy. Szlag by to trafił! Dawno nie miałem takiego kaca. Spróbowałem usiąść. Świat zawirował dookoła. Chyba jeszcze nie całkiem wytrzeźwiałem. Wyciągnąłem rękę w kierunku szklanki z wodą. Nic mogłem zapanować nad drżeniem dłoni. „Już dawno tak nic zaszalałem - przeszło mi przez myśl -chyba ostatni raz byłem tak pijany po otrzymaniu dyplomu”. Odchorowałem to wtedy strasznie, nauczyłem się pić rozsądnie. Wczoraj tamto doświadczenie sprzed lat zupełnie wyleciało mi z głowy.

Spróbowałem wstać, świat jeszcze szybciej zaczął się kręcić. Nic dam rady. „Nie nadaję się dzisiaj do żadnej pracy - pomyślałem - nie dam rady rozmawiać z ludźmi”. Nagle uświadomiłem sobie, że właśnie rozpoczął się piątek. Piątek, powtórzyłem w myślach, że też dzisiaj musi być piątek, w piątki pracuję najwięcej. Rano przyjmuję w przychodni. Później prowadzę zajęcia z propedeutyki interny z tą moją grupką z trzeciego roku. O szesnastej zgodziłem się wziąć zastępstwo za Melanię w zakładzie etyki, bo mówiła wczoraj, że chce odwiedzić Julię na dworzec. Julia... Nagle zaczęło mnie nękać jakieś mgliste wspomnienie.

Śniło mi się, czy rzeczywiście dzwoniła? Czego mogła ode mnie chcieć w środku nocy ta poukładana i grzeczna córeczka Melanii? Doczłapałem jakoś do łazienki. Wszedłem pod prysznic. Spuściłem sobie na głowę hektolitry chłodnej wody. Na chwilę pomogło - chwyciłem pion, świat przestał wirować, a tępe łomotanie we łbie na moment zelżało. Poruszyłem się niezdarnie. Potrąciłem półkę pod lustrem. Plastikowy kubek upadł na podłogę. Potoczył się złośliwie po kamiennej posadzce. Pozornie ciche dźwięki wyzwoliły huk w mojej

głowie.

Niech to diabli! Chciałem go podnieść, schyliłem się, straciłem równowagę i niespodziewanie dla samego siebie usiadłem na podłodze. Wtedy stało się dla mnie jasne, że nie dam rady pójść dzisiaj do pracy. Kiedy próbowałem dotrzeć do kuchni, ciszę rozdarł dzwonek domofonu. A to co znowu, do jasnej cholery?

- Słucham - warknąłem do słuchawki.
- Schodzisz? - Głos Julki brzmiał przyjaźnie. - Czekam na ciebie na parkingu.
- Wejdź na górę - burknąłem niechętnie.

Nie czekając na odpowiedź, nacisnąłem przycisk domofonu. Jeszcze tylko jej przy tym bólu głowy mi tu brakowało.

Niezdecydowanie stanęła w progu, jakby nie była pewna, co ma zrobić.

- Wejź! - ponagliłem ją. - Mam wścibską sąsiadkę. Na pewno stoi już z okiem przy judaszu.

Znowu naopowiada wszystkim naokoło, że zamiast iść o tej porze do pracy, to ja w szlafroku od rana przyjmuję panienki.

Nie zrobiła nawet pół kroku. Przystąpiła z nogi na nogę i spojrzała na mnie niepewnie.

- Wchodź! - spróbowałem inaczej. - Przed chwilą wyszedłem spod prysznica. Mam otwarte okno w kuchni. Stoję w przeciagu. Chcesz mnie mieć na sumieniu?

Tym razem poskutkowało. Weszła, dała się nawet zaprosić do salonu. Rozglądała się niepewnie po moim mieszkaniu. „Nigdy tutaj nie była” - pomyślałem. U mnie rzadko ktoś bywa. Bardzo lubię swoje mieszkanie - duże, jasne, przestronne, niezagracone, z niewielką liczbą dobrze dobranych, praktycznych mebli.. Na ścianach weneckie klimaty. Kiedyś Marco przywiózł mi te obrazy od swojego kumpla z Wenecji. Fantastycznie maluje ten Paolo. Wszystko wydaje się nic-przesłodzone, przewrotne i niedopowiedziane, jakby malarz drwił z samego siebie i z tego, co kocha... Bawi się kolorami, światłem i cieniem, wykorzystuje lazur nieba i promienie słoneczne odbijające się od lśniących wód laguny...

Każdy z tych obrazów opowiada jakąś historię. Według mnie te obrazy są wyjątkowe. Na tym w salonie widać jeden z bocznych kanałów z pałacem o okiennicach zamkniętych na głucho, z pojedynczą, prawie uschniętą pelargonią, która zwisa smętnie z

parapetu jednego z okien, i gondolą przycumowaną tuż przy schodach prowadzących do pozornie opuszczonego pałacu. Barwy wydają się przyćmione blaskiem promieni zachodzącego słońca, tańczących na ciemniejących powoli wodach laguny. Wszystko jest tajemnicze i niedopowiedziane - ta sucha pelargonia, zamknięte okiennice, gondola przycumowana wbrew logice przy wrotach na głucho zamkniętego pałacu... Na przeciwległej ścianie wisi

r

obraz z widokiem placu Świętego Marka zalanego wodami laguny z dziewczyną brodzącą w wodzie. Jej spódnica jest zadarta do góry, a długie nogi giną w cholewkach wysokich kaloszy. Najbardziej lubię inny obraz - ten z kurtyzaną o twarzy anioła, stojącą pod arkadami Pałacu Dożów. Ale ten obraz wisi w mojej sypialni. Widziałem, jak Julia omiata wzrokiem pokój. Na obrazach zatrzymała wzrok na dłużej.

- Ładnie tu u ciebie. Nie przypuszczałam...
- Spodziewałaś się czegoś innego?

- Może trochę... - powiedziała niepewnie. - W każdym razie nie obrazów z widokami Wenecji...

- Pewnie zdjęć z roznegliżowanymi panienkami? - wszedłem jej w słowo.

Nic odpowiedziała. Jeszcze intensywniej zaczęła się przyglądać obrazom Paolo.

- Niesamowite...

- Też tak myślę. Przed rokiem przywiózł mi je Marco od swojego kumpla z Wenecji...

Wiesz, Marco nie żyje. - Sam nic wiem, dlaczego to powiedziałem. Starałem się ostatnio unikać rozmów o Marco.

- Wiem, mama opowiedziała mi cały ten koszmar. Mówiła, że bardzo to przeżyłeś. Chyba najbardziej ze wszystkich. Byliście przyjaciółmi...

Nagle się zreflektowała i spojrzała na mnie uważniej.

- O której zaczynasz dzisiaj pracę?

- Teoretycznie za pięć minut.

- Coś nieciekawie wyglądasz...

- Czuję się potwornie. Mam makabrycznego kaca. Ból rozrywa mi łeb na kawałki. Ty zapewne tego nie rozumiesz... Dzwoniłem do Adama - rozgadałem się niespodziewanie.

Wszystko było lepsze od rozmów o Marco. - Ucieszył się nawet. On woli pracować przed południem. Posiedzę dzisiaj za niego od osiemnastej. Cieszył się, jakby wygrał los na loterii.

Kto kocha w piątki poradnię do dwudziestej pierwszej? Ja i tak nie mam żadnych planów na dzisiejszy wieczór. W sumie jest mi wszystko jedno. Pojadę do przychodni prosto po zajęciach ze studentami. Po południu wziąłem zastępstwo za twoją mamę...

- Coś kiepsko wyglądasz... - powtórzyła jakoś bezwiednie. - Połóż się jeszcze! Pójdę już... Nie chcę przeszkadzać.

Wstała. Zaczęła się zbierać do wyjścia, a ja nagle uświadomiłem sobie, że jak dotąd ta wizyta nie miała żadnego sensu...

- A więc dzisiaj wyjeżdżasz...

- Wyjeżdżam... W weekendy mam zajęcia na uczelni.

- Dziękuję za pomoc... - burknąłem pod nosem.

- Nie ma za co - odpowiedziała szybko. - To

było ciekawe. Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Strasznie mnie to męczy - rozgadała się nagle, jakby zapomniała, że chciała już wychodzić. - To przecież musiało się udać, a nie wyszło. Coś nie zagrało, w to musiał się wkraść jakiś błąd - mówiła spokojnie, dokładnie dobierając słowa. - W nocy przyszło mi na myśl, że może założenia były niesłuszne. Wpadła mi do głowy pewna myśl. Przepraszam, że zadzwoniłam.. Nie mogłam zasnąć. Byłam pewna, że nic śpisz... Wdarłam się przez przypadek w twoją prywatność. Nie chciałam... To, co sobie uświadomiłam w nocy, wydało mi się nagle tak przerażające i realne, że chciałam ci o tym od razu powiedzieć. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Spojrzałem na nią. Tępy ból głowy zaburzał mi coraz bardziej koncentrację, zmniejszał percepcję, utrudniał komunikację. Jej słowa z trudem przebijały się do mojej świadomości.

Nawet mój salon wydał mi się nagle jakiś nierealny i krzywy, a ściany w oliwkowym kolorze zaczęły się wokół mnie kręcić na przemian z tymi w kolorze mango.

- Coś tu wyraźnie nie gra. - Spojrzała na mnie. - Przecież nie mógł do ciebie zadzwonić ktoś, kto nie istnieje. Wydaje mi się, że są tylko dwie możliwości. Pierwsza, że dziewczyna

nie do końca mówiła prawdę. Świadomie lub nieświadomie minęła się z prawdą w paru szczegółach. Albo...

- Pewnie tak. - Poczulem dziwne rozdrażnienie.

Coraz bardziej denerwował mnie ten temat, coraz bardziej wkurzało mnie to, że nie potrafiłem się od niego zdystansować, nie umiałem się od niego uwolnić, że nagle przysłonił mi wszystko. - Głupio zrobiła - rzuciłem pewnie za głośno, bo te słowa zadudniły w mojej głowie. - Teraz to już nikt nie

może jej pomóc. Uwierzyłem w każde jej słowo, bo wszystko brzmiało tak realnie. Wydzwania do mnie, a ja jak ten dupek za każdym razem nie odbieram telefonu. Pechowy zbieg okoliczności, ale dla niej pewnie to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Wczoraj, kiedy byłem na piwie, też zadzwoniła. Zanim zdążyłem wyszarpać spod całej sterty jesiennych okryć moją kurtkę, telefon w kieszeni przestał dzwonić. Nie zdziwię się wcale, jeśli już nigdy więcej nie zadzwoni. Wszystko potoczyło się ratalnie...

- Istnieje jeszcze inna możliwość - przerwała mi. - Jeżeli to, o czym myślę, jest prawdą, to zadzwoni, jeszcze wiele razy zadzwoni...

- Nie widzę żadnej innej możliwości - mruknąłem pod nosem. W głowie mi huczało, żołądek wywracał się do góry nogami, drżały mi wszystkie mięśnie i wydawało mi się, że Julka musi widzieć zraszające moją twarz krople potu.

- A ja ci mówię, że taka możliwość istnieje - powiedziała głośno i wyraźnie.

„Dlaczego ona tak wrzeszczy?” - pomyślałem. Każda głoska nasila ten mój tępy ból głowy.

- Mów, bo i tak dzisiaj sam nic nie wymyślę. Ta woda chyba mi mózg uszkodziła.

Spojrzała w moją stronę jakby jakoś inaczej.

- Ja się nie czepiam. Nic weź mi tego za złe - mówiła niepewnie. - Nie chcę ci dokuczyć...

Patrzyłem na nią wyczekująco, a ona ni stąd, ni zowąd zaczęła poprawiać sobie szalik.

Włożyła go pod kołnierz kurtki, pozawijała przodem, wtuliła w niego twarz... Szalik stał się dla niej nagle najważniejszy na świecie. Jakby w tym pokoju temperatura raptownie spadła do minus dziesięciu stopni.

- No, wykrztuś to z siebie! - zacząłem ją ponaglać. Czulem, jak wszystko się we mnie trzęsie, bałem się, że lada moment upadnę.

- Wykrztuś to z siebie! - powtórzyłem.

- Rozstałeś się z kimś ostatnio?

W pierwszej chwili nie rozumiałem. Przestała

się już bawić tym szalem, oparła się plecami o framugę drzwi i nic odrywała ode mnie wzroku.

- Rozstałeś się z kimś ostatnio? - powtórzyła głośniejszym głosem. - Jeżeli tak, to nie przyszło ci na myśl, że ktoś może chcieć się na tobie zemścić? - dokończyła znacznie ciszej.

\* \* \*

Julka wyszła, a ja pomyślałem nagle o Natalii. Pamiętam, jak tamtego wieczoru podniosła się niechętnie z łóżka, zarzuciła na siebie tę swoją podomkę, co to więcej odkrywała, niż zakrywała, i usiadła z dużym ociąganiem naprzeciw mnie, po drugiej stronie stołu. Niedbale przewiązana w pasie tkanina rozchodziła się górą, odsłaniając niby przypadkiem piersi i szczupłe, nienaturalnie jak na tę porę roku opalone ramiona. Niby odruchowo zwilżyła językiem usta. Przygryzła lekko wargi. Wyciągnęła w moim kierunku rękę. Próbowwała

dotykami dłoni wpłynąć na moją decyzję. Bosą stopę oparła na mojej nodze, niby przypadkiem przesuwając ją delikatnie. Przechyliła głowę tym ruchem, który zawsze lubiłem, i była pewna, że jednak zostanie. Pamiętam jej oczy - źrenice na początku szerokie, otoczone wąskim rąbkiem szmaragdowej tęczówki raptem zwęziły się niebezpiecznie. Pchnęła stół w moją stronę. Chlusnęło na biały obrus niedopite czerwone wino. Nazwała mnie wszą i idiotą, a mnie raptem ulżyło. Gdzie właściwie jest teraz Natalia? Zostawiła mi wiadomość, że wyjeżdża na tournée do Francji. Trochę to było dla niej nietypowe, tak nagle z dnia na dzień wyjechać. Mam nadzieję, że nie zapomni zapłacić czynszu za wynajmowane przez siebie mieszkanie i paru jeszcze innych rachunków, opłacanych ostatnio przeze mnie. Poznaliśmy się, kiedy właśnie rozstałem się z Justyną. Tym razem nie szukałem miłości, tylko seksu.

Kolejny raz czułem się sobą rozczarowany. Nie miałem ochoty na żaden szalony związek.

Ona też tego nic oczekiwała. Zaczepiłem ją, gdy szła do garderoby po tamtym koncercie towarzyszącym kongresowi. Zaprosiłem ją na kolację, którą skończyliśmy u niej, i tak jakoś zostało. Podniecała mnie jej przewrotność. Na zewnątrz dystygowana, grzeczna, poukładana, zimna i wyrachowana, w łóżku szalona. Nie chciałem z nią być, chciałem się z nią kochać. Nawet przez chwilę nie wyobrażałem sobie, żebym miał z nią spędzić resztę życia.

Planowałem przeżyć z nią tylko kilkanaście upojnych nocy. Nie wiem, jak to się stało, że z dnia na dzień znowu coraz bardziej brnąłem w to wszystko. Chyba rzeczywiście mam masło, a nie wolę, bo przecież trudno wszystko zwać na przeżycia z dzieciństwa. Znowu stawałem się kimś innym. Z każdym dniem coraz mniej byłem sobą.

Znowu udawałem i grałem, dopasowywałem się i podporządkowywałem. Budowałem swój wizerunek na kształt jej życzeń i marzeń, choć tym razem od początku wiedziałem, że to nie rokuje niczego na dłużej, że nie ma nic wspólnego z wielką miłością, nic wspólnego z jakimkolwiek ciepłym uczuciem. Nic jej nie obiecywałem. Nie mieliśmy żadnych wspólnych planów sięgających dalej niż do najbliższej kolacji i najbliższej szalonej nocy. Była ze mną, bo nie miała nikogo innego pod ręką. Pomogłem jej trochę, bo trudno wyżyć z miernej gry jako któreś tam skrzypce w drugim składzie orkiestry w podrzędnej filharmonii, szczególnie jeżeli od życia wymaga się tak wicie, jak wymagała Natalia. Dyżurowałem częściej, żeby ona nie musiała udzielać lekcji. Rozstałem się z nią, bo nie chciałem już dłużej rozdrabniać swojego życia na mniejsze i większe pseudomiłości. Ta studentka wykrzyczała do mnie to, co sam już dobrze wiedziałem. Powiedziałem Natalii prawdę, zrobiłem swoisty rachunek sumienia i wyszedłem. Czy mogłaby się za to chcieć zemścić? Wracając z poradni, postanowiłem przejechać się w stronę jej domu. Z pełną świadomością skręciłem za mostem nie w prawo, w kierunku mojego mieszkania, a w lewo. Lubię tę część miasta. Tutaj ulice z nagła stają się wąskie, z trudem przepuszczają dwa sznury jadących powoli samochodów. Domy są starsze niż w innych dzielnicach, zapraszają szerokimi bramami, w dzień cieszą oczy ciepłymi barwami niedawno odnowionych tynków. Co kilkaset metrów mija się małe zatoczki obsadzone drzewami, zielone latem, jesienią złociste od rosnących tu klonów i purpurowe liśćmi buku, a teraz ozdobione nielogiczną ilością drewnianych domków dla ptaków.

W bocznej ulicy po prawej stronie góruje nad wszystkim gotycki, nigdy do końca nieodrestaurowany kościół - pokryty dachem, lecz straszący czernią nieoszlonych strzelistych okien. Wieczorem ta dzielnica nabiera jeszcze większego uroku. Raptem w migotliwym świetle gazowych latarni wszystko staje się tajemnicze i niedopowiedziane - kościół, ulica,



domy... Jeszcze jeden zakręt i po lewej stronie zacznie się tamta ulica, odwiedzana przeze mnie dość systematycznie w ciągu ostatnich paru tygodni. Jest już stary dąb stojący na rogu, straszący w ciemnościach gołymi konarami, jest szeroka brama, a za nią wjazd na podwórko, gdzie zwykle parkowałem. Jeszcze muszę przejechać tylko pięćdziesiąt metrów pomiędzy starymi czynszowymi kamienicami, lekkim łukiem pojechać w prawą stronę, a wyłonią się mury domu, w którym Natalia wynajmuje mieszkanie. Spojrzałem w górę. Julia chyba miała rację.

Paliło się światło w oknie na drugim piętrze po prawej stronie, czyli w sypialni Natalii.

Przejechałem powoli pod domem. Poczuję się nagle dziwnie rozczarowany.

\* \* \*

Próbowałem zatelefonować do Julki. Nie mogłem się dodzwonić. Pomyślałem, że w pociągu zapewne nie ma zasięgu. Poszedłem na nocny seans filmowy, żeby jakoś zabić ten wieczór. Kiedy wychodziłem z kina, rozdzwonił się telefon. Odruchowo spojrzałem - numer zastrzeżony. „Mam to gdzieś - pomyślałem - niech spada”. Kiedy otwierałem drzwi do mieszkania, telefon znowu zadzwonił. Chwila przerwy i znowu, i znowu... Chodziłem po kuchni tam i z powrotem, parzyłem kawę, próbowałem znaleźć coś do jedzenia w straszącej pustką lodówce, uciszyć zmysły cichą muzyką, udawać, że nie widzę piętrzących się w zlewie brudnych naczyń i wysypujących się z popielniczki na blat kuchennego stołu petów.

Czekałem już tylko na kolejny dzwonek komórki. W końcu nie wytrzymałem. Ileż dni można żyć w cieniu dzwoniącego telefonu? Odebrałem.

- Natalia, daj spokój! To takie żenujące... - rzuciłem w kierunku głucho) ciszy w słuchawce.

Odpowiedział mi dźwięk przerwane połączenia. Niech to szlag trafi! Byłem pewny, że coś mi odpowie. A jeżeli się pomyliłem? Jeżeli to nie

była Natalia? Ona chyba by coś jednak

odpowiedziała. Miała cięty język i lubiła go używać. Przerwane w tym momencie połączenie zupełnie nie pasowało do charakteru Natalii. Wkładałem kurtkę, zbiegając już po schodach.

Puściłem się w dół galopem. Dochodziła druga w nocy, kiedy znalazłem się pod jej domem.

Okna straszyły ciemnością, tylko światło latarni odbijało się od tafli czarnych szyb. Okna na drugim piętrze nie różniły się niczym od pozostałych, też były czarne i śpiące. Tylko okno tuż za grubym konarem potężnego dębu było chyba lekko uchylone.

„Nie zwariowałem - pocieszałem sam siebie - ona jest w domu”. Niewiele myśląc, nacisnąłem przycisk domofonu.

Raz, drugi, trzeci, coraz dłużej i coraz bardziej natarczywie...

- Słucham. - Ostro brzmiący głos wydał mi się zupełnie obcy.

Nagle oprzytomniałem.

- Przepraszam, że budzę. Nazywam się Konrad Adamczak, Chciałbym porozmawiać z Natalią...

Drzwi wejściowe ustąpiły pod naporem mojej ręki, a wąska smuga światła przeciskająca się przez lekko uchylone drzwi mieszkania na ciemny korytarz świadczyła o tym, że jestem oczekiwany. Stojąca w drzwiach dziewczyna nawet w panującym na korytarzu półmroku w niczym nie przypominała

Natalii. Była niewysoka i pulchna. Miała równo jak od garnka przycięte włosy, sterczące

teraz fantazyjnie w różne strony, i przymrużone, typowe dla krótkowidza oczy. Nie wiem dlaczego, ale wydała mi się sympatyczna.

- Niech pan wejdzie do środka. - Zrobiła krok

do tyłu. - Natalia wspominała, że jest pan trochę popierdolony... - Zabrzmiało to zupełnie przyjaźnie.

Usiedliśmy przy tym samym stole, przy którym ostatnio siedziałem z Natalią. Ten sam stół, ten sam pokój, te same meble, ale teraz wszystko wyglądało jakoś inaczej. Na stole królował otwarty laptop, a obok niego zdjęcie pyzatej, uśmiechniętej twarzy jakiegoś dzieciaka. W rogu pokoju stało pudło z wiolonczelą. Łóżko nie kusiło zimnym ałtąsem, a obiecywało przytulność ciepłą flanelową pościelą. Przez środek łóżka przerzucony był gruby wełniany koc. Pod oknem stał stojak na nuty z jakąś otwartą partyturą, a na kamiennym parapecie, dotychczas zawsze pustym, panoszyły się doniczki pełne kwitnących, jakby na przekór porze roku, kwiatów.

Obok nich stała porcelanowa polewaczka w kształcie głowy słonia. „Dziwne - pomyślałem - jak tu się wszystko zmieniło. Żadnej zawieruchy, żadnego szaleństwa, tylko cisza, spokój, bezpieczeństwo, wrażenie, że jest się w domu...”. Tu na pewno nie było Natalii.

- Natalia wyjechała - powiedziała spokojnie dziewczyna, stawiając przede mną kubek z parującym płynem. - Coś pan kiepsko wygląda - rzuciła jakby mimochodem. - Zimno na dworze. Myślę, że nie pogardzi pan gorącym soldem malinowym z cytryną i miodem...

Napój był przeraźliwie słodki, ale pachniał cudownie - rozgrzanymi słońcem malinami i letnim ogrodem. Pociągnąłem parę łyków i nagle poczułem się strasznie zmęczony.

- Natalia wyjechała - powtórzyła dziewczyna, sadowiąc się wygodnie na krześle obok. - Pozwoliła mi tutaj zamieszkać. W pewnym sensie podnajęła mi to mieszkanie.

- Tak nagle?

- Co tak nagle? - Dziewczyna patrzyła na mnie zdziwiona.

- Tak nagle wyjechała?

- Dlaczego nagle? Ona już dawno szykowałą się do tego wyjazdu. Spotkała pana, zaszalała i nie wiedziała, jak się z panem rozstać. Może nie tak sobie wyobrażała wasze rozstanie, ale w sumie pan

jej to ułatwił... Być może jako kobieta poczuła się przez chwilę urażona. Ale myślę, że ta chwila nie trwała dłużej niż pół godziny. Po półgodzinie na pewno się już pakowała. Ona od trzech tygodni przekładała z dnia na dzień ten swój wyjazd... Pan się z nią rozstał, ale to ona chciała się rozstać z panem. Wyprzedził ją pan. Może przez moment było jej z tego powodu przykro... No wie pan, urażona kobieta ambicja i takie tam inne farmazony...

- A więc jej tu nie ma? - chciałem się upewnić.

- Nie ma. - Dziewczyna spojrzała na mnie rozbawiona. - Zabolalo to pana? - spytała poważnie.

- Nie, dlaczego? Raczej poczułem się uspokojony.

Musialo to dla niej zabrzmieć dziwnie, bo spojrzała na mnie uważniej.

- Natalia miała już tę pracę nagrąną od dawna - dziewczyna wróciła do przerwanej wątku. - Przed ośmioma miesiącami byliśmy z koncertem w Paryżu. Wtedy poznała tego menadżera, Louisa Chartiera. Pewnie pan nawet o nim nie słyszał. Żadna strata. To jeden z tych, co to twierdzą, że granie w filharmonii

to totalna nuda, perfekcjonizm zabijający w muzyku talent, a w słuchaczu chęć słuchania.

Według niego muzyka poważna sprzedaje się dobrze w klubach, bo wśród francuskich snobów rockowe kapele przy kolacji już dawno się przejadły...

Natalia spędziła z nim trochę czasu. Tak ją zafascynował, że nawet zapomniała z nami wrócić. Przyjechała trochę później z nową miłością w sercu, nowym kontraktem i koniecznością nauczenia się języka francuskiego. Ta nauka zabrała jej trochę czasu... Z tego co wiem, ma kontrakt z jakimś ekskluzywnym klubem w Paryżu, liczy na małżeństwo z Chartierem i letnie tournée po

Lazurowym Wybrzeżu...

Skończyła, spojrzała na mnie, po jej twarzy przebiegł jakiś dziwny grymas.

- Pan jej szuka?

- Nie, skądże - zaprzeczyłem gwałtownie.

- To co pan robi nad ranem w tym mieszkaniu?

- Chciałem się tylko upewnić... - zacząłem z wahaniem, szukając w panice jakichkolwiek wiarygodnych wyjaśnień.

Dziewczyna podparła rękami głowę, odgarnęła za ucho opadające jej na twarz włosy i nie spuszczała oczu z mojej twarzy. Czekala, a mnie jak na złość nie przychodziło na myśl żadne wiarygodne kłamstwo.

- Dręczą mnie od czterech dni jakieś głuche telefony... - burknąłem niechętnie.

Dziewczyna nie przestawała mi się przyglądać.

- Od czterech dni ktoś wydzwania do mnie, głównie wieczorami i nocą... Myślałem, że to może Natalia. Te telefony intrygują mnie i męczą... Chciałem z nią pogadać. - Mówienie prawdy przychodziło mi z wielkim trudem. Chyba jeszcze nic przywykłem.

Dziewczyna niespodziewanie parsknęła śmiechem.

- Wieczorami i nocą? - Wyglądała na bardzo rozbawioną. - Pan naprawdę tak myślał?

Sądził pan, że ona nie ma nic innego do roboty, jak tylko do pana wydzwaniać? Czyżby był pan aż

tak naiwny? Aż tak nie zna się pan na ludziach? - Ze śmiechu aż łzy płynęły jej po twarzy. - Bój się Boga, człowieku, pan zupełnie nie zna Natalii!

- Jakoś specjalnie nie żałuję...

\* \* \*

Nie Natalia, więc tamta mała, ale tamtej, według Julki, w żadnej z tych moich grup nie było. Kolejny raz już pewnie nie zatelefonuje. Ja w każdym razie bym tego nie zrobił.

Próbowała się dodzwonić, a więc chciała pogadać. Nie przeszło jej. Szuka pomocy. Szlag by to jasny trafił! Ale gównu! I całe to gówno spadło na mnie przez przyjaźń z Rafałem. Swoją drogą ciekawe, jak mu jest w tej Wenecji, czy zdołał tam odnaleźć swoją-nie-swoją Anię.

Obiecał mi przesłać mailem parę zdjęć z Toskanii, których potrzebowałem do przygotowywanej prezentacji na poniedziałkowe zajęcia. Teraz jest weekend, jeszcze dwa dni i w poniedziałek będę przed studentami świecił oczami, a miałem taki wyjątkowy pomysł na te zajęcia. No nic, od biedy wrócimy do programu, do stereotypowych dyskusji o budowaniu prawidłowych relacji między lekarzem a pacjentami, o trudnych, konfliktowych pacjentach, solidarności zawodowej, empatii i asertywności i jeszcze paru innych wyświechtanych i oklepanych problemach, o których dyskutujemy w kółko od paru miesięcy. Zarażony niedawno

przez Rafała ideą tutoringu, próbowałem przez krótką chwilę ożywić trochę prowadzone przeze mnie zajęcia. Podzieliłem studentów na małe grupy, wybrałem liderów, proponowałem twórczą pracę w ramach projektów. Pomysł legł w gruzach po paru tygodniach. Nic da się tak nagle zmienić całego systemu nauczania, czyichś przyzwyczajęń i poglądów. Pierwsze kolokwium po tym eksperymencie okazało się pedagogiczną porażką.

Prowadzone przeze mnie grupy wypadły najgorzej. Dobrze, że profesor nie zabrał mi premii, a wszystko skończyło się tylko na pouczeniu. Z jego słów jasno wynikało, że najlepiej robić wszystko po staremu, bo może to i nie jest doskonałe, ale sprawdzone, niezawodne i proste.

Zajęcia z Julią bardzo ożywiły studentów. To dzięki Julce wpadłem na ten pomysł z Toskanią... No nic, gdzieś tam podświadomie nadal liczyłem na Rafała. Włączyłem komputer, kliknąłem na pocztę. Dawno tu nie zaglądałem. Wśród wielu nic nieznaczących, przekrzykujących się domniemanym zyskiem reklam, zaproszeń na kongres i ofert biura podróży był oczekiwany przeze mnie mail z kilkoma zdjęciami od Rafała i jeszcze jakaś wczorajsza wiadomość, wysłana przez kogoś tuż przed północą. Spojrzałem niechętnie - nic mi niemówiący obcy nadawca. „Pewnie jakiś student podesłał spóźnioną pracę sprzed dwóch tygodni - pomyślałem. - Lepiej późno niż wcale”. Bezmyślnie kliknąłem na wiadomość. Nagle serce zabiło mi mocniej. „Ja nie jestem Natalią”. Przeczytałem to zdanie chyba z dziesięć razy.

„Ja nie jestem Natalią, ja nie jestem Natalią, ja nie jestem Natalią” - powtarzałem w myślach bez końca. Przebiegłem palcami po klawiaturze. Napisałem tekst, przeczytałem go i w panice skasowałem. Napisałem ponownie i znowu skasowałem. Stukałem w klawisze i kasowałem bez końca. W końcu powstało coś, co i tak nie nadawało się do wysłania: „Minęło pięć dni od naszej rozmowy. Przez pięć dni można oprzytomnieć. Ja zostałem z tym, co mi powiedziałaś.

Nic potrafię się od tego uwolnić...”. Przeczytałem jeszcze raz i wiedziałem, że nie mogę tego wysłać, w każdym razie nie w tej formie. To przecież kompletny brak dystansu i profesjonalizmu. Wstałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem w zamkniętej przestrzeni pomiędzy stołem a oknem. Co za gówno! Faktycznie brakuje mi przygotowania. Nawet napisanie maila w takiej sytuacji nic jest proste. Przesłuchałem jeszcze raz tamto nagranie i znowu zacząłem pisać: „To dobrze, że nie jesteś Natalią. Z nią nie miałbym ochoty rozmawiać. Zadzwoń!”. Wysłałem maila i zacząłem czekać na telefon.

\* \* \*

Olśniło mnie nagle, kiedy znalazłem się w łóżku - przecież w grę wchodzi jeszcze jedna dziewczyna, ta, która po scysji ze mną przeniosła się do grupy Melanii. Wtedy to nie był mój dobry dzień, a temat wydawał mi się od początku nietrafiony - dystans i profesjonalizm w kontaktach z pacjentem, bezwzględna asertywność i wyważona empatia. Niedościęgnionym mistrzem takich tematów był Marco. Ostatnio Rafał mu dorównywał. Kochali go tak, jakby wraz z nim wrócił do nich Marco. Nie miałem czasu szukać przypadków do tamtego tematu.

Musiałem przeczytać libretto Rigoletta Verdiego i pójść z Natalią na tę operę, bo opera i późniejsza kolacja w gronie jej przyjaciół z filharmonii przez chwilę stały się dla niej ważne, może na krótko najważniejsze na świecie. Wieczór skończyliśmy u niej w sypialni, a kiedy rano rozdzwonił się budzik, pomyślałem, że z nadmiaru wina i seksu to chyba przyjdzie mi umrzeć. Z trudem dźwignąłem się do pracy. Nie zdążyłem przygotować się do zajęć ze

studentami. Zabrakło sił, czasu i możliwości. Skorzystałem z przypadków Tomka. Nawet ich wcześniej) nie przeczytałem. Gdybym to zrobił, zapewne uniknąłbym tego całego koszmaru.

W pewnym sensie sam sobie to wszystko zgotowałem. Ani mnie, ani studentom jakoś się nie spieszyło do tych zajęć. Ja walczyłem o życie po operze, kolacji i nocy u Natalii. Wypiłem już trzy smoliste kawy pod rząd, serce od nadmiaru kofeiny biło mi jak szalone, czułem je nie w klatce piersiowej, a gdzieś w gardle, ale to i tak było za mało, żeby się rozbudzić. Powieki miałem ciężkie jak z ołowiu, tępy ból głowy przeszkadzał przy każdym ruchu, a ciche rozmowy studentów miały donośność grzmotu. Liczyłem minuty do końca tej męki.

Marzyłem już tylko o popołudniu, ciszy mojego mieszkania, spokojnej muzyce, sofie w salonie, jaśku pod głową i ciepłym kocu... Studenci właśnie parę minut wcześniej pisali kolokwium z farmakologii. Szperali po książkach, przerzucali notatki, dyskutowali... Nie chciało mi się z nimi walczyć. Etyka odpadała w przedbiegach przy farmakologii, która zawsze była najważniejsza. Taka para w gwizdek - mnóstwo wiedzy do wyrzycia na pamięć, choć jej ilość była zupełnie nieadekwatna do znacznie zbyt małej na tym etapie praktyki klinicznej. W trakcie studiów miałem własne zdanie na ten temat. Uważałem, że farmakologia powinna być przerabiana dwa razy. Raz w formie propedeutyki przed zajęciami klinicznymi i drugi raz pod koniec studiów, równoległe do tych wielkich tematów klinicznych, jakimi są interna, pediatria, ginekologia i chirurgia. Zaplanowana jako koronny przedmiot na czwartym roku studiów nie miała zbyt dużego sensu. Krótko mówiąc, na tym etapie nauki była trudnym do przebrnięcia i tak naprawdę jeszcze niewiele wnoszącym koszmarem.

- Macie piętnaście minut dla siebie - spróbowałem ich przekrzyczeć. - Za piętnaście minut zaczynamy...

Siedziałem i próbowałem przeczytać pożyczone od Tomasza przypadki. „Niech go szlag trafi - pomyślałem - intelektualista się znalazł. Szkoda, że bardziej łzawych nie wyszukał.

Jeszcze mi tylko dzisiaj do pełni szczęścia brakowało sentymentalnych historii na zajęciach z etyki”.

- Posłuchajcie, zaczynamy! Dzisiejszy temat nie należy do łatwych. Pracować będziecie z ludźmi, a

tam, gdzie są ludzie, tam są i emocje. Chyba że będziecie pracować na histopatologii, mikrobiologii lub radiologii, gdzie z rzadka ma się osobisty kontakt z pacjentem. Pozbawione relacji lekarz-pacjent są też medycyna sądowa i anatomia patologiczna - próbowałem zażartować. - Tam też ktoś musi pracować, chociaż ja osobiście nie zazdroszczę pracującym tam kolegom. We wszystkich innych działach medycyny musicie stać się mistrzami dystansu, obudować grubym murem siebie i swoją prywatność. Jeżeli tego nie zrobicie, to ten zawód stanie się waszym przekleństwem, z każdym dniem będzie was okaleczał coraz bardziej, aż w końcu was zabije.

Przestali rozmawiać. Ucichły ostatnie szurania krzesłami. Stuknęło jeszcze tylko gdzieś z tyłu otwierane okno. Wlepili we mnie wzrok i czekali.

- Zaczniemy od przypadków. Przypadek pierwszy. Pacjent X zjawił się w poradni w towarzystwie swojej osiemnastoletniej córki. W dniu wizyty został wypisany ze szpitala.

Rozpoznanie jak wyrok - rak głowy trzustki wielkości pięści naciekający drogi żółciowe, hamujący odpływ żółci. Diagnozę postawiono przed tygodniem, kiedy to nagle wystąpiła żółtaczka. Podczas laparoskopii stwierdzono nieoperacyjność guza, wykonano tylko

połączenie omijające miejsca niedrożności dróg żółciowych, żeby zmniejszyć żółtaczkę.

Pacjent zgodził się na chemioterapię paliatywną w nadziei, że przedłuży mu ona trochę życie i chwilowo złagodzi objawy choroby. Pacjent nie zgadza się na hospicjum. Chce być w domu, gdzie oprócz córki ma jeszcze dwóch dorastających synów. Jeden ma piętnaście, a drugi szesnaście lat. Żona pacjenta zmarła przed trzema miesiącami. Miała białaczkę. Pacjent już wtedy czuł się źle, miał bóle pleców, które ktoś zinterpretował jako objawy korzonkowe.

Zresztą jak sam mówi, nie miał wtedy ani czasu, ani ochoty zajmować się sobą. Cały czas i wszystkie siły poświęcił umierającej żonie. Mężczyzna jest od dwóch lat na rencie chorobowej, prawdopodobnie z powodu nawracających epizodów depresyjnych połączonych z fobiami socjalnymi. Stan ogólny pacjenta jest ciężki, z trudem zdołał - podtrzymywany przez córkę - wejść do gabinetu...

W sali panowała cisza jak makiem zasiał. Jedynym dźwiękiem, który dochodził do moich uszu, był szum jadących za oknem samochodów, brodzących po osie w pierwszym tegorocznym, rozjeżdżonym kolami i rozchlapanym śniegu. „Ależ superprzypadek mi Tomek pożyczyl - pomyślałem. - Niech go szlag trafi!”

- Nie chcę z wami roztrząsać aspektów

terapeutycznych. To omawiacie na onkologii i internie. Wszystkie te zagadnienia zapiszę na tablicy pod wspólną nazwą: „opieka medyczna nad

pacjentem obłożnie chorym w okresie terminalnym choroby”. Przyjmijmy, że tu mieści się wszystko: walka z bólem, z depresją, odżywianie dostosowane

do stanu chorego, zorganizowanie opieki pielęgniarstwa w domu, wizyty domowe zależnie od sytuacji medycznej... Mnie interesuje coś innego. Co, waszym zdaniem, należy jeszcze, poza wymienionymi czynnościami, zrobić w tej sytuacji?

- Nic - rzucił chłopak siedzący tuż przede mną.

To była prawidłowa odpowiedź. Nic wiem, dlaczego spojrzałem w jego stronę niechętnie. Odpowiedź była prawidłowa, ale wywołała lawinową reakcję.

- Krzysztof, jesteś idiotą - rzuciła siedząca tuż obok niego dziewczyna. - Pan doktor wybacz, jeżeli poczuł się pan urażony. - Spojrzała przeprasząco w moją stronę. - Facet umiera. Z tym rozpoznaniem zostało mu co najwyżej parę miesięcy. Ma w domu trójkę dzieci...

- To nas nie powinno interesować. To sprawa opieki społecznej - bronił się chłopak.

- Matka już nie żyje. Za chwilę umrze ojciec.

Dzieci zostaną sierotami. Trzeba się skontaktować z najbliższą rodziną-wyrzucił z siebie jednym tchem jakiś siedzący tuż pod oknem wysoki blondyn. - Może jest w rodzinie ktoś, kto się nimi zaopiekuje.

Trzeba im pomóc już teraz, natychmiast, od razu. Trzeba im stworzyć choć pozory normalnego życia.

One muszą chodzić dalej do szkoły... Nikt nie ma prawa wymagać od nich, by nagle tak ciężko podwójnie doświadczony stały się z dnia na dzień dorośli.

-Trzeba się skontaktować z ich szkołami. Nawiązać współpracę z wychowawcami...

- Zorganizować pomoc finansową...
- Najlepiej założyć konto i spróbować zdobyć dla nich jakieś finansowanie... Nie da się przy takim nieszczęściu wyżyć z renty chorobowej...
- On nie ma prawa umierać w domu! Nie w tej sytuacji, on ich tym jeszcze bardziej okaleczy...

rp 1 \* · r T \ · · · I · r

Trzeba z nim porozmawiać... Powinien się zgodzić na hospicjum. Wtedy wszystko stanie się prostsze. Dojdzie do rozdzielenia dwóch problemów - jego i dzieci.

- Trzeba koniecznie sprawdzić ich warunki domowe. On uzyskał rentę z powodu zmian psychicznych. Może to jakiś były psychopata...

- Trzeba nawiązać kontakt z sąsiadami. Przeprowadzić wywiad środowiskowy.

- Ja bym poszedł do miejscowej parafii. Może ksiądz by im w czymś pomógł. Jakieś datki po mszy... Jakaś forsa z niedzielnej tacy...

Przekrzykiwali się. Napędzali się z minuty na minutę coraz bardziej. Już dawno przestałem notować ich wypowiedzi na tablicy. Nic miało to sensu. Podniosłem rękę do góry. O dziwo, poskutkowało - nagle zamilkli.

- Poczekajcie, czy ja was dobrze rozumiem? Mówicie: odnaleźć dalszą rodzinę, skontaktować się

ze szkołami, porozmawiać z wychowawcą, założyć konto i namawiać na wpłacanie datków, zrobić wywiad środowiskowy wśród sąsiadów, nawiązać kontakt z miejscową parafią, porozmawiać na osobności z chorym...

Patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczyma. Nic mieli pojęcia, do czego zmierzam.

- Pomijając na razie wszystkie inne aspekty, w tym także prawne, to kiedy wy to wszystko chcecie zrobić?

Nic odrywali ode mnie oczu.

- Wprowadźmy tu trochę realiów. Ten pacjent nie jest waszym jedynym pacjentem. Na korytarzu siedzi jeszcze dwudziestu innych. Każdy z tych dwudziestu niesie balast podobnych problemów: to dziadek nie zażywa leków, bo mu brakuje pieniędzy, to mama przyprowadziła synka narkomana, to czternastoletnie dziewczę przyszło po tabletki antykoncepcyjne... Po skończeniu pracy w poradni macie jeszcze dyżur w pogotowiu, a tam dopiero zdarza się socjalny pasztet...

Milczeli. Patrzyli na mnie uważnie.

- Mamy tu mówić nie o bajkach, lecz o realiach.

To nie koncert życzeń... To nie ten zawód. Przed waszym nazwiskiem nie będzie napisane „święty”, tylko „lekarz medycyny”.

My leczymy, a nic czynimy cuda. Mamy rozumieć swych pacjentów, czyli być empatyczni, ale też musimy zachować siebie, czyli być asertywni, mamy znać standardy, czyli postępować profesjonalnie, maksymalnie wykorzystując naszą wiedzę i postęp medycyny... Wszystko inne zależy od waszej fantazji, ale powinniście unikać prostytucji i sprzedawania samych siebie. Wśród lekarzy obserwuje się większą niż w innych grupach zawodowych liczbę samobójstw. To się skądś bierze, musi mieć jakieś źródło, jakiś powód. Macie pomagać na miarę swojej wiedzy, ale też chronić siebie. To jest taki sam obowiązek jak niesienie pomocy innym.

Pamiętam ją doskonale. Wstała gwałtownie. Pchnięte do tyłu krzesło z impetem uderzyło o

stojącą za nią ławkę. Nic odwróciła się nawet, jakby ten łoskot należał do innego wymiaru, innej rzeczywistości. W pierwszej chwili pomyślałem, że musiałem ją przez przypadek czymś osobiście dotknąć. Wszystkie oczy skierowały się na nią.

- Więc według pana doktora powinniśmy nasze uczucia schować sobie w kieszeń? - spytała zaczepnie. - Powinniśmy o nich zapomnieć?

Stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Ruchem głowy odrzuciła opadające jej na twarz włosy i nie wiem dlaczego, postanowiła mnie zaatakować i zniszczyć.

- Powinniśmy stać się maszynami

wykonującymi bezbłędnie swój zawód? Powinniśmy pocieszać naszych pacjentów, zachowując dystans? Poklepywać, nie czując emocji? Podawać chusteczkę łkającym z przygotowanej wcześniej sterty, nie czując nawet współczucia?

Uśmiechem przesłonić naszą wewnętrzną pustkę? - mówiła jednym tchem. Zасыpywała mnie pytaniami, na które nic oczekiwała odpowiedzi. - Nie zrobić nic poza minimum, żeby tylko nie uszczuplić samego siebie? Nie przyznawać się do swoich uczuć ani przed sobą, ani przed innymi? - rozpędzała się coraz bardziej. - Chodzić na co dzień z przyklejonym na twarzy uśmiechem? Naszym ideałem powinien stać się wyuczony i wyćwiczony profesjonalizm pozbawiony jakichkolwiek uczuć? Bomba, no po prostu bomba! - Była na granicy furii. - Za chwilę zacznę wątpić w to, co ja tu robię. Nie tak wyobrażałam sobie ten zawód. Pan próbuje nas teraz nauczyć, że należy kłamać nawet przed samym sobą?

Wylała na moją głowę całe wiadro swoich frustracji, a ja nie czułem się winny.

- Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa, autentyczność od wyuczonych schematów zachowań. Czy ja według pana mam się stać po tych studiach pustą idiotką? Bo tylko tchórze i idioci nie mają odwagi być sobą.

Kazałem jej usiąść. Prosiłem, żeby została chwilę po zajęciach. Próbowałem bez emocji dalej realizować zaplanowany temat.

- Słuchajcie, nie możecie czuć się w tym zawodzie jak Wszechmogący. Powinniśmy pomagać

w tym zakresie, w jakim ktoś oczekuje od nas pomocy. My leczymy... Możemy poradzić, wskazać innych, którzy pomogą socjalnie lub prawnie, ale nie możemy zrobić z naszych gabinetów manufaktury, w której jeden robotnik zajmuje się wszystkim. To nie postęp, tylko brak profesjonalizmu. Nie krok do przodu, ale krok wstecz. - Próbowałem mówić spokojnie, choć z nerwów wszystko się we mnie trzęsło. Zwykle trzymałem dystans.

Dzisiaj dziwnie zdenerwowała mnie ta dziewczyna. -1 to wcale nie znaczy, że jeżeli my osobiście się tym wszystkim nie zajmiemy, to nic z tego nie wyjdzie. Ten przypadek nie jest wymyślony, jest wzięty z życia. Pacjent umarł po trzech miesiącach. Umarł w domu, bo tak chciał i tak chciały jego dzieci. Przez ostatnie tygodnie wspierał ich codziennie zespół opieki paliatywnej. Zosia okazała się niesamowitą dziewczyną- nie tylko opiekowała się ojcem, ale też dopilnowała braci. Po śmierci ojca prawnik z pomocy społecznej pomógł rodzeństwu i teraz dziewczyna jest dla swoich braci rodziną zastępczą. Skończyła pomaturalną szkołę pielęgniarstwa, a chłopcy dobijają do matury. Dzieciaki mają satysfakcję, że nie zawiodły ani siebie, ani ojca, że towarzyszyły mu do końca. Dziewczynie udało się zrealizować największe marzenie ojca - tuż przed śmiercią zobaczył jeszcze morze...

Skończyłem, a w sali panowała niczym niezmacona cisza.



- Słuchajcie, nie ma już czasu na drugi przypadek. Przemyślicie go w domu.

Trzydziestoosmioletni mężczyzna, nauczyciel z zawodu, zgłosił się do lekarza na kontrolę.

Przed rokiem w badaniu ultrasonograficznym jamy brzusznej stwierdzono w jego wątrobie nietypowe cysty. Wykonujący badanie lekarz internista zalecił wtedy wykonanie tomografii komputerowej jamy brzusznej albo rezonansu magnetycznego. Z powodu licznych zajęć i olbrzymiego zaangażowania w pracę zawodową pacjent nie zastosował się do zalecenia. W wykonanym obecnie badaniu ultrasonograficznym domniemane cysty wyglądają jak przerzuty nowotworowe. Lekarz skierował pacjenta na diagnostykę szpitalną, której celem miało być odkrycie ogniska pierwotnego nowotworu siejącego przerzutami. Pacjent odmówił, zasłaniając się przygotowaniem do zbliżającej się matury i koniecznością uczestniczenia w maturalnej komisji egzaminacyjnej. Zadanie domowe jest stosunkowo proste. Wyobraźcie sobie, że to wy jesteście tym lekarzem i spróbujcie się zastanowić nad tokiem waszego postępowania. Bierzemy pod uwagę: empatię, asertywność i wiedzę medyczną. Działamy, nie kierując się emocjami, lecz szeroko pojętym dobrem pacjenta. Kartek proszę nie podpisywać.

Na następnych zajęciach podyskutujemy o waszych przemyśleniach.

Siedzieli nadal, jakby nagle zabrakło im sił, by kontynuować dalsze plany na to popołudnie.

- Żegnam państwa - powiedziałem dobitnie.

Odwróciłem się wymownie w kierunku tablicy i

zacząłem zmywać moje bazgroły. Przez chwilę zapomniałem nawet o tamtej dziewczynie. Marzył mi się już tylko powrót do domu, łyk zimnego piwa, ciepły koc i wygoda mojego tapczanu. Coś ostatnio żyłem zbyt intensywnie, moje życie z Natalią pędziło za szybko. Jej codzienność zaczynała się zwykle od wieczornego koncertu. Biegła przez romantyczną kolację przy świecach zakrapianą dużą ilością czerwonego wina w kierunku szalonej nocy. Kiedy ja wychodziłem rano do pracy, próbując choć trochę szerzej otworzyć oczy, wypijając kolejną mocną kawę i biorąc dla rozbudzenia zimny prysznic, ona właśnie słodko zasypiała. Kiedy ja po południu padałem ze zmęczenia, ona była pełna sił witalnych. „Długo tak raczej nie pociągnę” - pomyślałem.

Odłożyłem gąbkę, otrzepałem dłonie z kredy, odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z tamtą dziewczyną. Nie miałem ochoty na żadne dyskusje. Pomyślałem, że mnie przeprosi i będę mógł pędzić dalej w kierunku wymarzonego paru godzin odpoczynku. Pomyliłem się.

Stała naprzeciw mnie z uniesioną głową, gotowa stoczyć wojnę w imię swoich wcześniej wygłaszanych poglądów.

- Pan nie jest taki zły - palnęła niespodziewanie. Spojrzałem na nią zdziwiony. A więc jednak postanowiła kontynuować te swoje wywody, pomyślałem. - Pan tylko udaje. Pana życie to ciągła gra - mówiła pewnym głosem. - Jest pan tak zakłamany, że nawet przed samym sobą nie potrafi się pan do tego przyznać. Byłam tam, kiedy pan czytał list na pogrzebie Marco. Drżał panu głos, trzęsły się panu ręce. Wtedy panu współczułam. Byliście z Marco przyjaciółmi. Nigdy tej przyjaźni nie rozumiałam. Jak taki genialny facet może się przyjaźnić z takim zerem. Na cmentarzu wszystko stało się dla mnie jasne. Tam przez chwilę był pan sobą. Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa. Pan uczy nas etyki, a sam jej nie rozumie.

Pan dzisiaj próbował wyśmiewać nasze uczucia. Próbował nam pan pokazać, że gównem warte jest to całe nasze zaangażowanie, że nie robiąc nic, robimy najwięcej, że chcąc

pomagać, tylko przeszkadzamy, że nasza chęć holistycznego spojrzenia na pacjenta jest nieudaczną manufakturą. Pan naprawdę tak myśli? - Spojrzała na mnie uważnie. - Jestem rozczarowana. Pan gra przed innymi i przed sobą.

Proszę mi wybaczyć, że powiem tak bezpośrednio, ale tylko idioci i tchórze boją się być sobą.

Nazwała mnie idiotą, zatkało mnie, w pierwszej chwili poczułem się urażony.

- Wyjdz! - powiedziałem zapewne trochę zbyt głośno. - Nie mam ochoty już z tobą rozmawiać.

Myślę, że cię to nie dziwi. Zmień grupę! - rzuciłem w kierunku jej oddalających się pleców.

Wyrzuciłem ją za drzwi, kazałem zmienić grupę, a powinienem był jej podziękować. Przez przypadek, w zupełnie nieprzewidzianych okolicznościach powiedziała coś, co sam czułem już od pewnego czasu, nazwała to, czego ja nigdy nie nazwałem.

Wtem przyszło mi na myśl, że to może być ona.

Nic wiem dlaczego, na chwilę wyrzuciłem ją z pamięci, jakby na moment o niej zupełnie zapomniałem. Wybrałem numer Melanii.

- Boże, Konrad, tobie to wchodzi w nawyk. Opamiętaj się! Ja przez ciebie zaczynam spać z telefonem przy łóżku - jęknęła. - Wywołujesz u mnie zaburzenia lękowe. Nawet w weekend nie dajesz się człowiekowi wyspać. Co znowu? - warknęła wyraźnie rozdrażniona.

- Słuchaj, pamiętasz tamtą dziewczynę, która ostatnio przeszła do twojej grupy?

- Mówisz o tej, którą wyrzuciłeś za drzwi? - Powiało nagle chłodem.

- No właśnie - burknąłem pod nosem.

- Oczywiście, że ją pamiętam. Trudno byłoby zapomnieć. Zachowałeś się jak barbarzyńca.

Tłumisz w nich myślenie...

- Nie nakręcaj się! Podaruj sobie! Czy ona była w zeszłym tygodniu na twoich zajęciach?

- Nie. Nie było jej - odpowiedziała zdecydowanie. - Jestem tego pewna. Pamiętam to dokładnie, zadzwoniła do sekretariatu tuż przed zajęciami. Powiedziała pani Irenie, że nie może przyjść, ponieważ jest chora. Z tego, co pamiętam, mówiła, że była u lekarza...

- Kiedy masz zajęcia z tą grupą?

- W poniedziałki rano.

„W poniedziałki rano - pomyślałem. - To się może zgadzać”. W poniedziałek po południu miałem ten przekłety dyżur za Rafała.

- Pamiętasz może, jak ona się nazywa?

- Poczekaj, sprawdzę. Mam jej nazwisko zapisane w notesie...

Z pewnością musiała się wygramolić z łóżka, zapalić światło, odnaleźć swoją torebkę i w jej przepastnym wnętrzu odszukać notes. Pewnie w myślach pomstowała na mnie. Trwało to całą wieczność.

- Monika Ostrowska - wykrztusiła w końcu. - Ale się naszukałam.

- Nie moja wina, że masz bałagan w torebce - mruknąłem pod nosem.

- Niech cię diabli wezmą! - Udawała, że nie słyszy. - Przez ciebie znowu nie będę mogła zasnąć.

\* \* \*

Nie zacząłem szukać od razu. Chciałem się do końca rozbudzić. Narzuciłem na siebie

kurtkę.

Wyszedłem na balkon. Zapaliłem papierosa. „Zmieniło mnie to wszystko, pomyślałem. - Kiedyś coś takiego by mnie nie ruszyło, na pewno nie zaburzałoby mi rytmu dnia, nie spędzało snu z powiek, nie zajmowało cały czas myśli, nie powodowało, że czuję ciągle napięcie, stały wewnętrzny niepokój”. Dużo zmieniło się we mnie po śmierci Marco. To było jak grom z jasnego nieba. Wpadłem wtedy do nich po południu. Znalazłem nareszcie ten pierścionek zaręczynowy dla Justyny i chciałem, żeby mi ktoś doradził. Pamiętam, jak Ania kiedyś opowiadała, jakie to ważne dla dziewczyny, ważniejsze od obrączki. Ani nie było w domu. Marco tego dnia nic był wylewny. To było do niego zupełnie niepodobne. Zawsze zazdrościłem im tej ich miłości i tego ich domu. Po przekroczeniu progu tego mieszkania wszystko jakby nagle zwalniało, cichło i normalniało, duży kocur ocierał się na przywitanie o nogi, po mieszkaniu rozchodził się zapach świeżo parzonej kawy, a wystrój wnętrza sprawiał, że czuło się na twarzy powiew ciepłego wiatru znad weneckiej laguny. Lubiłem u nich bywać. Ceniłem sobie ich towarzystwo. Oni byli jak z innego świata, jakby z zupełnie innej bajki. Tacy inni, niedzisiejsi, ciepli ludzie. Ania jest jak ufna mała dziewczynka, której pewnie i ja nie potrafiłbym skrzywdzić. Marco, wbrew pozorom, to był niesamowicie twardy facet.

Dał mi wtedy ten list dla Ani, zabronił cokolwiek mówić, a następnego dnia umarł w trakcie operacji.

Dobił mnie tym, chociaż był takim fantastycznym gościem. Był moim przyjacielem, a dokopał mi na całe życie, spowodował, że nie mogę się podnieść. W domu dziecka, w którym wyrosłem, nauczyłem się, że nie ma przyjaźni, że nikomu nic można ufać, że wszystko jest grą pozorów w celu pozyskania jakichś tam większych lub mniejszych korzyści. A tu raptem w dorosłym życiu spotkałem kogoś, kto wiele dawał innym, nie chcąc nic w zamian, rozumiał potrzeby innych, nie potrafiąc artykułować swoich. Raz w życiu oczekiwał czegoś ode mnie, a ja go chyba zawiodłem. Pewnie myślał, że gdy odejdzie, to ja zaopiekuję się jego Anią. Nie dałem rady, sam potrzebowałem pomocy. Jego śmierć rzuciła mnie na kolana, wdeptała w glebę, sprawiła, że na chwilę zwątpiłem w sens istnienia. Nagle jakby coś się we mnie wypaliło i zgasło. Zrywałem się w nocy z łóżka, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mam w kieszeni kurtki tę kopertę od niego. Na jakiś czas zamarłem w bezruchu, wypadłem na boczny tor, a życie gdzieś obok toczyło się dalej. Nie wiem, dlaczego chowano go na tym małym wiejskim cmentarzu. Nawet nie wiem, jak się tam znalazłem. To Justyna wtedy się mną zaopiekowała. Kupiła kwiaty, przygotowała ubranie na pogrzeb, zadbała, żebyśmy tam dojechali. Marco został pochowany na tym małym wiejskim cmentarzu, na kompletnym zadupiu, gdzieś w centralnej Polsce. Bez sensu! On należał raczej do tamtej swojej pierwszej ojczyzny. Pasował bardziej do słońca, błękitnego nieba, strzelających w górę cyprysów, rozłożystych pini. Ksiądz mówił bez sensu albo ja tego sensu nie widziałem. Z minuty na minutę rósł we mnie żal, potęgowała się rozpacz. Na pogrzebie przeczytałem ten jego list do Anny. Słowa grzęzły mi w gardle, ręce mi się trzęsły, nogi drżały.

W pierwszej chwili nic z tego listu nie rozumiałem.

To był jakiś bełkot podpisany imieniem Marco, ale zupełnie innym, nieznanym mi nazwiskiem. Podpisał się nie Marco Brzeziński, lecz Marco Marconi. Nigdy wcześniej nic słyszałem tego nazwiska. Ania nagle się wyprostowała, odrzuciła do tyłu włosy, wzięła z moich rąk ten list i odeszła. To było tak niespodziewane, że nikt nawet nie zdążył zareagować.

Nie zatrzymałem jej. Nie pobiegłem za nią. Jak inni, pozwoliłem jej odejść. Wydawało mi się, że wcześniej z daleka widziałem Paolo, ale nie mógłbym dać za to głowy. Ania zniknęła, wyjechała. Nigdy tego nie zapomnę. Ogarnęło mnie przerażenie, że ja tam stałem jak kretyn, rozczulając się nad sobą, a ona zdecydowała się dołączyć do Marco. Rok wcześniej na festiwalu piosenki studenckiej jakiś chłopak śpiewał polską przeróbkę włoskiego

r

przeboju. Dedykował ją Ani i Marco. Śpiewał o miłości, która będzie trwać wiecznie, której nie przerwie nawet śmierć. Jak na złość, w ostatnim

biuletynie uczelnianym pojawiły się wspomnienia o nim, a na okładce to ich zdjęcie z Werony.

r

Kamienny most Świętego Piotra w Weronie, widziany przez strzeliste cyprysy, jakby z góry, od strony fortecy. Całość zamknięta rękoma Ani ułożonymi w kształt serca. Zdjęcie podpisano „Love Verona”, Byłoby ciepłe i wakacyjne, gdyby nie przewiązano go w rogu czarną żałobną wstążką. Myśl o tym, że Ani też już me ma, spędzała mi sen z powiek. Dupek jestem, a nie przyjaciel! Nie potrafiłem się nią zaopiekować. Nie umiałem przez chwilę unieść się ponad własną gorycz, ponad żal, który mnie dusił, ponad bezsilność, która mnie ogarnęła.

Zawiodłem siebie i Marco. Uspokoilem się trochę, kiedy ktoś kazał wynająć to ich mieszkanie, ale koszmar wrócił, kiedy zamieszkał tam Rafał. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień wracała atmosfera ich domu, a Rafał coraz bardziej przypominał w sposobie bycia zmarłego Marco. Pierwsi zauważyli to studenci. Mówili, że gdyby nie patrzeć na Rafała, tylko go słuchać, to mieliby wrażenie, że Marco do nich wrócił. Mnie też coraz bardziej przypominał Brzezińskiego. Nic mnie to nie obchodzi! To dotyczy Rafała, Ani i Marco...

Mam to w dupie! To zupełnie nie moja sprawa!

Dziwi mnie tylko, że aż tak to wszystko przeżywam. Ciekawe, czy Rafał spotkał w Wenecji Anię. Jestem pewny, że pojechał tam, żeby ją odnaleźć. Idiotyczne, on nigdy wcześniej nie znał ani Marco, ani Anny. Wyjechał z Polski, zanim Marco skończył studia. Przez parę dobrych lat mieszkał za granicą. Wrócił tutaj po śmierci Brzezińskiego. W mailu napisał tylko, że zostaje w Wenecji.

Jemu chyba w krew już weszła emigracja - do niedawna Niemcy, a teraz Włochy. Szalony facet. Nieważne. Niby to nie moje sprawy, ale zmieniło mnie to wszystko. Na koniec jeszcze scysja z tą studentką. Melania mówiła, że nazywa się Monika Ostrowska... Oblęd. Mam wrażenie, że jeszcze chwila, a zwariuję. „Musi być już nad ranem” - pomyślałem; w niektórych oknach, pomimo soboty, zapaliły się już światła. Pod domem przejechał leniwie jakiś samochód, a sąsiedzi z budynku obok, nic czekając na światło poranka, pakowali na bagażnik narty. Ciekawe, gdzie zdołało już spaść tyle śniegu? Ostatni raz byłem na nartach z Marco wczesną wiosną. Jechał właśnie do babci do Wenecji. Wziął mnie z sobą. Poszaleliśmy razem jeden dzień na przełęczy Campolongo. Nigdy wcześniej nic podejrzewałem go o to, że tak śmiga na nartach. Jeździł tak, jakby się urodził z nartami na nogach. Ja przy nim na stoku wypadałem blado, a chcąc mu choć trochę dorównać, ryzykowałem tak, że śmierć co chwilę zaglądała mi w oczy. W końcu odpuściłem, bo ta rywalizacja nie miała najmniejszego sensu.

Stwierdził, że narciarze dzielą się na tych, którzy „jeżdżą”, i tych, którzy „wyglądają” na

stoku. On na pewno należał do obu grup jednocześnie. Zaczęłam odpuszczać pewne trasy, ociągać się trochę przy wsiadaniu na wyciąg i tak z nagła pozostawiony sam sobie na stoku poznałam Amelię. Ona raczej też bardziej „wyglądała” na stoku, niż jeździła na nartach.

Prawdę mówiąc, nawet nie widziałem, jak jeździ. Wyglądała za to wspaniale - w opiętym, podkreślającym jej ponętne kształty, błękitnym kombinezonie i białym kasku, na którym spoczywały błękitne gogle, z opaloną twarzą wystawioną do słońca wyglądała znakomicie.

Przez chwilę zamarzyłem o pozostaniu z nią w hotelu Grifone, ale Marco zmierzył mnie takim wzrokiem, że chcąc nie chcąc, pojechałem z nim do tej jego Wenecji. Broń Boże, nie żałuję, przynajmniej zobaczyłem innego Marco. Od tamtych wiosennych dni spędzonych w Wenecji stało się dla mnie jasne, że on należał bardziej do tamtego świata. W Wenecji zaczynał nagle wyglądać zupełnie inaczej - golił się rzadziej, tak że ciemny zarost kładł cień na jego i tak śniadej twarzy, żel błyszczał mu na czarnych jak smoła włosach... Mówił, śmiał się, żartował po włosku. Wydawał mi się kimś zupełnie innym. Nie znałem wcześniej takiego Marco. Wśród weneckich kanałów i pałaców wraz z wieczorną mgłą unoszącą się ponad laguną rozplątał się gdzieś nagle ten niekonwencjonalny nauczyciel etyki zawodowej, lekarz pogotowia, psycholog z zespołu opieki terminalnej. Jego miejsce zajął ktoś zupełnie inny.

Pokazywał mi tę swoją drugą ojczyznę. Od razu zrozumiałem, że on był tam u siebie, a ja byłem w jego świecie gościem. Poznałem paru jego przyjaciół, w tym Paolo, od którego dostałem te obrazy, które teraz zdobią moje mieszkanie... Pamiętam, jak kazał mi sobie coś wybrać z obrazów wiszących na ścianie jego pracowni i właśnie przygotowanych do sprzedaży. Podobały mi się wszystkie. Fantastycznie maluje ten facet. Jego obrazy oddają klimat Wenecji, intrygują, przyciągają, są przewrotne jak sama Wenecja i niedopowiedziane jak jej mieszkańcy. Nie ma w nich nic z przesłodzonych pejzaży, monotonii i nudy, nic z typowych dzieł pod turystów. Każdy z nich opowiada inną historię - na jednym z obrazów przed otwartymi drzwiami prowadzącymi do jakiegoś renesansowego pałacu stała gondola przybrana jak do ślubu, a przewieszona w drzwiach zasłona unosiła się jeszcze, jakby ktoś przed sekundą zniknął w czeluści mieszkania. Na innym obrazie gołąb spacerował dumnie po stopniu schodów prowadzących do wody któregoś z bocznych kanałów, a w przejrzystej wodzie laguny odbijały się burty łodzi, ciemne kształty gondoli, stojące nad kanałem pałace, nawet wiszące z okien, wołające o wodę pelargonie i ciepły błękit nieba. Był obraz z małą dziewczynką siedzącą przy otwartym oknie i grającą na fortepianie. Za oknem przepływała gondola z zasłuchaną w dźwięki fortepianu dziewczyną. Pamiętam obrazy z mostem Accademii i Accademia, malowanymi poprzez wylewające się ze skrzynek surfinie, tak jakby malarz siedział w restauracji nad Canal Grande. Pamiętam, że kilka obrazów przedstawiało widoki oglądane jakby z poziomu wody, jakby ktoś je malował, płynąc gondolą... Długo nie mogłem się zdecydować. Najbardziej intrygował mnie ten z kurtyzaną opierającą się plecami o kolumnę jednej z arkad Pałacu Dożów. Niewinna twarz przewrotnie nie pasowała do wyzywającego makijażu, kuszącego głębokim dekoltem obcisłego podkoszulka, zbyt krótkiej spódnicy, butów na wysokich szpilkach podkreślających długość i smukłość nóg... Podarował mi ten obraz. Powiedział, że też go lubi, bo w nim jest cała przewrotność Wenecji. Jak to on mówił? „Wenecja mami, oszukuje i kłamie, tu wszystko zawsze było i jest na sprzedaż.

Kwestią była i jest tylko cena. Nigdy nic należy wierzyć Wenecji”. Parę innych obrazów Paolo Marco przywiózł mi później. On często jeździł do babci do Wenecji. Miała tylko jego.

Boże, to było zaledwie parę miesięcy temu, a ja mam wrażenie, że minęły lata. Wraz ze śmiercią Marco wszystko jakby się oddaliło, rozmyło, odrealniło, przypominało bardziej senne marzenie niż minioną rzeczywistość. To dziwne, ale jego śmierć zmieniła mnie bardziej niż czas, kiedy był obok. Szlag by to trafił, znowu dałem się opętać wspomnieniom.

Spojrzałem w dół. Tych dwoje na dole przy samochodzie skończyło już mocować narty do dachu. Pakują narty? Nagle oprzytomniałem - w górach musiał spaść pierwszy śnieg. Jak powiedziała tamta dziewczyna? „Na jakimś górskim oblodzonym zakręcie nie zdążę skręcić”?

Stoję tu jak ten kretyń, palę już chyba dziesiątego papierosa, idiotycznie marnuję czas, a ona przecież może się już pakować do tej swojej Saksonii. Muszę gdzieś mieć jej adres. Wiosną profesor zlecił mi przygotowanie dla studentów bezpłatnych wejściówek na kongres.

Potrzebowałem wtedy ich adresów. Nerwowo zacząłem przerzucać notesy- jeden, drugi, trzeci... Niełatwo jest coś znaleźć w tych papierach. Pedantycznością to ja nie grzeszę. Jest lista, są nazwiska i adresy... Trzeba tylko uwierzyć, że ona wtedy chciała uczestniczyć w tamtym kongresie. Bazgrzę niesamowicie, sam siebie nie mogę odczytać. Z imionami idzie mi łatwiej, z nazwiskami już trudniej, a ulice...

Ulice to już koszmar. Jest, odetchnąłem nagle z ulgą- Monika Ostrowska, ulica Orzechowa 2, Chyba nawet wiem, która to część miasta. Jechałem kiedyś tamtędy, wszystkie nazwy ulic utworzono od nazw drzew. Jest tam ulica Bukowa, Kasztanowa, Klonowa, Topolowa, Lipowa... Orzechowej jakoś nie pamiętam, ale pewnie jest i Orzechowa. Spojrzałem na plan miasta. Zupełnie prosty dojazd. Za jakieś piętnaście minut już tam będę.

\* \* \*

- Słucham. - Kobięcy głos zabrzmiał przez domofon ostro i nieprzyjemnie.

Zreflektowałem się, spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma. Na dworze nadal panowała ciemność, a wilgoć zdawała się zamarzać w powietrzu. - Słucham - powtórzył ktoś jeszcze mniej przyjaznym tonem.

- Dzień dobry - wykrztusiłem. - Chciałbym porozmawiać z Moniką.

- Z kim?

- Z Moniką... - powtórzyłem odrobinę głośniejsze.

- Głupich żartów się panu z rana zachciewa - warknęła do domofonu kobieta.

Głuchy dźwięk odkładanej słuchawki zakończył rozmowę. Odczekałem chwilę.

Przycisnąłem ponownie przycisk domofonu. Dzwonek zaterkotał natarczywie. Słysząc go było nawet na zewnątrz.

Rozświetliło się kolejne okno. Tym razem tuż nad garażem. Uniosły się w górę żaluzje.

Okno otworzyło się z głośnym skrzypnięciem.

- Czego pan sobie życzy? - gruchnęło z góry.

Głos zupełnie nie pasował do drobnego, siwego staruszka wychylającego głowę z okna.

- Dzień dobry - wykrztusiłem niepewnie. - Przepraszam, że przeszkadzam - próbowałem go choć trochę udobruchać. -Chciałbym porozmawiać z Moniką.

- Proszę natychmiast przestać dzwonić! - wrzasnął staruszek niczym opętany. Jego głos obudził chyba wszystkich ludzi w okolicy. W sąsiednich domach zapaliło się parę świateł.

Ktoś wypuścił psa do ogrodu sąsiadującego z tą posesją. Pies rozszczękał się na dobre. Skakał jak oszalały na ogrodzenie. Jego ujadanie zagłuszało nawet moje myśli.

- Chciałem tylko porozmawiać z Moniką - próbowałem przekrzyknąć psi jazgot.

- Jeśli pan nic odejdzie, to wezwę policję.

- Jestem asystentem na uczelni Moniki. Nazywam się Konrad Adamczyk. Pracuję w zakładzie etyki zawodowej na uniwersytecie medycznym - mówiłem bez większego sensu.

- Jakim asystentem? Moja córka Monika od dwudziestu lat mieszka w Stanach. Pan sikał jeszcze

w majtki, kiedy ona wyjechała po studiach za granicę...

Wydawało mi się, że szczekanie psa zagłusza wszystko. Aż dziwne, że on coś z tych moich słów usłyszał. Raptem zaczął mi się przyglądać jakoś życzliwiej.

- Dzwonić na tę policję? - usłyszałem żeński głos z głębi mieszkania.

- Nie, nie dzwoń jeszcze - rzucił w kierunku czeluści za swoimi plecami. - To jakiś nieszczęśnik. Chyba oszalał.

I nagle przyszło mi na myśl, że chyba faktycznie oszalałem. To wszystko było takie nietypowe dla mnie. Stałem przed zamkniętą furtką jakiegoś obcego domu. Powoli zaczynało świtać. Gasły pierwsze uliczne latarnie. Był sobotni poranek. Jeden z dwóch dni w tygodniu, kiedy mogłem się choć trochę wypaść. Pies obudził pół spokojnej i sennej willowej dzielnicy. Straszono mnie wezwaniem policji. Bałem się o kogoś, kto niedawno nazwał mnie idiotą. Obudziłem jakichś staruszków...

-Jak się nazywa ta Monika, której pan szuka? - wyrwał mnie z zamyślenia głos mężczyzny. Staruszek wychylił się jeszcze bardziej z okna i przyglądał mi się z dużym zainteresowaniem.

- Monika Ostrowska - bąknąłem.

- My się nazywamy Ostańscy. Proszę spojrzeć, tabliczka z nazwiskiem wisi obok domofonu.

Faktycznie - przytaknąłem niechętnie. Przepraszam... -bąknąłem pod nosem.

Odwróciłem się i chciałem już odejść. „Ależ zrobiłem z siebie idiotę” - pomyślałem.

- Niech pan chwilę poczeka! - krzyknął w moją stronę staruszek.

Brzęknęło zatrzaskiwane okno. Gdzieś na korytarzu zapaliło się światło. Po chwili zgrzytnął klucz w zamku. Na szczycie schodów błysnęła żarówka, po czym drzwi otworzyły się szeroko.

- Niech pan wejdzie się ogrzać - rzucił przyjaźnie starszy mężczyzna. - Może w czymś panu pomóc? Pewnie przemarzył pan już na wylot.

- Nie, dziękuję - mruknąłem zaskoczony - nie chciałbym przeszkadzać...

Pies ujadał coraz bardziej zajadle, coraz wyżej sięgał łapami, coraz intensywniej przymierzał się do pokonania dzielącego nas ogrodzenia. Drzwi otwarto jeszcze szerzej i chcąc nie chcąc, znalazłem się w domu państwa Ostańskich.

- Nasza Monika wyjechała dwadzieścia lat temu - zaczęła tłumaczyć kobieta. - Na początku przysyłała listy, później dwa razy w roku życzenia na święta. Parę razy, jeszcze na samym początku, przysłała zdjęcia. Nie byliśmy zaproszeni na ślub, bo pewnie się nas wstydziła. Zapewne nie pasowaliśmy do tamtego towarzystwa. Nigdy nie poznaliśmy naszego jedyne go wnuka, który się tam urodził. Teraz ma już piętnaście lat. Co roku wysyłamy mu życzenia na urodziny. Jeszcze nigdy nie odpowiedział. Pewnie nie mówi po polsku. Monika już dawno nie pisała...

Chyba o nas nie pamięta. Jesteśmy starzy. Po co miałaby sobie nami zaprzętać głowę...? - mówiła starsza kobieta, stawiając przede mną na stole kubek z parującą kawą. - A pana

rodzice? - spytała jakby mimochodem.

- Nie wiem - burknąłem. Pewnie wypadło to niegrzecznie, bo spojrzała w moją stronę wymownie i już otwierała usta, żeby wygłosić jakąś życiową mądrość. Ubiegłem ją.

- Wychowałem się w domu dziecka... - powiedziałem niechętnie.

Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni wypowiedziałem te słowa. Nie był to mój ulubiony temat. Zawsze było tak samo. Na twarzach rozmówców pojawiała się zmieszanie, które przechodziło powoli w zakłopotanie, a na końcu we współczucie. Niepotrzebnie. Jak widać, w niczym mi to w życiu nie przeszkodziło - zdałem maturę, skończyłem studia, jestem lekarzem, pracuję na uczelni... Nie byłem nigdy głodny ani zaniedbany. Miałem zawsze czyste ubrania. W domu dziecka nie brakowało mi niczego. No, może z wyjątkiem miłości. Julia sądziła zawsze, że dlatego nie potrafię kochać, bo nikt mnie w dzieciństwie nie kochał.

Twierdziła, że zabiegam o miłość jak każdy dzieciak z domu dziecka. W obawie, że mnie nikt nigdy naprawdę nie pokocha, podszywam się pod innych, gram i udaję, by choć na chwilę zdobyć czyjeś uczucie i choć przez moment poczuć się kochanym. Sądziła, że duszę bym sprzedał diabłu, żeby zdobyć prawdziwą miłość. Później z każdego związku uciekam w popłochu, żeby nikt mnie nie zdążył porzucić, a może dlatego, że chcę się kolejny raz przekonać, czy ktoś inny mnie też pokocha. Twierdziła, że to mi jest potrzebne do ciągłego budowania i umacniania własnego ego. Ta jej teoria kiedyś przed laty doprowadziła mnie do szaleństwa. Spowodowała idiotyczną wymianę zdań w tamtej włoskiej restauracji. Spłyciłem cały swój związek z Beatą do łóżka i seksu. Julka nazwała mnie rządzonym przez penis samcem, którego pewnie nic w życiu nie zmieni. Może i była w tym odrobina prawdy. Może nawet więcej niż odrobina. Skomplikowane to trochę, ale to w końcu Julia studiuje socjopedagogikę. To dziwne, ale polubiłem nawet ostatnio tę ukochaną córeczkę Melanii. Ma w sobie tę samą pasję co Ania i Marco. Tacy niepasujący do naszych czasów, niedzisiejsi ludzie.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona staruszka. Jej głos dotarł do mnie jak z zaświatów; wyrwał mnie nagle z tych niepotrzebnych wspomnień.

- Nic się nie stało. Skąd mogła pani wiedzieć...

Usiedli naprzeciw mnie i przyglądali się, jak słodzę kawę, jak dolewam mleka...

- Czy można panu jakoś pomóc? - spytała staruszka.

- Mnie? - zdziwiłem się. - ja nie potrzebuję pomocy. To ja chciałem komuś pomóc.

Szukam pewnej studentki. Mam z nią zajęcia.

- Moniki Ostrowskiej?

- No właśnie. Byłem pewny, że ona tutaj mieszka. Tak przynajmniej mam u siebie w notatkach.

Wyjąłem notes z kieszeni. Zacząłem go wertować.

- Proszę spojrzeć! - Wyciągnąłem rękę w kierunku starszej pani. - Monika Ostrowska, ulica Orzechowa 2.

Staruszka nałożyła na nos okulary. Spojrzała uważniej. Wzięła z moich rąk notatnik i zaczęła mu się przyglądać.

- No, czytelnie to pan nie pisze. Jak każdy lekarz - stwierdziła autorytatywnie. - Wydaje mi się, że tu z przodu jest jeszcze litera li. Według mnie, to jest ulica Elizy Orzeszkowej 2. To w zupełnie przeciwnej części miasta. Kiedyś pracowałam w tamtej dzielnicy, uczyłam polskiego



w szkole podstawowej.

\* \* \*

Na miejsce dotarłem około dziewiątej. Nie lubiłem tej okolicy - wąskie uliczki z niekończącymi się rzędami zaparkowanych ciasno samochodów, z zabudową, której tynki już dawno wołają o odnowę, z szerokimi, upstrzonymi graffiti bramami, z brudnymi szybami starych okien. Myślę, że czynsze są tu niższe niż gdzie indziej, ale za nic w świecie nie chciałbym tu mieszkać. Byłem tu kiedyś podczas dyżuru w pogotowiu. Szeroka rozpadająca się brama wiodła do obszernej sieni z charakterystycznym zapachem stęchlizny i zbyt rzadko opróżnianych kubłów na śmieci, z odchodzącymi na dwie strony, pnącymi się ku górze stromymi, ciemnymi schodami, ze ścianami pomalowanymi olejną farbą na ten dziwny szarobrudny kolor, który musiał być dostatecznie ciemny, by mógł ukryć wulgarne ścienne napisy i nieprzyzwoite rysunki. Schody wiodły ku oszklonym drzwiom o takim samym jak korytarz kolorycie, za którymi rozciągał się kwadratowy przedsionek zagracony wszystkim, co tylko możliwe. To pomieszczenie stanowiło chyba pole niczyje, gdzie każdy z mieszkańców dane-go piętra składał wszystko, co uważał za zbędne w swoim mieszkaniu. Obok starych szaf stały tam nikomu niepotrzebne stoły, jakaś komicznie powyginana lampa ze staromodnym abażurem, plastikowa wanienska niemowlęca, niedbale porozrzucane, wypchane czymś kartony, duża piłka do ćwiczeń gimnastycznych, dziwnie strasząca w tym otoczeniu krzycząco pomarańczowym kolorem, a przed czworgiem wychodzących na to pomieszczenie drzwi sterczały szafki zapchane różnej wielkości, czystości i jakości obuwem. Dopiero za tymi drzwiami zaczynały się królestwa poszczególnych lokatorów. Kierując się adresem na wezwaniu, znalazłem się w pomieszczeniach, które swym wyglądem nie odbiegały od wyglądu klatki schodowej, a interwencja pogotowia ratunkowego dotyczyła delirium tremens. Na łóżku przypominającym barłóg siedział mężczyzna, z racji nieogolonej twarzy i zapadniętych oczu w wieku trudnym do określenia, zlany rześnistym potem, który nie tylko zlepiał sterczące mu we wszystkie strony włosy, ale pokrywał kroplami twarz, spływając strumieniami po skroniach w kierunku szyi i dalej w dół - po zapadniętej, rachitycznej, niczym nieprzysłoniętej klatce piersiowej. Na mój widok człowiek ów wcisnął się plecami w ścianę, podkulił pod siebie nogi i zaczął wrzeszczeć, żebym uważał na stojącego za moimi plecami psa, a ja jak ten idiota odwróciłem się przerażony, ku uciechu towarzyszących mi sanitariuszy, zapominając przez moment, że w delirium można widzieć nie tylko myszy, pająki i węże. Tamto wydarzenie wspominam z uśmiechem, ale za tą dzielnicą nie przepadam, jak chyba zresztą większość mieszkańców miasta. Obiło mi się kiedyś o uszy, że niektórzy studenci wynajmują pokoje w tej części miasta ze względu na niewysokie czynsze, adekwatne do zasobności studenckiego portfela. W sumie można by wynająć w całości taki moduł, zacząłem kalkulować, stworzyć studenckie piętro, będące oazą w tej zakazanej i nieprzyjaznej dzielnicy. Może to nawet nie byłoby takie złe. Mimo wszystko ta Monika Ostrowska nie bardzo mi pasowała do tego otoczenia.

Pozostał mi do przejechania jeszcze jeden zakręt, po którym ulica biegła łagodnym łukiem w lewo. Tu raptem wszystko zaczęło wyglądać trochę lepiej, W każdym razie zostawienie na chwilę samochodu nie wydawało się już takie ryzykowne. Stare, ale odnowione kamienice zamykały z trzech stron wybrukowane podwórko z jednym samotnym drzewem pośrodku, sięgającym konarami do drugiego piętra. Budynek zamykający przestrzeń od lewej strony

udekorowany był przy bramie wejściowej dużą metalową dwójką. Skrzynki pocztowe na zewnątrz i dwa rzędy przycisków domofonów nawiązywały do współczesności. Udało mi się nawet dostrzec zamontowaną z boku kamerę, obserwującą podwórko. Ulżyło mi. Czyżby jakaś niewielka enklawa bezpieczeństwa i spokoju w tej zakazanej dzielnicy? Właśnie próbowałem przebrnąć przez napisy przy domofonach, kiedy nagle brama się otworzyła. W ostatniej chwili zdołałem się odwrócić. Obok mnie przeszła uśmiechnięta i szczebiocząca

słodko Monika w towarzystwie chłopaka, którego twarz również wydała mi się znajoma. Byli tak zajęci sobą, że nie spojrzeli nawet w moją stronę, mimo że, jak na złość, w kieszeni mojego płaszcza rozdzwoniła się komórka. Odprowadziłem ich wzrokiem. Zdążyli w kierunku zaparkowanego z boku samochodu. Włosy dziewczyny opadały na ramiona, krótka wełniana spódnica w krzykliwym czerwonym kolorze wydawała się wprost opinać biodra, czarna kurtka kończyła się na wysokości pasa. Całości dopełniały czarne kozaki na wysokim koturnie, stalowego koloru rajstopy i fantazyjnie zawiązana wokół szyi czerwona wełniana chustka. Nie wyglądała na kogoś, kogo nękają myśli samobójcze.

W każdym razie na pewno już nie w tej chwili. Odsapnąłem z ulgą. „Koniec dobry - wszystko dobre” - pomyślałem.

Nareszcie będę mógł odreagować ten ostatni tydzień. Najpierw się wyśpię, a jutro skoczę na narty. Jeden dzień na stoku i poczuję się jak nowo narodzony. Ruszyłem w kierunku samochodu. Spojrzałem na nieodebrane połączenie. Zastrzeżony? Kurde, jaki zastrzeżony?

Byłem pewny, że to Melania. Mówiła, że po dziewiątej zadzwoni. Zastrzeżony? Niemożliwe!

Jaki, do jasnej cholery, zastrzeżony? Nogi ugięły się pode mną. Usłyszałem puls w uszach.

Klatka piersiowa było za mała, żeby pomieścić

serce. Co znowu, do jasnej cholery? Co za gówno? Jakim prawem zastrzeżony? Czy ja się już nigdy od tego nie uwolnię?

\* \* \*

- Krzysztof, tu Konrad, gdzie jesteś?

- W domu. - Wydawało mi się, że jęknął. - Człowieku, która jest godzina?

- Dochodzi dziesiąta.

- O siódmej skończyłem dyżur. Dopiero zasnąłem. Budzisz mnie w środku nocy... - jęczał.

- Umieram. Mam za sobą makabryczne dwanaście godzin, podczas których nie zdołałem usiąść nawet na pięć minut. Zadzwoń później!

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Odczekałem chwilę. Dałem mu dojść do siebie.

Byłem pewny, że oddzwoni. Nie pomyliłem się - zadzwonił.

- Coś się stało? - Z tonu głosu wnioskowałem, że walczył z sobą, żeby nie zapytać: „Czego?”

- Mam problem - rzuciłem oględnie.

- Jeżeli sercowy, to ci nie pomogę. - Zabrzmiało kategorycznie. - Ewa cię nie cierpi. Jak tylko się dowie, że ci w czymś pomagam, to znów będę miał milczące dni i samotne noce.

Nie, nie mogę - powtórzył kategorycznie. - Ostatnio, kiedy nakłamałem, żeby ratować ci dupę, chciała się ze mną rozstać. Powiedziała, że to nieetyczne pomagać takiej kanalii, że jak ci ktoś kiedyś mordę obije, to ci to tylko dobrze zrobi i być może zmusi do opamiętania...

- Daruj sobie - próbowałem mu jakoś przerwać.

- No, powiedziała to w trochę innych słowach...

- dodał niechętnie.

- Rozumiem, zadbałeś o zachowanie ogólnego sensu -próbowałem się wznieść ponad ogarniające mnie rozdrażnienie. - Tym razem to coś zupełnie innego...

- Co ty powiesz? Tym razem nie chodzi o niewinne kłamstwo, że zostałeś u mnie na noc, ponieważ do drugiej graliśmy w brydża, a wypity przy grze w karty alkohol uniemożliwił ci jazdę samochodem? - Jego głos aż kipiał od ironii.

Ta jego drobna przysługa kosztowała mnie już dużo nerwów. Pomógł mi w imię przyjaźni, zapomniał tylko powiedzieć, że tego dnia był służbowo w Krakowie i co więcej, udzielił wywiadu, który ukazał się parę dni później w poczytnym brukowcu. Kłamstwo wyszło na jaw. Mnie już wtedy było wszystko jedno, a on prawie rozstał się z Ewą, która za nic nie mogła zrozumieć, że była to tylko drobna przyjacielska przysługa. Nazwała to „idiotyczną męską solidarnością”, a ich związkiem solidnie zatrzęsło.

- Nie, to zupełnie inna sprawa. - Udawałem, że nic słyszę tej jego ironii.

- Naprawdę? - próbował się jeszcze upewnić. - Intrygujesz mnie. Gdzie chcesz się spotkać?

- U ciebie - powiedziałem pospiesznie. - Za dziesięć minut - dodałem, - Obudź się! Stoję samochodem pod twoim domem. Na dworze jest mróz, a ja już dość się dzisiaj namarzałem od świtu.

Nic wytrzymam dłużej niż dziesięć minut.

Krzyśka znałem całą wieczność. Kiedyś byliśmy w tej samej klasie w ogólniaku. On, Rafał i ja spędzaliśmy z sobą mnóstwo czasu. Kiedy jego rodzice dowiedzieli się przypadkiem, że jestem wychowankiem bidula, chcieli mnie adoptować. Ma niesamowitych rodziców. Oboje są fantastyczni. Jego ojciec za nic nie mógł zrozumieć idiotycznych przepisów, w świetle których nikt nie mógł stworzyć mi domu, ponieważ moja matka, która po oddaniu mnie do domu dziecka przestała się mną interesować, nie zrzekła się praw rodzicielskich. Spędzałem u nich weekendy. Jeździłem z nimi na wakacje. Mobilizowali mnie do odnoszenia sukcesów, do marzeń sięgających dalej niż matura. Jego ojciec przesiedział z nami dziesiątki popołudni nad fizyką i chemią. Zrobił mi pranie mózgu, kiedy przyłapał mnie z papierosem w ręku, zupełnie tak, jakby to jego syn w wieku lat szesnastu zaczął palić. Mama Krzysztofa dbała, bym nigdy nie wychodził od nich głodny, i próbowała mi wpoić podstawowe zasady dotyczące wyglądu zewnętrznego. Prała moje wiecznie brudne dżinsy, łątała powycierane rękawy, prasowała przed egzaminami spodnie i koszule dla nas obu. To od nich dostałem na studniówkę pierwszy w życiu garnitur. Mówiłem, że nie potrzeba, że jest tam u nas jeden dyżurny strój na tego typu okazje, że przymierzałem go nawet, że spodnie są może odrobinę za długie, ale można je przecieć podwinąć, i ramiona za obszerne, ale i tak nikt nie będzie na to patrzył. Ten kupiony przez nich garnitur wisi do dziś dnia wśród innych odświętnych ubrań w mojej szafie. Wkładam go na wielkie okazje. Ma w sobie coś niepowtarzalnego - przywołuje dawne wspomnienia. Kiedy mam go na sobie, to czuję się jak wtedy, przed laty, kiedy przez chwilę miałem wrażenie, że jednak mam rodzinę, kiedy z Krzyśkiem i z jego rodzicami spędzałem święta, a pod ich choinką zawsze znalazł się jakiś prezent także dla mnie. Próbowali też nauczyć mnie uczyć, choć zgodnie z teorią Julii spotkałem ich na swej drodze trochę za późno. I tak pewnie powinienem być wdzięczny Panu Bogu, że w ogóle się na niej znaleźli. Razem z Krzyśkiem poszliśmy na medycynę. Cały koszmar zajęć w prosektorium, zawilóści fizjologii,

histologii, chemii, statystyki medycznej i genetyki prze-chodziliśmy razem. Po trzech latach on nagle zrezygnował.

Odwidziało mu się. Mówił, że to nie dla niego że go przerasta, że nie zdoła się w tym nigdy odnaleźć. Nagle, jakby z dnia na dzień, zapragnął czegoś zupełnie innego. Wtedy go nie rozumieliśmy. Sądziliśmy, że to chwilowy kaprys. A on niespodziewanie dla nas wszystkich dostał się na prawo. Skończył je pięć lat później. Zaczął pracować w policji.

Nasze drogi się rozeszły. Spotykaliśmy się czasem na kortach, od czasu do czasu przy piwie.

Nigdy nic rozmawialiśmy o pracy, bo niby po co. Teraz chciałem, żeby mi pomógł, spojrzął na tę całą sprawę zupełnie z boku. Zadzwoiłem. Drzwi otworzyły się od razu. Czekał już na mnie. Zdążył się nawet ubrać.

- Napijesz się czegoś? - rzucił w moim kierunku.

- Masz dzisiaj dyżur? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie. Właśnie skończyłem.

- No to napiję się chętnie. Masz piwo?

- Przecież przyjechałeś samochodem - palnął, zanim zdążyłem skończyć.

- Nawet w domu jesteś glina? - burknąłem pod nosem. Nic chciałem go drażnić. - W porządku, napijmy się kawy. Kawa też powinna wystarczyć.

Patrzył na mnie spode łba. Stał niezdecydowany.

- Może być jeszcze herbata z cytryną... - rzucił w moim kierunku.

- Nie, dlaczego? Marzę o kawie.

Siedzieliśmy, piliśmy kawę, przysłuchaliśmy

tamtą kasetę, z grubsza opowiedziałem mu całą historię.

- Niemożliwe - stwierdził nagle.

- Co jest niemożliwe? - nie rozumiałem. - Rafał nagle wyjechał. Wziąłem za niego dyżur... - zacząłem jeszcze raz od początku. Pomyślałem, że to musiał być faktycznie bardzo ciężki dyżur, skoro taki bystry facet ma zaburzenia koncentracji.

- Nie to - przerwał mi. - To jest akurat całkiem jasne. To rozumiem doskonale.

„To co, do diabła, jest niemożliwe?” - pomyślałem. Spojrzałem na niego zaintrygowany.

- Zmieniłeś się - rzucił nieoczekiwanie. - Jeszcze nie tak dawno miałbyś to w dupie. Jedna wariatka więcej, jedna mniej... Świat jest pełen zdesperowanych idiotek. Niech każdy robi, co chce.

Każdy w końcu ma własne życie i ma prawo zrobić z nim, co uważa... Zmieniłeś się... Takie nagle zmiany raczej się nie zdarzają. Coś się stało?

Siedział naprzeciw. Wyciągnął przed siebie nogi. Grzał ręce o ciepły kubek z kawą. Huśtał się na krześle, jak kiedyś przed laty na lekcjach w ogólniaku. Jakoś wtedy mnie to nic denerwowało. Wpatrywał się we mnie natarczywie.

- Czy coś się stało? - powtórzył.

- Bo ja wiem - zacząłem niepewnie. Denerwowało mnie to jego spojrzenie. Glina, kurde, się znalazł, przysłuchania mu się nagle zachciało. Nawet u siebie w domu czuje się jak w komisariacie.

- Coś ostatnio mi się nie wiedzie. - Sam nie mogłem uwierzyć, że to mówię. - Taki

pechowy zbieg różnych okoliczności... Przytłacza mnie to wszystko... - zacząłem mówić niechętnie. - Najpierw Marco... To przecież wiesz. Marco zmarł, a ja nie mogę się z tym pogodzić. Był moim bliskim kumplem, przyjacielem... Przyjaciół w życiu nigdy nie ma się za wielu. Znałeś go, to był fantastyczny facet, a tak mi tą swoją śmiercią dokopał. Minęło już wiele tygodni, a ja nie mogę się pozbierać... Miałem się zaopiekować Anką, a ona gdzieś zniknęła. Czuję się winny. Zawiodłem Marco i siebie. Skupiłem się na sobie, nic potrafiłem wyjść poza to, co czułem. Przegapiłem coś i ona odeszła... Jeszcze nie zdążyłem się pozbierać po tym wszystkim, kiedy wrócił Rafał z emigracji'. Wiem, że zdążyłeś się z nim parę razy spotkać... W pierwszej chwili cieszyłem się, że on wraca. Przygotowałem jego powrót, a on poczuł się rozczarowany rzeczywistością, którą tu zastał. Wynajął, przez czysty przypadek, to cholerne mieszkanie Anki. Byłem u niego, wszystko, co czułem wcześniej, wróciło znowu ze zwielokrotnioną siłą... - cedziłem coraz wolniej słowa. Nie przywykłem do spowiedzi. Nawet przed samym sobą nie wysiłałem się nigdy na szczerość. Mówiło mi się coraz trudniej. Co mu miałem powiedzieć? Że nieoczekiwanie zaczęły mną targać prawdziwe uczucia? Że ten mój dawny świat wydał mi się nagle papierowy i sztuczny? Że zazdrościłem raptem wszystkim wszystkiego, nawet bólu? Zerwałem z Natalią, bo to dopiero było emocjonalne zero. Na samo wspomnienie dziwię się sobie. Pusta lala spędzająca ze mną noce dla własnej próżności i płaconych przeze mnie jej rachunków. Tak nisko chyba nigdy wcześniej nie upadłem. Może było mi to na koniec potrzebne. Taki cios pięścią pomiędzy oczy, taka nagła weryfikacja rzeczywistości z udawanym światem wyuzdanych wyobrażeń.

Spojrzałem na Krzyśka. Siedział zamyślony, wychylony do tyłu, z wyciągniętymi przed siebie nogami, z rękami zaplecionymi na klatce piersiowej. Milczał, a mnie zżerała ciekawość, o czym tak naprawdę myśli.

Konrad nawiązuje tu do historii opisanej w powieści Deja vu (Novae Res, 2013).

- No, kto by pomyślał... - Wyczułem lekką ironię, a może mi się tylko tak wydawało.

- Jedna studentka nazwała mnie moralnym zerem, a później idiotą - kontynuowałem. Coś jakby uśmiech przemknęło po jego twarzy. - Powiedziała, że tylko idioci boją się być sobą...

- I co? - Spojrzał na mnie uważnie, z rozbawienia przymrużył oczy.

- I nic - powiedziałem z ociąganiem. - Kazałem jej zmienić grupę. Nie można czegoś takiego tolerować... - mówiłem niechętnie. Trudno jest się chwalić tym, że ktoś nazwał cię idiotą. - To było wyjątkowo bezczelne, chociaż w sumie miała rację - dodałem po chwili.

Patrzył na mnie coraz bardziej rozbawiony.

- Co ty powiedziałeś? - Chyba nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- W tym, co mówiła, było sporo racji, chociaż przecież nie mogłem jej tego przyznać...

Po jego twarzy przemknął niekontrolowany uśmiech.

- Bardzo śmieszne, naprawdę. - Aż się we mnie zagotowało. Przyjaciel się znalazł, niech go szlag trafi!

Roześmiał się nagle.

- Wyjdzie na to, że Ewa ma rację - rzucił jakby bez sensu. - Ona zawsze uważała, że może z ciebie

nic jest aż taka kanalia, tylko jeszcze nikt tobą porządnie nie potrząsnął.

Przysunął się bliżej stołu. Wreszcie przestał się bujać na tym krześle. Włączył jeszcze raz

dyktafon. Słuchał fragmentów, cofał i słuchał od nowa. Wstał, przeszedł się po pokoju. Zniknął w drzwiach kuchni, żeby wrócić z kolejnym kubkiem kaw?)'. Ponownie włączył dyktafon i znowu słuchał. „Na pamięć się

uczy czy co?” - pomyślałem.

- Myślisz, że kłamała? - spytałem. - Że to miał być jakiś głupi żart?

- Nie - odpowiedział pewnie. - To brzmi bardzo wiarygodnie.

- Nie wierzysz w tę zabawę z mową ciała? - próbowałem go sprowokować do wypowiedzi.

- Dlaczego? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - No, może nie do końca - przyznał z ociąganiem. - Wicie gestów można wyćwiczyć, nad wieloma odruchami można się nauczyć panować. Grą można ukrywać naturalną mowę ciała. Patrz: politycy, aktorzy, ludzie show-biznesu, pokerzyści...

Ale wasze zajęcia miały sens. Ciekawy pomysł miała ta Julka. Sądzę, że tej dziewczyny rzeczywiście tam nie było.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Pomyśl, co byś zrobił na jej miejscu? Przychodzi ktoś obcy, prowadzi ciekawe, ale niekonwencjonalne zajęcia. Aż nagle wszystko się zmienia. Niewinna zabawa zbliża się niebezpiecznie

do prześladowającego cię ostatnio tematu, a w sali jest człowiek, który coś o tych twoich durnych myślach wie i może chcieć cię zdemaskować... Co byś zrobił?

- powtórzył wcześniej postawione pytanie.

Spojrzał na mnie uważnie. Czekał na to, co powiem.

- Ja bym uciekł... - palnąłem odruchowo.

- No właśnie, każdy by tak zrobił. - Zamyślił się na chwilę. - Wcale byś nie czekał na weryfikację mowy twojego ciała. Obawiałbyś się, że ci się nie uda zapanować nad wszystkim, że jednak ktoś coś zauważy. Spróbowałbyś się ewakuować pod byle jakim pozorem... Spróbowałbyś na wszelki wypadek zniknąć, wycofać się niepostrzeżenie. W końcu to takie proste rozwiązanie. Zawsze możesz powiedzieć, że nagle rozboleła cię głowa, że masz termin u lekarza, o którym wcześniej zapomniałeś, że musisz jechać do domu, bo nie wyłączyłeś żelazka...

- Nikt nie wyszedł z tych zajęć - przerwałem mu. Teraz stało się dla mnie jasne, do czego zmierza.

- Na tych zajęciach byli wyjątkowo wszyscy studenci i nikt z żadnej grupy nie opuścił nagle sali.

- Mówisz, że byli wszyscy. Jesteś tego pewien?

- Jestem - odpowiedziałem zdecydowanie. - Brakowało tylko tych, którzy właśnie bili życiowe rekordy na zawodach pływackich, Marzeny, bo jest matką karmiącą, i Weroniki, która wyjechała na międzyuczelnianą wymianę...

- Musiał się w to wkraść jakiś błąd... A te dziewczyny z trzeciego roku?

- Odpadają, miałem już z nimi zajęcia. Obie mają chłopaków w tej samej grupie. Patrzą sobie w oczy i tulą się do siebie nawet na zajęciach.

- Te pływaczki?

- Jeszcze nie wrócili. Pływają jak nikt wcześniej w dziejach naszej uczelni. Odpadają... - rzuciłem obojętnie. - Mój telefon dzwonił dzisiaj rano, kiedy właśnie trwało oficjalne zakończenie turnieju, a one stawały na podium.

- Matka karmiąca też odpada.

- Odpada, ma męża w tej samej grupie.

Zamyślił się. Wyjął papierosa i zaczął go miętosić w palcach. Myślę, że jego rodzice do dziś dnia uważają, że te papierosy to przeze mnie. To nieprawda, zaczął palić, kiedy studiował prawo. Siedział, milczał i znęcał się nad tym niezapalonym papierosem. Przestałem już wierzyć, że coś wymyśli.

Od początku czułem, że to jakieś totalne gówno. Przełknąłem łyk już dawno ostygłej kawy i nagle poczułem się tym wszystkim bardzo zmęczony. Miałem za sobą przekłęty tydzień - dni pełne nic niewnoszących ruchów, nieprzespane noce, obce mi wcześniej emocje, których nie kontroluję i które mnie z dnia na dzień coraz bardziej przerażają. Stracony czas, energia zamieniona na nic, para w gwizdek. Marzyłem już tylko o powrocie do domu. Krzysztof siedział, milczał, przestał się bawić tym swoim papierosem.

Zaczął bazgrać na kartce jakieś gryzmoły. „Czas na mnie - pomyślałem - czas wracać do domu. Zdrzemnąć się i spróbować o tym wszystkim zapomnieć. Może uda mi się choć trochę odpocząć przez weekend”.

- Mówiłem ci, kwadratura koła - spróbowałem przerwać milczenie. - Pewnie trzeba to tak zostawić.

Tu nie da się nic więcej wymyślić...

Sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał.

- Co mówisz?

- Kwadratura koła... - powtórzyłem.

- Chyba nie całkiem - spojrzał nagle w moją stronę. - Ta dziewczyna, o której wspomniałeś, gdzie pojechała na tę wymianę?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - Osłupiałem.

- Rusz głową, chyba da się to jakoś ustalić!

- W sobotę? Wątpię.

- Postaraj się! Idę o zakład, że pojechała do Saksonii.

\* \* \*

Melania nie miała najmniejszego pojęcia o wymianach studenckich. Podała mi prywatny numer telefonu do pani Heleny z dziekanatu. Zadzwoiłem i od razu zrozumiałem, że zatraciłem chyba instynkt samozachowawczy tudzież sprawność logicznego myślenia. Oburzona kobieta wylała na moją głowę całe wiadro swoich frustracji, żeby poinformować mnie na koniec, jakie są godziny pracy dziekanatu, i wykrzyzczyć mi do ucha, że sobota i niedziela są dla niej dniami ustawowo wolnymi od pracy, co ma zagwarantowane od ponad trzydziestu pięciu lat w umowie o pracę. Wrzeszczała, że mam tupet graniczący z chamstwem, zakłócając jej spokój w sobotę, kiedy to właśnie wróciła uduchowiona z kościoła po spotkaniu koła różańcowego. Przeze mnie znowu grzeszy, a okazję do spowiedzi będzie miała dopiero jutro.

Krzyczała, jakbym był głuchy, że świat jest pełen grzeszników głównie z powodu osób trzecich, które swym idiotycznym zachowaniem prowokują innych do złorzeczenia, gniewu i

grzechu. Zapytana, czy mimo wszystko nic mogłaby mi udzielić tej drobnej informacji, skoro już i tak zakłóciłem jej ten święty spokój, wpadła w jeszcze większą furję, wrzeszcząc, że pieczeń jej się przeze mnie przypala, a cała kuchnia jest usłana mąką ziemniaczaną z robionych właśnie klusek, bo kiedy ze mną rozmawia, aż ręce jej się z nerwów trzęsą, i że nie udzieli mi tej informacji wcześniej niż w poniedziałek o dziesiątej rano. Nie będzie wyjątkiem łamać ogólnie obowiązujących reguł. Rzuciła słuchawką, a mnie jeszcze długo huczało w uszach od tego potoku wyrzeszczanych słów. Ciekawe, za co Melania się na mnie zemściła, dając mi jej numer telefonu, jakoś nie mogłem uwierzyć, że nie przewidziała całej tej idiotycznej wymiany zdań, wszak dobrze знаła panią Helenę. Pozostał mi tylko Internet i strona naszej uczelni. Znalazłem tu zdjęcie grupy czternastej.

Odszukałem na nim tamtą dziewczynę. Stała w drugim rzędzie jako pierwsza z lewej. Jej twarz była znajoma - długie, ciemne, kręcone włosy opadające swobodnie na ramiona, ciemna oprawa niebieskich oczu, śniada karnacja, regularne rysy twarzy, jakby żywcem wzięte z jakiejś greckiej płaskorzeźby...

Cóż za idiota mógł tak podle oszukać taką dziewczynę!

Później szło mi już o wiele gorzej. Sprawa wydała mi się z góry przegrana. Jak znaleźć zakichaną studencką wymianę wśród dziesiątek planów zajęć, zastępstw, dat kolokwiów, zaliczeń i egzaminów, wśród mnóstwa informacji, poczynając od tych istotnych, przez mniej ważne, do zupełnie nikomu niepotrzebnych. Strona uczelni była prowadzona wyjątkowo nierzetelnie, bo nagle poczułem serce gdzieś w gardle, gdy wśród nazwisk asystentów zakładu etyki zawodowej tuż za swoim nazwiskiem zobaczyłem nazwisko Marco - obok planu zajęć, których nigdy w tym roku nie poprowadził. Co za gówno! Ten idiota, który głupim błędem przysparza innym bólu, powinien za to solidnie beknąć. Dalej natknąłem się na zakładkę z uczelnianym biuletynem ze zdjęciem „Love Verona” na okładce. Po sąsiedzku zamieszczono zdjęcia z pogrzebu Marco i ogłoszenie wyników w konkursie na najlepszego - zdaniem studentów - asystenta naszej uczelni, gdzie na fotografii królował uśmiechnięty jak zawsze Marco. Tuż obok widniały zdjęcia z wieczoru poświęconego jego pamięci. Nie było mnie tam wtedy, tylko Rafał mi o nim opowiadał. Został zaproszony przez studentów jako jedyny z grona pedagogicznego. Gdzie spojrzeć, tam Marco. Jeszcze tylko tego mi dzisiaj brakowało! Szlag by to trafił! I bez tego Marco ciągle nawiedza mnie w snach. Wyciągnąłem się na tapczanie. Przymknąłem oczy. Próbowałem zasnąć. Trzeba będzie poczekać do poniedziałku. Nic z tego gówna w Internecie nie wynika. Włączyłem bezmyślnie telewizor.

Prognoza pogody. „Niech zostanie” - pomyślałem. Byłem tak zmęczony, że nie chciało mi się już nawet ruszyć ręką. Przy tym też można zasnąć. „W poniedziałek nastąpi nagle załamanie pogody. Szybkość wiatru wzrośnie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, w porywach do sześćdziesięciu, ciśnienie spadnie gwałtownie, pojawią się opady marznącej mżawki powodującej gołoledź. Temperatura spadnie do około minus dwóch stopni... Mgła w niektórych rejonach może się utrzymywać przez cały dzień...”. Głos cichł, oddalał się, aż w końcu zamilkł. Wymieszał się z pierwszymi marzeniami sennymi, z powoli wylaniającymi się gdzieś z podświadomości wspomnieniami... Przy podobnej pogodzie miałem w zeszłym roku stłuczkę. Byłem w drodze na dyżur. Na ulicach zero ruchu. W końcu kto startuje w święta o szóstej rano, zwłaszcza po sylwestrowej nocy. Tamten Nowy Rok przywitałem w towarzystwie Justyny na wsi, w domu jej przyjaciół, wznosząc toasty czystą wodą, patrząc na



coraz bardziej pijane towarzystwo i marząc o paru godzinach snu przed noworocznym dyżurem w pogotowiu. Justyna była zbyt pijana, żeby choć otworzyć oczy, i zbyt rozleniwiona, żeby się ze mną pożegnać, a ja pożałowałem, że tej sylwestrowej nocy nie spędziłem samotnie. Przynajmniej byłbym wypoczęty. Wokół wisiała gęsta mgła, która osadzała szadź na czym się dało. Wszystko było pociągnięte jakby warstwą przezroczystego lukru. W innych okolicznościach pomyślałbym pewnie, że jest pięknie. Tym razem nie było czasu, by podziwiać naturę. Długo skrobałem szyby. Później silnik nic chciał odpalić.

Akumulator kręcił powoli, rozleniwiony wilgocią i zimnem. Nie mogłem się uporać z otwarciem tej ich cholерnej bramy, która trzymała się tylko na słowo honoru na jednym rozklekotanym zawiasie. Zanim Andrzej zwlókł się z łóżka, żeby mi pomóc, minęło następne piętnaście minut. Kiedy wreszcie ruszyłem, byłem już spóźniony. Jechałem trochę za szybko, zbyt nerwowo zmieniałem biegi.

Nagle przed maskę wyskoczył ten jelonek, odruchowo wcisnąłem hamulec, obróciło mnie o sto osiemdziesiąt stopni. Przodem samochodu uderzyłem

w przydrożne drzewo. Dobrze, że tam było. Gdyby nie ono, pewnie zacząłbym dachować. Początkowo byłem chyba w szoku. Wydawało mi się, że nic się takiego nie stało.

Samochód stał na poboczu. Zadzwoiłem po pomoc drogową, zatrzymałem pierwszy przejeżdżający samochód i tylko odrobinę spóźniony zjawiłem się na podstacji pogotowia.

Dziwny ból przy oddechu pojawił się zniecka, po czym podstępnie narastał. Pomyślałem, że to przez poduszkę powietrzną, która otworzyła się trochę za późno, i przez pasy, które dość mocno docisnęły mnie do fotela. Po powrocie z pierwszego wezwania straciłem przytomność.

Już podczas wizyty u pacjenta czułem się dziwnie. Jakby mi nagle zaczęło brakować powietrza. Było mi mdło i duszno. Kręciło mi się w głowie. Próbowałem otworzyć okno, ale przerażona żona pacjenta zaczęła krzyczeć, że chcę go dodatkowo przeziębic. Runąłem ponoc jak długi po wyjściu z karetki, czego już nie pamiętam. Rok zacząłem złamanym obojczykiem, przebitą opłucną i odną pourazową, szpitalem, miesiącem zwolnienia oraz skasowanym samochodem. W sumie dobrze, że tylko tyle. Zawsze mogło być gorzej. Jelonek zdołał uciec. Dobrze, że żyje, bo gdyby zginął, to cała ta niemiła przygoda miałaby jeszcze mniej sensu. Chyba na chwilę na dobre zasnąłem, bo tamta droga zmieniła się raptem w zupełnie inną, która wila się zakrętami serpentyny coraz wyżej i wyżej. Po prawej stronie była ograniczona dużymi, omszałymi, wilgotnymi od mgły głazami sięgającymi brzegów jezdni.

Głazy pięły się w górę, budując kamienną ścianę, która kończyła się gdzieś wysoko, zasłonięta ciemnozielonymi koronami świerków i plataniną ogołoconych o tej porze roku gałęzi buków, lśniących zamrożonymi kroplami wody. Z lewej strony szosy zaczynał się stromy stok, gdzieniegdzie znaczony czubkami pojedynczych drzew. Droga stawała się coraz bardziej stroma, przydrożne drzewa migały coraz szybciej i szybciej. Raptem za kolejnym zakrętem pojawił się ostry łuk w lewo. Z naprzeciwka z szaloną prędkością wyjechał jakiś samochód, który nagle wpadł w poślizg. W ostatniej chwili odbiłem kierownicą. Minąłem go.

W lusterku zobaczyłem, jak tamto auto zaczęło tańczyć na wąskiej górskiej drodze. Koła odbijały się raz po raz od kamiennej barierki, aż wreszcie samochód przechylił się na bok i zaczął dachować, przewalając się po głazach kamiennego urwiska... Obudziłem się zlany potem. Serce biło mi z przerażenia jak oszalałe. Przed oczyma miałem jeszcze tamtą stromą oblodzoną drogę, dziewczynę za kierownicą, jej długie ciemne włosy... O Boże, Weronika!

Szlag by to trafił! Wariuję! Nawet w snach nie mogę się od tego uwolnić. Po chwili jednak pomyślałem, że niepotrzebnie rozczulam się jak kretyn nad sobą. Od dzisiejszego poranka komórka milczała jak zaklęta. Ja na jej miejscu też bym już nic zadzwonił. Zwlokłem się z sofy. Zasiadłem przed monitorem komputera. „Muszę spróbować jeszcze raz od nowa - pomyślałem. - Muszę coś znaleźć w tym chaosie naszej uczelnianej strony”. Nic jednak nie odkryłem. Ostatnią deską ratunku było forum studenckie. Wrzuciłem tam pytanie o wymianę z Saksonią i po jakimś czasie ktoś mi odpowiedział, że w zeszłym roku był w ramach wymiany na wydziale medycznym Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie, w Saksonii i że te właśnie wymiany należą do uczelnianych tradycji. Uwierzyłem mu, choć informacja, że wydział medyczny znajduje się na Uniwersytecie Technicznym, nie przemawiała mi jakoś do wyobraźni. Sprawdziłem swoją skrzynkę mailową. Parę reklam, jakieś szkolenie internetowe, zaproszenia na dni otwarte kliniki psychiatrycznej, kilka spóźnionych prac studentów... Nic, w każdym razie zupełnie nic w tej sprawie. Chociaż patrząc obiektywnie na wydarzenia ostatniego tygodnia, to z zaproszenia na dni otwarte kliniki psychiatrycznej powinienem chyba skorzystać.

Zadzwoniłem do profesora. W pierwszej chwili zaniemówił, zaskoczony moim telefonem w sobotnie popołudnie. Sam wiedziałem, że to nietakt, ale musiałem zadzwonić.

- Muszę wziąć parę dni urlopu - zacząłem bez większego wstępu. Po drugiej stronie panowała zupełna cisza. - Potrzebuję paru wolnych dni... - powtórzyłem inaczej, bo wydawało mi się, że nie usłyszał.

- Słyszę. Nie jestem głuchy. Nie musisz mi tego powtarzać! - wybuchnął niespodziewanie.

- Słyszę, ale nie rozumiem. - Głos profesora brzmiał lodowato. - Nie rozumiem, o czym pan doktor do mnie mówi... - Zwrot „pan doktor” nie zapowiadał nic dobrego. Nie pamiętam, żeby profesor kiedykolwiek zwracał się do mnie w ten sposób. Zawsze mówił do nas po imieniu. Starał się, żeby w zespole panowała przyjazna, prawie rodzinna atmosfera.

- Jest pan już od paru lat nauczycielem akademickim, więc dobrze powinien pan wiedzieć, że listopad nie jest okresem urlopów. - Profesor cedził dosadnie każde słowo.

- Wiem. Oczywiście, że wiem, ale to dla mnie bardzo ważne

- Jak ważne? - Jednym krótkim pytaniem zmusił mnie do zweryfikowania tego, co czuję.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że - sam nie wiem dlaczego - ta sprawa stała się ważniejsza od całej reszty. Mógłbym bez zastanowienia powiedzieć, że jest najważniejsza na świecie.

- Życiowo ważne. - Nie mogłem uwierzyć, że powiedziałem to głośno.

- Zaręczyny? Ślub? Pogrzeb? Narodziny dziecka? - W powietrzu aż się zaroilo od znaków zapytania. - Na to może pan, zależnie od powodu, dostać urlop okolicznościowy.

- A w którym przypadku jest najdłuższy? - palnąłem bez zastanowienia.

Zamurowało go. Tego się pewnie po mnie nie spodziewał. Po drugiej stronie zapanowała grobowa cisza. Znałem bardzo dobrze starego. Myślałem, że zacisnął dłoń na słuchawce. Palce pobiły mu już pewnie, szczęki chodziły ze zdenerwowania, a nie odzywał się tylko dlatego, żeby znów nie wybuchnąć.

On był zawsze ostoją spokoju, mistrzem dystansu i prawdziwej lub granej obojętności. Tym razem moja prośba go zaskoczyła, a może kompletnie wyprowadziła z równowagi.

- Zgodnie z kodeksem pracy, pracodawca musi dać pracownikowi płatne dwa dni wolne w wypadku Ślubu lub narodzin dziecka, a także Śmierci i pogrzebu żony, męża, dziecka, ojca, matki, ojczyma i macochy - recytował z pamięci. - Jeden dzień z powodu Ślubu dziecka i jeden dzień z powodu Śmierci siostry, brata, teściowej, teści, babci, dziadka albo innej osoby pozostającej na utrzymaniu i pod opieką pracownika - nakręcał się coraz bardziej. - Z tego, co mi wiadomo, to na dwa dni urlopu nie masz szans, chyba że postanowiłeś się wreszcie ożenić... - skończył tryumfalnie.

- Muszę mieć to wolne - próbowałem nadal walczyć.

- Nie i jeszcze raz nie! Słyszysz, co mówię? Nie ma urlopów w listopadzie. Nie ma i już! To jakiś obłąd. - Profesor posapywał ze zdenerwowania.

- A urlop na żądanie? - brnąłem dalej. - Ponoć pracodawca nie może odmówić.

Chyba niepotrzebnie dolałem oliwy do ognia, bo uspokajający się powoli profesor wybuchnął ponownie ze zwielokrotnioną siłą.

- A ja odmawiam! - powiedział bardzo głośno. - Odmawiam, i jest mi wszystko jedno, czy jest to zgodne czy nie z kodeksem pracy - mówił kategorycznie. - Nie pracujesz na budowie, że ci się najwyżej termin wykonania o jeden dzień przesunie.

Ty pracujesz z ludźmi.

Najpierw Rafał zadzwonił do mnie, że bierze urlop na żądanie. Parę dni później poinformował mnie, że niestety musi wypowiedzieć umowę o pracę, że nie wraca, że zostaje w Wenecji. Słowo „musi” wypowiedział z taką radością, jakby praca w naszym zakładzie była dla niego nieprzerwanym pasmem

udręki, nasze towarzystwo sprawiającą mu ból męczarnią, a praca ze studentami przekleństwem. A ja myślałem, że Rafał lubi swoją pracę.

Głupi, stary i naiwny chyba już jestem. Jak to?

On chce wypowiedzieć umowę o pracę?

Powiedziałem Rafałowi, że w tej sytuacji muszę go zwolnić dyscyplinarnie, że to jest porzucenie pracy, że z takim wilczym biletem to on długo nic sensownego nie znajdzie, a on mi na to, że jemu jest wszystko jedno. Rozumiesz? Jemu jest wszystko jedno! Zidiociał czy co? - Profesor wrzeszczał, a ja pomyślałem z radością, że jednak musiał się Rafałowi udać ten wyjazd do Wenecji. Wyglądało na to, że wiedziałem na ten temat mniej niż profesor. - Wam się w głowach, panowie, przewracało! - Ostry głos starego sprowadził mnie natychmiast z powrotem na ziemię. - Wy pracujecie na kontraktach! A jak wiadomo, one są zawierane na okres roku akademickiego. Nikt nie ma prawa ich zerwać przed upływem tego terminu, czyli przed trzydziestym wrześniem, przed zakończeniem sesji poprawkowej. To jakiś obłąd! Wyście chyba poszaleli! On mi pieje z zachwytu nad urokami Wenecji, a ja go muszę wylać dyscyplinarnie. Po czymś takim on już nigdy nie będzie miał powrotu na uczelnię. Zresztą nie tylko na naszą. Pracy nie dostanie nie tylko na uczelni, ale w żadnej placówce służby zdrowia.

Przyjdzie mu jeszcze raz emigrować. Rozum mu odebrało. Ledwie jakoś nam się udało obstać jego godziny kosztem waszych nadgodzin; uczelnia idiotycznie wydaje pieniądze, główna księgowka zarzuca zakładowi kompletny brak gospodarności, a ty mi tu wyjeżdżasz z kolejnym urlopem! Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie ma mowy! - mówił kategorycznie. Wtem raptownie zamilkł. Tylko czekałem na tę chwilę.

- Muszę mieć wolne. - Staralem się, żeby to zabrzmiało przekonująco. - Muszę na parę dni

wyjechać.

- Każdy tak może powiedzieć! Nie będzie żadnych wyjątków! Jak tak dalej pójdzie, to zawiesimy ćwiczenia. Czy ty uważasz, że Melania, Zosia, Tomek i Andrzej dadzą radę uczyć w czwórkę za sześciu? Czy chcesz mi udowodnić, że od tylu lat mieliśmy za dużo etatów? To tylko woda na młyn tych, którzy od zawsze uważali, że u nas się nic nie robi...

- Rozumiem wszystkie argumenty pana procesora - wszedłem mu w słowo - ale i tak muszę wyjechać. - Zapewne zabrzmiało to bezczelnie.

- Ty mnie tu nie szantażuj! - Profesor zagotował się z oburzenia i nagle zamilkł. Czekałem już tylko, kiedy odłoży słuchawkę. Dokuczylimy mu ostatnio z Rafałem, zaburzyliśmy harmonię, ład i porządek panujące w jego zakładzie. Stary był zawsze poukładany i systematyczny. A teraz ten cały jego idealny świat w ciągu paru dni legł w gruzach.

Wcześniej każdy z nas miał w nim swoje miejsce, a tryby stworzonej przez profesora maszyny zdawały się funkcjonować nienagannie. Złapałem się na tym, że zaczynam mu współczuć. Najpierw Marco, później Rafał, teraz ja... Nie dziwię się, że się zdenerwował.

Każdy by się wkurzył.

- Gdzie jesteś? - spytał niespodziewanie, kiedy

ja właśnie zacząłem się zastanawiać, czy jest tam jeszcze po drugiej stronie.

- W domu - odpowiedziałem zaskoczony taką nagłą zmianą tematu. Jego głos brzmiał teraz jakoś mniej oschle.

- Wypiłeś już popołudniową kawę? - Zdziwił mnie coraz bardziej. Co go może obchodzić, czy piłem kawę?

- Nie - bąknąłem zaskoczony. - Próbuję się pakować...

- To się dobrze składa. - Ostatnią uwagę puścił mimo uszu. - Przyjedź do mnie do domu, mam nowy ekspres do kawy, żona na weekend nawet coś upiekła. Wiesz, gdzie mieszkam, niedawno u mnie byłeś. Wypijemy kawę, pogadamy... Może kiedy usiądziemy naprzeciw siebie, to wszystko stanie się prostsze...

Prostsze, nic prostsze, nie byłem tego taki pewien. A swoją drogą, ciekawy człowiek z tego naszego starego...

\* \* \*

Profesor mieszkał w południowej części miasta. Byłem u niego tylko raz, tuż po śmierci Marco. Zadzwoił do mnie wtedy kumpel z neurochirurgii i powiedział, że Marco odszedł, że zmarł na stole operacyjnym. Mówił matowym głosem, który wydawał się wyprany z jakichkolwiek emocji. Powiedział, że operacja przebiegała prawidłowo, powoli zbliżali się już do końca, kiedy niespodziewanie zatrzymało się serce Marco. Mówił, że go długo reanimowali, że nikt nie miał odwagi się przyznać, że to już koniec, że przegrali, że ich działania nie mają żadnego sensu, że ponieśli porażkę, że jego już nie ma. Mówił, że pamięta tylko defibrylacje i ampułki adrenaliny, w kółko i bez końca. Twierdził, że jego świadomość jakby się wyłączyła, że działał jak automat, nie jak człowiek, że mechanicznie wykonywał znane od lat schematy.

Nic był w stanie myśleć. Coś się w nim zatrzymało. Rozpacz zastąpiła wszystkie inne uczucia. Prosił, żebym zadzwonił do Ani, żebym jej to powiedział, że przecież jestem ich przyjacielem. Nie byłem w stanie. Przerosło mnie to, pokonało, rzuciło na kolana. Wydawało mi się, że oszaleję. Pojechałem wtedy do starego. Sam nie wiem, dlaczego właśnie do niego.

Musiałem z kimś porozmawiać. Raptem on przyszedł mi na myśl.

Przegadaliśmy całą noc. Chyba nam obu było to potrzebne. Czy pomogło, tego nie jestem pewien, bo jakoś do dzisiaj nie mogę się pozbierać. Wtedy był koniec lata i wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej.

Z trudem poznałem teraz ten stary, ukryty w głębi dużego ogrodu dom profesora. Ogród był chlubą jego żony. Świat o tej porze roku traci dużo ze swojego piękna. Olbrzymie platany straszyły gołymi konarami, kwiatowe klomby, jeszcze do niedawna kuszące barwami, zastąpiły skiby świeżo skopanej ziemi. Bryły piaskowca, po których latem spływały strumienie wody, łączące się w kaskadę niewielkiego wodospadu wpadającego z szumem pomiędzy kwitnące nenufary małego stawu, wydawały się teraz dziwnie surowe. Wiatr przeganiał pojedyncze suche liście, ale i one straciły już swoje barwy; przesiąknięte wilgocią, nadwyrężone pierwszymi przymrozkami, nie cieszyły już oczu ani złotem, ani purpurą, wszystkie nabrały podobnej, brudnobrązowej barwy. Do zapamiętanego przeze mnie z tamtej wizyty urokliwego zakątka wtargnęła zimna, nieprzyjazna jesień.

Ostatnim razem siedzieliśmy z profesorem w drewnianej altanie stojącej z tyłu za domem.

Przegadaliśmy całą noc. Tam zastały nas pierwsze promienie słoneczne, przebijające się z trudem przez gęsty dach liści. To był koniec lata, wszystko aż kipiało barwami kwiatów i soczystą zielenią. Żona profesora zostawiła nas samych, wycofała się taktownie, a my gadaliśmy i gadaliśmy, jakby to mogło jeszcze coś zmienić, oddalić tę beznadziejność, przywrócić nadzieję, cokolwiek uratować. Na pogrzebie Marco profesor mówił o niezwykłym człowieku, który potrafił połączyć w jedno medyczną wiedzę z wrażliwością dziecka, profesjonalizm z empatią, medyczne standardy z człowieczeństwem. Po nim głos zabrał tamten student. Rozłożył wszystkich, gdy powiedział, że odszedł człowiek, po którym każdy może składać kondolencje każdemu. Tamta mała dziewczynka z hospicjum wyszlochała, że straciła kogoś tak bliskiego, jak mama i tata. Studenci opowiadali o nim jak o przyjacielu.

Odszedł taki fantastyczny facet, a ja ciągle nie mogę się od tego uwolnić. Moje życie dzieli się na czas przed i po śmierci Marco. Idiotyczne... Tak jakby nagle odchodząc, Marco coś we mnie zmienił. Szczekanie psa wyrwało mnie z zamyślenia. Gonzo przywitał mnie tuż za bramą. Rozczochrane wielkie psisko wyskoczyło jak spod ziemi. Chyba mnie nie poznał, bo z początku ujadął jak opętany. Stałem niepewnie. Obwąchał mnie, pomerdał ogonem i pozornie zajął się swoimi sprawami. Odprowadził mnie jednak uważnym wzrokiem aż pod drzwi domu. Profesora zastałem w salonie.

- Wejdz! Usiądz! Zaraz wracam, przygotuję tylko kawę.

Piliśmy kawę, milczeliśmy. Jakoś stary nie spieszył się do tej rozmowy. Wstał, zaczął chodzić po pokoju. Robił tak zawsze, kiedy się nad czymś intensywnie zastanawiał. Po zebraniach w pracy miałem czasami wrażenie, że w głowie nadal słyszę te jego kroki. Miotał się zawsze w jakiejś ściśle określonej przestrzeni w swoim gabinecie, najczęściej zamkniętej starym, pasującym do historii naszej uczelni biurkiem z wiecznie otwartym laptopem na blacie, i ciężkimi bordowymi zasłonami zwieszającymi się z sutku nad oknem. Tu, w jego domu było inaczej. Pomieszczenie było dużo większe. Profesor wędrował pomiędzy panoramicznym oknem wychodzącym na ogród a otwartą przestrzenią za moimi plecami prowadzącą do jadalni. Siedziałem, piłem kawę, już dawno przestałem wodzić za nim wzrokiem, bo i tak wiedziałem, że z tego jego chodzenia nic dobrego nie wyniknie.

- Czy poza słowami „muszę wyjechać” możesz mi powiedzieć coś więcej? - Zatrzymał się nagle tuż przy mnie. - To wszystko jest dla ciebie takie nietypowe.

Przysunął sobie krzesło. Usiadł przy stole naprzeciw mnie. Wbił we mnie wzrok i czekał, co mu powiem.

- Nim będę cię musiał wyrzucić z pracy, chciałbym mieć szansę cię zrozumieć. To musi być coś naprawdę wyjątkowego.

- Bo to jest coś wyjątkowego - zacząłem z ociąganiem. Mówiłem, a on słuchał. Przysunął bliżej krzesło, jakby dzieląca nas szerokość stołu mogła zaburzać komunikację. Skończyłem, a on milczał. Przestał się już spieszyć do dalszej rozmowy. Odruchowo zaczął się bawić filiżanką dawno ostygłej kawy. Raptem wstał i ponownie zaczął chodzić po pokoju. Cztery kroki tam i cztery z powrotem. Znowu zaczęły mi te kroki dudnić w głowie.

- Rzeczywiście, musisz wyjechać. - Zatrzymał się tuż obok. - Musisz i pojedziesz! - powiedział nieoczekiwanie. Zabrzmiało to trochę jak rozkaz.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

W końcu do obowiązków uczelni powinno należeć sprawdzanie warunków, w jakich przebywają studenci w trakcie międzyuczelnianej wymiany. - Profesor mówił pogodnie, tak jakby fakt, że znalazł jakąś furtkę, za którą można było ukryć mój brak subordynacji, nagle go uspokoił, a nawet ucieszył. To się nawet dobrze składa - mówił dalej. - Oni zawsze zapraszali kogoś z kadry. Od paru lat nikt od nas tam nie był. Jakoś zawsze brakowało na to czasu.

W ubiegłym tygodniu dostałem nawet znowu list w tej sprawie. Planowałem napisać w weekend jakieś wyjaśnienie, zasłonić się brakiem możliwości organizacyjnych, natłokiem piętrzących się problemów kadrowych i chronicznym brakiem czasu - przekonywałem sam siebie. - Dostaniesz delegację z zakładu. Postaraj się nie narozrabiać. To nasza bratnia uczelnia od ponad dwudziestu lat. Nie jedź nocą! Zapowiadają fatalną pogodę. W podobnych warunkach ubiegłej zimy skasowałeś samochód...

\* \* \*

Dziewczyna wydała się nic do pokonania. Uchylone lekko drzwi blokowała stopą, opierała się barkiem o framugę, jakby się obawiała, że wtargnę bez zaproszenia do środka.

- Weroniki nie ma w domu! - powtórzyła kolejny raz, a charakterystycznie wymawiane przez nią „r” aż zadrżało w powietrzu. Nic miała ochoty na żadne dyskusje. Nagle odżyły we mnie wszystkie wyświechtane stereotypy dotyczące kultury niemieckiej, chociaż jeszcze na portierni wszystko wydawało się takie proste i piękne. Był to już kolejny odwiedzony przeze mnie dom studencki w tym akademickim miasteczku. Tym razem szczęście mi dopisało.

Weronika Lipska była na liście mieszkańców.

Całe szczęście, bo gdy sobie uświadomiłem, że na tej uczelni studiuje blisko czterdzieści tysięcy studentów, z czego około dziesięciu procent to cudzoziemcy, byłem przerażony. Kobieta w recepcji była bardzo przyjazna, a układ zmarszczek na jej twarzy świadczył o tym, że uśmiecha się od pierwszego do ostatniego mijającego ją każdego dnia studenta.

- Niech pan poczeka, zaraz sprawdzę. Jak pan mówił: Weronika Lipska? Tak, mieszka odpowiedziała pewnie, nawet nie sprawdzając listy lokatorów. - Wcześniej też u nas mieszkała. Cieszymy się, że do nas wróciła. To takie dobre dziecko. Bardzo mi jej tutaj brakowało.

Zresztą, jak nam wszystkim -rozgadała się nagle. - Wyszła dzisiaj wcześniej rano. Mówiła coś o jakiejś wycieczce. Nie widziałam, żeby już wróciła.

Może pan jednak sprawdzić, w końcu ja też czasami mogę coś przegapić. Mieszka w 311 na trzecim piętrze. Mieszkają w takim składzie jak kiedyś, wróciła po prostu do swoich. To Gemeinschaftswohnung. No, wie pan, takie wspólne mieszkanie dla kilku studentów - pospieszyła z wyjaśnieniami, widząc mój niepewny wyraz twarzy.

- Mają wspólny pokój dzienny, kuchnię i łazienkę, każdy ma osobną sypialnię. Tak jest taniej, a myślę, że i weselej. U nas mieszka tak wielu młodych ludzi, nie tylko studentów - rozgadała się na dobre. Spojrzała na mnie uważnie. -Ja tu gadam, a pan pewnie się spieszy. Winda jest z tyłu, po prawej stronie. - Uśmiechnęła się szeroko, pomachała mi ręką.

W zestawieniu z kobietą pracującą na portierni to zjawisko w drzwiach mieszkania 311 wydało mi się potworne. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jej fryzura - postrzępione włosy z lewej strony opadały na ramię, z prawej były obcięte bardzo krótko, tuż przy skórze, na paromilimetrowej długości jeża. Krwistoczerwona grzywka kontrastowała z upiorną czernią pozostałej części głowy. Brwi miała nienaturalnie czarne, a rzęsy sztucznie wydłużone i posklejane nadmiarem tuszu. Tragicznej całości dopełniał kolczyk przewleczony przez dolną wargę oraz duże, ciężkie, metalowe koła w uszach. Na przedramieniu widoczny był tatuaż, przedstawiający dwie małe jaskółki i łączące je serca. Tatuaż ten nijak nie pasował do całej reszty. Był delikatny, subtelny, na swój sposób romantyczny. Do tego dziwadła bardziej pasowałaby trupia czaszka ze skrzyżowanymi pieszczelami albo jakiś inny mniej lub bardziej wymowny symbol upadku, nienawiści i śmierci. Całości dopełniały pomalowane na czarno paznokcie, tak długie, że aż przypominające szpony. Raptem pomyślałem, że pewnie Weronika musi się tu czuć obco.

- Zrozumiał pan? - mówiła głośno i powoli, jakby głośność wypowiedzianych słów mogła zrekompensować ewentualne braki w moim niemieckim. - Weroniki nie ma w domu - prawie sylabizowała.

- Zrozumiałem. - Spróbowałem się przemóc i uśmiechnąć się do tego potwora. - Poczekam! Jestem bratem Weroniki - palnąłem bez większego zastanowienia, szybciej, niż zdążyłem się przerazić tym, co chcę powiedzieć.

- Bratem? - Dziewczyna spojrzała na mnie odrobinę życzliwiej, nawet jej głos stał się jakby mniej skrzeczący. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. - Jeżeli jest pan bratem Niki, to proszę wejść do środka. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Rzecz jasna, rodziny to również, dotyczy. - Zabrzmiało to całkiem przyjaźnie.

Otworzyła szeroko drzwi. Zrobiła krok do tyłu. Machnęła rękaw zapraszającym gości.

Wszedłem niepewnie do środka. Omiotła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Coś mało jesteście do siebie podobni - rzuciła niedbale.

- Bo nie od tych samych rodziców... - bąknąłem bez sensu. Spojrzała na mnie uważniej, jakby oczekiwała jakiś wyjaśnień. - Ojców mieliśmy różnych - rzuciłem niedbale.

- Bywa - mruknęła ze zrozumieniem. - Mam na imię Anke. - Wyciągnęła do mnie rękę.

Znowu mignęła tymi czarnymi paznokciami.

- Konrad. - Uścisnąłem mocno jej dłoń.

Posadziła mnie w fotelu. Sama usiadła niedbale naprzeciw.

„Dziwne, niespójne zjawisko - pomyślałem. - Krzycząca wulgarność okiełznana w jednej chwili przez konwencjonalne ramy standardowych zachowań. Aż niemożliwe, że te koszarne włosy i zniekształcone kolczykiem usta współistnieją z serdecznym uściskiem dłoni i ciepłym uśmiechem”.

- Nie dałeś jej znać, że przyjeżdżasz?

- Nie, to miała być niespodzianka. Mieszkamy daleko od siebie. Widujemy się rzadko...

Zupełnie przypadkiem dostałem delegację w tę stronę... - kłamałem jak z nut w stopniu, na jaki pozwalał mój niemiecki. „Ciekawe, czy ona zna się choć trochę na mowie ciała? - pomyślałem. - Jeżeli tak, to pewnie zdradziłem się już niejednym gestem. Dobrze, że naprzeciw mnie siedzi Anka, a nie Julia.

Chyba kiedyś za te wszystkie kłamstwa przyjdzie mi się smażyć w piekle”. - Masz pecha... - stwierdziła niespodziewanie dziewczyna. - Weronika nie wróci dzisiaj na noc. Rano pojechały z Jessi do Bautzen.

Stamtąd miały podjechać do pałacu w Rammenau na jakiś koncert. Planowały przenocować po koncercie gdzieś w okolicy. Moim zdaniem wycieczka w taką pogodę jak dzisiaj to zupełnie nietrafiony pomysł. Dziwię się, że też im się chciało... Nice bardzo zależało. Wróćą jutro prosto na zajęcia...

- W takim razie wpadnę jutro...

Dźwignąłem się z fotela z myślą, że już czas się pożegnać.

- Masz gdzie spać? - zaskoczyła mnie pytaniem.

- Jeszcze nic, znajdę coś. W końcu to duże miasto.

- Oszalałeś? - spojrzała na mnie zdziwiona. - Po co masz czegoś szukać? Przecież możesz zostać u nas.

- Nie chcę przeszkadzać... - Nagle zrobiło mi się gorąco. „Ale wpadłem” - pomyślałem.

- Komu nie chcesz przeszkadzać? Mnie? - Patrzyła na mnie zdziwiona. - Mnie nie przeszkadzasz - stwierdziła z przekonaniem. - Mój chłopak wpadnie po mnie za jakieś pół godziny. Pójdziemy do Włocha na pizzę. Później umówiliśmy się ze znajomymi na kręgle.

Jak nam się znudzi, to potańczymy trochę w którymś z klubów na Neustadt. Potem skoczmy do niego... Jego starzy wyjechali na urlop i mamy dla siebie całą tę ich ekskluzywną chatę z basenem, oranżerią i sauną... - wyrzucała z siebie potok słów, jakbyśmy się znali całą wieczność. - W trzecim pokoju mieszka Andre - zmieniła nagle temat. - Jemu też raczej nie będziesz przeszkadzać. Ma teraz na głowic zaliczenia. Przed każdym kolokwium przechodzi cudowne przeobrażenie w intelektualistę.

- Wydęła wargi w grymasie obrzydzenia. - W tym czasie nie obchodzi go nikt i nic poza nauką. No, może z jednym wyjątkiem, ale ten wyjątek dzisiaj zniknął. Zauważy cię dopiero wtedy, kiedy mu nogi na książce położysz albo schowasz zeszyt z notatkami. - Jej głos aż kipiał ironią. - Jutro ma zaliczenie. Będzie się grzecznie uczył. Pewnie go nawet nie zobaczysz. Od jutrzejszego wyniku zależy wysokość jego stypendium, a facet ma duże i ciągle rosnące potrzeby finansowe. - Zniknął gdzieś sarkazm, a w głosie pojawiło się zrozumienie i najzwyczajsza w świecie sympatia. - Szepnę mu słówko, żeby się ciebie przypadkiem nie przestraszył. Głupio by było, gdyby dostał zawału tuż przed kolokwium. Umyj się wcześniej,



bo on ma denerwujący zwyczaj uczenia się wieczorami w wannie. Koszmar... Potrafi przez trzy godziny leżeć, gadać do siebie na głos i dopuszczać w kółko ciepłej wody... Ostatnio przyszło mi skorzystać z toalety u naszych sąsiadów... Dobrze, że byli w domu.

- Chyba jednak pójdę. - Podświadomie próbowałem jeszcze uciec. - Skoro on się uczy, a ty wychodzisz...

Wstała. Zakołysała biodrami. Zapukała w szczelnie zamknięte drzwi pokoju tuż przy balkonie.

- Czego? - zabrzmiało opryskliwie.

- Andre, otwórz na chwilę. - Niczym niezrażona dziewczyna zapukała jeszcze energiczniej. - Mamy gościa.

- Nie dzisiaj - usłyszałem jęk. - Dlaczego właśnie dzisiaj? Co ja takiego zrobiłem... - Resztę słów stłumił dźwięk odsuwanej z impetem krzesła.

Coś szurnęło tuż za ścianą i drzwi otworzyły się powoli. Chłopak, wbrew temu, co usłyszałem o nim wcześniej, wyglądał sympatycznie. Żadnych tuneli w uszach, kolczyków w nosie ani rzucających się w oczy tatuaży. Wystawił rozczochną czuprynę przez szparę w drzwiach, łypnął okiem na Anke i spojrzał na mnie pytająco.

- To brat Niki. Przenocuje u nas - rzuciła dziewczyna.

- Nie ma sprawy. Miło mi. - Omiótł mnie nieprzytomnym wzrokiem.

-Ja za chwilę wychodzę - poinformowała go.

- Baw się dobrze! Nie trzaskaj drzwiami, gdy wrócisz! Pamiętaj, że ostatnio twoje łóżko strasznie skrzypi... - Zamilkł w pół zdania, porażony jej wzrokiem.

- Nie chciałbym przeszkadzać... Przenocuję w hotelu - zacząłem ponownie.

- Bzdura! Chyba nie wiesz, człowieku, ile kosztują hotele w tym mieście - przerwał mi gwałtownie Andre.

- Czuj się jak u siebie w domu! - rzuciła dziewczyna. - Górna półka w lodówce należy do twojej siostry. Łazienka jest tam. Te ręczniki na

pralce są czyste. Pokój Niki to ten pierwszy po prawej stronie. Nie wiem, jak jest w środku... Spieszyła się rano, mogła nie zdążyć posprzątać... Dam ci mój klucz do mieszkania. Gdybyś wychodził pod naszą nieobecność, to zostaw go na portierni.

Pomyślałem sobie nagle, że niewiele trzeba było, żeby kupili mnie jak swego. Wystarczyło jedno małe kłamstwo. W sumie sympatyczna dziewczyna z tej Anke, pomijając fryzurę, kolczyk w wardze, paznokcie, tatuaż i ten do niczego niepasujący męski podkoszulek.

\* \* \*

Po wyjściu Anke ogarnęły mnie wątpliwości. Co ja, do diabła, wyczyniam? Nawet nie znam Lipskiej, mam z nią tylko zajęcia. Nic pamiętam, żebym kiedykolwiek z nią rozmawiał.

Gdyby nie zdjęcie grupy czternastej, które jakimś cudem znalazłem w Internecie, to pewnie nigdy nie skojarzyłbym twarzy dziewczyny z nazwiskiem. Skłamałem i tak oto zostałem jej bratem. Słowo „brat” podziałało jak zaklęcie. W sekundę stopniały lody, ale co dalej?

Pchnąłem drzwi i znalazłem się w jej pokoju. Te pokoje w akademikach są zimne i nieprzytulne jak pokoje w domu dziecka, w którym wyrosłem. Było tam zimno, sterylnie, powtarzalnie i bezdusznie. Tu jest podobnie. Może z czasem, gdy ktoś się zadomowi, wszystko zaczyna wyglądać inaczej? Teraz jednak było tu bezosobowo jak w pokoju wynajmowanym na jedną noc w jakimś bardzo podrzędnym hotelu. Po prawej stronie królowało drewniane biurko

dosunięte tuż pod szeroki kamienny parapet okna, obok niego fotel na kółkach, na biurku metalowa lampka. Przy przeciwległej ścianie stał drewniany regał na książki, nic nadzwyczajnego - kilka półek, szuflad i przegródek.

W rogu panoszyła się szafa na ubrania, a przy drzwiach pełnił straż wieszak na płaszcze i kurtki. Kremowego koloru ściany może i wnosilyby tu odrobinę ciepła, gdyby ktoś ich nie schłodził stalowym kolorem okiennych rolet i narzuconego niedbale na łóżko koca. Pomyślałem, że pomimo spartańskich warunków niczego tutaj nie brakuje - oszczędni do bólu, praktyczni do szpiku kości są ci Niemcy. Na krześle w rogu leżała półotwarta, nierozpakowana walizka. „Weronika nie zdążyła się rozpakować - przemknęło mi przez myśl. - A może już się spakowała?”. Nagle poczułem znużenie. „Wszedłem w to gówno przed paroma dniami - pomyślałem - i zamiast się wycofać, brnę w to wszystko coraz dalej i dalej”. Przez ścianę usłyszałem zbierającą się do wyjścia Anke. Później stuknęły głośno drzwi wyjściowe i zapanowała błoga cisza. Pewnie trzeba było ją zapytać, gdzie jest to

Rammenau, może powinienem tam pojechać, ale nagle poczułem się koszmarnie zmęczony. Wyjechałem wcześniej rano, droga była okropna. W nocy spadło mnóstwo śniegu, nagle zmiana pogody jak zawsze zaskoczyła drogowców.

Zresztą kto o zdrowych zmysłach wyrusza w drogę późną jesienią, o piątej rano w niedzielę?

Pierwsze pługi zauważyłem na wysokości Legnicy. Sunęły wolno po autostradzie, odpychając zwały śniegu na pobocze, sypiąc mieszaninę soli i żwiru i próbując przygotować do jazdy przynajmniej jeden pas jezdni. Około trzydziestu kilometrów przed granicą postąłem ponad dwie godziny w korku. Nie wyłączałem silnika, bo pewnie bym zamarznął. Straż pożarna walczyła z przewróconą na bok, blokującą obydwie pasy jezdni ciężarówką... Po przekroczeniu granicy nie było lepiej. W sumie dwieście pięćdziesiąt kilometrów zabrało mi siedem godzin mojego życia. Pokonałem tę odległość z zawrotną średnią szybkością niewiele przekraczającą trzydzieści kilometrów na godzinę. Na miejscu poszukiwania Weroniki też nie należały do rzeczy łatwych, bo z racji weekendu zdany byłem na kolejne domy akademickie i kolejne, mniej lub bardziej przyjazne portiernie. Słowem, długi, męczący dzień i do tego bez szansy na sukces. Wyciągnąłem się na tym jej łóżku. Przymknąłem oczy. Zapachniało słodko drzewem sandałowym. Taki ciepły, miękki, otulający zapach. „Coś jak Wild Musk - pomyślałem - ale jakby dodatkowo z delikatną nutą kwiatu pomarańczy”. Pamiętam, jak do Marco przyjechał wiosną ten jego kumpel od perfum, Francesco. Marco jak na złość miał wtedy mnóstwo pracy, jakieś dodatkowe godziny ze studentami, spiętrzyły mu się dyżury w pogotowiu, a profesor zaprzął go jeszcze do prowadzenia wykładów, bo sam właśnie wyjeżdżał na jakiś bardzo dla niego ważny zagraniczny kongres. Pomagałem trochę Ani zając się ich gościem. Francesco to swoisty artysta; tworzy zapachy, które lepiej niż ubrania określają ludzi. Jest w tym niesamowity. Pamiętam, kiedyś Marco prowadził wykład, Ania miała ćwiczenia na uczelni, a my z Francesco poszliśmy na piwo. Lokal był pełen młodych ludzi i niedocenianych przeze mnie nigdy wcześniej zapachów. Francesco bawił się wspaniale, wyszukując wśród papierosowego smrodu i charakterystycznej woni piwa subtelny zapach wisterii, kwiatu pomarańczy, różowego pieprzu... W pierwszej chwili pomyślałem, że facet jest po prostu kopnięty, że poszedłem do knajpy ze świrem. A on zaczął mi tłumaczyć, że zmysły ludzkie są jakby zamknięte na to, czego nie znają. Wcześniej znałem tylko ceny perfum,

nie umiałem docenić ich zapachów. Po tych godzinach spędzonych z Francesco potrafiłem już bezbłędnie rozróżnić zapach kwiatu pomarańczy od słodkiej woni jaśminu i

upojnego zapachu drzewa sandałowego, ciężkiej woni piżma czy subtelnego zapachu wisterii... Francesco nie przyjechał na pogrzeb Marco, pewnie nawet o tym pogrzebie nic nie wiedział. Od jakiegoś czasu nie mieszkał już w Wenecji, tylko gdzieś w Toskanii, w jakimś kamiennym domku na stoku góry, tuż przy falującym łańcuchu lawendy. Kurde, w kółko powraca do mnie to wszystko - Marco, Ania, Wenecja i to uczucie żalu, poczucie całkowitej przegranej. Że też nie można się od tego tak po prostu uwolnić. To jak jakaś obsesja.

Nieważne, o czym pomyślę, to i tak na końcu staje mi przed oczami Marco. Wtuliłem się teraz w otaczający mnie słodki zapach drzewa sandałowego, jeszcze raz przelotnie pomyślałem o Francesco i chyba musiałem zasnąć. Śniły mi się jakieś bzdury, nic nieznaczące obrazy przesuwały mi się przed oczami. Było mi coraz bardziej niewygodnie, próbowałem się jakoś ułożyć, rzucałem się na tym jej łóżku, dopóki nie dotarło do mojej świadomości, że coś mnie gniecie w plecy. Po chwili czułem już wyraźniej, że to coś jest twarde, prostokątne. W półśnie sięgnąłem ręką pod koc. Zeszyt? Chyba śnię dalej, po co ona miałaby trzymać pod kocem zeszyt?

Pod poduszką, to jeszcze rozumiem. Sam kiedyś wierzyłem, że co nienauczone, to wyśnione, i przed niejednym kolokwium na studiach, idąc spać kładłem pod poduszkę książkę. Pod poduszkę, to rozumiem, ale pod plecy? Zeszyt był gruby, zapisany drobnym pismem... Otworzyłem go na ostatniej zapisanej stronie.

Jessi zaproponowała mi tę wycieczkę do Bautzen. Wczoraj wieczorem wpadła do nas zupełnie niespodziewanie. Powiedziała, że nie może uwierzyć, że znowu z nimi jestem.

Siedziała na krześle przy oknie, paplała coś bez przemy, zjadła z nami kolację, śmiała się i nagle spytała mnie, jakie mam plany na weekend. Plany na weekend? Pomyślałam, że ja już od paru dni nie mam żadnych planów, -żadnych pomysłów ani na ten weekend, ani na dalsze życie. Trwam, choć to takie idiotyczne. Siedzę z nimi, przesuвам wzrokiem wskazówki zegarka i marzę tym, żeby móc już pójść do siebie i z nikim dłużej nie rozmawiać. O czym mam z nimi gadać? Nikt z nich mnie i tak nie zrozumie. Co chwilę czułam na sobie wzrok Andre. Zachowuje się dziwnie, odkąd przyjechałam. Jeszcze nawet ze mną nie rozbawiał.

Kiedy nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, on uciekł wzrokiem w popłochu tylko po to, żeby już za moment zacząć mi się znowu przyglądać jeszcze uważniej, jeszcze wnikliwiej.

Kiedyś byliśmy sobie bliscy, nawet bardzo bliscy.

Nie jak chłopak z dziewczyną, ale jak dwoje przyjaciół. Spędzaliśmy z sobą mnóstwo czasu, byliśmy nierozłączni. Z nich wszystkich on zna mnie najlepiej. Może on jeden się czegoś domyśla? Może on choć odrobinę rozumie? Jessi usta się nie zamykały. Nie wiedziała, co robi, proponując mi tę wycieczkę, przecież, wszystko co złe, zaczęło się kiedyś od wycieczki do Bautzen. Cały ten koszmar rozpoczął się właśnie w Bautzen...

Wiedziałem, że nie powinienem tego czytać, że wdzieram się bezprawnie w jej świat. W końcu nic czyta się czyichś listów, pamiętników lub wspomnień. Nie powinienem tego czytać, ale nie mogłem oderwać wzroku od tego tekstu.

Wtedy pojechaliśmy do Bautzen w piątkę: Frank, Jessi, Andre, Artur i ja. Anke nie chciała.

Mówiła, że na tę akurat wycieczkę nie ma ochoty, że może pojechać z nami wszędzie, ale nie do Bautzen. Całe Życie spędziła w tym mieście, zanim się nareszcie wyrwała na studia.

Nie tęskniła za nim, nie miała ochoty na powrót do przeszłości, nie chciała spotkać znajomych, chociaż zawsze mówiła, że jedyne, co w jej dzieciństwie było przyjemne, to uczucie przynależności, świadomość posiadania własnego miejsca na ziemi, znajome twarze na ulicach, przeciwieństwo anonimowości w dużym mieście. Anke została, pomachała nam jeszcze ręką z balkonu...

Nic z tego nie rozumiem. Szlag by to trafił, przejeżdżałem dzisiaj tuż koło Bautzen.

Widziałem dwujęzyczną tablicę. W pierwszej chwili nie skojarzyłem. Później z zakamarków pamięci wyłoniło się coś, co pozornie już dawno zapomniałem, że Bautzen to przecież łużycki Budziszyn. Podziwiałem z autostrady panoramę miasta. Miałem właśnie wrócić do tekstu, kiedy rozległo się pukanie. Nie czekając na zaproszenie, Andre wsunął głowę do pokoju. W ostatniej chwili udało mi się ukryć zeszyt za plecami.

- Zjesz coś? - rzucił w moją stronę.

- Nie, dziękuję, nic jestem głodny.

- Półka Niki w lodówce jest pełna. Zrobiłem jej wczoraj zakupy... - Zacząłem się zastanawiać, po co on mi to mówi.

- Nie, dziękuję, może później - bąknąłem pod nosem. Jeszcze tylko tego by brakowało, żebym wyjadał jej jedzenie z lodówki.

- Może wolisz iść coś zjeść na miasto? - spytał pozornie obojętnie.

„Pewnie, że wolę” - pomyślałem. Nie czekał na moją odpowiedź. Gadał jak najęty. Usta mu się nie zamykały.

- Tu niedaleko jest tajna knajpa. Nazywa się „U Babci”. Jedzenie dobre, ceny umiarkowane, atmosfera wprost rodzinna... - kusił.

- Ale ty masz ponoć jutro jakieś kolokwium - próbowałem się wymigać.

- Mam. I co tego? - spytał zdziwiony.

- Anke wspominała, że pewnie będziesz się cały wieczór uczył.

- Ona jeszcze o tym nie wie, ale postanowiłem zmienić ten zwyczaj. Dzisiaj robię sobie wolny wieczór. Mózg musi mi trochę odpocząć.

Stał w szeroko otwartych drzwiach. Nie zrobił nawet kroku do przodu. Tkwił tak jakoś na pograniczu dwóch przestrzeni - tej ich wspólnej, na zewnątrz, i tej jej, tutaj. Czekał, że odpowiem na pytanie, którego jeszcze nie zdążył zadać. Oparł się ręką o framugę drzwi.

Drugą próbował uporządkować włosy. Luźne dzinsy, obszerny podkoszulek, dwudniowy zarost, bezpośredni sposób bycia. Nawet ten niemiecki w jego wykonaniu specjalnie mi nie przeszkadzał. W sumie fajny facet.

- Szukasz towarzystwa? - spytałem.

- W pewnym sensie - rzucił niedbale. - Chciałbym pogadać... - dokończył.

Pogadać to ja jakoś nie bardzo chciałem, bo dla mnie każda z nim rozmowa mogła się fatalnie skończyć. Co mnie napadło, żeby powiedzieć, że jestem bratem Weroniki. Rozum mi chyba na chwilę odjęło. Spojrzałem w jego stronę. Nie wyglądał na człowieka, który tak łatwo ustąpi.

- Pada śnieg - grałem na zwłokę. - Prawdziwa zamieć. Świata nie widać...

Spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony. Cień uśmiechu błąkał się po jego twarzy.

- Przejechałeś paręset kilometrów w tę zamieć, a teraz przerasta cię te kilkadziesiąt kroków? - spytał zaczepnie.

- Nie, ale... - rozpaczliwie szukałem jakieś wymówki.
- To naprawdę zaledwie parę kroków stąd. Idziesz? - nie ustępował.
- Idę - rzuciłem zrezygnowany.

Dziwne jest to miejsce. Jak on to mówił? „U Babci”? Coś w tym było. Sam budynek przypominał starą wiejską chatę. Powierzchnia białych murów była złamana przecinającymi się czarnymi belkami, które dodatkowo obramowywały niewielkie okna. Ciężkie drewniane drzwi zdobione metalowymi okuciami, z metalową klamką-zapadką pamiętającą bardzo odległe czasy prowadziły do obszernego przedsionka z klepiskiem zamiast podłogi, szeregiem starych drewnianych kutrów stojących pod ścianą i paroma hakami wbitymi w gołę, pobielone wapnem ściany, mającymi zapewne pełnić funkcję wieszaków na wierzchnią odzież. Wisiało tu parę płaszczy i kurtek, będących zapewne własnością siedzących w środku gości. W przedsionku panował półmrok i dziwny duszący zapach staroci, który zawsze kojarzył mi się z mieszaniną kurzu, roztoczy i stęchlizny. Od razu zaświdrowało mi w nosie.

Alergię na roztocza to ja mam chyba zakodowaną w mózgu. Wysoki drewniany próg oddzielał sień od głównej części restauracji. Wnętrze wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się tutaj co najmniej przed ośmioma dekadami: małe okna o drewnianych framugach, długie stoły zbite z drewnianych bali, zamiast krzeseł ławy pod ścianami.

Na stołach stały grube świece, włożone w proste mosiężne kubki. W migotliwym świetle świec wszystko wydawało się jeszcze bardziej odrealnione.

Róg izby zajmował kaflowy piec z poustawianymi na metalowej płycie wielkimi żeliwnymi garnkami. Piec nic był atrapą, bo pokrywy na garnkach podskakiwały, krople wody po osiągnięciu metalowej płyty rozbryzgiwały się na dziesiątki małych tańczących drobin, po izbie rozchodził się zapach gotowanego jada, a na brzegu płyty piekły się placki ziemniaczane. Jakby czas nagle się cofnął, zwolnił, przestał pędzić.

Przez wąskie i niskie drzwi przeszliśmy do następnej izby. To pomieszczenie było dużo mniejsze. Zapewne w dawnych czasach pełniło funkcję sypialni. Tutaj było jakby przytulniej, mniej gwarnie. W czterech rogach izby stały cztery niewielkie stoły. Między stołami umieszczono drewniane malowane kufry ozdobione ciężkimi metalowymi okuciami.

- Tu wolno palić - rzucił w moim kierunku.

„Spostrzegawczy jest - pomyślałem z przerażeniem - jakimś cudem zdołał zauważyć, że palę”.

Zamówiliśmy piwo, które przyniesiono w olbrzymich kuflach. Sącyliśmy je powoli, milczeliśmy. Jadłospis nic mi nie mówił. Obco brzmiące nazwy, napisane starym gotyckim pismem, nie przemawiały do mojej wyobraźni. Andre nawet nie spojrział w kartę dań. Pewnie znał ją na pamięć. Przypuszczam, że często tu bywał. Przyglądał mi się z rozbawieniem, kiedy próbowałem się porozumieć z kelnerem. W końcu spojrzałem błagalnym wzrokiem w jego stronę.

- Nic mi nie mówią te nazwy. Co tu się jada?

- Ja dzisiaj zamówię smażony czeski ser z ziemniakami z folii i do tego surówkę z kwaszonej kapusty. Dobry jest zestaw mięs z grilla z frytkami...

- W porządku. Niech już będzie ten smażony ser... - Pomyślałem, że to przecież wszystko jedno. Jeszcze dzisiaj nic nie jadłem. Teraz zjadłbym wszystko, od paru godzin ssało mnie w żołądku, czułem się potwornie głodny. Smażony ser kojarzył

mi się z zimowymi wypadami na narty do Słowacji, noclegami w schroniskach, czeskim piwem... Były to bardzo miłe skojarzenia.

Jedliśmy, piliśmy i milczeliśmy. Nawet zaczęło mi się to podobać. Sączyłem piwo, przesuwałem leniwie wzrokiem po zadymionym pomieszczeniu, odtajałem. Na chwilę opuściło mnie nawet zmęczenie. Zmalał towarzyszący mi niepokój.

Zaciągnąłem się papierosem. Wypuściłem ustami kłęby dymu. Ukryłem się za tym obłokiem i teraz poczułem się zupełnie bezpieczny. Andre odsunął się od stołu, wyciągnął przed siebie nogi, opuścił się w dół, jakby próbował z krzesła zrobić sobie fotel. Przymknął oczy i wydawał się drzemać.

„Dziwny facet” - przemknęło mi przez myśl.

- Dlaczego do niej nie zadzwonisz? - spytał niespodziewanie. - Może wróciłyby wtedy po tym koncercie do domu. Na jutro zapowiadają jeszcze gorszą pogodę...

Tak źle i tak niedobrze - rzuciłem w jego stronę i nagle poczułem, że mam serce w gardle. Jutro gorsza pogoda, dzisiaj zamieć i ciemno. Myślę, że już lepiej jechać za dnia niż nocą...

- Ty nic jesteś bratem Weroniki - stwierdził obojętnie Andre. Nawet przy tym nie drgnął, spojrzał tylko na mnie spod przymkniętych powiek. - Nika

nie ma brata. Wiem to na pewno.

Kim więc jesteś?

\* \* \*

Znowu wszystko wróciło. Weronika przyjechała do nas i nagle czas jakby się cofnął. Przed prawie dwoma laty też mieszkaliśmy razem w tym mieszkaniu - Weronika, Anke i ja. To był cudowny czas, ale później przyjechał ten facet i raptem wszystko szlag trafił. Przyjechał w ramach wymiany międzyuczelnianej. Miał być tylko parę tygodni. Zniszczył wszystko. On miał wybitny dar robienia innym wody z mózgu. Czuł się wśród nas obco, więc przylgnął do Weroniki. Na początku wydawało mi się to całkiem normalne - przyjechał na krótko, nie znał tutaj nikogo, jego znajomość języka niemieckiego była żenująco słaba, na uczelni zupełnie sobie nie radził, nie miał żadnych przyjaciół, żadnych znajomych, nasza grupa go ignorowała... Był nieszczęśliwy, samotny i zagubiony. Wzbudził tym w Weronice instynkt opiekuńczy, a może nawet cień sympatii. Wtedy rozumiałem, że Nika chce mu pomóc. Było to dla mnie naturalne. Może ten facet od początku był trochę zbyt gładki i mdły jak flaki z olejem, ale to zauważyłem dopiero później. Z racji wspólnego języka i kraju pochodzenia Nika została jego opiekunką z ramienia studenckiej rady uczelni.

On przyssał się do niej jak pijawka. Zamiast z każdym dniem coraz mniej, to on coraz bardziej potrzebował jej pomocy.

Pewnego dnia zrozumiałem, że świadomie odciąga od nas Weronikę, Niestety, dotarło to do mnie za późno. Ona raptem zaczęła tęsknić za swoim krajem, zaczęła marzyć o studiach w Polsce. Czasami myślę, że już wtedy nie mogła sobie wyobrazić rozstania z tym palantem. 1

kiedy tamten musiał wracać do Polski, wyjechali razem. Długo nic mogłem się po jej wyjeździe pozbierać. Myślę, że i dla niej nie było to łatwe. Codziennie gadaliśmy godzinami przez Skype'a, każdego dnia pisaliśmy maile, przesyłaliśmy sobie zdjęcia... Z początkiem grudnia pojechaliśmy nawet razem na narty... Pozornie było jak kiedyś, ale ja już czułem, że coś się zmieniło. Wróciłem z tych nart i nadal czekałem, bo jeszcze wtedy wierzyłem, że Nika musi do nas wrócić. Zacząłem, jak przed laty, systematycznie chodzić powspinać się na

ściankę, trochę częściej jeździć z kumplami w skałki, szaleć na desce zimą, latać na lotni latem, trenować z Ferdkiem... Początkowo wyobrażałem sobie, że nadal robimy to wszystko razem. To było trochę tak, jak bywało dawniej, kiedy ona wyjeżdżała na ferie do Polski.

Wracała po paru tygodniach, a ja zdawałem jej relację, że przeszedłem szóstą trasę, nie spadłem po raz setny z tamtego fatalnego buldera, że udało mi się coś nowego osiągnąć w pracy z tym naszym dzierzawionym na spółkę koniem... Po jej wyjeździe robiłem dziesiątki różnych rzeczy, pisałem jej o tym i czekałem. Całowałem od niej Ferdynanda w pysk, poklepywałem go po karku i gdzieś tam w głębi serca wierzyłem, że Niki do nas wróci. Z czasem kontakt stawał się coraz rzadszy, aż w końcu ograniczył się do zdawkowych rozmów telefonicznych raz w tygodniu. Kiedy parę miesięcy później pojechałem do

Polski na sylwestra, straciłem resztki złudzeń. Stało się dla mnie jasne, że oni są razem nie tylko na uczelni. Bardzo to przeżyłem. Dużo czasu minęło, zanim się podniosłem. Gdy przed paroma tygodniami napisała, że chce u nas skończyć studia, serce znowu zabiło mi mocniej.

Doczytałem, że chce przyjechać z tym palantem i zalałem się w trupa. Po długiej rozmowie z Anke postanowiłem wznieść się ponad wszelkie odtrącone uczucia i spróbować być nadal jej przyjacielem. Ku zdziwieniu wszystkich, Weronika przyjechała sama. Zamieszkała w swoim dawnym pokoju, a ten większy, który mieli zajmować razem, został pusty.

Nie mówiła nic, a i my z Anke nie mieliśmy odwagi jej o nic pytać. Była smutna, małomówna, milcząca.

To było do niej zupełnie niepodobne. Wyciągnąłem ją we wtorek do klubu. Zawsze lubiła się wspinać.

Opowiedziałem jej o tej tragedii, która przed miesiącem wstrząsnęła naszą uczelnią. Słuchała mnie uważnie, po czym stwierdziła, że to musiało być niesamowite. Zatkąło mnie. Dla mnie to było tragiczne, głupie i nie do pomyślenia, ale na pewno nie niesamowite. Znałem dobrze tamtego chłopaka, był z nami na roku. Spotykaliśmy się czasem na ścianie. Wydawał się rozsądny, a zginął, jakby na przekór temu, co o nim myślałem, wspinając się w Szwajcarii Saksońskiej samotnie, bez asekuracji, wbrew wszelkim obowiązującym zasadom. Cóż jest w takiej śmierci niesamowitego? Opowiedziałem Anke o reakcji Weroniki. Wpadła w panikę i zaczęła podejrzewać Nike o myśli samobójcze. Zmusiła ją do rozmowy, próbowała coś z niej wyciągnąć. Przegadały całą noc, następnego dnia nie poszły na uczelnię. W nocy dostało mi się, że one chcą sobie po babsku pogadać, a ja jak kretyn kręcę się tam i z powrotem po naszym wspólnym mieszkaniu. Kiedy kolejny raz próbowałem wyjść ze swojego pokoju, zauważyłem, że Nika płacze. Cofnąłem się zażenowany. Anke w przypływie dobroci, a może po to, żebym przestał się szwendać, przygotowała mi parę kanapek. Musiała być bardzo zaabsorbowana tą ich rozmową, skoro zapomniała, że nic cierpię surowej papryki.

Siedziałem, przeżuwałem chleb z masłem i papryką i nie miałem już żadnego pretekstu do wędrówek po mieszkaniu. W końcu - ile razy można korzystać z toalety? Zostałem w swoim pokoju i już do rana przeklinałem konstrukcję drzwi w tym naszym mieszkaniu, która być może umożliwiała efektywną naukę, wyciszając wszelkie dochodzące z zewnątrz dźwięki, ale znacznie utrudniała podsłuchiwanie. Nie wiem, czy dziewczyny były świadome moich zamiarów, czy tylko przez czysty przypadek przeniosły się z kuchni do pokoju Anke.

Usłyszałem donośne trzaśnięcie zamykanych drzwi i straciłem już wszelką nadzieję, że się czegoś dowiem. Rano czatowałem na Anke w łazience. Spojrzała na mnie lekko

nieprzytomnym wzrokiem i stwierdziła odkrywco, że faceci to sukinsyny. Powiedziała to takim tonem, jakim wygłasza się oczywiste prawdy, niepodlegające żadnej dyskusji i mające znamiona matematycznych definicji. Jak na studentkę socjologii, podspecjalizacji subkultury młodzieżowe, było to naprawdę twórcze stwierdzenie. Kiedy wtrąciłem, że od każdej reguły bywają wyjątki, spojrzała na mnie wyniośle i spytała, czy uważam się za taki właśnie wyjątek. Wyduła usta w dziwnym grymasie i stwierdziła, że jeżeli chodzi o mnie, to w przeszłości wykazałem się brakiem jaj i dlatego wydarzyło się to wszystko. Kompletnie nic z tego nie rozumiałem. Musiałem mieć idiotyczny wyraz twarzy, bo Anka dokończyła dobitnie, że gdybym kiedyś nie wzdychał w tajemnicy, a jasno deklarował swoje uczucia, to być może jakiś tam nędzny frajer nie skrzywdziłby Niki. Dodała jeszcze, mierząc mnie od stóp do głów nieprzytomnym wzrokiem, że z tymi wszystkimi moimi przywarami, które na co dzień doprowadzają ją do szewskiej pasji, i tak jestem dziesięć razy lepszy od tamtego. Z całej tej tyrady wynikał dla mnie jeden wniosek: że to ja jestem wszystkiemu winny. Prawdę mówiąc, tak właśnie się czułem. Czułem się winny, i to już od dawna. Zachowałem się jak osioł. Wyuczone od dzieciństwa normy zachowań zabiły we mnie spontaniczne ludzkie reakcje. Zauważyłem przecież, że ten dureń przystawia się do „mojej” dziewczyny i nie dałem mu w mordę. Może zostałoby to opacznie zrozumiane, być może ktoś nadgorliwy podciągnąłby ten czyn pod konflikty na tle narodowościowym, być może miałbym z tego powodu jakieś problemy na uczelni, ale przynajmniej bym walczył. A teraz pozostało mi przeświadczenie, że patrzyłem spokojnie, jak on mi zabiera Weronikę, i bez próby jakiegokolwiek walki pozwoliłem jej z nim odejść. Swoją drogą, co ona w nim widziała? Z koszmarnie dla mnie nudnych zajęć z psychologii pamiętam tylko jedno stwierdzenie, notabene rzucone jakby mimochodem, jakby na marginesie zupełnie innych rozważań: facet, który przegra z rywalem, zawsze będzie w nim widział gorszego od siebie pod każdym względem dupka i nigdy nie zrozumie, dlaczego tak się stało; kobieta swoją rywalkę zawsze uzna za atrakcyjniejszą, choćby to nawet nic leżało koło prawdy.

Jestem więc typowym samcem, bo nigdy nie zrozumie, co Weronika widziała w tym chuderlawym, wymuskany jak pięcioletnie dziecko, uzależnionym od swoich rodziców, nudnym pseudointelektualiście, któremu musiała zastępować matkę, babcię, siostrę i kochankę. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak ta nic niewarta gnida mogła zostawić taką dziewczynę jak Nika. Cieszę się, że ten frajer zniknął z jej życia. Nic mogłem pojąć, czym Anka tak bardzo się przejmuje. Żal mi było Niki. Do tej pory uśmiechnęła się tylko raz - w stajni u Ferdynanda. Fer-dek poznał ją od razu - zastrzygł uszami, pewnie ruszył w jej stronę, wyciągnął w jej kierunku głowę. Cmoknęła go w nos, poklepała po karku, objęła za szyję, wtuliła twarz w sierść i zastygła w bezruchu. Koń stanął na wysokości zadania. Stał cierpliwie, oparł łeb o jej głowę i nawet nic przestępował z nogi na nogę, choć jak na wałacha przystało, nie przepadał za czułościami. „Szkoda, że do mnie się tak nie przytuliła - pomyślałem - ja bym to bardziej docenił”. Widziałem, że Weronika płacze. Udawałem, że nie interesuję się nimi, że gapię się za okno, jakby ten pusty padok ze ściętymi mrozem kałużami był najważniejszym miejscem na ziemi. Koń starym zwyczajem spuścił łeb i zaczął obwąchiwać jej kieszenie w poszukiwaniu jabłek. To się nie zmieniło, tak było zawsze. „Jedni są od słuchania, inni od kochania” - mawiała dawniej. Ona dla Ferdka była od obu rzeczy równocześnie, chociaż zawsze uważałem, że on jest wobec niej posłuszny nie z respektu, lecz z miłości, jakby nie chciał



robić przykrości osobie, którą kocha. Miałem wrażenie, że on ją przyjął do swojego stada i z tej racji otaczał opieką i czułością. Między nim a mną było zupełnie inaczej. Przy każdym spotkaniu musieliśmy od początku ustalać hierarchię w tym naszym układzie.

Nieraz, wysadzony przez niego z siodła, zbierałem się z trudem z ziemi, a on już wielokrotnie musiał galopować za karę do upadłego. W końcu zawsze ja brałem górę, ale za każdym razem musieliśmy to sobie od początku tłumaczyć. Dziwna sprawa, on widzi we mnie nie pana, lecz przeciwnika, nie przywódcę, lecz rywala. Ją kochał zawsze i pod tym względem nic się nie zmieniło. Podała mu jabłko na otwartej dłoni. Ugryzł je łapczywie, połknął, nie przeżuwał, dojadł resztę i zaczął oblizywać szorstkim językiem dłoń Niki.

- Z kim dzierzawisz Ferdka? - spytała nagle. „Dziwne pytanie - pomyślałem. - Z kim miałbym go dzierzawić?”. Kiedyś robiliśmy to razem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym się nim dzielić z kimkolwiek innym.

- Z nikim. - Starałem się, żeby to zabrzmiało obojętnie.

- I stać cię na to? - Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Jakoś sobie radzę - mruknąłem pod nosem. - Udzielam trochę więcej korepetycji.

- Przecież tego nie cierpisz. - Przyglądała mi się z niedowierzaniem.

- Fakt, nie przepadam...

Nienawidzę tego. Nauczanie tych, którym się uczyć nie chce, i łopatologiczne wykładanie głównianych problemów, które i tak w życiu moich uczniów nic nie zmieniają, uważam za tragiczny sposób zarabiania pieniędzy. Łopatologia stosowana nigdy nie była moim ulubionym zajęciem i zawsze kończyła się wcześniej czy później wielką frustracją.

Jest to jednak jedna z niewielu rzeczy, które ponoć potrafię robić. Nie mam więc specjalnego wyboru.

Przed paroma miesiącami pracowałem krótko jako instruktor wspinaczkowy w klubie sportowym, ale to już była kompletna porażka, a przy tym ta robota nijak nie przekładała się na pieniądze. Tamtej pracy nie cierpiałem jeszcze bardziej niż korepetycji. Z dnia na dzień denerwowała mnie coraz bardziej. Kosztowała mnie kupę zdrowia, wymagała anielskiej cierpliwości i zmuszała do codziennego adorowania zapatrzonych w siebie pustych idiotek, którym wspinanie było w życiorysie potrzebne tylko do imponowania innym. Na dłuższą metę nie dało się tego wytrzymać. Zerwałem umowę po dwóch miesiącach, a mając trzymiesięczny okres wypowiedzenia, jeszcze musiałem zapłacić karę umowną.

- To czemu nie szukałeś współdzierzawcy? - Głos Weroniki wyrwał mnie z zamyślenia.

Przyglądała mi się uważnie, jakby odpowiedź na to pytanie stała się nagle dla niej bardzo ważna.

- Doszliśmy z Ferdkiem razem do wniosku, że jakoś sobie tego bez ciebie nie wyobrażamy - odpowiedziałem szczerze.

Wtedy na chwilę, chyba jeden jedyny raz, odkąd do nas wróciła, zagościł na jej twarzy uśmiech.

Na uczelni, jak kiedyś, byliśmy w jednej grupie. Wszyscy zachodzili w głowę, co jej się stało. Dawniej była duszą towarzystwa, usta jej się nie zamykały, tryskała pomysłami, energią i radością. Teraz stroniła od wszystkich. Obudowała się grubym murem obojętności i milczenia, który pewnie miał ją oddzielać od wrogów, ale który oddzielił ją przede wszystkim od przyjaciół.

Wczoraj zaproponowałem jej wspólne zakupy.

- Jadę do Kauflandu. Muszę kupić coś do żarcia - zacząłem obojętnie. - Pojedziesz ze mną?

- Nie, dziękuję.

- Może do Lidia, jeżeli ci Kaufland nie odpowiada - spróbowałem inaczej.

- Nie, dziękuję - powtórzyła gwałtowniej. - Niczego nie potrzebuję.

- Będziesz jadła półkę w lodówce? - wysiliłem się na dowcip.

- Nic chce mi się jeść. Jakoś nie mam apetytu - zaczęła się tłumaczyć. - Czuję się zmęczona.

Muszę się chyba zdrzemnąć...

- Ostatnio cały czas śpisz.

- Coś ci się nic podoba? - spytała zaczepnie.

- Nie, dlaczego? Mnie to zupełnie nie przeszkadza. - Poczulem się niezręcznie. - Tylko to do ciebie takie niepodobne...

Nie kleiła się nam ta rozmowa. Weronika wstała. Bałem się, że ucieknie.

- No to jedziesz ze mną na te zakupy? - spytałem pogodnie.

- Nie, nie jadę.

- Rozumiem... Pojadę sam. Też nie cierpię robić zakupów. Co ci kupić?

- Nic musisz mi nic kupować...

- Wiem, że nie muszę - przerwałem jej gwałtownie. - Chcę ci coś kupić. - Słowo „chcę” wypowiedziałem odrobinę głośniejsz. - No więc, na co masz ochotę?

- Wszystko mi jedno...

- W porządku, kupię to co zawsze: sok ze świeżo wyciskanych czerwonych pomarańczy - zacząłem recytować z pamięci - ser grecki, tzatziki, pomidory, mozzarellę, rukolę, parę plasterków wędliny, sos cygański, jogurt śliwkowy, herbatę śliwkowo- cynamonową...

Nie skończyłem jeszcze wymieniać, kiedy gwałtownie odwróciła się do mnie plecami.

Wydawało mi się, że płacze. Co ja, do diabła, takiego powiedziałem?

To wszystko było wczoraj. Dzisiaj rano ruszyły z Jessi na wycieczkę do Rammenau i Bautzen. Chciałem z nimi pojechać, ale powiedziały, że to taki babski wypad. Po południu przyjechał ten facet. Napadnięty przez Anke skłamał. Niki nie miała rodzeństwa, a w związku z tym nie mogła mieć brata.

\* \* \*

Nie szła mi tego dnia nauka. Zupełnie nie mogłem się skupić. Dzień wcześniej zrobiłem te zakupy. Kiedy wróciłem do domu, Weronika spała. Nalałem szklanek soku, przełożyłem plastry pomidora plasterkami mozzareli, dodałem rukoli, posmarowałem masłem kromkę chleba, zapukałem i nie czekając na zaproszenie, wniosłem talerz do jej pokoju. Nie usłyszała, kiedy wszedłem, nawet nie drgnęła.

- Zakupy zrobione, wrzucone do lodówki. Kolacja przygotowana i podana do łóżka... - dokończyłem już znacznie ciszej.

Spała. W pokoju panował półmrok. Spuszczone rolety przesłoniły światło z zewnątrz i tylko blask lampki kreślił nieostry krąg na blacie biurka. Przy jej słabym świetle widziałem włosy Weroniki rozsypane na poduszce, mokrą plamę na poszewce, a na policzkach ślady łez.

Coś ścisnęło mnie w gardle. Postawiłem talerz na szafce przy łóżku. Wtedy rzucił mi się w oczy otwarty zeszyt na biurku. „Pamiętnik - pomyślałem.

- Niestety po polsku” - stwierdziłem rozczarowany. Wieczorem zapukała do mojego

pokoju. Wsadziła tylko głowę.

- Dziękuję za kolację. Jesteś kochany...

„Jestem kochany w tym znaczeniu, którego nie cierpię” -pomyślałem rozdrażniony. Minał kolejny dzień, a ja nadal miałem przed oczyma ten tonący w półmroku pokój, włosy rozsypane na kolorowym jaśku, ślady łez na policzkach, tamten otwarty zeszyt i zapisane w nim niezrozumiałe zdania. Właśnie obmyślałem już chyba setny sposób zgładzenia tamtego gnoja, kiedy do naszych drzwi zapukał ten facet. Anke nie zauważyła, że mam niedomknięte drzwi do pokoju. Mężczyzna mówił dobrze po niemiecku, ale z typowym dla Polaków akcentem.

To ten akcent sprawił, że zacząłem się wsłuchiwać w ich rozmowę, łowić każde wypowiedane przez niego słowo. Jakby odruchowo, moje serce zaczęło szybciej bić. Kiedyś, przed laty tak właśnie mówiła Nika. Anke zapukała do drzwi mojego pokoju i nie czekając na zaproszenie, szarpnęła za klamkę. Ciekawe, czy zauważyła, że drzwi były niedomknięte. Wstałem gwałtownie. Stałem na progu.

- To brat Niki - rzuciła Anke. - Przenocuje u nas...

- Nie ma sprawy, miło mi...

Coś jeszcze mówiła, ale przestałem jej już słuchać. Skoncentrowałem się na nim. Był od nas o parę lat starszy. Ubrany w dżinsy, obszerny granatowy sweter, rozpiętą pod szyją niebieską koszulę, w szaliku, którego nic zdążył zdjąć, z ciut za długimi włosami, mokrymi od topniejących płatków śniegu, z wczorajszym zarostem na twarzy wyglądał nawet sympatycznie. Odetchnąłem z ulgą. W niczym nie przypominał tamtej gładko wygolonej, oślizgłej szui. Skłamał, ale wcale mu się nic dziwiłem. Gdybym nic znał Anke, też bym się jej przestraszył.

Ona od paru tygodni odrabia praktykę w poprawczaku. Okropnie wygląda, odkąd postanowiła się upodobnić do swoich podopiecznych. Anke ma własną teorię na ten temat. Uważa, że od kiedy wygląda jak one, ma z nimi lepszy kontakt. Do kompletu brakuje jej jeszcze tylko blizn po sznytach na przedramionach, ale na ten krok nie mogła się jakoś zdobyć. I bez nich wygląda teraz koszmarnie, biorąc pod uwagę, że na co dzień jest subtelną, drobną brunetką cieszącą się ze swej kobiecości, kochającą modne ubrania i efektowne dodatki... Zawsze łatwo było kupić dla niej prezent. Uwielbia łańcuszki, bransoletki, zapinki i brosze... Raptem, po paru dniach totalnej pedagogicznej porażki, postanowiła dla tych dziewczyn wszystko zmienić. Sądziła, że to ułatwi jej pracę, poprawi relacje z podopiecznymi, ostatecznie przełoży się na sukces pedagogiczny i wychowawczy. Ja byłem innego zdania, tyle że Anke nigdy nie pytała nikogo o radę. Wyglądała koszmarnie i straszyla swym wizerunkiem wszystkich niewtajemniczonych. W tej asymetrycznej fryzurze, z krwistoczerwoną grzywką i kruczoczarną resztą włosów, z wulgarnym makijażem podkreślającym grubą kreską oczy i powiększającym usta krzykliwą pomadką, z dużym kolczykiem w górnej wardze i drapieźnymi czarnymi paznokciami przypominającymi ptasie szpony prezentowała się wyzywająco, ordynarnie i okropnie. Nieznajomy też się jej przestraszył. Wcale mu się nic dziwiłem. Odczekałem moment, dałem mu czas, by ochłonął, i poszedłem wyciągnąć go do knajpy. Bronił się tylko przez chwilę. Pewnie i on był głodny.

Siedzieliśmy, milczeliśmy, jedliśmy smażony ser, piliśmy piwo. Męczyło nas obu to

milczenie. Zacząłem opowiadać mu anegdoty z życia naszej uczelni, mówiłem o bezsensowności niektórych zajęć, opowiadałem o naszym mieszkaniu... On rozprawiał głównie o swojej uczelni. Poruszaliśmy tematy obojętne, niewzbudzające emocji, pozornie bezpieczne, gadaliśmy jak starzy znajomi. „W sumie fajny facet - pomyślałem. - Sympatyczny, bezpośredni, ciepły w sposobie bycia...”. Zauważyłem, że wsłuchuje się uważnie w opowieści o czasach, kiedy przez trzy lata mieszkaliśmy w trójkę: Weronika, Anke i ja. Myślę, że on nie wiedział, że Nika była już kiedyś z nami, że teraz wróciła do swoich. Z minuty na minutę nabierałem przekonania, że on o wielu rzeczach nie ma nawet mglistego pojęcia. Czyżby zupełnie nie znał przeszłości Weroniki? Kiedy rozmowa schodziła na temat uczelni, czuł się jak ryba w wodzie. Byłem pewny, że studiował medycynę, że jest lekarzem. Dałem mu chwilę odpocząć. Pomilczeliśmy wspólnie. Wypaliliśmy kolejne papierosy. Wypiliśmy kolejne piwa. Coraz bardziej zżerała mnie ciekawość.

Raz po raz rzucałem wzrokiem w jego kierunku. W końcu nie wytrzymałem. Kim jest, do diabła, ten facet?

- Kim jesteś? - spytałem nagle. - Nika nie ma brata - dorzuciłem szybko, żeby nie musiał kłamać.

Zaciągnął się mocno papierosem. Wypuścił ustami kłęb dymu, który na chwilę oddalił nas od siebie, stworzył dystans, dał mu czas na zastanowienie. Wyprostował się. Zebrał jakby w sobie. Spojrzał na mnie. Zgasił peta w popielniczce. Dopił piwo. Obserwowałem go z narastającym zainteresowaniem. Powie prawdę czy będzie kłamał?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć - zaczął dziwnie zmieszany.

- Normalnie. - Wbiłem w niego wzrok i czekałem.

- Normalnie, to chyba nie uwierzysz. - Uśmiechnął się jakoś niepewnie.

- Daj mi szansę! Wal!

- Jesteś pewien? Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- Przyglądał mi się uważnie, a po jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiech.

- Mów!

- Jestem nauczycielem akademickim - wycedził powoli, ale na tyle głośno, że dziewczyna siedząca przy stoliku obok odwróciła się gwałtownie w naszą stronę. W pierwszej chwili pomyślałem, że musiał coś przekrócić w swojej wypowiedzi. Może przeceniłem jego znajomość języka niemieckiego? Jest nauczycielem akademickim? Co on, do diabła, pieprzy?

Chyba mi to piwo przyćmiło jasność myślenia.

Jak taki równy facet może być asystentem?

Spojrzałem w jego stronę. Siedział z poważnym wyrazem twarzy, bawiąc się odruchowo zapalniczką. Wyglądało na to, że mówił serio. „No to bomba - pomyślałem przerażony. - Po cholere wpuszczałem się w te wynurzenia na temat niedoskonałości naszej uczelni? Ale wpadka, niech to szlag trafi!”

- Jestem asystentem w zakładzie etyki zawodowej - uściślił, uśmiechając się przy tym przepraszająco. Niech to diabli, a ja akurat, mówiąc o bezsensownych i idiotycznych zajęciach, wymieniłem jednym tchem: historię medycyny, etykę zawodową, statystykę medyczną i filozofię. Najbardziej chyba rozvodziłem się właśnie na temat bezsensowności zajęć z etyki zawodowej. Niech to szlag trafi!

- Mam zajęcia z Weroniką... - kontynuował bezlitośnie. - Zostałem oddelegowany ze swojej

e In i. . . Mam ponoć przeprowadzić tu kilka zajęć... - mówił jakby nieco zmieszany. - Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna... Mniej oficjalnie - zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, czy może sobie pozwolić na prawdę. - Mniej oficjalnie... - powtórzył - to szukam Weroniki. Tak naprawdę to przyjechałem tutaj, żeby z nią porozmawiać - dokończył niespodziewanie.

Musiałem mieć głupi wyraz twarzy, bo spoglądał na mnie z wyraźnym rozbawieniem.

- Mówiłem, że mi nie uwierzysz - stwierdził triumfalnie. - To przecież niczego nie zmienia. Głupia, do niczego ci niepotrzebna prawda.

Odwrócił wzrok. Zaczął się przyglądać siedzącym pod oknem dziewczętom. One już od dłuższej chwili spoglądały raz po raz w jego stronę.

„Ten facet ma swoisty urok” - pomyślałem.

- To u was należy do standardu? - rzuciłem zaczepnie.

- Co? - Spojrzał na mnie zaskoczony. - Rozglądanie się po sali? Jedzenie kolacji? Picie piwa?... - dopytywał się zdezorientowany.

- Jeżdżenie za studentami...

Musiałem go urazić, bo nagle wyprostował się gwałtownie. Spojrzał na mnie uważnie. Po twarzy przebiegł mu cień.

- Czy ja wyglądam na szpicla? - warknął wrogo.

„No nie - pomyślałem - na szpicla to on nie wygląda”. Zamówiliśmy kolejne piwo, chociaż ja tego dnia wypilem już stanowczo za dużo, biorąc pod uwagę zaburzenia w rozumieniu i postrzeganiu otaczającej mnie rzeczywistości i to jutrzejsze, bądź co bądź ważne dla mnie kolokwium.

- Czy możesz jeszcze coś dodać? - rzuciłem niepewnie. -Niewiele zrozumiałem...

- Nie przejmuj się! Od tygodnia ja też niewiele rozumiem...

- A więc jesteś tu służbowo... - próbowałem choć trochę usystematyzować usłyszane wiadomości, ułożyć je w jakąś sensowną całość.

- Zdecydowanie bardziej prywatnie niż służbowo - przerwał mi gwałtownie. - Służbowo bym tu nie przyjechał, bo niby po co? Profesor wymyślił tę delegację, żeby uciszyć swoje wyrzuty sumienia. Gdyby nie wpadł na ten pomysł i nie stworzył tej swoistej fikcji, to musiałby mnie wyrzucić dyscyplinarnie z pracy na uczelni. Fikcja fikcją, a i tak pewnie będę musiał poprowadzić tutaj jakieś zajęcia... Nic bardzo to sobie wyobrażam. Dobrze, że dzisiaj jeszcze nie muszę się tym martwić, jutro rano mam się zgłosić w dziekanacie...

- A prywatnie? - wszedłem mu w słowo.

- Prywatnie to zupełnie inna sprawa. - Zamyślił się. Na chwilę zamilkł. Wyjął papierosa i zaczął miętosić go w palcach. - W poniedziałek w ubiegłym tygodniu wzięłem dyżur za kumpla - zaczął bez

przekonania, jakby się zastanawiał, czy powinien o tym ze mną rozmawiać. - Dziwny dyżur, zupełnie dla mnie nietypowy. To był dyżur w studenckim telefonie zaufania. Taka praca zupełnie do mnie nic pasuje. To nie moje klimaty. Rafał mnie zaskoczył... Zadzwoił do mnie nad ranem. Nic miałem czasu się nad tym zastanowić...

Byłem zbyt zaszpany, żeby myśleć logicznie, zbyt mało przytomny, żeby mu odmówić. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że to robota jak każda inna... Myliłem się. Pod koniec

dyżuru zadzwoniła do mnie dziewczyna. Nie potrafiłem jej wtedy pomóc. Przyjechałem tutaj, żeby spróbować to naprawić...

- Czyli jednak służbowo... - przerwałem mu.

- To ty tak uważasz - zaprzeczył gwałtownie. - Dla mnie to zupełnie prywatna sprawa, najbardziej prywatna z prywatnych. Dyżur skończyłem w poniedziałek o dwudziestej pierwszej. Od tego czasu jest to już tylko moja prywatna sprawa.

Weronika przyjechała do nas we wtorek, kalkulowałem szybko, mówiła, że musiała załatwić jeszcze mnóstwo spraw na swojej uczelni. Pierwotnie miała się u nas zjawić w poniedziałek rano. Tak naprawdę to czekaliśmy na nią z Anke przez cały weekend. Ja już w piątek wyczyściłem Ferdka...

- Tą dziewczyną jest Weronika? - chciałem się upewnić, czy dobrze go rozumiem.

- Tak mi się wydaje - powiedział bez większego przekonania.

- Wydaje ci się? - nie zrozumiałem.

- Wynika to z wykluczenia... - odrzekł, a ja próbowałem w tym znaleźć jakiś sens. - Innej możliwości już chyba nie ma. W każdym razie ja już

jej nic widzę - poprawił się szybko.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- O tym, że to może być Weronika, pomyślałem dopiero wczoraj. Zresztą to nawet nie ja na to wpadłem... Ja już nie miałem żadnych pomysłów, nie widziałem żadnych możliwości.

Dziewczyna powiedziała mi tylko, że rozpoznaje mnie po głosie, bo ma ze mną zajęcia. W grę wchodziło kilka grup, w sumie ponad pięćdziesiąt studentek... Przez tydzień wykonałem mnóstwo jałowych ruchów...

- Pewności nie masz? - przerwałem mu.

- Nie mam - odpowiedział niechętnie, z wyraźnym ociąganiem. - Powiedziałeś, że studiowaliście razem, a później przyjechał tamten chłopak z Polski... - zmienił nagle temat. - Poznałbyś go?

- Tego szuję? - wyrwało mi się. Nie zareagował. Udał, że nie słyszy, a może myślał tak samo. - Pewnie, że bym go poznał, wszędzie i zawsze, o każdej porze dnia i nocy...

Wyciągnął w moją stronę swoją komórkę. Włączył Internet. Poznałem tamtego frajera bez najmniejszych problemów. Na stronie internetowej ich uczelni, na zdjęciu jej grupy stał obok Weroniki ten obcięty na jeża, gładziutko wygolony, w koszuli jak zawsze dopiętej pod szyję, zniechęcony przeze mnie dupek.

- Powiesz mi coś więcej?

- O czym?

- No, o tym dyżurze.

- Interesuje cię dyżur w telefonie zaufania? - spytał z niedowierzaniem. - Możesz mi wierzyć - kompletna nuda. Wypiłem morze kawy, wypaliłem z pół paczki papierosów, sprawdziłem wszystkie zaległe kolokwia... Takie zmarnowane popołudnie, totalna porażka... Nie mógłbym tam nigdy pracować.

Ja w pracy potrzebuję dynamiki, ruchu... Męczy mnie mono-tonia i nuda. To zupełnie nie dla mnie...

- Ja nie o to pytam... - przerwałem mu.

- Domyślam się, że nie o to... - zachnął się. - Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. To telefon

zaufania. Udajesz, czy nie rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiałem. Na jego miejscu też nic puściłbym pary z gęby.

Przywołał ręką kelnerkę. Zapłacił rachunek. Powiedział, że prześpi się w motelu. Pożegnał się z mną i wyszedł odprowadzany wzrokiem przez siedzące pod oknem dziewczyny.

„Ciekawy facet” - pomyślałem już kolejny raz.

- Melanio, musisz mi pomóc - wyszeptałem do telefonu, jakby ten szept mógł zmienić fakt, że znów budzę ją w środku nocy.

- Konrad, bój się Boga, tobie to weszło w krew!

- Głos Melanii zabrzmiał oschle, prawie wrogo. - Zaczynam już mieć zaburzenia lękowe. Nigdy wcześniej nie spałam z telefonem tuż przy głowie.

Masz szczęście, że mój mąż wyjechał służbowo. Nic wiem, czyby zrozumiał, że tobie ostatnio coś się pomieszało we łbie... - Powiedziała chyba jedno zdanie więcej, niż zamierzała, bo nagle zamilkła zażenowana. - Co się stało tym razem? - rzuciła odrobinę przyjaźniej.

- Nic. Mam nadzieję, że nic - poprawiłem się szybko. - Odnalazłem Weronikę, ale jej nie ma... Pojechała z koleżanką na wycieczkę. Wróci dopiero jutro rano, prosto na zajęcia. Nie jestem pewny, czy

to ona dzwoniła do studenckiego telefonu zaufania.

Niby wszystko pasuje, z grubsza się zgadza, ale nękają mnie wątpliwości... Jakoś nie jestem do końca przekonany...

Przez przypadek podałem się za jej brata. Całe szczęście, że udało mi się z tego jakoś wybrnąć i śpię w hotelu, a nie w akademiku, w jej łóżku. Wszystko to jest bardzo skomplikowane. Ona już studiowała w Niemczech. Przeniosła się na naszą uczelnię dopiero po trzecim roku... - bełkotałem, jej zdaniem zapewne bez większego sensu.

- Piłeś coś? - przerwała mi gwałtownie. Jednym krótkim pytaniem sprowadziła mnie na ziemię.

- Parę piw do kolacji - zacząłem się odruchowo tłumaczyć. - To zupełnie nie ma znaczenia.

- Jeżeli nie jesteś pijany, to zidiociałeś do reszty... - palnęła bez zastanowienia.

Była oburzona. Myślę, że zdążyła usiąść na łóżku i włączyć światło, wierząc święcie, że rozpraszając mrok, łatwiej pojmie sens chaotycznie rzucanych przeze mnie zdań. Mogłem ją sobie wyobrazić. W chwilach największego wzburzenia Melania kiwała bezwiednie głową, a loczki na czubku jej głowy podskakiwały jak sprężyny. Odruchowo oblizywała językiem dolną wargę, jakby z niewiadomego powodu jej usta stawały się suche.

Była na mnie wściekła. Słyszałem złość w jej głosie.

Na jej miejscu też byłbym oburzony. Przyjechałem tu służbowo jako przedstawiciel naszej sławetnej i staroświeckiej uczelni. Profesor wierzył święcie, że wysilę wszystkie swoje szare komórki, uruchomię całą gamę werbalnych i niewerbalnych zachowań, które przyczynią się do tego, że stary będzie mógł być ze mnie dumny. Przyjechałem tu umacniać dobre imię naszej szkoły, a nie robić z siebie idiotę, podając się za brata jednej z naszych studentek. A zdanie, że „nie śpię w łóżku Weroniki, tylko w hotelu” w oczach

Melanii zapewne i tak niczego nie zmieniało. Zapłaciłem czterdzieści dziewięć euro za jedną noc w podrzędnym hotelu na obrzeżach tego zabytkowego miasta, mając do dyspozycji, z uwzględnieniem kosztów jedzenia i noclegów, trzydzieści euro dziennie. „Jak tak dalej

pójdzie, to po powrocie do domu będę bankrutem” - pomyślałem.

- Jesteś tam jeszcze? - warknęła do słuchawki. Zapewne moje milczenie wydało się jej zbyt długie, bo nagle przerwała je gwałtownie.

- Jestem... - bąknąłem pod nosem.

- Zadzwoń mi do mnie grubo po północy, żeby mi opowiedzieć, jak robisz z siebie idiotę?

- spytała z niedowierzaniem w głosie.

- Niezupełnie... - mruknąłem cicho.

- No więc, o co chodzi?

- Kto zastępuje mnie jutro na zajęciach?

- Tomek...

- Niech to szlag trafi! Dlaczego właśnie on? - wybuchnąłem. „Niech to diabli - pomyślałem - dlaczego muszę mieć ostatnio takiego pecha?”. Tomasz się do niczego nie nadaje. Jest idealny jak mało kto, sztywny jakby kij połknął, zamknięty wprost hermetycznie w wąskie ramy standardowych zachowań. Byłby idealnym wzorem urzędnika przestrzegającego wszystkich możliwych paragrafów. Jego nikt i nigdy by nie skorumpował.

Jest tak nudny i przewidywalny, że pojęcia nie mam, za co go kocha jego dziewczyna. Może za tę przewidywalność? Będzie wierny aż do śmierci, nigdy nic zmieni pracy, donikąd nie wyjedzie, bo zapewne nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, że jego życie mogłoby się zmienić, zacząć biec choć odrobinę inaczej... Że też właśnie on musi mieć zastępstwo w tej grupie! Co za pech! Po prostu koszmar... Raptem uświadomiłem sobie, że Melania nic nie odpowiedziała, że już od dłuższej chwili z drugiej strony panuje grobowa cisza.

- Jesteś tam jeszcze? - rzuciłem niepewnie. - Jestem... - warknęła lodowatym tonem. - Sama się sobie dziwię, ale jeszcze jestem.

- Dlaczego Tomek? - spytałem z pretensją w głosie. - Ty nic mogłabyś poprowadzić tych zajęć?

- Jeszcze śmiesz się mnie czepiać? - fuknęła oburzona. - Mam za ciebie zajęcia we wszystkich pozostałych grupach. Uważasz, że to mało? - aż syczała z wściekłości. - Pojechałeś tam, jak słyszę, robić z siebie krety, a nam tu przyszło za ciebie harować.

- Przepraszam... - zreflektowałem się. - Jestem ci bardzo wdzięczny - wiłem się jak piskorz. Problem w tym, że pomagasz mi we wszystkich

innych grupach tylko nie w tej, na której mi najbardziej zależy...

- Wykrztuś wreszcie, o co chodzi! - zabrzmiało odrobinę cieplej. - Może da się coś zrobić... Mogę

fi r · · r · rp l ·

spróbować zamienić się z Tomkiem.

- Widzisz, muszę coś sprawdzić - zacząłem tłumaczyć. - Jeżeli Weronika jest rzeczywiście tą dziewczyną z telefonu zaufania, to ten chłopak jest z nią w jednej grupie. Ma na imię Artur.

Nazwiska nie znam. To blondyn o niebiańskim spojrzeniu, idealnie przystrzyżonych włosach i patologicznie schludnym wyglądem. Talu lekko oślizgły typ... Że też go jakoś z tych moich zajęć nie pamiętam... Już na pierwszy rzut oka widać, że to gnida... - przestałem się



kontrolować.

Usłyszałem wymowne chrząknięcie.

- Do rzeczy - przywołał mnie do porządku głos Melanii.

- Jeżeli tą dziewczyną jest Weronika, to on wkrótce się żeni.

Chodzi mi tylko o dyskretne potwierdzenie tej informacji. Nie chciałbym wyjść na jeszcze większego idiotę...

- Tyle to mogę chyba dla ciebie zrobić...

\* \* \*

Obiecałam mu pomoc. Odłożyłam słuchawkę i nagle ogarnęło mnie przerażenie. Jak ja to niby mam zrobić? Z tego, co pamiętam, najbliższe zajęcia mają być poświęcone tajemnicy zawodowej. Temat nudny jak flaki z olejem, jeden z tych, których nic cierpię i które klepię co roku zupełnie bez żadnych emocji.

Zawsze mówię to samo i zawsze z takim samym beznadziejnym skutkiem.

Zaraz z rana zaczepiłam Tomka. Nie trzeba go było długo namawiać. Chyba na rękę mu była ta zamiana. Zgodził się błyskawicznie, jakbym wręcz uprzedziła jego prośbę. Studenci bardzo się nudzili.

Nic dziwnego. Już sam temat był beznadziejny, a w moim wykonaniu to już - jak zawsze - totalna klęska. Siedzieli zatopieni w swoich myślach, wpatrywali się w ulewę za oknem, czytali potajemnie książki, niszczyli bezmyślnymi gryzmołami dziesiątki kartek... Stopień ich znudzenia był adekwatny do tego koszmarnego tematu i beznadziejnej późnej jesieni.

- Skupcie się! - próbowałam choć trochę skoncentrować na sobie ich uwagę. - Nikt z was, bez względu na wybraną w przyszłości specjalizację, nie ucieknie przed tym zagadnieniem.

Tajemnica lekarska będzie wpisana w każdy dzień waszego zawodowego życia. Częściej będziecie się o nią ocierać niż o internę i anatomię.

Chłopak siedzący pod oknem łypnął w moim kierunku, by po chwili z jeszcze większą gorliwością oddać się pisaniu jakiegoś SMS-a.

- W historii naszego zakładu etyki zawodowej nie zdarzyło się jeszcze, by podczas zaliczenia końcowego nie pojawiło się pytanie o tajemnicę zawodową... - powiedziałam obojętnym tonem.

Trochę pomogło. Kilkanaście par oczu spojrzało w moją stronę. Zaliczenie końcowe to zawsze mocny argument. Bez zaliczeń nie można przystępować do egzaminów, a w końcu nawet taki przedmiot jak etyka zawodowa może człowiekowi skomplikować sesję, zepsuć zaplanowane już ferie zimowe, pomieszać szyki... Co poniektórzy z ogromnym ociąganiem sięgnęli nawet po jakieś zeszyty.

- Tajemnica lekarska jest terminem prawniczym wprowadzonym ustawą z dnia piątego grudnia 1996...

Nikt już nie pisał. Nikt nie słuchał. Przestali nawet patrzeć w moją stronę. Znowu uciekli wzrokiem za okno. Ustawy? Ustawy zawsze można znaleźć i przeczytać. Przez chwilę było mi przykro. Chociaż przez tyle lat powinnam była już do tego przywyknąć.

- Jak myślicie, co jest objęte tajemnicą lekarską?

- spróbowałam jeszcze ratować te zajęcia. „Swoją drogą- pomyślałam - ciekawe, jak takie beznadziejne tematy prowadził kiedyś Marco”. On w każdą nudę potrafił tchnąć życie, wykrzesać ze słuchaczy emocje, zmobilizować do wymiany poglądów... Marco był mistrzem

wszystkich tematów. Absolwent dwóch uczelni, z zawodu lekarz i psycholog, zawsze potrafił poderwać studentów do dyskusji. Niewiele starszy od nich, był bardziej przyjacielem niż wykładowcą.

Twierdził, że etyka zawodowa jest czymś naturalnym, czymś, co drzemie w każdym z nas. Jego zdaniem nie wymagało to nauki, trzeba było tylko to coś drzemiące w środku odkryć, rozbudzić, a następnie zrozumieć. Kochali go... „Brakuje im Marco - pomyślałam nagle. - Nam wszystkim z każdym dniem brakuje go coraz bardziej...”.

- Jak myślicie, co jest objęte tajemnicą lekarską?

- powtórzyłam jeszcze raz, próbując się uwolnić od wspomnień. -Jak ci się wydaje? - Spojrzałam na dziewczynę siedzącą tuż przede mną w pierwszej ławce. Próbowałam jeszcze tchnąć choć odrobinę życia w te beznadziejne zajęcia.

- Myślę, że tajemnicą zawodową objęte jest wszystko - diagnoza, wywiad, wyniki badań, terapia... - wymieniała niepewnie dziewczyna.

- Informacje powierzone przez innych lekarzy...

- dorzucił student siedzący tuż pod oknem...

Już od dłuższej chwili przyglądałam się temu chłopakowi. Przed rozpoczęciem zajęć przebiegłam szybko wzrokiem listę obecności. Jego imię zauważyłam od razu. Pod numerem dziesiątym figurował Artur Litoński. Sprawdziłam obecność, żeby go zidentyfikować. Dużo prawdy było w opisie, którym posłużył się Konrad. Artur był wysokim blondynem o bardzo krótko przyszyronych włosach, które stały mu na czubku głowy na podobieństwo szczeciny.

W wełnianej marynarce i zapiętej po samą szyję koszuli wyróżniał się spośród innych, ubranych w swetry, luźne koszule, niedopięte pod szyją polo, rozmaite bluzy... Odcinał się od reszty wyglądem i sposobem bycia. Jakby tylko przypadkiem ktoś go wepchnął do tej małej społeczności, od której czuł się lepszy, do której nie chciał należeć i od której się manifestacyjnie izolował. Było w nim coś odpychającego. Ten, kto go opisywał Konradowi, musiał być dobrym obserwatorem. Litoński nawet nie udawał, że słucha. Byłam dla niego marnym pyłem, jakąś nędzną istotą, która zabierała mu cenny czas w dzisiejsze popołudnie.

Przerzucał płachty jakiejś gazety, zupełnie się z tym nie kryjąc. Moja niechęć do niego narastała z sekundy na sekundę. Ależ bufon! Nareszcie dobrnęłam do końca. Myślałam, że dzisiaj usnę razem z nimi. „Może nie było tak źle? Może wszystkiemu winna jest tylko ta paskudna pogoda za oknem?” - pomyślałam. Przy takiej aurze cały świat wydaje się krzywy i nieudany. Ciemno, mgliście, wilgotno... Nad zachodnią Polskę nadciągnął niż, wraz z którym zniknęły ślady wczorajszego śniegu. Światem rządziła obmierzła, wilgotna, melancholijna jesień. Studenci wstawali powoli, dosuwali krzesła do stołów, zegnali się.

- Proszę, żeby na chwilę został pan Artur Litoński - przebiłam się głosem przez dźwięki przesuwanych krzeseł i tupot nóg.

Litoński spojrzał w moją stronę z nieukrywaną niechęcią. Właśnie zdołał złożyć pedantycznie tę swoją gazetę, wepchał ją do torby i powoli zbierał się do wyjścia.

- Pani z dziekanatu prosiła, żeby pan napisał uzasadnienie rezygnacji z wyjazdu na wymianę do Saksonii.

- Rozmawiałem już o tym z dziekanem - warknął nieuprzejmie i wyniośle. No tak, jego zdaniem przy dziekanie byłam nikim.

- Rozmawiał pan - powiedziałam ostro - ale wymagane jest, niestety, pisemne wyjaśnienie.

Powinien był je pan złożyć w minionym tygodniu. Skorzysta pan z mojej pomocy, czy woli pan gnać w tym deszczu do dziekanatu, który jest czynny jeszcze tylko dziesięć minut?

Drażnił mnie strasznie. Dawno już nikt mnie tak nie irytował. Zdziwił go zapewne ton mojego głosu. Spojrzał raptem jakby przestraszony w moją stronę.

- Przepraszam - zaczął skomlącym głosem. - Chyba źle zrozumiałem panią w dziekanacie.

Myślałem, że mam na to znacznie więcej czasu. Naprawdę, gdybym dobrze zrozumiał, dopełniłbym tego obowiązku. Wic pani doktor, kiedy składałem przed paroma miesiącami podanie, to jeszcze nic wiedziałem, że będzie możliwość studiowania w Londynie. Moi rodzice nakłonili mnie do rezygnacji ze studiów w Saksonii. Anglia jest o wiele ciekawsza.

Zdałem już egzamin z języka, napisałem list motywacyjny, przetłumaczyłem u tłumacza przysięgłego indeks i jak dobrze pójdzie, to za parę dni wyjadę do Londynu. Na początek zamieszkam u starego znajomego mojego ojca. Będę miał więcej czasu na naukę i szlifowanie języka. Rodzice twierdzą, że tak będzie najlepiej. Cały czas pracuję nad językiem - rzucił przepraszająco, wskazując ręką na gazetę. - Ja już byłem w Saksonii. Co prawda krótko, ale wystarczająco długo, żeby się przekonać, że chyba nie lubię Niemców. Oni też za mną nie przepadają. Moi rodzice również są zdania, że Anglia daje o wiele większe możliwości, zupełnie inny start w życiu, bez tych wszystkich historycznych uprzedzeń i zaszłości. Sama pani doktor chyba rozumie. Może uda mi się po studiach tam zostać, zrobić specjalizację...

Tłumaczył się idiotycznie. Zasłaniał się rodzicami. Mydlił mi oczy historią, a przy tym wszystkim wił się jak piskorz, płaszczy! i podlizywał.

Jak to powiedział o nim Konrad?

Gnida? W nocy byłam oburzona, a w tej chwili pomyślałam tak samo. I nagle odechciało mi się już czekać na to jego uzasadnienie.

- Ma pan tu formularz - rzuciłam obojętnie. - Proszę wypełnić go w domu. Dam znać pani Halince, że jutro rano dostarczy go pan do dziekanatu.

- Dziękuję! Bardzo dziękuję! Tak będzie zdecydowanie lepiej. Dokładniej przemyślę formę. W końcu to pozostanie już na zawsze w moich aktach. Poradzę się jeszcze ojca. - Stał jak dziecko na baczność. Składał i rozkładał w kółko ręce. Wydymał usta, artykułowa! słowa obrzydliwie uniżonym tonem. - Jeszcze raz dziękuję... Jestem pani bardzo wdzięczny...

Bałam się, że od słodyczy w jego głosie za chwilę mnie zemdli. Ależ oślizgły młody człowiek...

- Nie ma pan za co dziękować - powiedziałam chłodno. - Byłam przypadkiem w dziekanacie i nieopatrznie wspomniałam, że mam dzisiaj zajęcia z państwa grupą...

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Gnida jakich mało, ale to nic ta historia. Ależ Konrad będzie zawiedziony... Zadzwoiłam do niego od razu, ale był niedostępny. Spróbowałam bez skutku parę razy.

W końcu napisałam tylko SMS-a, z nadzieją, że jakoś do niego dotrze: „Weronika nie jest dziewczyną, której szukasz. To zupełnie inna historia”.

\* \* \*

Wyszedłem z tutejszej katedry etyki zawodowej. Byłem wściekły na siebie, profesora i całą tę sytuację. „Rewelacja, po prostu rewelacja - pomyślałem. - Ależ mi stary piekło na ziemi zgotował”. Jutro mam wspólnie z niemieckim kolegą poprowadzić zajęcia na temat braku różnic w etyce zawodowej, mimo znaczących różnic w systemach opieki zdrowotnej jako

przykładu jednolitego i ponadsystemowego rozumienia postawy moralnej lekarzy.

Profesor, z którym rozmawiałem, miał chyba z osiemdziesiąt lat i na pewno, choćby z racji wieku, był uczestnikiem wszystkich społecznych i politycznych przemian, które przekształciły dwa państwa niemieckie w jedną, przynajmniej pozornie

r · I r r r ~ w · · · · 1 · ·

spójną całość. Z racji miejsca urodzenia i zamieszkania przesiąknięty był czasami, których nie mogę pamiętać, kiedy to udowadnianie jedynomyślności, mimo wielu znaczących, nie tylko ideologicznych różnic, było na porządku dziennym.

Po południu miałem się spotkać z niemieckim wykładowcą, aby ustalić wspólną strategię jutrzejszych zajęć. Nie tak wyobrażałem sobie mój pobyt w Saksonii. Na temat systemu opieki zdrowotnej w Polsce mogłem mówić godzinami, szczególnie że bulwersował mnie on na co dzień, był przyczyną narastającej frustracji i głębokich rozczarowań, powodem, dla którego straciłem serce do mojego zawodu, bo albo moja wewnętrzna motywacja była zbyt słaba, albo nie miałem bogatych krewnych, żebym mógł traktować ten zawód jako powołanie lub swoiste hobby. Bez względu na to, co myślałem, i tak nie miałem najmniejszej ochoty dzielić się moimi przemyśleniami z jakąś grupą niemieckich studentów. Nawet tam, gdzie się wychowywałem, w tamtym domu dziecka, nauczono mnie, że nie pluje się we własne gniazdo, a brudy pierze się w swoim domu. Chyba nie chodzi o to, żeby udowodnić przez porównanie, gdzie jest gorzej, a gdzie lepiej, ani o to, że problemy systemowe mogą rodzić problemy natury moralnej. Szlag by to trafił, że też wdepnąłem w to gówno! Jutro czekało mnie piekło tych zajęć, dzisiaj po południu zmarnowanych parę godzin z jakimś niemieckim asystentem z katedry etyki zawodowej, a teraz, przed południem, za niespełną godzinę mam uczestniczyć jako obserwator zewnętrzny, jak to określił ten sędziwy profesor, w zajęciach w jednej z grup na piątym roku. Grafiki wypełnili mi szczelnie. Termin gonił termin, zadanie biegło za zadaniem... Pomyślałem sobie, że mam jeszcze trochę czasu, akurat tyle, żeby przejść się po terenie kliniki uniwersyteckiej. „Miasto w mieście” - przemknęło mi przez myśl. Otoczony wysokim murem, składający się z ponad pięćdziesięciu budynków obiekt różnił się wyraźnie od przyległej, mieszkalnej dzielnicy miasta. Nie było tu widać żadnego pośpiechu. Wszędzie panowała cisza i spokój, jakby czas nagle zwolnił i niemal się zatrzymał. Szerokie chodniki, skwerki, ławeczki, fontanny, dokładnie wygrabione z opadłych liści trawniki, przygotowane do zimy krzewy... Ład, porządek, żeby nie powiedzieć - nuda. Nawet przejeżdżający środkiem klinicznego miasta autobus jechał majestatycznie i powoli, przez co wydawał się wprost nierealny. Mury kliniki uniwersyteckiej dochodzą prawie do szeroko rozlewającej się w tym miejscu Łaby. Na przeciwległym brzegu rzeki szeroka łąka wspina się ku górze aż do murów dumnie górujących nad rzeką pałaców. „Latem musi tu być pięknie” - pomyślałem.

Gdzieś tam sterczą jeszcze rzędy kołków tworzących szkielet piętrowych winnic, pałace wydają się piąć w górę szerokimi tarasami, z których każdy stanowi jakby osobne piętro wyposażone w szerokie schody, bajeczne fontanny i ozdobne balustrady. Muszę przyjechać tutaj kiedyś latem. Latem wszystko wygląda zapewne jeszcze okazalej, jeszcze piękniej.

Wtedy zieleń dopełnia wszystkiego, ukrywa to, co nie całkiem udane, podkreśla to, co tajemnicze i piękne. Raptem w tę monotonię, ciszę i poranną nudę wdarł się głośnym hukiem helikopter lądujący na dachu sąsiedniego budynku. Usłyszałem drżenie szyb w oknach.

Spojrzałem w górę. Mignęły mi jeszcze z daleka żółty kadłub i wirujące śmigła. Później

wszystko przysłonił dach budynku z napisem „Notaufnahme”.

Zarys helikoptera odbijał się wyraźnie w szybach okien stojącego obok wysokiego gmachu.

r

„Śmigłowiec ADAC-u - pomyślałem. - Pewnie przywieźli kogoś z jakiegoś wypadku”. Z wypadku? Nagle oprzytomniałem. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. O Boże, przecież ona miała rano wracać z Bautzen na te przedpołudniowe zajęcia. Przez chwilę o tym zapomniałem. Jak ja, do cholery, mogłem o tym nie pamiętać! „Tylko spokojnie - próbowałem uspokoić sam siebie, to nic to, dzisiaj są przecież zupełnie dobre warunki na drogach. Rano nie było mgły, od godziny przebija się przez chmury słońce, a temperatura jest wyraźnie powyżej zera. Nie ma nawet śladu po wczorajszym śniegu. Przed chwilą wdepnąłem w kałużę”. Zadzwoiłem do Andre.

Nie odbierał. Pomyślałem, że pewnie siedzi na zajęciach. Na SMS-a odpowiedział od razu.

Weronika nie zjawiała się na uczelni. Jessica wróciła wczoraj w nocy po koncercie. Zabrała się jakąś okazją. Nika ponoć chciała zostać w Rammenau trochę dłużej. Planowała przenocować w Bautzen. Miała przyjechać do Drezna dzisiaj rano.

Andre nic więcej nie wiedział.

Wróciłem pod tamten budynek z lądowiskiem na dachu. Wszedłem do środka. Miałem wrażenie, że słyszę bicie własnego serca. Nie musiałem o nic pytać. Wszyscy tutaj rozmawiali o jakiejś katastrofie na autostradzie A4 w kierunku Lipska i o młodym motocyklicście w ciężkim stanie przywiezionym przez helikopter. Ponoć chłopak był nieprzytomny, miał uraz głowy i kręgosłupa... Raptem mi ulżyło. Pewnie nie usłyszałbym dzwonka mojego telefonu, gdyby nie to, że chciałem napisać SMS-a do Andre, żeby go trochę uspokoić. Wyjąłem telefon z kieszeni i w tym momencie dźwięk dzwonka złął się z hukem startującego śmigłowca. Numer był zastrzeżony. W ostatniej chwili zdołałem odebrać.

- Halo, halo! - próbowałem przekrzyczeć otaczający mnie ze wszystkich stron hałas.

Odpowiedziała mi cisza albo tylko ja nic nie usłyszałem. Turkot odlatującego helikoptera zagłuszał wszystko, nawet moje myśli. Puściłem się biegiem przed siebie, chciałem oddalić się choć trochę od tego przeraźliwego dźwięku.

- Halo, halo! - krzyczałem do telefonu. Po drugiej stronie panowała niczym niezmacona cisza.

Szlag by to trafił! Co za pechowy zbieg okoliczności.

To już jakieś fatum.

Cudem zdążyłem na te zajęcia, na których miałem status obserwatora i gościa. Nie mogłem się skupić. Myślami byłem gdzieś tam w połowie drogi pomiędzy Bautzen a Dreznem. Przed oczyma miałem ciągle twarz Weroniki z tego ich grupowego zdjęcia.

Rozdawałem odruchowo uściski dłoni, rozsiewałem wokół automatyczne uśmiechy.

Udawałem, że słucham, chociaż obco brzmiące słowa nie przemawiały jakoś dzisiaj zupełnie do mojej wyobraźni. Poruszali temat, który nie tylko z racji języka wydawał mi się obcy.

Rozmawiali o Patientenverfugung, pisemnie wyrażonej woli pacjenta spisanej w momencie, kiedy pacjent jest w stanie świadomości i precyzyjnie wyrazić swoją decyzję na ewentualność, gdyby kiedyś nie mógł jej już jednoznacznie wyartykułować. Przypomniał mi się wieczór, kiedy siedzieliśmy z Rafałem w pubie tuż przy kortach, a on opowiadał mi o swoich

frustracjach związanych z tym Patientenverfugung. Pamiętam, jak bardzo był zdziwiony reakcją naszych studentów. Tutaj nikt nie dyskutował, jakby nie było o czym. Należało to do ich kultury, do ich rzeczywistości. Było to coś tak logicznego jak zgoda na transplantację narządów. Coś znanego już od dawna i powszechnie akceptowanego, co przyjmowano bez dyskusji, prawie z definicji. Nie miałem siły ani się dziwić, ani frustrować. Myślami błądziłem daleko. Swoją drogą ciekawe, jak Rafałowi jest w tej Wenecji...

\* \* \*

Z Andre spotkaliśmy się w stołówce studenckiej.

- Nic poszło mi najlepiej - bąkał niewyraźnie pod nosem. - Trafiłem na asystenta biurokratę. No, może jakimś cudem zaliczę... - wydusił z siebie.

W natłoku tych wszystkich spraw całkiem zapomniałem o tym jego dzisiejszym kolokwium.

- Nie dało się ściągać? - spytałem.

- Ściągać? - Spojrzał na mnie zaskoczony. Testował mnie wzrokiem, jakby sądził, że go podpuszczam. - Chyba żartujesz, to zupełnie nic w moim stylu. Wiem albo nie wiem, potrafię albo nie...

Tu nie chodzi o ocenę, lecz o weryfikację własnych umiejętności - mówił dziwnie poważnie. - Życia nie da się przeżyć na podpowiedziach albo na ściągach. Kolokwium to taki przedsmak zawodowych obciążeń w przyszłości - forma sprawdzenia samego siebie, bezpieczna, bo pozbawiona jeszcze odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Ja nawet to lubię... Trochę pozytywnego wysiewu adrenaliny. Taka próba zmierzenia się z samym sobą, ze swoimi umiejętnościami, możliwościami, wiedzą...

Zadziwił mnie, ja kiedyś myślałem zupełnie inaczej, a teraz, widząc moich ściągających studentów, staram się wyrozumiale patrzeć w okno. Zaskoczył mnie tą wypowiedzią. Aż dziwne, że ktoś może mieć takie poglądy. Poczułem się jakoś nieswoje;

- Było trudno? - starałem się zmienić temat.

- Nie, dziecinnie łatwo, wprost infantylnie - zaprzeczył gwałtownie - ale ja nie mogłem się skupić, cały czas myślałem o tym, że Nika nie zjawiała się na zajęciach. Odejmą mi punkty za SMS do ciebie i za liczne do niej. Zrobiłem wszystkie zadania. Jeżeli się gdzieś idiotycznie nie pomyliłem, to z biedą może jakoś zaliczę... To było kolokwium z receptury. Mnie to zawsze kręciło... Skomponować samemu coś, co może się okazać o wiele lepsze od istniejących na rynku preparatów. Pilnujący nas asystent podsumował mnie, że jestem chyba uzależniony od korzystania z telefonu, skoro nawet przez dziewięćdziesiąt minut tak ważnego sprawdzianu nie mogę się bez niego obejść - referował jednym tchem Andre. - Powiedział, że na moim miejscu zacząłby się leczyć, że to uzależnienie jak każde inne, że znajduje się w tej samej grupie co uzależnienie od alkoholu, narkotyków, hazardu i gier komputerowych i że psychoterapia powinna mi na początku zupełnie wystarczyć. Kiedy zacząłem się tłumaczyć, że bardzo się o kogoś denerwuję, stwierdził, że powinienem się być zgłosić w sekretariacie jako niezdolny do pisania kolokwium, bo zajmując się czymś innym, nie byłem zdolny do myślenia na temat wylosowanych przeze mnie pytań i tematów. Po zakończeniu tych swoich wywodów z namaszczeniem zaznaczył na moim arkuszu liczbę wysłanych przeze mnie wiadomości...

- Przepraszam. - Nagle poczułem się winny.

- Za co? - Spojrzał na mnie z nieukrywanym zdziwieniem. - Gdybym nie chciał, tobym ci nie odpowiedział. Widocznie chciałem. Sam straszliwie się denerwuję. Ona, odkąd

przyjechała, jest jakaś dziwna. Jakby ją ktoś odmienił...

Siedział naprzeciw mnie i dłubał widelcem w kotlecie mielonym. Odkrawał kawałek, mieszał go z ziemniakami, a później pastwił się nad tą mamałygą, próbując stworzyć z ziemniaków puree i mięsa jednolitą gładką masę.

- Beznadziejne - stwierdził kategorycznie, odsuwając raptem od siebie talerz. Chyba nawet nie skosztował. - Co teraz będziesz robił? - Spojrzał uważnie w moją stronę.

- Za jakieś pół godziny spotkam się z facetem, z którym jutro poprowadzę zajęcia, żeby wspólnie ustalić ich przebieg. O piętnastej mam się zgłosić w hotelu dla asystentów i odebrać klucze do pokoju... - dokończyłem ciszej, bo już od dobrej chwili miałem wrażenie, że przestał mnie słuchać. Przysunął sobie bliżej talerz i wrócił do pastwienia się nad tą swoją mięsno-ziemniaczaną papką.

- Jak się nazywa człowiek, z którym masz się spotkać? - zaskoczył mnie pytaniem.

- Andreas Beck. - Popatrzyłem na otrzymaną w dziekanacie wizytówkę.

- To spotkanie nie zajmie ci dużo czasu - rzucił Andre nieoczekiwanie. - Facet ma zdrowe i nieskomplikowane podejście do życia, w tym do prowadzonych przez siebie zajęć ze studentami, jutro masz zajęcia z naszą grupą... - dokończył.

Z ich grupą? „Niesamowity zbieg okoliczności”

- pomyślałem.

Andre podniósł się raptownie. Z impetem kopnął w nogę od stołu. Chlusnęła na obrus ta dziwna kielbasiana zupa, nad którą siedziałem już od dłuższej chwili i do której próbowałem się jakoś przekonać. Zupa była koszmarna. Jak można pokroić w dziesiątki cienkich pasków różne gatunki salami, dodać do tego paski zielonej papryki, zalać to wszystko gęstą pomidorową ciapą i na koniec udekorować całość, wkładając w sam środek tego czegoś łyżkę gęstej śmietany? Ta niemiecka zupa w niczym nie przypominała swojego pierwowzoru, czyli rosyjskiej solanki, chociaż taką właśnie nosiła nazwę. Znam świetny smak prawdziwej rosyjskiej solanki. Plama na obrusie była dość okazałych rozmiarów. W talerzu widać było dno. Andre, wstając tak zamasyście, uwolnił mnie od tego kulinarnego koszmaru. Byłem mu wdzięczny.

- Przepraszam - rzucił odruchowo. - Nic chciałem...

- Przecież to jasne, że nie chciałeś.

- No to ja pędzę - stwierdził nieoczekiwanie. - Może złapię jakieś połączenie do Bautzen, a później spróbuję pojechać stopem do pałacu w Rammenau.

Ona nie odpowiada na telefony.

Ciągle włącza się informacja, że abonent jest chwilowo niedostępny. Wyłączyła komórkę albo nic ma zasięgu. Boję się, że w drodze powrotnej skręciła tym swoim trupem do Szwajcarii Saksońskiej. Tam w wielu miejscach nic ma zasięgu. Nie wysiedzę całego popołudnia w domu. Muszę działać. Nie będę tutaj na nią czekał jak jakiś nieudacznik i patrzył, jak mi włosy siwieją...

„Ciekawy chłopak - pomyślałem. - Otwarty, spontaniczny, przestrzegający zasad, które sam sobie narzucił, daleki w swym zachowaniu od stereotypowego Niemca, a może ja ulegam fałszywym stereotypom”. Machnął mi ręką na pożegnanie i już był w połowie drogi pomiędzy naszym stolikiem a drzwiami.

- Poczekaj! - zatrzymałem go. - Pojedziemy razem! - powiedziałem szybciej, niż on zdążył o

cokolwiek zapytać. - Bądź kwadrans po trzeciej pod hotelem asystentów. Samochodem będzie szybciej. Może Weronika się tymczasem odezwie. Te dwie godziny cię nie zbawią...

Staął jak wryty. Odwrócił się gwałtownie w moją stronę. Wbił we mnie wzrok.

Przejechał ręką włosy. Otworzył ze zdziwienia usta. Przełknął ślinę. Zwyczajnie osłupiał.



- Pojedziesz ze mną? - spytał z niedowierzaniem.

- Pojadę - odpowiedziałem zdecydowanie. - Oczywiście, że pojadę - powtórzyłem, widząc jego

niepewny wyraz twarzy.

- Ale dlaczego? - Ze zdziwienia zamrugał oczami. Przyglądał mi się uważnie, jakby w tym momencie odpowiedź na to pytanie stała się dla niego najważniejsza na świecie. „Dlaczego?

Nie mam pojęcia dlaczego” - pomyślałem. Sam chciałem to wiedzieć, zrozumieć. Nie wiem, co takiego się ze mną stało, że kiedy myślę o tej dziewczynie, to paraliżuje mnie strach, że zaczynam mieć napady paniki, kiedy tylko słyszę jej imię, że śpię od ponad tygodnia z komórką przy poduszce, że tamta rozmowa przysłoniła mi wszystko, odsunęła na dalszy plan inne sprawy); wypełniała każdą moją myśl, w pewnym sensie opętała mnie. Zamiast spróbować się od tego zdystansować, brnę w tę historię z każdym dniem bardziej, zanurzam się coraz głębiej, tkwię w niej już po uszy i zachowuję się tak, jakbym chciał w tym wszystkim utonąć. Czasami myślę, że przez ten dyżur zidiociałem, ale tego nie mogłem mu powiedzieć.

- Przejechałem szmat drogi, żeby z nią pogadać - rzuciłem obojętnym tonem. Starłem się wytrzeć z ubrania pojedyncze czerwone krople zupy, które zamiast na obrusie wylądowały na moim swetrze. - Skoro w tym celu przejechałem blisko trzysta kilometrów, to przejadę jeszcze tych kilkadziesiąt...

Andreas Beck wyglądał na mojego rówieśnika, a opinia Andre o nim okazała się w stu procentach prawdziwa. Omawianie jutrzejszych zajęć zajęło nam niespełna trzydzieści minut, z czego przez ostatnich dziesięć wymienialiśmy poglądy na temat upadku sportu akademickiego i ustaliliśmy termin wspólnej wyprawy na korty. W hotelu dla asystentów załatwiłem wszystko w niecały kwadrans. Pracująca w recepcji, sympatyczna i pogodnie uśmiechnięta dziewczyna wręczyła mi klucze do małego mieszkania składającego się z pokoju dziennego z balkonem, klaustrofobicznej sypialni bez okna, małej łazienki i wnęki kuchennej. Ta ostatnia zlokalizowana była idiotycznie, bo w przedpokoju, tuż obok szafki na buty i wieszaka na płaszcze. Najważniejszym sprzętem w tym mieszkaniu była niewątpliwie lodówka, gdzie czekały już na mnie dwa piwa na nudne samotne wieczory i parę butelek lokalnej wody mineralnej. Wrzuciłem torbę do przedpokoju i kwadrans po trzeciej dobiegałem do zaparkowanego przed budynkiem samochodu. Andre już na mnie czekał.

- Dzwoniłeś? - rzuciłem niedbale.

- Dzwoniłem.

- I co?

- Nic - burknął zrezygnowany. - Nic, po prostu gówno!

- No to faktycznie niewiele.

Wsiadł. Zapiął pasy. Wyjął komórkę i kolejny już raz próbował dzwonić. Ruszyłem autostradą A4 w kierunku Polski. Wczoraj przejeżdżałem obok Bautzen. Pomyślałem wtedy, że to dziwne miasto. Nad malowniczo położonymi w dolinie starymi domami wznosiła się przesadna liczba wież, jakby w tym mieście były same kościoły. Chwilę później przyjrzałem się uważniej tym wieżom. Tylko część z nich należała do kościołów.

- Bautzen to Budziszyn, miasto dwóch kultur, siedemnastu wież i tysiącletniej tradycji - zaczął opowiadać Andre, jakby czytając w moich myślach. Nakręcał się coraz bardziej, mówił coraz szybciej. Próbował czymś przytłumić narastający w nim lęk. - Najważniejszym

zabytkiem jest zamek Ortenburg...

Zajęty własnymi myślami nie byłem w stanie go słuchać. Mówił stanowczo za szybko. Z moją ograniczoną znajomością języka niemieckiego ledwie za nim nadążałem. Czułem już mętlik w głowie. W końcu się poddałem. Pomyślałem, że poczytam o tym później w jakimś przewodniku. Ocknąłem się, kiedy zaczął opowiadać o jakimś cmentarzu, „Głupi temat - przemknęło mi przez myśl. - Jeszcze mi tylko do tego koszmaru brakowało opowieści o urokach cmentarzy”.

- Ta nekropolia to coś niesamowitego. - Nie chciałem, a jednak zacząłem go słuchać. - Wyobraź sobie ruiny gotyckiego kościoła z połowy piętnastego wieku z przyległym do nich cmentarzem... Od wczesnej wiosny do późnej jesieni wszystko pokrywa wszechobecna, porastająca również nawy kościoła trawa. Skromne nagrobki z pochylonymi przez czas krzyżami, z rabatkami barwnych kwiatów, porozrzucane są bez żadnego planu i sensu.

Ścieżka z grubo ciosanych kamieni biegnie jakby przypadkiem pomiędzy zielonymi pagórkami. Pojedyncze kamienne mogiły są właściwie wszędzie - otaczają pozbawione dachu strzeliste ruiny, znaczą kamiennymi tablicami ograbione z podłóg kościelne nawy, stoją wzdłuż wybrukowanych ścieżek, wieńczą pokryte trawą pagórki, przylegają do miejskiego muru... Na cmentarz prowadzi kamienna brama. Z jednej strony ta tajemnicza nekropolia przylega do wysokich średniowiecznych miejskich murów, z drugiej ruiny kościoła wydają się zlewać z opadającą w kierunku rzeki stromą skarpą... Od tej strony mury kościoła porośnięte są jakimś pnączem o liściach podobnych do liści winorośli... A nad wszystkim króluje rzeźba Jezusa z krzyżem w jednej dłoni i z wyciągniętą ku górze drugą ręką, która wydaje się wskazywać niebo. Wręcz słyszysz, jak ta postać krzyczy całą sobą: „Pamiętaj o śmierci i

zmartwychwstaniu”. Ta wyciągnięta ku górze ręka jest zaprzeczeniem smutku i rozpacz, nadaje sens ludzkiemu życiu, obiecuje nadzieję i zwycięstwo...

Ten cmentarz jest niesamowity. Nie widziałem nigdy takiego drugiego... - mówił coraz wolniej, aż w końcu zamilkł. Może i dobrze, ja nie lubię cmentarzy.

- Wiesz, przed wyjazdem Niki do Polski byliśmy tam kiedyś razem... - odezwał się po chwili niespodziewanie. - Mówiła, że to takie niesamowite miejsce. Przeraziły mnie wtedy jej słowa. Pomyślałem, że nigdy więcej nie pójdę z nią na żaden cmentarz. Jak to ona wtedy powiedziała? - próbował sobie przypomnieć. - Że przeszłość splata się tam z teraźniejszością, setki lat współistnieją z sobą, dziesiątki ludzkich istnień znalazło wśród tych zielonych pagórków swoje ukojenie. Mówiła, że to wszystko nadaje temu miejscu jakiś ponadczasowy, magiczny charakter... Dziwne miejsce, gdzie nasze czasy tworzą jedność z przeszłością, my stajemy się bezimienni, a te zielone pagórki stają się częścią wszechświata... Mówiła, że to cudowne miejsce dla tych, którzy szukają ukojenia... Szlag by to trafił! - zaklął niespodziewanie. - Jeszcze tylko tego by brakowało, żeby Nika poszła tam oplakiwać rozstanie z tamtym palantem...

Zamilkł nieoczekiwanie. Raptem sposepniał. Nie miał ochoty nic więcej opowiadać. Ciarki przebiegły mi po plecach. Jak on to powiedział? Dziesiątki ludzkich istnień znalazło wśród tych zielonych pagórków swoje ukojenie? Klatka piersiowa wydała mi się nagle za mała, żeby pomieścić moje oszalałe serce. Kurde, mnie to już do końca pokopało! C) czym ja myślę?! Próbowałem uspokoić sam siebie.

Wtedy byli tam w piątkę: ona, on, Artur, Jessica i Frank. Przeczytałem o tym w jej

pamiętniku. Ciekawe, czy była dzisiaj na tym cmentarzu? W końcu pojechała śladami swoich wspomnień. Za oknem samochodu mignęła tablica informacyjna. Za trzy kilometry będzie zjazd w prawo na Rammenau.

- Rammenau czy Bautzen? - rzuciłem w kierunku Andre.

- Bautzen! - odpowiedział pośpiesznie.

- Czemu nie Rammenau? - nie mogłem zrozumieć. - Przecież tam był ten koncert.

- Jessica mówiła, że Weronika miała nocować w Haus Buchheim, w pensjonacie Przy Zamku w Bautzen. Rammenau to wioska, nic tam nie ma poza barokowym pałacem i przylegającym do niego parkiem.

Mężczyzna siedzący za kontuarem recepcji w pierwszej chwili wydał mi się wyjątkowo niesympatyczny. Na dźwięk naszych kroków podniósł na krótko wzrok znad czytanej gazety.

Zrobił to chyba tylko po to, żeby spojrzeć na nas z nieukrywaną niechęcią. Pomyślałem, że przyszliśmy nie w porę.

- Mają panowie rezerwację? - burknął gdzieś w przestrzeń przed sobą. - Nie mamy wolnych miejsc - skwitował, nim zdążyliśmy otworzyć usta.

- Nie szukamy noclegu. U państwa zatrzymała się nasza znajoma. Jesteśmy przejazdem w Bautzen i postanowiliśmy się z nią spotkać. - Andre mówił, co mu ślina na język przyniosła.

- Niemożliwe - oświadczył portier. - Chyba że ta znajoma przyjechała prosto z Moskwy.

Wszystkie pokoje są wynajęte przez uczestników rosyjskiej wycieczki. Przyjechali wczoraj wieczorem, zostaną jeszcze do jutra. Właśnie niedawno poszli do

r  
katedry Świętego Piotra na jakiś koncert organowy...

Nie patrzył już w naszą stronę. Wbił wzrok w gazetę i wdawało się, że przestał się nami interesować.

- A może jednak? - nie dawał za wygraną Andre.

- Może mógłby pan sprawdzić...

- Nie muszę sprawdzać - warknął mężczyzna. - Ja to wiem - powiedział rozdrażniony. - Dostawialiśmy nawet łóżka do pokoi, bo było za mało miejsc. Ten hotel nie nadaje się do przyjmowania takich wycieczek - mówił dobitnie. - Szkoda, że biuro podróży, które zorganizowało ten wyjazd, tego nie rozumie. Nic te klimaty - rozgadał

się już na dobre. - Nie wiem, czy panowie to rozumieją. Nasz hotel ma swój styl, szczególną atmosferę. To miejsce dla zakochanych, dla nowożeńców, dla szukających ciszy i zapomnienia... Zbiorowe wycieczki to zupełnie nietrafiony pomysł. Hotel traci swój klimat... Wszystko staje się męczarnią... Że też światem rządzą tylko pieniądze!

Zamilkł i zaczął się nam uważniej przyglądać. Mierzył nas wzrokiem od stóp do głów, jakby chciał oszacować, czy warto jeszcze z nami rozmawiać.

- No więc chcieliście panowie z kimś się tutaj spotkać... - zaczął po chwili całkiem przyjaźnie.

- Nasza znajoma miała u państwa rezerwację - wszedł mu w słowo Andre.

- Może miała, może nie - filozofował portier. - Kto nadaży za tymi dzisiejszymi kobietami...

„Mile miejsce” - pomyślałem, rozglądając się wokół. Budynek pochodził z szesnastego wieku. Aż dziwne, że stylowe wnętrza, skażone postępowaniem cywilizacji, mimo wszystko przywoływały atmosferę dawnych czasów. Przekraczając próg tego pensjonatu, pokonujesz

jakby granicę czasu, w jednej chwili pojawiaasz się w świecie, który od setek lat już nie istnieje.

Nawet ten facet w staromodnej koszuli z podwiniętymi rękawami, w spodniach na szerokich szelkach i w okularach o koszmarnej grubości szkła wydał mi się jakiś niedzisiejszy. Już zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy mężczyzna nagle podniósł się z krzesła.

- Poczekajcie jeszcze chwilę! - rzucił przyjacielsko. - Jeśli to dla panów taka ważna sprawa, to ja jeszcze coś sprawdzę.

Ci Rosjanie zostali tu przysłani ze współpracującego z nami biura podróży. Pamiętam, że musieliśmy na szybko odwołać dwie czy trzy rezerwacje. Zamówiliśmy dla tamtych gości pokoje po sąsiedzku, w hotelu Grani Schloss Schanke, tuż naprzeciw zamku. Jak się nazywa ta panów znajoma?

- spytał, zerkając w otwartą książkę gości.

- Weronika Lipska - odpowiedzieliśmy z Andre prawie równocześnie.

- Musicie jej szukać w Grani Schloss Schanke, panowie. Miejsce równie piękne jak to, chociaż może brakuje mu tego naszego klimatu...

We wskazanym hotelu nie poszło już tak łatwo. Młoda dziewczyna w recepcji bała się własnego cienia. Być może groziła jej kiedyś utrata pracy za brak dyskrecji, bo teraz przesadnie strzegła tajemnicy hotelowych gości.

- Nic udzielamy żadnych informacji dotyczących naszych gości - powtarzała dobitnie już kolejny raz, z każdą chwilą zacieńszając się coraz bardziej. - Prywatność naszych gości jest dla nas rzeczą świętą - mówiła podniesionym głosem, z wypiekami na twarzy, wymachując przy tym tak mocno rękami, że na miejscu Andre, którego oddzielał od niej tylko kontuar, poczułbym się zagrożony.

Wyszliśmy pospiesznie, próbując oszczędzić sobie i jej zdenerwowania.

- Niepowtarzalne miejsce na potajemne

schadzki, skoki w bok... - rzuciłem. - Zapamiętaj, masz blisko!

Reakcja Andre była zaskakująca. Przystanął. Odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

Spojrzał na mnie spode łba. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Chcesz mnie obrazić czy żartujesz? - spytał poważnie. Zatkąło mnie. A jemu cóż się nagle stało? -Jeżeli chcesz mnie obrazić, to nie rozumiem dlaczego. Jeżeli żartujesz, to też nie bardzo rozumiem. Co prawda Nika twierdzi, że jako narody mamy inne poczucie humoru, ale...

- Żartowałem - skłamałem szybko.

- Powiedziałeś: „skoki w bok”? - uczeplił się tego tematu. - Trzeba być dupkiem, żeby nie potrafić być sobą - rozgadał się na dobre. - Oszukiwać, poniżać siebie i innych... To nie w moim stylu. To może dobre dla mięczaków i tchórzy... Dla takich odrażających typów jak ten palant, który oszukał Nike. Dla takich wszy, które nie potrafią normalnie

żyć. Życie jest życiem, różnie bywa... Najważniejsze, to nie stracić twarzy, nie stracić szacunku dla samego siebie, mieć odwagę, nawet po latach, spojrzeć sobie w lustro w oczy...

„Ciekawy facet z tego Andre” - pomyślałem już kolejny raz. Nie po raz pierwszy przemknęło mi przez myśl, że to ja powinienem się uczyć szeroko pojętej etyki od studentów.

Szliśmy obok siebie. Z minuty na minutę było coraz zimniej, a strumienie ulewnego deszczu zaczęły przechodzić w śnieżną zawieruchę. Woda zamarzała w okamgnieniu, tworząc na wszystkim cienką, gładką jak szkło skorupę. Trudno było się utrzymać na nogach. Andre się

poślizgnął. W ostatniej chwili podparł się ręką. Mruknął coś pod nosem, co zapewne było jakimś ich

wysublimowanym przekleństwem, ponieważ w niczym nie przypominało najczęściej słyszanego w Niemczech Scheifie. Nie było szans, żeby ruszyć się gdziekolwiek samochodem, który wyglądał jak lita bryła Jodu, tylko lusterka odstawały jak uszy przyozdobione - niczym kolczykami - wiszącymi soplami niedawno zamrożonej wody.

Ulice nagle opustoszały, miasto wydało się wymarłe. Gdzieś w oddali stukały po bruku pospieszne kroki jakiegoś przechodnia. Z trudem dobrnęliśmy do restauracji, przed którą dumnie stał manekin przedstawiający jakiegoś miejscowego rozbójnika. Restauracja „U Karaska” nie kusiała być może wystrojem, ale zapewniała schronienie przed nasilającą się z minuty na minutę śnieżną zawieruchą.

- No to ugrzęźliśmy... - wykrztusiłem z trudem, próbując choć przez moment nie dzwonić z zimna zębami o brzegi uniesionej do ust szklanki. Herbata w szklance miała intensywny zapach rumu, co dawało cię nadziei, że przynajmniej od środka się rozgrzeję. Słyszałem w radiu informację o zbliżającym się załamaniu pogody. Jeszcze rano świeciło słońce, a temperatura znacznie przekraczała zero stopni. Ta popołudniowa ulewa, która w przeciągu godziny zamieniła się w zamieć śnieżną, zdołała jednak całkowicie mnie zaskoczyć. Cienka jesienna kurtka przemokła już na samym początku, po pierwszych minutach rześkiego deszczu. Później zdążyła zamarznąć tak, że kiedy wieszałem ją na wieszaku, była twarda jak deska, a rękawy sterczały jej na boki. Sweter też przemókł na wylot, koszula przyłgnęła mi do pleców, a siedząc obok rozpalonego w lokalu kominka, miałem wrażenie, że po plecach ściekają mi krople powoli odmarzającej wody. Andre wyglądał podobnie. Z jego włosów kapłała woda, twarz mu poczerwieniała, zgrabiętymi z zimna rękami próbował wygrzebać z kieszeni spodni komórkę i zadzwonić.

- Klęska. Totalna klęska! - mrucał pod nosem.

- Weronika nic ma zasięgu albo wyłączyła komórkę

- mówił zdenerwowany. - Wiem, że powtarzam to w kółko, ale nic innego nie przychodzi mi na myśl...

Jeżeli to załamanie pogody spotkało ją w drodze, to już koniec. Nika jest fatalnym kierowcą. Z trudem sobie radzi, nawet kiedy jest sucho. -Jego zdenerwowanie rosło z minuty na minutę, aż wreszcie i mnie zaczęło się udzielać. Mówił coraz szybciej i coraz głośniej. - Kiedyś próbowałem ją nauczyć parkować tyłem. U nas, jak sam widziałeś, ulice są wąskie, parkingów mało, znalezienie odpowiedniego miejsca w okolicach naszej uczelni graniczy wprost z cudem. Ona często zostawia samochód pięć kilometrów od kampusu, a później biegnie, żeby się nie spóźnić na zajęcia. Chciałem jej pomóc.

Pojechaliśmy nocą na duży opustoszały parking przy Kauflandzie. Spędziliśmy tam ponad dwie godziny, ucząc się parkować tyłem między metalowymi kubłami na śmieci. Skończyło się wgniecionym zderzakiem, zadrapaną karoserią i ostrą wymianą zdań... Przez parę dni nie rozmawialiśmy z sobą. Ten, który wydał jej prawo jazdy, to morderca...

- mówił jak nakręcony. - Kiedyś wpadła w poślizg, obróciło ją dwa razy, zatrzymała się na wysokim krawężniku. Opatrzność nad nią wtedy czuwała - samochód nie dachował. Od tamtego czasu już nigdy nie jeździła zimą. Jej samochód od pierwszych opadów śniegu aż do wiosny stał zawsze na parkingu pod naszym akademikiem.., Nic wyobrażam sobie, co może

się stać w taką pogodę. Tylko sięść i płakać. Koszmar! Chyba zwariuj ę!

Zamilkł nagle. Ścisnął w rękę tę swoją komórkę i nieustannie próbował dzwonić.

- Czy panowie już coś wybrali?

Podskoczyłem jak oparzony, słysząc tuż obok siebie głos kelnerki.

- Czy mogę panom podać coś do zjedzenia? - powtórzyła inaczej.

- Ja dziękuję. Nie jestem głodny - burknął Andre. - Napiję się tylko grzańca...

- A pan? - dziewczyna przeniosła wzrok na mnie.

- Nie mam pojęcia... - bąknąłem niepewnie.

- Może mlince albo pieczonego szczupaka z ziołami?

- Mlince - powtórzyłem za nią.

- Co to są mlince? - spytałem, kiedy zostaliśmy z Andre sami.

- Nie wiesz? To po coś to zamawiał? - Patrzył na mnie zdezorientowany.

- Tak jakoś automatycznie...

- Nie jest źle - stwierdził uspokajająco. - Mogłeś wybrać o wiele gorzej. To takie regionalne placki. Najczęściej podawane z twarogiem i olejem lnianym. Nie jest źle... - powtórzył z przekonaniem.

- Dasz radę - próbował mnie uspokoić. - To jest serbołużyckie danie narodowe... Te placki są całkiem smaczne, tylko mój opis jest taki beznadziejny... - tłumaczył. - Jedliśmy je kiedyś z Weroniką. Nice bardzo smakowały...

Zamilkł. Bawił się tym swoim kubkiem z grzańcem. Raz po raz próbował dzwonić.

- Boże, ja tutaj siedzę w cieple jak ten palant, gędzę o jakichś idiotycznych plackach, a ona pewnie gdzieś marznie... - zaczął się znowu nakręcać. - Ciągle nie mogę się do niej dodzwonić. To jakiś obłąd...

Cisnął komórkę na stół. Oparł się plecami o ścianę. Zaczął hipnotyzować wzrokiem komórkę.

- Dzwoniłeś do Anke? - spytałem.

- Do Anke? - Spojrzał na mnie nieprzytomnie.

- Do Anke - powtórzyłem dobitnie. - Może my uganiamy się za Weroniką po Bautzen, a ona już dawno wróciła do domu?

Zadzwoił. Słyszałem tylko jego, ale i tak mogłem się domyślić przebiegu rozmowy. Nic wróciła, nie dzwoniła, nie dała znaku życia, nie odbiera telefonów, nie odpowiada na SMS-y... Ostatnie zdania usłyszałem i to zupełnie wyraźnie, bo Anke zapewne krzyczała do słuchawki: „Nie liczy się z nikim i z niczym, ma gdzieś nasze uczucia i obawy, ma nas wszystkich po prostu w dupie. Wróciła do nas chyba już zupełnie inna Weronika”. Nic powiedział nic. Rozłączył się, położył komórkę na stole i gapił się na nią bezmyślnie.

- To jeszcze nic nie znaczy - tłumacząc jemu, próbowałem uspokoić sam siebie. Chciałem słowami stłumić własne niepewność, odgonić od siebie dziwne, nieznanne mi wcześniej uczucie lęku, które z upływem nic niewnoszącego i nic niezmiennającego czasu przeradzało się w obezwładniający mnie strach.

- Może tylko komórka jej się rozładowała... Moja padła przed chwilą. Ładowałem ją wczoraj. Wszystko przez ten chłód i wilgoć...

Spojrzał na mnie uważnie. Jakbym mu jakąś rewelację powiedział.

- Pewnie, jak my, próbuje gdzieś przeczekać tę pogodę... - próbowałem przekonać sam

siebie.

Siedział, pił grzańca, milczał, patrzył na mnie spode łba, jakby przeżuwał każde moje słowo.

- Została na noc - zaczął nagle kombinować. - Spała zapewne w Bautzen, w tym hotelu Grani Schloss Schanke. Powinna była wrócić na zajęcia, ale nie wróciła. Myślę, że chciała jeszcze coś zobaczyć w drodze powrotnej. W końcu dawno tutaj nie była. Zawsze lubiła Saksonię. O tej porze roku co prawda

nic nie wygląda pięknie... - mówił, a mnie nagle ciarki przebiegły po plecach. Jak to mówiła tamta dziewczyna? Że wyruszy śladami swoich wspomnień? Że gdzieś tam, na oblodzonym zakręcie nic zdąży skręcić? Zrobiło mi się gorąco. Przypomniałem sobie raptem mój sen sprzed paru dni. Boże, to jakiś koszmar! Ja chyba wariuję! Zidiociałem! Pamiętam tamtą szosę, która mi się przyśniła. Pięła się w górę, coraz wyżej i wyżej. Po prawej stronie ograniczona była przez duże, omszałe, wilgotne od mgły głazy, a z lewej od stromego skalnego rumowiska oddzielał ją niski kamienny murek.

Droga stawała się coraz bardziej stroma. Jechałem szybko. Nagle zza kolejnego zakrętu wyjechał naprzeciw mnie z szaloną prędkością jakiś samochód, który po chwili wpadł w poślizg. Odbiłem kierownicą. W ostatnim momencie udało mi się go ominąć. Za kierownicą widziałem Weronikę. Tamto auto zaczęło tańczyć na wąskiej górskiej drodze. Nagle samochód przechylił się na bok i zaczął dachować, przewalając się z hukiem po głazach stromego kamiennego rumowiska...

- Coś nie tak? - Głos Andre dotarł do mnie jak z zaświatów. Musiał już chyba wcześniej o coś pytać, bo przyglądał mi się wnikliwie.

- Nie, wszystko w porządku. - Staralem się, by to brzmiało obojętnie.

- Wtedy, przed dwoma laty, włóczyliśmy się całą paczką po Saksonii - wrócił do swoich wywodów. - Zabieraliśmy wszędzie z sobą tego szuję. Odwdzięczył się nam później, kradnąc nam Nike... Byliśmy chyba wszędzie: w barokowych ogrodach w GroBsedlitz i w twierdzy Konigstein, w zamkach w Stolpen i w Augustusburgu, w pałacach w Pillnitz i Moritzburgu... - mruczał pod nosem bardziej do siebie niż do mnie. - Wiem! - krzyknął nagle tak głośno, że przestraszona kelnerka stanęła jak wryta. Oczy wszystkich restauracyjnych gości zwróciły się w kierunku naszego stołu. - Ależ jestem idiotą! Że też wcześniej o tym nie pomyślałem - dokończył już

znacznie ciszej. - Wybaczcie! - wykrztusił zmieszany, rozsyłając wokół promienny uśmiech.

Wyprostował się raptownie, jakby już nie miał żadnych problemów. Zamówił kolację.

Spałszował z ogromnym apetytem jakieś dziwne zapiekane ziemniaki i niewyobrażalnie dużą porcję grillowanego mięsa. Sączyl powoli kolejnego grzańca. Zapalił papierosa.

Rozsiadł się wygodnie, wyciągnął przed siebie nogi i wlepił wzrok w okno. Gapił się na padający śnieg, na płatki, które w pewnym momencie zaczęły zwalniać i majestatycznie tańczyć w powietrzu. Powoli przez zamieć za oknem zaczęło się przebijać światło ulicznych latarni. „Uspokaja się” - pomyślałem. I tak spadło już z pół metra śniegu. Nagle zaczęło mi przeszkadzać jego milczenie. Zżerała mnie ciekawość.

- Nic da się jechać samochodem - powiedziałem, żeby przerwać ciszę. - Najpierw muszą tą trasą przejechać pługi... W ciągu dwóch godzin spadło ponad pół metra śniegu...

Milczał, jakby zima za oknem jego nie dotyczyła.

- Nie dam rady otworzyć samochodu - kontynuowałem. - Powyrywamy zamrożone uszczelki. Wszystko jest pokryte lodem.

Spojrzał na mnie, pokiwał głową, myślami był jednak daleko. Na pewno nie zastanawiał się nad tym, jak mamy wrócić do domu.

- Muszę zostawić samochód w Bautzen... - próbowałem się przebić do jego świadomości. Milczał, sączył grzańca.

- Wiem, gdzie jest Weronika - stwierdził zniechęcony. - Ależ jestem ciężko myślącym idiotą!

- I tak nagle na to wpadłeś?

- Na co? - spytał zdezorientowany. - Na to, że jestem idiotą?

- Nie, na to, że wiesz, gdzie jest Weronika.

- Przed dwoma dniami byliśmy w stajni. Nika zatrzymała się przy tablicy ogłoszeń.

Wisiała tam wiadomość, że jacyś ludzie chcą oddać w dobre ręce haflingera. Chyba za względów finansowych... Nic pamiętam dokładnie. Nic było to dla mnie ważne. Nika stała przed tą tablicą dość długo. Później dopytywała się o sytuację w stajni, o wolne boksy, o ceny...

Myślałem, że z ciekawości. Teraz sądzę, że to nie była zwykła ciekawość...

- Myślisz, że chodzi o tego haflina... coś tam? - z trudem próbowałem powtórzyć tę nazwę.

- Haflingera... Haflinger to rasa koni - dodał pośpiesznie, widząc mój niepewny wyraz twarzy. - Nika zawsze chciała mieć Haflingera. Ten z ogłoszenia jest kasztanowaty z konopiastą grzywą i konopiastym ogonem, z białą latarnią... z białą łata na czole i na pysku - poprawił się szybko. - Jadąc autostradą z Bautzen do Drezna, mija się zjazd na Moritzburg.

Jestem pewny, że pojechała sprawdzić to ogłoszenie...

- Moritzburg?

- To niewielka wioska. Za czasów Augusta Mocnego mieściły się tam stajnie królewskie.

Dziś Moritzburg słynie z dużej stadniny koni; wśród licznych ras są tam również Haflingery.

Wiciu miejscowych gospodarzy też hoduje te kuce. To taka lokalna tradycja. Wioska leży zaledwie parę kilometrów od Drezna, ale prowadzi do niej wąska droga, zimą rzadko uczęszczana. Latem to zupełnie co innego. Wtedy ciągną tam każdego dnia setki turystów.

Jest tam sztuczny staw z wyspą, na której za czasów Augusta Mocnego wybudowano pałac myśliwski. Zimą woda w stawie jest spuszczone, ogrody opustoszałe, pałac zamknięty dla zwiedzających, a miejscowość, nagle pozbawiona turystów, straszy pustką... Nikt jej nie odwiedza o tej porze roku. Nie ma po co. Przy tym załamaniu pogody mogła tam ugrzęznąć na dobre... Drogi są pewnie zasypane śniegiem, światła spoza zasp nie widać - mówił spokojnie. - Ta przygoda wyjdzie jej tylko na zdrowie... Będzie miała czas pomyśleć. Może zrozumie, jak niebezpieczne mogą być samotne kobiece włóczęgi zimą po saksońskich szlakach...

Siedział, pił grzane wino, wyciszył się, odtajał...

Na mnie te jego wywody też podziałały dziwnie uspokajająco.

\* \* \*

Do Drezna wróciliśmy ostatnim pociągiem. Dobrze, że o tej porze jeszcze jakiś jechał.

Zamieć ustała, ale pokrytego lodem samochodu nie udało się otworzyć. Nie ubolewałem nad tym specjalnie. Pomyślałem, że będę miał okazję powłóczyć się jeszcze raz po tym urokliwym mieście. Komórka Weroniki nadal milczała. Anke wydzwaniała do Andre co



piętnaście minut, nieustannie umierając ze zdenerwowania. Żałowałem, że podróż trwała tak krótko. Nie zdążyłem się zdrzemnąć. Rozstaliśmy się na dworcu.

- Zadzwoń jeszcze do ciebie - wydzierał się Andre za moimi plecami. - Dla pewności zajrzę do jej pokoju. Pewnie leży tam gdzieś ładowarka.

Przewędrowałem na piechotę pół miasta, brodząc po kolana w śniegu. Nie tylko polskich drogowców zaskakuje zima. Do domu asystenta dotarłem około drugiej. Siedząca w portierni starsza kobieta przyglądała mi się długo i dziwnie natarczywie. Mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Odrobinę dłużej zatrzymała spojrzenie na mojej twarzy, - Rozumiem, że jutro pan nic pracuje?

- spytała.

- Pracuję. - Nie zrozumiałem jej intencji. - Mam zajęcia ze studentami. Z tego, co pamiętam, zaczynają się o ósmej.

Wydeła wargi w grymasie nieukrywanego oburzenia, przymrużyła oczy i rzuciła niby do siebie.

- No i jak ma być dobrze? Przykład idzie z góry.

Co pomyślą studenci, widząc jutro takiego wyplutego asystenta...

Bez słowa ruszyłem w kierunku windy. W tym kraju, gdzie żyje się dla pracy, gdzie jest ona najwyższym celem i jedynym miernikiem ludzkiej wartości, pójście do pracy po zbyt krótkim śnie wydaje się przestępstwem. Nic zdziwiło mnie jej święte oburzenie. Na coś przydały się te nasze rozmowy z Rafałem o Niemcach i ich ojczyźnie. On znał ich dobrze, spędził wśród nich parę lat swojego życia. Otworzyłem drzwi, wszedłem do mieszkania, które w chłodnym świetle energooszczędnych żarówek wydało mi się jeszcze bardziej zimne i obce. „Praktyczność i oszczędność do bólu” - pomyślałem.

No nic, jakoś się przemęcę te dwa tygodnie. W końcu to nie wieczność. Dużo czasu w moim życiu zmarnowałem w o wiele bardziej beznadziejny sposób. Zapaliłem lampkę na biurku, wyciągnąłem się wygodnie, przymknąłem oczy. „Ależ to był dzień

- pomyślałem. - Dobrze, że już się skończy”. Przed oczyma zaczęły mi się leniwie przesuwać obrazy. Powoli zasypiałem. Z wolna zacierała się granica między jawą a snem: lądujący na dachu kliniki helikopter, sunące po autostradzie samochody, powoli wynurzające się z zamieci śnieżnej światła ulicznych latarni, zabawny facet w spodniach na szelkach, ciepłe ogniki pełzające po żarze w kominku, Andre w kółko próbujący się dodzwonić do Weroniki... Andre próbujący się dodzwonić do Weroniki?

Poderwałem się jak oparzony. Jak mogłem o tym zapomnieć? Muszę przecież naładować komórkę. Andre obiecał jeszcze zadzwonić. Miałem dwa nieodebrane połączenia z numerem zastrzeżonym, oba w godzinach późnowieczornych, i dwa SMS-y. Pierwszy był od Melanii, drugi od Andre. Przeczytałem najpierw od niego. „Wszystko w porządku. Pewnie padła jej komórka. Ładowarka leży na biurku”. Odetchnąłem z ulgą. Nic pasowały mi tylko te dwa nieodebrane połączenia. „Co za licho?”

- pomyślałem. Zaczynałem mieć poważne obawy o stan mojego umysłu. Jakże, do cholery, nieodebrane połączenia? Dzisiaj nie mogło być nieodebranych połączeń z numerem zastrzeżonym. Przecież Weronika nie mogła zadzwonić.

SMS od Melanii dopełnił wszystkiego: „Namierzyłam tego chłopaka. Rzeczywiście to bardzo nieciekawyy typ, ale Weronika nie jest dziewczyną, której szukasz. To zupełnie inna

historia”.

„To zupełnie inna historia” - przeczytałem jeszcze raz. Jak to: „zupełnie inna historia”? Co to, do diabła, ma znaczyć? To musi być Weronika! To musi być ta historia! Nie ma żadnej innej możliwości! To musi być ona albo ja zwariowałem.

\* \* \*

Jakimś cudem dotarła na drugą część zajęć. Weszła z przepaszającym uśmiechem na twarzy, przystanęła przed Andre -asem. Szczupła, wysoka, z kręconymi włosami opadającym jej do połowy pleców, w długim, sięgającym za tyłek, przylegającym do ciała swetrze i obcisłych legginsach niezbyt długo musiała się tłumaczyć.

- Bardzo słusznie, bardzo słusznie... Też bym tak zrobił... Podróż w taką pogodę jest niebezpieczna... - dochodziły do mnie strzępy wypowiedzianych przez Andreasa zdań. Był miękki jak masło. Klastyczny jak nie Niemiec. - Słyszałem komunikaty, że dzisiaj rano autostrada A4 była nieprzejezdna. A wczorajsze drogi w Saksonii to był istny koszmar. Nic by się nic stało, gdyby pani dzisiaj nie dotarła na zajęcia. Nie trzeba było się spieszyć.

Zawsze przecież można nadrobić ten temat... Naprawdę, proszę sobie nie robić żadnych wyrzutów. Wszystko jest w jak najlepszym porządku... Spojrzał w moją stronę i raptem oprzytomniał. - Straciłaby pani tylko okazję spotkania nauczyciela z pani polskiej uczelni - dokończył już trochę bardziej zdecydowanym głosem, wskazując ręką w moim kierunku.

Stałem jakieś dwa metry od nich, oparty o parapet okna. Pomimo zapewnień Melanii, nadal nie byłem przekonany, że to zupełnie inna historia. Gdyby nie to, że Melania jest osobą zupełnie pozbawioną poczucia humoru, pomyślałbym, że żartowała.

Weronika spojrzała na mnie przerażona.

- Pan doktor w Dreźnie? Czy coś się stało?

Nie, skądże. - Staralem się, by to zabrzmiało wiarygodnie. - Ma pani minę, jakby ujrzała pani jakieś widmo. Czyżbym należał do grona najbardziej znieawidzonych asystentów naszej uczelni? - próbowałem zażartować. - Pan profesor był zdania ze przy okazji wymiany studenckiej pomiędzy naszymi uczelniami należałoby też trochę bardziej zacieśnić więzi między kadrą nauczycielską- powiedziałem poważnie. - Padło na mnie - kłamałem jak z nut. - Prawdę mówiąc, nawet się z tego cieszę.

W listopadzie nie ma szans na urlop. Już myślałem, że przyjdzie mi walczyć z jesienną monotonią i nudą, a tu taka gratka: piękne miasto, przyjaźni ludzie...

Przyglądała mi się z narastającym niedowierzaniem, jakby podejrzewała jakiś podstęp.

- Gdyby pan chciał - zaczęła nieśmiało - to moglibyśmy z moimi przyjaciółmi pokazać panu miasto. Znam je dobrze...

- Wiem, Andre mi trochę opowiadał...

Nadal tkwiła przede mną. Jakby nogi wrosły jej w ziemię. Nawet na centymetr nic ruszyła się z miejsca. Uniosła brwi ze zdziwienia. Przyglądała mi się coraz bardziej dezorientowana.

- Andre? - spytała z niedowierzaniem.

- Andre.

- Pan zna Andre? - powtórzyła niepewnie.

- Poznaliśmy się przypadkiem...

Usłyszałem tuż obok wymowne chrząknięcie.

- Zaczynamy? - Głos Andreasa przebił się do mojej świadomości. Pewnie mówił już coś

wcześniej, bo przyglądał się nam dziwnie rozbawiony.

- Zaczynamy! - odpowiedziałem pewnie.

Ale zacząć wcale nie było łatwo. Studenci powoli wracali po przerwie. Słysząc było jeszcze szuranie krzesel, postukiwania otwieranych blatów, szmer powoli cichnących rozmów. Śledziłem wzrokiem Weronikę. Ruszyła pewnie w kierunku pustego krzesła tuż obok Andre.

- Przed przerwą nasz gość próbował przedstawić nam w sposób idealistyczny schemat organizacyjny ochrony zdrowia w Polsce. Szkoda, że Weronika dołączyła do nas dopiero teraz, bo mogłaby nam pomóc skonfrontować szczytne zamierzenia z szarą codziennością. - Spojrzał w moją stronę, przymrużył porozumiewawczo oko. - Teraz ja spróbuję przybliżyć naszemu gościowi i wam w bardzo ogólnym zarysie, jak to się u nas kręci, i błagam, żeby kąśliwe uwagi zostawić sobie na dyskusję po zajęciach. Mówimy o założeniach, a nie o rzeczywistości. Szara codzienność często weryfikuje nawet najśmielsze i najlepsze rozwiązania. Nic i nikt nie jest doskonały... - powiedział niespodziewanie.

To kiedyś było moje powiedzenie. Mój sposób usprawiedliwiania się przed innymi i przed samym sobą.

Pamiętam wiele twarzy i podobne sceny. Jednej nigdy nie zapomnę. Kiedy rozstałem się z Beatą, Julka próbowała przemówić mi do rozsądku. Jak mówiła, nic mogła uwierzyć, że miała mnie za tak fantastycznego faceta, a ja okazałem się aż takim beznadziejnym palantem. Najpierw wspomniała wszystkie wyprawy, w których z nami uczestniczyła, opowiadała o wspólnych znajomych, których przecież było tak wielu, podierała się wesołymi opowieściami z poprzednich wakacji, kiedy to całą paczką włóczyliśmy się przez ponad miesiąc po Chorwacji, zmieniając tylko wyspy, pensjonaty, jachty i miejsca do nurkowania. Mówiła, że to niemożliwe, żebym nagle o tym wszystkim zapomniał, że chcę się od tego wszystkiego odwrócić plecami, że nic można tego tak po prostu w jednej chwili przekreślić. Siedzieliśmy w tej włoskiej restauracji na obrzeżach miasta, piliśmy kolejne kawy, jedliśmy lody i spędzaliśmy czas na pozornie spokojnej rozmowie.

- Krzywdzisz innych i siebie - powiedziała niespodziewanie. - Jesteś naprawdę tak beznadziejny, czy tylko boisz się, że ktoś cię skrzywdzi? - zapytała przewrotnie. - Będiesz przez całe życie uciekał, bo lękasz się, że ktoś cię zrani? - Rzuciła to pytanie spokojnie, obojętnym głosem, jakim mówi się zwykle o pogodzie, o minionym dniu w nudnej pracy, o zakupach. Jej ton miał zapewne uspić moją czujność. Podniosła wzrok znad filiżanki kawy i zaczęła mi się przyglądać. A ja nagle poczułem się przyparty do muru, osaczony, obdarty ze wszystkiego, obnażony. Szlag by trafił tych wszystkich studiujących socjologię zafascynowanych psychologią, opętanych pedagogiką... Sam wiedziałem, że coś w tym jest, ale nigdy nie nazwałem tego wprost. Nie stać mnie było na taki autokrytycyzm.

Po tym pytaniu poczułem się zagrożony. Julia postanowiła zdemaskować mnie przede mną samym i przed całym światem. Niby przypadkiem, wywlekała na światło dzienne coś, co było moją skrzętnie skrywaną tajemnicą, coś, do czego nie przyznawałem się nigdy nawet sam przed sobą. Kiedyś, jeszcze tam, w bidulu, obiecałem sobie, że już nigdy nikt mnie nie odtrąci i nie zrani. Święta spędzałem w różnych domach, z różnymi ludźmi wyjeżdżałem na wakacje, z wieloma bywałem na wycieczkach. Byli tacy, którzy organizowali mi czas popołudniami, tacy, z którymi obchodziłem moje kolejne urodziny... Stawałem na rżęsach, żeby mnie ktoś pokochał. Jadłem szpinak, myłem ręce przed jedzeniem, przyczesywałem starannie włosy, nie

obgryzałem paznokci, nie marudziłem przy jedzeniu, układałem swoje ubrania, mówiłem pacierz przed pójściem do łóżka... Moim kolegom jakoś udawało się znaleźć nowych rodziców, a ja zawsze i wciąż wracałem. Z czasem uwierzyłem, że jestem od nich gorszy.

Taki malec drugiej kategorii, niegodny niczyjego zainteresowania, niewart niczyjej miłości, przez nikogo, nawet przez własnych rodziców, niechciany. Później już nie chciałem nigdzie wyjeżdżać. Odechciało mi się tej walki o uczucia. Nikt mnie nie kochał i przyjąłem to do wiadomości. Nikt mnie nie chciał, a ja musiałem nauczyć się z tym żyć. Długo próbowali ze mną walczyć, aż w końcu ustąpili i jako jedyny zostawałem w domu dziecka na święta, jako jeden z niewielu podczas wakacji jeździłem na kolonie zamiast do jakiejś rodziny... W życiu nie zawiódł mnie tylko pluszowy miś Bazyli, z czasem coraz bardziej zniszczony, z naderwanym uchem i wiecznie przez panią Anię cerowaną Japą. Wydawało mi się wtedy, że on jeden kocha mnie naprawdę. Całe szczęście, że w tamtym moim życiu znalazł się taki Bazyli... Byłem już w ogólniaku, kiedy się dowiedziałem, że adopcja była niemożliwa, bo moja matka nie zrzekła się praw rodzicielskich. Kiedy rodzice Krzysztofa chcieli mnie przygarnąć, cała ta latami ukrywana przede mną prawda wyszła na jaw. Tyle nieprzespanych, przepłakanych nocy, tyle upokorzeń i rozczarowań, ciągle poczucie przegranej, żeby dowiedzieć się po latach, że ktoś jak pies ogrodnika - sam mnie nie chciał, ale i tak nie zgodził się oddać mnie innym. Nigdy nie spotkałem mojej matki. Nie żałuję. Chyba nic potrafiłbym z nią rozmawiać, Może to prawda, że dzieciństwo rzuciło cień na moje dorosłe życie. Musiałem sobie i innym w kółko udowadniać, że zasługuję na to, żeby być kochanym.

Dokładałem wszelkich starań, by rozkochać w sobie kolejną dziewczynę, udowodnić, że jestem wart jej uczuć i zdołać uciec z tego związku, zanim ona zdąży mnie zranić. Nie było ważne, ile wymagało to zmian, poświęceń i dostosowań... Dużo racji miała ta nawiedzona studentka socjopedagogiki. Chyba wtedy milczałem odrobinę za długo, bo pamiętam wzrok Julii wędrujący po mojej twarzy, jej rękę bawiącą się niby odruchowo łyżeczką, palce przesuwające się po już od dawna pustej filiżance...

- Beata naprawdę cię kocha - doszło do mnie jak z zaświatów.

„Szląg by trafił tych wszystkich studentów socjologii, psychologii i pedagogiki - pomyślałem kolejny już raz. - Wszystkowiedząca się znalazła...

Niech ją pokręci”.

-Ja też ją kocham - odrzekłem. - W łóżku jest cudowna, ale już mi się przejadła... - wycedziłem z ociąganiem, sam zdziwiony, że te słowa tak gładko przechodzą mi przez gardło. - W łóżku, jak we wszystkim, potrzebuję odmiany. Nawet lody czekoladowe jedzone codziennie przestają smakować.

Nigdy nie zapomnę, jak źrenice Julki stały się nagle wąskie, jak odsunęła się gwałtownie od stołu, odskoczyła do tyłu jak oparzona, a moja niedopita kawa chlusnęła na biały obrus.

- Ależ ty, facet, jesteś wstrętny... - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Z obrzydzeniem wydeła usta. - Chyba się zrzygam... Jak można być taką świnią?!

- Nikt nie jest doskonały... - nic wiem, czemu zacząłem się bronić. Dolałem tylko oliwy do ognia.

- Doskonały? - wrzeszczała na pół restauracji, budząc swym zachowaniem powszechne zainteresowanie. - Ty jesteś moralnym zerem! Że też na takich jak ty latami szły pieniądze podatników!

Toż to totalna wychowawcza porażka! Jak ty możesz uczyć studentów?! Jak możesz prowadzić zajęcia z etyki?! Przecież ty nawet nie wiesz, co to słowo znaczy!

Po tej serii wykrzykników nazwała mnie „prymitywnym samcem, rządzonym przez penisa”. Miała charakter ta ukochana córeczka Melanii. Zwykle spokojna, stonowana, uśmiechnięta, wtedy wybuchła, jasno wypowiedziała swoje zdanie, po czym odwróciła się i nie spojrzawszy nawet w moją stronę, wyszła, zostawiając mnie ogłupiałego w tej restauracji.

Wyszedłem tuż po niej, bo nic mogłem znieść wlepionego we mnie wzroku pary siedzącej przy stoliku obok. Drażniły mnie wymowne szepty kelnerów. Nic widzieliśmy się już później aż do ubiegłego tygodnia, kiedy nasze drogi znów się na krótko skrzyżowały. Jak to powiedział Andreas - nikt i nieme jest doskonałe.

Andreas skoncentrował się na niuansach współpracy niemieckich lekarzy domowych ze specjalistami. Studenci udawali, że go słuchają, a ja błądziłem myślami dość daleko od poruszanego tematu. Oddałem się znacznie bardziej porywającemu zajęciu. Raz po raz spoglądałem w kierunku Weroniki i Andre. Można im było tylko pozazdrościć. Uśmiechnął się, gdy do niego podeszła. Objął ją na krótko ramieniem. Spojrzała na niego. Ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy. Niesforne pasma opadły jej na twarz. Potrząsnęła jeszcze raz głową.

Na krótką chwilę uporządkowała tę burzę włosów na swojej głowic. Pochylili się do siebie i zaczęli o czymś szeptać.

- Przeszkadzam państwu? - rzucił Andreas w ich stronę. Uspokoili się na moment, ale po paru minutach dziewczyna wygrzebała z torby coś, co z tej odległości wyglądało jak aparat fotograficzny. Andreas udawał, że tego nie widzi. Cóż mu pozostało? Mógł się unieść ambicją, zrobić awanturę, odnieść chwilowe zwycięstwo, które w ostatecznym rozrachunku przełożyłoby się na szeroko pojętą pedagogiczną porażkę. Na jego miejscu zrobiłbym tak samo. Dobrze, że te dylematy wychowawcze dzisiaj mnie nie dotyczyły. Patrzyłem na nich z rosnącym zainteresowaniem. Ładowarkę do komórki zostawiła na biurku w pokoju.

Wygląda na to, że o aparacie fotograficznym nie zapomniwała. Po zajęciach nic spieszyli się z wyjściem z sali. Położyli aparat na blacie stołu i nadal coś oglądali. Nagle poczułem, że im zazdroszczę. To było silniejsze ode mnie. Głupie uczucie, którego powinien się wstydzić.

Odwróciłem się i wyszedłem z innymi z sali. „On ją kocha” -pomyślałem. Po tym wspólnie spędzonym wczorajszym dniu nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. A ja chyba jeszcze tak naprawdę nigdy nikogo nie kochałem. Wychowawcy w domu dziecka nauczyli mnie ubierać się, myć zęby, odrabiać lekcje, składać porządnie ubrania i układać zabawki w pokoju, uczyć się pilnie, stawiać sobie cele i dążyć do nich... Jak to kiedyś ktoś napisał w pewnym wierszu: „Z kwadracików, trójkącików i kółek nauczali mnie nieskończoności”. Wiele im zawdzięczam, właściwie wszystko - z wyjątkiem miłości...

\* \* \*

Andre dogonił mnie na korytarzu.

- Spiesz się pan? - wysapał zadyszany.

- Zdaje się, że wczoraj mówiliśmy sobie po imieniu - palnąłem bez zastanowienia.

Musiało zabrzmieć zaczepnie, bo spojrzał na mnie zdezorientowany.

- Sorry... Wyrwało mi się - zaczął się tłumaczyć.

- Nika tak ciągle o tobie mówi...

Spieszysz się? - powtórzył.

- Nigdzie się nie spieszę - burknąłem. - Wręcz ciągnę się leniwie noga za nogą... Idę na obiad, który mam skosztować w towarzystwie kolegów z dreźnieńskiej katedry etyki zawodowej. Umówiliśmy się we włoskiej restauracji dwie przecznice od uczelni...

- Współczuję... - Pokiwał ze zrozumieniem głową. - Poza Andreasem wszyscy nasi wykładowcy pamiętają czasy głębokiej komuny. Pewnie w głębi serca wspominają je z rozrzewnieniem. Zajęcia z etyki objęli po tym, jak zlikwidowano na uczelni zajęcia z filozofii socjalizmu... - Spojrzał na mnie niepewnie. Przestraszył się chyba, że powiedział odrobinę za dużo. - Mogę ci tylko współczuć...

- Przeżyję... - pocieszałem sam siebie. - Najwyżej później będę miał niestrawność...

Zastąpił mi drogę. Zmusił, bym stanął.

- Coś ty nagle taki drażliwy? - Wpatrywał się we mnie uważnie.

- Wydaje ci się. - Chciałem, żeby to zabrzmiało obojętnie. Chyba mi nie uwierzył, bo przyglądał mi się jeszcze wnikliwiej, - Będę tutaj siedział jeszcze przez najbliższe półtora tygodnia, a być może mógłbym w tym czasie odnaleźć tamtą dziewczynę...

- z niechęcią wydusiłem z siebie to, co dręczyło mnie od wczoraj. - Zresztą i tak lacha. To nie Weronika, a

ja nie mam już żadnego pomysłu. Musiałem coś przegapić. Musi istnieć jeszcze jakaś inna możliwość, tylko ja jej nic widzę... Mam idiotyczne poczucie zmarnowanego czasu...

- Jesteś pewny, że to nie była Weronika? - przerwał mi niespodziewanie. - Jestem...

Chciałem go ominąć i iść dalej. Odechciało mi się już gadać. Nikt nie lubi smaku porażki.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie przypuszczam. Ruszyłem. Odsunął się na bok.

- Chcemy cię zaprosić dzisiaj do nas na kolację. Jeżeli oczywiście nie masz innych planów na wieczór - dodał szybko.

- Oszalałeś? - zatkało mnie. - Anke mnie zabije za te moje paskudne łgarstwa. Weronika pomyśli, że zwariowałem...

- Spokojna głowa. Nic ci nie grozi. Anke jest tobą zauroczona. Twierdzi, że na jej uczelni nie ma takich asystentów... W konkursie na najlepszego jej zdaniem asystenta byłbyś bezsprzecznie faworytem. Dostała bzika na twoim punkcie. Całe szczęście, że jest zakochana po uszy w Uwe, bo byłbyś w nie lada kłopotcie. Ona nikomu nic nie powie... - uspokajał mnie.

- Nic puści pary z gęby... Anke można ufać - zapewnił. - A Weronika twierdzi, że cię chyba wcześniej zupełnie nie znała... Wpadnij do nas około dwudziestej! Anke obiecała ugotować coś specjalnego. - Usta mu się nie zamykały. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem ją w kuchni. Musisz to docenić... Będzie świetnie. Zobaczysz...

\* \* \*

Wino szumiało mi w głowie, nogi wydawały się jak z waty, a świat nabrał ciepłych barw.

Nawet mróz na dworze i ścięte lodem kałuże przestały mi przeszkadzać. Popołudnie spędziłem w Bautzen. Szkoda, że było tak zimno. Byłem na tamtym cmentarzu. Ze swojego życia zapamiętałem tylko dwa pogrzeby: nieznaną mi wcześniej biologicznej matki, w trakcie którego gapilem się bezmyślnie na ostatnie liście spadające powoli z drzew, przestępowałem z nogi na nogę i wściekałem się na siebie, że nie ma we mnie żadnych uczuć, zupełnie niczego - nawet niechęci czy nienawiści, i pogrzeb Marco, kiedy czułem się tak, jakby wraz z nim

umarła lepsza część mnie samego. Wtedy chciałem odejść razem z nim, wszystko krzyczało we mnie, kolana uginały się pode mną, ręce się trzęsły, a słowa grzęzły mi w gardle. Nigdy nie zapomnę słów z tamtego szalonego listu Marco do Ani. Pamiętam każdy nagryzmołony przez niego wyraz: „Nic wierz temu, co widzisz i słyszysz. Czy pamiętasz tamten dzień z Paolo w Wenecji? Nigdy cię nie zawiodę. To, co obiecałem, się spełni. Jestem w końcu Marco Marconi”. Do dziś nie wiem, czemu on się podpisał Marco Marconi, chociaż nazywał się Marco Brzeziński. Może czuł, że bardziej należy do tej drugiej swojej ojczyzny? Dwa pogrzeby w ciągu ostatnich paru miesięcy, a tak różne. Na rozpacz i żal pożegnania też trzeba sobie w życiu zasłużyć... Ten cmentarz w Bautzen nie jest smutny, nawet nie napawa melancholią, lecz emanuje dziwnym spokojem. Nawet Jezus na krzyżu w małej drewnianej kapliczce stojącej tuż za bramą podziałął na mnie dzisiaj jakoś kojąco.

Dziwne miejsce, gdzie wraz z przekroczeniem cmentarnej bramy ogarnia cię spokój, wszystko cichnie, przestaje pędzić... Nie ma znaczenia, kim jesteś. Przestaje mieć znaczenie, dokąd zmierzasz. Sensu nabiera tylko ten spokój i to dziwne uczucie, że przynależysz do wieczności, a może wieczność jest przypisana do ciebie. Posnułem się pomiędzy grobami.

Poczytałem nagrobne napisy. Bautzen - miasto, w którym współistnieją dwie tak różne kultury, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Tutaj też obok serbołużyckich nazwisk pojawiały się niemieckie. Po przekroczeniu granicy życia i śmierci pochodzenie nie ma już żadnego znaczenia, jak zresztą wszystko. Długo błąkałem się po tym cmentarzu, czując, że ta cisza i wszechobecny spokój są mi bardzo potrzebne. Później snułem się po mieście - od jednej baszty do drugiej i od jednej bramy do następnej, zaglądając też do wnętrza kościołów.

Nie przypuszczałem wcześniej, że wyda mi się to takie interesujące. To było naprawdę fajne popołudnie. Szkoda tylko, że nie ma nikogo, komu mógłbym o nim opowiedzieć. Udało mi się jakoś wrócić samochodem do Drezna, chociaż auto nadal wyglądało jak niekształtna bryła lodu. Właśnie wchodziłem do wynajmowanego przeze mnie mieszkania, kiedy w mojej kieszeni rozdzwonił się telefon. Tym razem wyświetlił się numer. To była Julia. - Słyszałam od mamy, że Weronika nie jest tą dziewczyną, której szukasz... - Powiedziała to takim tonem, jakby moje niepowodzenia sprawiały jej niebywałą frajdę. Mimo woli przemknęło mi przez myśl, że nadal jej nie lubię. Wydumana idealistka, próbująca narzucać całemu otaczającemu ją światu swoje poglądy. - I co dalej? Masz jakiś pomysł? Co zrobisz? - zarzuciła mnie natarczywymi pytaniami.

- Nie mam pomysłu - warknąłem pod nosem. Walczyłem z sobą, żeby się nic rozłączyć. - Nic więcej nie będę robił! - Nagle we mnie zawrzało. - Jestem tu teraz udupiony na półtora tygodnia. Zawsze marzyłem o czymś takim. Możesz mi wierzyć... Lepszej pracy bym sobie nie wymyślił. Będę prowadził zajęcia, jadał obiady z niemieckimi kolegami, szlifował swój niemiecki... - aż się zakrztusiłem od nadmiaru ironii. - Dla osłody pozwiedzam Saksonię i porozkoszuję się tym pseudo-urlopem. Po powrocie jeszcze raz zapłacę za

ten poroniony pomysł, pisząc sprawozdanie z mojej działalności na bratniej uczelni. To wszystko na pewno pomoże mi nabrać dystansu do całej tej sprawy...

Milczała. Czekwała na to, co jeszcze powiem.

- Wczoraj jeździłem z Andre, zakochanym w Weronice już od dawna niemieckim studentem, w zamieci śnieżnej po oblodzonej Saksonii. Szukaliśmy dziewczyny, która, dzięki Bogu, dzisiaj odnalazła się sama - kontynuowałem, wściekły sam na siebie. - Niestety, to nie ona

dzwoniła do mnie tydzień temu, a szkoda, bo byłaby to historia z podwójnym happy endem... - Sam nie wiem, dlaczego jej to mówiłem. Rozgadałem się przed nią, jakbym chciał na nią przelać wszystkie swoje frustracje, - Obeszliśmy wczoraj z Andre pół Bautzen. Samochód mi zamarzał. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Padał deszcz, który po zetknięciu się z czymkolwiek natychmiast zamarzał. Później na tę grubą warstwę lodu zaczął padać śnieg.

Mówię ci, bomba - mówiłem coraz szybciej. - Zamięć śnieżną przesiedzieliśmy w knajpie.

Wróciliśmy ostatnim pociągiem. Mój powrót do domu asystentów o drugiej w nocy zbulwersował portierkę. Jeszcze dzisiaj rano przyglądała mi się podejrzliwie. Zmieszało mnie to na tyle, że zapomniałem jej powiedzieć „dzień dobry”, co pewnie jeszcze bardziej obniżyło moje i tak niskie notowania - paplałem jak najęty. - Zajęcia za studentami zaliczam do udanych, ale standardowych i nudnych. Obserwowanie Weroniki i Andre w trakcie zajęć sprawiło mi dużą przyjemność. Dzisiaj po południu pojechałem do Bautzen, by się trochę powłóczyć po mieście, no i żeby spróbować uruchomić mój oblodzony samochód. Najwięcej czasu spędziłem na cmentarzu... Niesamowite miejsce... W uruchamianiu samochodu pomógł mi jakiś Niemiec, który cieszył się jak dziecko, że może być przydatny. Patrząc na jego radość, żalowałem, że tak szybko nam poszło. Zadzwońska, kiedy właśnie otwierałem drzwi od mieszkania. Przemarzałem do szpiku kości. Przebiorę się szybko i lecę do akademika.

Weronika, Anke i Andre zaprosili mnie do siebie na kolację - wyrzuciłem z siebie jednym tchem. Po co ja jej, do diabła, to wszystko mówię?

- W sumie, jakoś sobie radzisz... - powiedziała z lekkim ociąganiem.

- Pewnie, zawsze mogłoby być gorzej. Na przykład mogłem wczoraj zginąć na oblodzonej autostradzie... I tak nikt by po mnie nie płakał. Większość znajomych uznałaby zapewne, że osiągną! mnie miecz sprawiedliwości - próbowałem żartować. - Znam tylko jedną osobę, której bardzo bym dokuczył swoim nagłym zgonem. To profesor, który miałby trudności z obsadzeniem moich godzin... Lecę! Na razie, Julka! Podziękuj swojej mamie za pomoc!

- A tamta sprawa? - próbowała zatrzymać mnie przy telefonie.

- Co, tamta sprawa? - Znów wszystko się we mnie zagotowało. Czy ona, do cholery, w ogóle mnie nie słucha? - W tamtej sprawie nic się nie da zrobić - starałem się mówić spokojnie. - Porażka! Rozumiesz? Totalna porażka!

- Porażka... - powtórzyła za mną odruchowo, jakby to słowo przekraczało możliwości jej percepcji.

- Tak łatwo się poddajesz? - próbowała wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, pogłębić poczucie winy. Aż kipiałem ze zdenerwowania. Przeklęta idealistka!

- W tamtej sprawie nic już nie mogę zrobić. Czas chyba o niej zapomnieć - chciałem uciąć tę rozmowę. „Wystarczy - pomyślałem. - Koniec pastwienia się nad sobą”. - Trzymaj się! Lecę - wysiliłem się, by mimo wszystko zabrzmiało przyjaźnie.

Rozłączyłem się, nie czekając na odpowiedź, w momencie kiedy Julia zapewne otwierała już usta, żeby coś powiedzieć.

Przebrałem się i poszedłem do akademika. Mieszkanie pachniało świeżo pieczonymi ciastkami ze śliwkową konfiturą i cynamonem, a na kolację jedliśmy grecki ser podany na gorąco, zapiekany z pomidorami, bazylią, cebulą i papryką. Zjadłem całe mnóstwo grzanek z masłem czosnkowym i wypilem niewyobrażalną wprost ilość grzańca. Rozkoszowałem się ciepłem. Oglądałem zdjęcia konia, który już za parę dni zamieszka w stajni obok tego ich



Ferdka... Słuchałem wywodów Anke o wpływie jej wyglądu na poprawę relacji opiekun-podopieczny w poprawczaku, w którym odrabiała praktykę. Dałem się namówić na wspólną nocną wyprawę do stajni, mimo że w pierwszej chwili na samą myśl, że mam znowu wyjść na tę nie pogodę, dreszcz przebiegł mi po plecach. Ładny jest ten ich

Ferdek: duży, wysmukły, ciemnogniady. Długo z sobą walczyłem, zanim podałem mu jabłko. Czuję respekt przed końmi, są dla mnie za duże... Posiedzieliśmy przy rozpalonym kominku w pomieszczeniach przy stajni. Pogadaliśmy o wszystkim i o niczym. Pośmialiśmy się do rozpuku. Stoczyliśmy walkę na śnieżne kule, zbiegając ze stajni w kierunku miasta. Wyrznąłem jak długi na jakiejś zamarznętej, przykrytej śniegiem kałuży. Ze śmiechu nie mogłem się podnieść. Było już dobrze po pierwszej, kiedy odurzony winem, nieludzko zmęczony i mokry od stóp do głów wróciłem do siebie.

- Pan znowu tak późno? - Portierka obrzuciła mnie wrogim spojrzeniem. Była oburzona.

- Tak się jakoś złożyło, ale do pracy idę dopiero na dziewiątą.

Przyglądała mi się z nieukrywaną niechęcią, kiedy oparty o ścianę czekałem na windę. Na wędrówkę po schodach czułem się zbyt zmęczony.

\* \* \*

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy rozdzwonił się mój telefon. W tej sypialni bez okna panuje idealna ciemność. W pierwszej chwili pomyślałem, że to budzik. Szalone dźwięki z trudem docierały do mojej świadomości, a rwący ból głowy świadczył o tym, że chyba przesadziłem z tym grzańcem. Kiedy dotarło do mnie, że to nie jest dźwięk budzika, było już za późno. Telefon przestał dzwonić. Co za licho?

W ciemnościach z trudem udało mi się włączyć lampkę. Spojrzałem na telefon - nieodebrane połączenie z numerem zastrzeżonym.

Niech to wszystko szlag trafi! Co za pech, do jasnej cholery! Przyjrzałem się dokładniej.

Dobiegała piąta piętnaście. Piąta piętnaście? Co jest, do diabła? Podniosłem się gwałtownie.

Prześladuje mnie jakieś fatum, Kiedy ja miałem ten dyżur w studenckim telefonie zaufania?

W poniedziałek w ubiegłym tygodniu. Dzisiaj jest środa. To zaledwie dziesięć dni. Jak dziesięć dni mogło pomieścić tyle wydarzeń? Jeszcze chyba nigdy nie żyłem tak szybko.

Swoiste carpe diem. Co za pech, że nigdy nie mogę zdążyć odebrać tego telefonu. „Swoją drogą, ona dzwoni za krótko - pomyślałem. - Nigdy nie włączyła się poczta głosowa.

Dziwne...”. Jakoś wcześniej się nad tym nic zastanawiałem. Odsłuchałem skrzynkę głosową.

Od ponad dwóch tygodni nie miałem żadnych nowych wiadomości. Ostatnia była jeszcze od Natalii. Miałem ją koniecznie odebrać z próby o dziewiętnastej, ponieważ na dwudziestą była zaproszona na bardzo ważną kolację, przed którą musiała się jeszcze przebrać. Pamiętam, kiedy

zadzwoiła, kończyłem właśnie zajęcia i nie mogłem odebrać telefonu. Zapomniałem wyłączyć komórkę.

Jej dźwięk dochodził z zaplecza, dekoncentrując i tak już rozkojarzonych i znużonych zajęciami studentów.

No nic, nie ma już Natalii i nie ma jej telefonów.

Jakoś zupełnie nie żałuję. „Ostatnia wiadomość jest sprzed ponad dwóch tygodni” -

pomyślałem.

Dzień po moim dyżurze w telefonie zaufania ktoś trzy razy połączył się z pocztą głosową, nie pozostawiając jednak żadnej wiadomości. To zdarzyło się wtedy, kiedy brałem prysznic.

Później nie było już nic. Żadnych nowych wiadomości. Dziwne... Poczuję wewnętrzny niepokój. To wszystko jakoś nie pasuje do siebie, nie układa się w całość. Coraz bardziej brakuje mi w tym logiki, jakiegokolwiek porządku. Muszę to jeszcze raz przemyśleć.

„Załóżmy, że to ja mam kłopoty i potrzebuję czyjeś pomocy - kalkulowałem, - Dzwonię, czekam na połączenie, zostawiam wiadomość na poczcie głosowej, liczę na to, że mój niedoszły rozmówca oddzwoni. Załóżmy, że osoba, która do mnie dzwoni, chce pozostać anonimowa, w końcu dzwoni z zastrzeżonego numeru, ale i tak powinna się włączyć poczta głosowa - nie byłoby żadnej wiadomości, ale pozostałaby informacja o połączeniu z numerem zastrzeżonym. A tu nic ma nic. Zupełnie nic”. Spróbowałem odsłuchać jeszcze raz. Nie było żadnych nowych wiadomości. Tak jak przed chwilą, tak i teraz znajdowała się tam tylko wiadomość od Natalii. Co to jest, do diabła? Ktoś puszcza tylko parę sygnałów, nie czekając, aż odbiorę? Czy ten ktoś drażni się ze mną, czy chce rzeczywiście porozmawiać? Dziwne to wszystko. Tamta rozmowa była taka realna. Znam ją już na pamięć. Potrafię powtórzyć każde słowo wypowiedziane przez tamtą dziewczynę. W myślach mogę odtworzyć intonację jej głosu. A to, co się dzieje teraz, jest jakąś grą, zabawą, mistyfikacją. Ktoś bawi się ze mną w kotka i myszkę, złośliwie testuje wytrzymałość mojego systemu nerwowego, nieustannie podnosząc mi poziom adrenaliny... Kurde, ale się ktoś na mnie wziął! Dzwonek budzika przerwał moje rozmyślenia. Co za gówno, a ja w tym tkwię po same uszy.

\* \* \*

Od rana miałem tylko jeden cel - usiąść na chwilę przy komputerze z dostępem do Internetu i sprawdzić swoją skrzynkę mailową. Na Andre wpadłem przypadkiem podczas przerwy obiadowej. Zderzyliśmy się w drzwiach prowadzących do stołówki. Bez wahania dał mi klucze od ich mieszkania. Mówił, że na kaca jest piwo w lodówce, a w szatce nad stołem leżą tabletki przeciwbólne.

Półka na samym dole lodówki należy do niego, górna do Weroniki, a Anke pewnie się nic pogniewa, jeśli przekaszę coś ze środkowej. Skoro już nie mam dzisiaj więcej zajęć, to mam czekać na nich i czuć się jak u siebie w domu. Już wczoraj planowaliśmy, że dzisiaj po ich zajęciach pojedziemy do Moritzburga pooglądać tego haflingera. Otworzyłem drzwi, wszedłem i rzeczywiście poczułem się u nich jak w domu.

Zrzuciłem z siebie kurtkę, ściągnąłem buty, rozsiadłem się wygodnie w fotelu przy biurku w pokoju Andre. Czekałem, aż uruchomi się komputer.

Na szafce z książkami stały zdjęcia - ojciec, mama, młodsza siostra, jakiś duży kudłaty pies w pełnym kwiatów ogrodzie, Ferdek z Niką na grzbiecie galopujący po kwitnącej wiosennej łące, zdjęcia z jakichś ich wspólnych wakacji w kraju, gdzie skały były białe, woda granatowa, niebo nienaturalnie błękitne, a dachy domów karminowe... Czyżby i oni, jak ja, kochali Chorwację? Z monitora komputera uśmiechała się do mnie twarz Weroniki na tle jakiegoś wodospadu. Coś ukłuło mnie w środku. „Idiotyczne - pomyślałem. - Czyżbym ja mu tego wszystkiego zazdrościł?”. Głowa bolała mnie potwornie, a tępe łomotanie w skroniach nie pozwalało się skupić. „Nie ta kondycja - pomyślałem - już nie te możliwości co przed laty”. Dzisiaj walczyłem o życie i wzrokiem popychałem wskazówki zegarka, a Andre

wygląda! kwitnąco. Obserwowałem ich wczoraj. Widziałem, jak na nią patrzył. Początkowo, gdy spojrziała w jego stronę, uciekał wzrokiem, później ich spojrzenia spotykały się coraz częściej. Gdy wracaliśmy ze stajni, nieśmiało chwycił ją za rękę. No i dobrze, że się temu Arturowi odwidziało. Dobrze, że teraz okazał się szuja, a nie później. Tych dwoje pasuje do siebie idealnie. Wstałem, powlokłem się do kuchni. Walczyłem z sobą, mając do wyboru zimne piwo z lodówki albo tabletkę przeciwbólową. Ostatecznie połknąłem tabletkę. Zanurzyłem się w fotel. Złapałem się na tym, że gapię się bezmyślnie na zdjęcie Weroniki, jakbym zapomniał, po co włączyłem ten komputer. W końcu otwarłem pocztę i znalazłem parę nie-przeczytanych maili. Pierwszy był z firmy farmaceutycznej z zaproszeniem na jakiś kongres, który ma się odbyć w lutym przyszłego roku w Gdyni. Wydał mi się nieistotny. Kto wie, co będzie za te parę miesięcy.

Wszystko zmienia się ostatnio w szalonym tempie. Póki co, luty przyszłego roku to termin zupełnie abstrakcyjny. Drugi mail był od Rafała. Prosił, żebym zaglądał czasami do jego mieszkania, odwiedzał zostawionego pod opieką sąsiadki Murano, żebym zdobył w izbach lekarskich zaświadczenia o prawic do wykonywania zawodu, tytule doktora i zdobytej specjalizacji oraz załatwił

jeszcze dziesiątki innych spraw, których on nie zdołał załatwić przed tym niespodziewanym wyjazdem. Pisał o weneckiej jesieni, która nie należy do najmiłszych. O przesyconym wilgocią powietrzu r

zalany wodami laguny placu Świętego Marka, o wszechobecnej wilgoci i pleśni, o przykrytych płachtami gondolach, z rzadka przemykających pod parasolami turystach i gdzieś tylko otwartych restauracjach.

Pisał, że mieszkańcy przenoszą się jesienią na stały ląd. Miasto pustoszeje. Domy straszą zamkniętymi na glucho okiennicami, szczególnie w dzielnicach nie-przylegających do Piazza San Marco. Pisał, że musi się jeszcze wiele nauczyć i wiele zrozumieć, zanim będzie w stanie napisać coś więcej.

A więc postanowił tam zostać, kolejny raz w życiu rzucić wszystko, tym razem dla Ani. Trzeci mail był od jakiegoś studenta, który nie wiedząc o mojej nieobecności, usprawiedliwiał się, że nie zdążył napisać pracy na zaliczenie. Nie wysilił się nawet, żeby sprawdzić na stronie internetowej uczelni, że na zajęciach zastępuje mnie ktoś inny. Wił się jak piskorz, zasłaniał się pechowym zbiegiem okoliczności, mamił obietnicą poprawy i obiecywał nadrobić zaległości. Otworzyłem czwartą wiadomość i raptem serce zabiło mi mocniej. Co za czort?

Ja też lubię ten cmentarz- Setki lat splotły się tu z sobą, stwarzając takie ponadczasowe, odrealnione niepowtarzalne miejsce. Cisza, spokój, melancholia, zaduma... Nic nie ma znaczenia i nic się już nie liczy. Problemy dnia codziennego maleją i bledną naprzeciw wieczności. Nawet ten mój smutek gdzieś się rozplątał, lęk zmałał, niepokój zastąpiła kojąca ból obojętność... W końcu wszyscy podążamy ku wieczności, a dla niej my i tak nie mamy znaczenia. Zimno było strasznie. Przemarzałam na wylot. Właśnie miałam wyjść przez bramę, kiedy Pan mnie minął, wchodząc na cmentarz. Zdawało mi się przez moment, że spojrzął Pan w moją stronę. Cofnęłam się, stanęłam tuż przy bramie. Obserwowałam Pana z daleka.

Zwolnił Pan kroku, rozglądał się dookoła. Panu też przypadło do gustu to miejsce. Może i Pan czuje się wśród żywych trochę zagubiony? Też byłam przy tym grobie, przy którym

przystanął Pan na dłużej. Mogiła młodego człowieka. Obok kamiennej tablicy sterczały jeszcze, jakby wbrew logice i naturze, ostatnie, krzyczące barwami jesienne kwiaty. Pewnie i Pan, stojąc tam, pomyślał o Marco. Był Pan jego przyjacielem. Musiał być Pan wart jego przyjaźni... Kiedy usłyszałam Pana głos w słuchawce, pomyślałam, że mam szczęście. Jednak mnie Pan szuka.

Komuś na mnie jeszcze zależy. Dziękuję...

Litery zlewały mi się przed oczyma. Serce waliło jak młot. Dałbym sobie głowę uciąć, że nie spotkałem nikogo przy tej bramie. Mam zdolność zapamiętywania szczegółów. Taki dar to czasami przekleństwo. Krzysztof śmiał się kiedyś, że zawsze znajdę robotę u nich w policji, że pracując na uczelni, zabijam w sobie tę rzadko spotykaną umiejętność. Pamiętam wszystko z najdrobniejszymi, do niczego mi niepotrzebnymi szczegółami. Było bardzo zimno.

Na cmentarzu było zaledwie parę osób: starzec, starsza kobieta, jedno niemłode już małżeństwo i ta para młodych w nawie kościoła. Razem ze mną - siedem osób. W bramie nie mijalem nikogo. Jestem tego pewny. Tuż przy tej małej drewnianej kapliczce nieopodal bramy stał starszy mężczyzna. Pamiętam dokładnie jego przygarbioną postać, postawiony kołnierz kurtki, naciągniętą na głowę kraciatą czapkę z daszkiem, rękę opartą na lasce. Tuż pod ruinami kościoła jakieś starsze małżeństwo oglądało nagrobki, próbując się ukryć za resztkami murów przed podmuchami lodowatego wiatru. Widziałem jeszcze w bocznej nawie dziewczynę z chłopakiem, którzy całowali się namiętnie, nie zwracając uwagi na mróz, cmentarz i moje towarzystwo. Dziewczyna przyciągała wzrok długimi nogami kończącymi się w butach na wysokim koturnie i czerwoną chustką w tym dziwnym kolorze, w którym kiedyś Anka miała kwiaty na balkonie. Chłopak miał srebrny kask motocyklowy w dłoni i skórzane spodnie. Pamiętam te durnowate szczegóły, które wypełniają mi głowę i do niczego nikomu nie są potrzebne. Na otwartej przestrzeni, na pagórku, niedaleko miejskiego muru stała przy grobie jakaś staruszka. Kiedy ją mijalem, poprosiła mnie, żebym jej przyniósł wody w konewce. Patrzyła na mnie załzawionymi oczyma, nie mogąc zrozumieć, że jest już późna jesień i że wszystko zamarzło. Powtarzała w kółko, że to przecież stało się wiosną, a wiosna była tak niedawno. Kiedy wychodziłem z cmentarza, natknąłem się na jakąś wycieczkę. Rosyjskojęzyczny przewodnik próbował, psując atmosferę zadumy, zapanować głosem nad dziwnie rozgadana i w tym miejscu nienaturalnie rozchichotana grupą. Właściwie to przez nich stamtąd wyszedłem. Po ich wtargnięciu czar tego miejsca prysnął, a spotkanie z wiecznością zastąpiła szara codzienność. Zamknąłem oczy. Wgłębiłem się w fotel.

Spróbowałem jeszcze raz odtworzyć wszystko w pamięci. Co za czort? Jestem pewny, że nikogo tam więcej nic było. Wiem na pewno, że nikt nie stał przy bramie wejściowej.

Przecież nawet się odwróciłem. Andre opowiadał mi dzień wcześniej o jakimś napisie. Nie do końca go wtedy zrozumiałem. Napisu nie zauważyłem, ale też nie widziałem nikogo przy tym wejściu na cmentarz. Myślałem o Marco, trudno żebym nie myślał, od kilkunastu tygodni kojarzył mi się z nim każdy cmentarz, ale nic patrzyłem na daty urodzin i śmierci wykute na kamiennych tablicach. Nawet nic wiem, czy jest tam mogiła jakiegoś młodego człowieka. Zatrzymałem się przy paru grobach, poruszony ich prostotą cenniejszą od najdroższych, lecz zimnych marmurów. „Coś tu nie gra - przemknęło mi przez myśl - może to ja zidiociałem? Przez Marco, przez tamtą studentkę, przez dyżur w telefonie zaufania?”

Nie czytałem już dalej tego maila. Spacerowałem po pokoju Andre. Pooglądałem jego

książki.

Dopiero teraz zauważyłem rysunek zdobiący od środka drzwi jego pokoju. „Zdolny z niego facet” - pomyślałem. Olbrzymi arkusz papieru przysłaniał prawie całe drzwi. Rysunek węglem przedstawiał skaczącego przez przeszkodę konia. Koń skakał w kierunku rysującego, było wręcz widać, jak pęd powietrza rozwiewa mu grzywę, jak drżą mu chrapy, a ślina toczy się z pyska. Ponad końskim łbem wylaniała się przytulona do niego głowa jeźdźca. Długie, rozwiane przez wiatr włosy, delikatne rysy twarzy, toczek na głowie... Weronika... Coś kolejny raz ukłuło mnie w środku. Fakt, zazdroszczę im tego uczucia. Fajni, młodzi, niezspsuceni jeszcze życiem ludzie. Usiadłem, wyciągnąłem przed siebie nogi, przymknąłem oczy... Znów wróciłem myślami do tej sprawy... Ależ to jakieś gówno. Przecież wiem, że coś w tym nie gra. Chyba mi rozum odebrało - wiem, że to śmierdzi, a mimo to brnę w to dalej i dalej. Zostało mi tylko jedno nie-przeczytane zdanie: Wybiera się

Pan dzisiaj do Moritzburga? Ja też tam będę. Może uda nam się spotkać?

\* \* \*

Nie mogłem zasnąć. Gasilem światło tylko po to, żeby po pięciu minutach je na nowo zapalić. Wszedłem na balkon i stoczyłem z sobą wojnę, żeby nie sięgnąć po papierosa. Żał mi dzisiaj było pieniędzy, żeby kupić nową paczkę. Cholernie drogie są w tym kraju papierosy. Miałem w kieszeni kurtki parę sztuk na tak zwaną czarną godzinę. Nie wiem, czy ta godzina nastąpiła, ale musiałem zrobić cokolwiek, żeby choć na chwilę zebrać myśli. Co to za gówno, do jasnej cholery? Każdy dzień przynosi coś nowego i każdego dnia coraz mniej z tego rozumiem. Zmarłem dzisiaj okrutnie. Najpierw byliśmy u tego chłopca we wsi pod Moritzburgiem, żeby zobaczyć kuca. Przyszły kolega Ferdka wydawał mi się sympatyczny, ale ja się nie znam na koniach. Weronika była nim oczarowana, Andre podzielał jej zachwyt i to było najważniejsze. Później pojechaliśmy do Moritzburga. Ruszyliśmy z parkingu w kierunku bramy, przeszliśmy obok kamiennego przystanku dla pocztylionów, a później sztucznie usypaną groblą w kierunku sztucznej wyspy na tym nie do końca zapewne naturalnym stawie.

Władca, który zlecił budowę pałacu na stworzonej w tym celu wyspie na środku bajora, musiał być dumny jak paw. Był naszym królem, a ich księciem, ale budował tutaj. Dziwna jest historia, kiedy można na nią spojrzeć jakby z drugiej strony. Przed paroma dniami spuszczonego ze stawu otaczającego pałac. W powietrzu unosił się jeszcze zapach mułu, a z zamrożonego, przysypanego śniegiem dna starczały gdzieniegdzie przyozdobione czapami puszystego śniegu pojedyncze korzenie, potężne konary drzew, a nawet jakiś niewielki drewniany pomost, który latem służył zapewne wędkarzom, a teraz, przesunięty przez prąd spuszczonego ze zbiornika wody, zatrzymał się gdzieś pośrodku tego gigantycznego, zamrożonego, pokrytego białym puchem grzęzawiska. Ściana suchych trzciny przyprószonego śniegiem, pozbawiona tafli wody wyglądała idiotycznie i żałośnie. Wybrukowana, odśnieżona, lśniująca lodem droga, obsadzona dwoma szpalerami bezlistnych o tej porze roku drzew, pięła się w górę w kierunku barokowego pałacu, wyglądającego imponująco na tle szybko szarzejącego nieba. Gdzieniegdzie dreptały po śniegu dzikie kaczki, które karmione przez ludzi, nawet nie planowały odlecieć. Ponoć latem jest tam dużo dzikich gęsi.

Przechadzają się całymi stadami po trawnikach nad wodą, ale te chyba na zimę odleciały.

Dzisiaj ich nie widziałem. Spotkaliśmy tylko jednego przechodnia. Jakiś spóźniony turysta schodził w stronę opustoszałego już zupełnie parkingu, kiedy my pięliśmy się stromym traktem

w kierunku dziedzińca zamkniętego na głucho pałacu. Starszy mężczyzna szedł pospiesznie. Odgradzał się od mroźnego wiatru postawionym kołnierzem kurtki i naciągniętą na uszy wełnianą czapką. Rzucił w naszą stronę jakieś słowa, które zapewne miały być powitaniem, a które zagłuszył gwałtowny podmuch wiatru. Zmrok zapadał błyskawicznie, z minuty na minutę robiło się coraz zimniej i coraz ciemniej. Kiedy okrążyliśmy pałac i schodziliśmy w dół dziedzińcem prowadzącym w kierunku straszących o tej porze roku pustką pałacowych ogrodów, wyprzedził nas strażnik. Wymownie pokazał nam tarczę zegarka. Ostentacyjnie zamknął za nami bramę. Zgrzyt przekręcanego w zardzewiałym zamku klucza zabrzmiał paskudnie w tej coraz bardziej potęgującej się wokół nas szarości. Nie pozostało nam nic innego, jak ruszyć drogą wzdłuż brzegu pozbawionego wody stawu. Latem zapewne jest tam pięknie - jasne, kremowożółte mury pałacu odbijają się w wodzie, czerwień dachówek ochłodzona srebrem tafli stawu zapewne w odbiciu jest karminowa, a widziane w wodzie niebo sprawia, że wszystko wydaje się odrealnione i bajkowe. Pewnie latem wygląda to tak, jakby dzikie ptactwo pływało między obłokami. Otaczająca pałac zieleń musi dodawać wtedy uroku temu miejscu, a ławki wzdłuż brzegu wydają się stworzone z myślą o zakochanych. Teraz było inaczej - ponuro, zimno i meprzyjazne. Rozglądałem się wkoło uważnie.

Nic, zupełnie nikogo. W szybko gęstniejących ciemnościach po lewej stronie rysowała się czarna ściana lasu, a po prawej wyschnięte trzciny znaczyły linię brzegową. Poza skrzypieniem śniegu pod naszymi butami nie było słycać żadnych innych dźwięków. Andre raz po raz spoglądał spode łba w moją stronę. W końcu zrównał się ze mną.

- Szukasz czegoś? - spytał.

- Raczej kogoś...

- Kogoś? - Aż go zatkało z wrażenia. - O tej porze? - patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Późną jesienią i do tego w środku tygodnia? - powątpiewał.

- Poza nami nie ma tu już żywego ducha... Mogę ręczyć głową... - mówił spokojnie, przyglądając mi się uważnie.

- Ktoś chciał się tu ze mną spotkać...

- Zadzwoiła do ciebie? - Przystanął z wrażenia.

- Nie, nie zadzwoniła. To znaczy, próbowała zadzwonić rano, ale nie zdążyłem odebrać.

Napisała... Przeczytałam tę wiadomość, czekając dzisiaj na was. Dziewczyna widziała mnie wczoraj na cmentarzu w Bautzen. Chciała tu dzisiaj ze mną pogadać... Wiadomość była wysłana rano.

- Skąd wiedziała, że będziesz w Moritzburgu?

Rzeczowe pytanie sprowadziło mnie na ziemię.

- Właśnie, tego kompletnie nie rozumiem... Dałbym też głowę, że nie było jej wczoraj w Bautzen...

- Dziwne... - Spojrzał na mnie jakoś podejrzliwie. - Coraz bardziej dziwne... Chyba sam to rozumiesz...

Oczywiście, że rozumiem. To jakiś idiotyzm. Wiem o tym dobrze. Nikt mi nic musi tego mówić.

Co to za gówna, do jasnej cholery? Ktoś potrzebuje mojej pomocy czy tylko uwziął się na mnie? Próbuje się zabawić moim kosztem, znalazł sobie przyjemność w wodzeniu mnie za nos, czy walczy z sobą, żeby się ujawnić? Szedłem markotny i małowówny. Andre i Weronika

początkowo przyglądali mi się raz po raz ukradkiem, ale w końcu, szczęśliwi, że są razem, przestali prawie zwracać na mnie uwagę. Zrobiło się już całkiem ciemno. Ścieżka stała się węższa i biegła bliżej brzegu stawu, jakby przylegający do niej las zrobił się nagle bardziej zaborczy. Raz po raz wdeptywałem w pokryte cienką warstwą lodu i przysypane śniegiem kałuże. Jak na złość, nawet księżyc zniknął za chmurą i w jednej chwili zapanowała zupełna ciemność. „Chyba coś nie tak z moją akomodacją” - pomyślałem, bo moje oczy nijak nie mogły się przyzwyczaić do otaczającej nas ciemności. Coraz częściej potykałem się o przysypane śniegiem korzenie, przeklinając pod nosem coraz siarczyściej. „Ależ ze mnie idiota - pomyślałem. - Ktoś się świetnie bawi moim kosztem”. Andre szedł przodem, próbując choć trochę oświetlić drogę mdłym światłem swojej komórki. Zahaczyłem nogą o jakiś korzeń, nie zdążyłem wyciągnąć ręk z kieszeni kurtki i runąłem jak długi na ostatniej prostej, jakieś dwieście metrów przed dojściem do wsi. Upadłem prosto w przykrytą śniegiem, nie całkiem zamarznąłą kałużę. Z trudem próbowałem się pozbierać. Oczyma wyobraźni widziałem już minę portierki z domu asystenta, kiedy wejdę tam dzisiaj uwalany od stóp do głów błotem. Nawet na twarzy czułem krople marznącej wody, a włosy zdawały mi się kleić od błota. Niech to wszystko szlag trafi! Przecież ja tu nawet nie mam dostatecznej ilości ubrań. Kiedy próbowałem się podnieść, w kieszeni mojej kurtki rozdzwoniła się komórka.

Sztywnymi z zimna palcami udało mi się jakimś cudem wygrzebać telefon. Spojrzałem i serce zabiło mi szybciej - numer zastrzeżony.

- Halo - rzuciłem pospiesznie.

Odpowiedziała mi cisza.

- Halo - powtórzyłem.

Wydawało mi się, że coś słyszę, jakby jakąś muzykę. Początkowo cicha, prawie niesłyszalna, zagłuszana przez podmuch wiatru i szum konarów drzew, po chwili stała się głośniejsza, wyraźniejsza, jakby ktoś stanął bliżej głośnika lub go pogłośnił. Skąd ja, do diabła, to znam? Dałbym sobie głowę uciąć, że już kiedyś to słyszałem. Dźwięki układały się w znajomą melodię. Co to jest, do diabła? Coś kołatało mi w pamięci, coś, czego nie mogłem sobie za nic przypomnieć.

- Halo! - krzyknąłem.

Dźwięki stawały się coraz głośniejsze i głośniejsze. Drażniły, przeszkadzały, huczały mi w głowie. Wtem zapanowała cisza. Połączenie zostało przerwane.

- Andre, słuchaj - zacząłem nieudolnie nucić coś pod nosem. - Znasz tę melodię?

- Nie, nie znam... - Przyglądał mi się podejrzliwie, jakby sprawdzał, czy upadając, nie uderzyłem się w głowę.

Minęły już dwie godziny, a ta cholerna melodia nie daje mi spokoju. Musiałem ją słyszeć, i to wiele razy. Wydaje mi się taka znajoma. Złapałem się na tym, że stoję na balkonie z włożonym do ust niezapalonym papierosem i próbuję bezskutecznie przypasać do jakichkolwiek wspomnień te błakające się po mojej głowie dźwięki. To chyba już nic dotyczy telefonu zaufania i tamtej małej...

\* \* \*

Idziemy wieczorem do kina - rzucił Andre mijając mnie na korytarzu. - Film jest o koniach i tajnikach naturalnego jeździectwa. Wybierzesz się z nami?

- Chyba nie dam rady - starałem się powiedzieć

to obojętnie. -Jestem umówiony z Andreasem na korcie.

- No to masz przechlapane. - Zatrzymał się nagle, spojrzał na mnie z wyraźnym współczuciem. - On wygrywa wszystkie turnieje, jakie są organizowane na naszej uczelni...

Kiedyś trenował wyczynowo. Przeszedł jakąś poważniejszą kontuzję. Leczył się trochę dłużej i do sportu zawodowego już nic wrócił, ale gra doskonale.

- W takiej sytuacji przegrana nie będzie dla mnie emocjonalnym problemem - rzuciłem uspokajająco.

- Jeżeli tak do tego podchodzisz... - zerknął na mnie jakoś niepewnie - to życzę miłej zabawy.

Nic byłem na kortach. Odwołałem to w ostatniej chwili. Pojechałem do Moritzburga. Po zajęciach sprawdziłem swoją pocztę. Obok maila od oburzonej Melanii, która informowała mnie o katastrofalnym wprost stanie wiedzy nauczanych przeze mnie studentów, była jeszcze jedna wiadomość. Czekałem na nią. Podświadomie czułem, że będzie. Wiadomość od tamtej osoby.

Kiedy ostatni raz, byłam w Moritzburgu, to kwitły na czerwono kasztany, którymi obsadzona jest aleja prowadząca do bram pałacu. W wodach stawu odbijały się ściany barokowej budowli. W tafli przeglądało się niebo. Wszystko było takie nierealnie: woda, ptactwo, białe obłoki, błękit czerwcowego nieba... Jakby natarła się granica między rzeczywistością i światem naszej wyobraźni. Gdzieś tam pomiędzy trzcinami kwitły te żółte kwiaty, których nazwy teraz nie mogę sobie przypomnieć... Był upał, chociaż w Saksonii to takie rzadkie. Poszliśmy na przełaj leśnym traktem w kierunku chińskiego domku, cypla i latarni. Czekałam tam wczoraj na Pana. Chciałam porozmawiać. Nawet latem jest tam mniej ludzi. Trochę ciszej i spokojniej. Można dojechać tam samochodem, podjechać bryczką lub dojść leśną drogą... Kiedy pomyślałam, że Pan już nie przyjdzie, ruszyłam w kierunku parkingu. Zobaczyłam wtedy waszą trójkę, jak szliście w kierunku pałacu. Zatrzymał się pan na chwilę przy rzeźbie chłopca z rogiem w ręku, jakby czekającego tylko na znak, żeby sygnałem wezwać wszystkich na polowanie. W końcu Moritzburg to pałac myśliwski, bywały tu różne polowania... Biorąc pod uwagę wybudowane przy ogrodach dwa domy schadzek, które pomimo swej funkcji Robione są insygniami królewskiej władzy, bawiono się tu świetnie, i to polując na różną zwierzynę.... Zajęci rozmową nie zwróciliście na mnie uwagi. Zimno tam było wczoraj, a na podjeździe prowadzącym do pałacu do tego jeszcze bardzo wietrznie. Pan też postawił kołnierz, schował ręce do kieszeni... Będę czekać na Pana dzisiaj o osiemnastej przy tej bryle granitu po drugiej stronie stawu. Tej z oknem w środku, przez które tak świetnie widać pałac i gdzie latem turyści tak chętnie robią sobie portretowe zdjęcia... Stamtąd już tylko krok do zacisznej restauracji, gdzie może uda nam się porozmawiać... Zdecydowałam się z Panem spotkać.

Nie mam ochoty na rozmowę z nikim więcej.

Przeczytałem to raz, potem drugi i trzeci. To trzeba skończyć, do diabła! To już chyba nie ma nic wspólnego z moim dyżurem w telefonie zaufania, nic wspólnego z tamtą prześladowaną mnie rozmową. To rzucona mi pod nogi rękawica, wyzwanie

wykrzywane prosto w twarz. Jestem pewny, że tam nikogo nie było. Zapewne powinienem był, jak wszyscy zwiedzający pałac turyści, popatrzeć dłużej na rzeźbę tego chłopca, ale nie zrobiłem tego. Na pewno nie zatrzymałem się przy niej, chociaż inni to robią. Widziałem dwie



kamiennie postacie w barokowych strojach, z psami myśliwskimi leżącymi u stóp, jakby witające wchodzących na teren pałacu gości. Widziałem dziesiątki pyzatyh barokowych amorków przystrojonych w myśliwskie akcesoria, którymi ozdobiona jest okalająca pałacowy dziedziniec balustrada... Nie, nie zatrzymałem się nigdzie ani na chwilę. Co to za bzdury?

Intrygowało mnie to wszystko coraz bardziej.

Ciekawość mnie zżerała. Rozsądek nakazywał zadzwonić do Krzysztofa. Nawet próbowałem, ale był poza zasięgiem albo po prostu spał po dyżurze i przezornie wyłączył telefon. Pewnie gdybym zastanowił się nad tym choć chwilę dłużej, to jednak bym tam nie pojechał.

\* \* \*

Dzisiaj byłem sam i może dlatego wszystko wydawało mi się inne. Przyjechałem, kiedy było jeszcze jasno, a na parkingu pomimo chłodu kręcili się turyści. Stał tam trabant oklejony reklamami muzeum, z pamiątkami z czasów NRD. Jakoś go wczoraj nie zauważyłem, a może go tu jeszcze nie było. W drewnianym kiosku przy wyjeździe z parkingu, który dzień wcześniej straszył spuszczone roletami, można było kupić coś do zjedzenia i do picia. Snuł się dym z rozpalonego grilla, a ustawiony przed kioskiem stolik przyciągał wzrok pękatymi słoikami bursztynowego miodu pochodzącego z tej okolicy. Parking znajduje się naprzeciw dawnych stajni królewskich, w których teraz mieści się saksońska stajnia narodowa. Ponoć dość często organizowane są tu przeróżne imprezy jeździeckie, a największą popularnością cieszą się jesienne parady ogierów, ściągające do Moritzburga tysiące turystów z niemal całej Europy. Przez trzy wrześniowe weekendy można tutaj oglądać różne pokazy - z wyjątkiem naturalnego jeździectwa, jak to skwitowała wczoraj oburzona tym faktem Weronika. Myślę, że i dzisiaj była tu jakaś tego typu impreza, bo przybyszy interesowały znacznie bardziej te szeroko otwarte, prowadzące do stajni królewskich wrota niż wiodąca w kierunku murów pałacu oblodzona droga. Wstąpiłem do restauracji na obiad. Nie miałem ochoty na żadne długie spacerunki wzdłuż brzegów tego straszącego zapachem mułu bajora. Już wczoraj dostatecznie się namarzłem. Pamiętałem tamtą granitową bryłę. Stoi niedaleko wiejskiej drogi, w pobliżu miejsca, gdzie się wczoraj potknąłem i przewróciłem. W świetle komórki Andre wyglądała co najmniej nielogicznie, tak jakby ktoś wyrąbał z granitu jedną ścianę domu i w jej środku wykłuł otwór mający służyć za okno. Wczoraj w ciemnościach ta rzeźba wydawała mi się upiorna, bo czerń wyrąbanego otworu była jaszczynie czarniejsza niż wszystko inne dookoła. Kiedy dotarłem w tamto miejsce, dochodziła osiemnasta. Wokół panował mrok i niczym niezmacona cisza. Słyszałem tylko swoje kroki i swój oddech. Raptem dotarło do mnie, że przecież to idiotyczne miejsce na spotkanie, a już szczególnie o tej porze roku.

Pewnie żadna dziewczyna sama by tutaj nie przyszła. Ależ ja się daję zwodzić i manipulować!

Ktoś z niewiadomych względów uparł się na mnie...

Niech tego Rafała gęś kopnie, jego i ten jego telefon zaufania! Już miałem zawrócić w kierunku drogi, kiedy wydało mi się, że słyszę jakiś szelest z drugiej strony, jakieś dźwięki dochodzące zza tej bryły z tym niby-oknem, jakby od strony suchych trzciny znaczących linię brzegową.

- Jest tam ktoś? - Sam się przestraszyłem swojego głosu. W otaczającej mnie ciszy zabrzmiał dziwnie donośnie i upiornie. Stałem jak kretyn, wsłuchując się w otaczające mnie

dźwięki. Gdzieś w oddali słyhać było pijackie krzyki, zapewne dochodziły z tej knajpy, z której wyszedłem przed godziną. Już wtedy było tam głośno, a jacyś młodzi ludzie świętowali dość hucznie czyjeś dwudzieste urodziny. Wiatr poruszył suchymi konarami.

Spadł na ziemię jakiś odłamany patyk. Nad głową usłyszałem skrzek przelatującego ptactwa, szum ptasich skrzydeł. „Coś musiało spłoszyć te kaczki - pomyślałem. - Pewnie jakiś bezpański pies”. Wczoraj widzieliśmy tu jednego, który błąkał się sam po okolicy. A może spłoszył je nic pies, lecz człowiek? „Bzdura, mam wybujałą wyobraźnię - uspokajałem sam siebie. - Tu nie ma nikogo”. Już miałem zawrócić w kierunku wioski, kiedy znów usłyszałem jakiś dźwięk. Coś jak trzask złamanego patyka nadeptanego czyjąś stopą. Odwróciłem się w tamtym kierunku. Nic, tylko ciemność. „Tu nie ma nikogo - pomyślałem. - Zresztą jest tak ciemno, że

nie widzę nawet własnej wyciągniętej przed siebie dłoni”.

- Jest tam ktoś? - rzuciłem ponownie w stronę otaczającej mnie czerni. Odpowiedziała mi cisza. Ruszyłem się i nagle wydało mi się, że słyszę czyjeś kroki tuż za sobą. Odwróciłem się gwałtownie. Nikogo za mną nie było. W każdym razie nikogo w zasięgu mojej ręki. „Jeżeli ktoś tu jest, to musi być za tą cholerną bryłą” - pomyślałem.

- Jest tu ktoś? - powtórzyłem. Starłem się, żeby mój głos brzmiał pewnie, chociaż z sekundy na sekundę narastał we mnie niepokój, który przeobrażał się w lęk, a później w coraz bardziej paraliżujący mnie strach. Co jest grane, do jasnej cholery? Zwariowałem, a to wszystko jest tylko grą mojej wyobraźni.-’

Teraz usłyszałem jakby ciche dźwięki układające się w tamtą dręczącą mnie od wczoraj melodię, „jednak zwariowałem - przemknęło mi przez myśl. - Jak mogę wśród szumu drzew słyszeć jakieś dźwięki?”. Rozsądek nakazywał mi ruszyć do wioski, ciekawość - w drugą stronę. Zrobiłem parę kroków w kierunku granitowej bryły. Niech ja się, kurde, nareszcie dowiem, kto i dlaczego tak mnie ostatnio dręczy! Niewiele pamiętam z tego, co się później stało. Wiem, że zahaczyłem o coś nogą, w ostatniej chwili próbowałem podeprzeć się ręką, głową musiałem chyba uderzyć w tę bryłę granitu, bo raptem zrobiło mi się dziwnie mdło, słodko i ciepło.

\* \* \*

Ocknąłem się chyba z zimna. Miałem wrażenie, jakby ten chłód przenikał mnie na wylot.

Zdrętwiałem cały, nie mogłem się podnieść, tylko z zimna drżały mi mięśnie. „Tego jeszcze tylko brakowało, żebym zaczął dzwonić zębami” - pomyślałem. Z trudem wyciągnąłem z kieszeni jeden z tych papierosów na czarną godzinę. „Czarniejsza już mi się chyba nie przydarzy” - pomyślałem. Zapałki zwilgotniały w kieszeni. Długo z nimi walczyłem, zanim udało mi się jedną z nich rozpalić. Czemu właściwie nie używam nigdy zapalniczek?

Zaciągnąłem się mocno i zrobiło mi się jakby cieplej od wewnątrz. „Właściwie da się to nawet wytłumaczyć - myśli płynęły jakby bezwiednie. - Nikotyna wysiewa z nadnerczy adrenalinę, ta obkurcza naczynia, centralizuje przepływ, podnosi ciśnienie, poprawia krążenie w najbardziej zagrożonych niedotlenieniem obszarach, podnosi się poziom cukru, myśli stają się jaśniejsze... W sumie niezła teoria, jak na lekarza - pomyślałem. Za chwilę sam uwierzę w te brednie”. Nikotyna jako środek stosowany w medycynie ratunkowej. Rewelacyjny pomysł na kontrowersyjne wystąpienie na jakimś kongresie. „Nie będzie już żadnych kongresów - przemknęło mi przez myśl. - Za te numery stary wyleje mnie z pracy i będzie miał w stu

procentach rację... Nie będą miał nawet do niego żalu. Bo i o co?

On i tak jest nadzwyczaj tolerancyjny jak na szefa zakładu etyki zawodowej na tak sędziwej i staroświeckiej uczelni.

Jestem pewny, że teraz kombinuje, jak to zrobić, żeby nie zwolnić Rafała dyscyplinarnie.

Zapewne wyprosi dla niego u rektora jakiś bezpłatny urlop ze względów tak bardzo osobistych, że nawet on nie wie jakich. Co za brednie roją mi się w głowie? Jakby to miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie”. Zaciągnąłem się mocniej, coś zakłuło mnie w klatce piersiowej, ból przeszył mnie na wylot, przez moment zabrakło mi powietrza. Co za czort, do cholery? Przecież muszę się jakoś pozbierać. Spróbowałem podeprzeć się rękami.

Przesuwałem dłonie po nierównej powierzchni tej cholernej granitowej bryły i usiłowałem się spionizować. „Nie jest źle - pomyślałem - zawsze mogłoby być jeszcze gorzej. Kłuje mnie coś w płucach przy głębszym oddechu i przy każdym ruchu głowy świat wiruje dookoła”.

Ostatnią z zapalek oświetliłem tarczę zegarka. Staął. Zbite szkiełko zablokowało wskazówki.

Dostałem ten zegarek od rodziców Krzysztofa na osiemnaste urodziny. Odtąd zawsze go nosiłem. Wtedy był szczytem moich marzeń. Na początku nawet w nocy go nie zdejmowałem, bo się bałem, że jak zasnę, to on zniknie. Wtem dreszcz przebiegł mi po plecach - przypomniałem sobie, że kiedy zmarł Marco, to nagle zatrzymał się ten zegar z jego imieniem. „Brednie - uspokoiłem sam siebie - przecież ja żyję”. Spróbowałem przeszukać kieszenie. Gdzież, do diabła, jest ta moja komórka? Musiała mi wypaść. Jeżeli się schylę, żeby jej poszukać na ziemi, to już nie wstanę. Chyba ją miałem w ręce, bo ostatnie, co pamiętałem przed upadkiem, to dźwięk dzwoniącego telefonu. Tak, byłem pewny, że tuż przed tą obezwładniającą mnie nicością rozdzwonił się telefon. Schyliłem się tylko po to, żeby jeszcze raz runąć na ziemię. Byłem wściekły na siebie. Komórkę znalazłem oblepioną biotem i pozbawioną zasięgu. Nic miałem już siły, żeby spróbować się podnieść. Przyszło mi do głowy, że chyba przyjdzie mi wyzionąć ducha przy tym cholernym kamieniu.

\* \* \*

Nic wiem, jak znalazłem się w tym szpitalu. Pamiętam tylko szum wiatru w pozbawionych liści gałęziach, ciepły oddech na mojej twarzy, jakiś przeciągły gwizd i ostry głos wydający jakąś komendę. A potem nie pamiętałem już niczego więcej. Facet w nieskazitelnie wykrochmalonym białym fartuchu i w wyprasowanych na kant śnieżnobiałych spodniach stał nade mną i próbował zmusić mój mózg do pracy jakimiś dziwnymi pytaniami.

Pojedyncze, obco brzmiące słowa przebijały się z trudem do mojej świadomości.

- Jest pan na oddziale chirurgii urazowej. Miał pan uraz głowy - mówił spokojnie matowym, wypranym z wszelkich emocji głosem. Czyżbym na prowadzonych przeze mnie zajęciach produkował podobne do niego, pozbawione uczuć potwory? - Wstrząs mózgu spowodował u pana utratę przytomności - kontynuował. - Ma pan ranę tłuczoną głowy i złamanie podstawy czaszki. Stracił pan sporo krwi. Konieczna była transfuzja. W zdjęciu klatki piersiowej stwierdzono odmę opłucnową prawostronną. Ma pan teraz założony drenaż ssący, dlatego proszę się zbyt gwałtownie nie poruszać. Płuco rozpręży się powoli. To jeszcze trochę potrwa.

Do uszkodzenia opłucnej doszło w wyniku przebicia jej przez złamane żebro - gadał i gadał. Pomyślałem, że to jakiś wyjątkowo męczący człowiek. - Pana stan w tej chwili jest już

stabilny, ale mimo wszystko potrzebujemy jakichś danych dotyczących pana najbliższej rodziny.

- Nie mam rodziny... - Aż się zdziwiłem, jak matowo zabrzmiał mój głos.

- Chyba mnie pan nic zrozumiał. - Ten wykrochmalony na sztywno facet przyglądał mi się badawczo, jakby zaczął wąpić w moją znajomość niemieckiego. - Pytam o żonę, narzeczoną, dziewczynę, rodziców, rodzeństwo..., - wymieniał, cedząc powoli każde słowo, jakby myślał, że jestem idiotą albo że ma do czynienia z przejawem pourazowych zaburzeń pamięci. - Każdy ma przecież kogoś... - stwierdził odkrywczo.

Nie każdy, bo ja nie mam nikogo. Nagle dotarła do mnie ta oczywista prawda. Wcześniej jakoś mi to nie przeszkadzało. Przynajmniej tak mi się zdawało. Chociaż teraz też jakoś nieszczególnie mnie to poruszyło. „Przynajmniej nikt nie musi się o mnie martwić” - pomyślałem. Wszystko ma swoje dobre i złe strony; po Marco płakało tak wielu, może lepiej, że kiedyś nikt nie będzie płakał po mnie.

- Nie mam nikogo... - powtórzyłem zdecydowanie.

Nie odszedł, stał nadal nade mną z tym kajetem w ręku, w którym zapewne miał zanotować odpowiedź na postawione przed chwilą pytanie, - Może jakaś dalsza rodzina? - wpatrywał się we mnie wnikliwie. W głowie czułem zamęt, myśli nie dawały się kontrolować, w uszach szumiało, a przy każdym otwarciu oczu pomieszczenie wraz z lekarzem zaczynało wirować.

- Nie mam nikogo... - powtórzyłem z nadzieją, że może wreszcie odczepi się ode mnie.

- Może...

- Nie mam. - Nie dałem mu dokończyć. - Wychowałem się w domu dziecka, nic znałem moich rodziców, nie przypuszczam, żebym miał jakieś rodzeństwo, nie mam żony, a z dziewczyną właśnie

nie tak dawno się rozstałem... - spróbowałem powiedzieć w miarę spokojnie, chociaż coraz bardziej denerwował mnie ten przylizany człowiek.

Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt teatralnego, wyuczonego współczucia. Boże, jaki koszmar!

- A przyjaciele?

- Nie przypuszczam, żeby należało ich niepokoić... Sam pan mówił, że mój stan jest stabilny...

„Przyjaciele - pomyślałem. - Marco nie żyje od kilkunastu tygodni, Rafał właśnie wyjechał do Wenecji, oburzenia Krzysztofa wolałbym sobie oszczędzić”. Nie miałem nigdy żadnych innych przyjaciół.

- Pan tak sam przyjechał jesienią do Saksonii i wybrał się po ciemku na spacer wzdłuż brzegów pozbawionego wody stawu? - powątpiewał.

- Jestem gościem zakładu etyki zawodowej wydziału medycznego Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie... Chciałem wykorzystać ten czas również na zwiedzanie Saksonii...

- zdołałem wykrztusić, zanim ogarniająca mnie senność nie stała się ważniejsza od tego sztywnego faceta w białym kitlu, męczących pytań i moich własnych coraz większych wątpliwości.

\* \* \*

- Czy mógłbym otrzymać moje prywatne rzeczy? - zaczępiłem zmieniającą mi kroplówkę pielęgniarkę.

- Teraz nie są one panu do niczego potrzebne. - Dziewczyna spojrzała na mnie z zainteresowaniem. - Znajdują się w depozycie. Otrzyma je pan po przeniesieniu na zwykły oddział. Tutaj jest reanimacja. - Zabrzmiało to nawet przyjaźnie.

- Czy mógłbym dostać chociaż komórkę? - spytałem prosząco.

- Komórkę? Chyba pan żartuje! - Była oburzona. - To przecież oddział intensywnej opieki medycznej. Mówiłam to panu przed chwilą. Tu obowiązuje kategoryczny zakaz używania komórek! Komórki mogą zaburzać pracę urządzeń - dokończyła lodowatym tonem.

- Muszę dać znać znajomym, że tu jestem - spróbowałem ją jeszcze przekonać.

- Przecież mówił pan doktorowi...

- Doktor nic pytał mnie o znajomych... - nie dałem jej dokończyć. Spojrzała na mnie uważnie, porozumiewawczo przymrużyła oczy.

- Faktycznie, nie pytał. - Uśmiechnęła się

szeroko. - Sama słyszałam, przecież stałam obok. - Na chwilę przestała się kontrolować, na moment spod maski zimnego profesjonalizmu błysnęła miła dziewczęca twarz. - Przyniosę panu komórkę wieczorem... - powiedziała cichutko pod nosem.

Miałem kilkanaście nieodebranych połączeń i wiele nieprzeczytanych SMS-ów. W kółko Andre, Melania, Julia i Krzysztof; ten ostatni dzwonił pewnie dlatego, że wcześniej ja próbowałem się z nim skontaktować. Nie było żadnego połączenia ani żadnej wiadomości opatrzonej uwagą „numer zastrzeżony”. Swoją drogą - szkoda, że nie było. Nic z tego nie rozumiałem: potknąłem się, uderzyłem głową o kamień, rozbiłem głowę, złamałem żebra, a cała reszta była tylko grą mojej wyobraźni, czy też ktoś chciał mnie zabić? Zadzwoić nie miałem szansy. Dziewczyna podała mi ukradkiem telefon, odwróciła się do okna i nie opuściła sali. No nic, przeczytam przynajmniej SMS-y, Najpierw Andre: „Gdzie jesteś?”

Odchodzimy od zmysłów. Odwołałeś mecz. Nie ma cię w domu. Czy coś się stało?”, „Byliśmy już u ciebie parę razy. Portierka przygląda nam się podejrzliwie. Gdzie jesteś? Co wyczyniasz?”. „Nie wiemy, co robić, odezwij się! Weronika chce iść na policję”. „No pięknie - pomyślałem - jeszcze tylko tego do pełni szczęścia brakowało”. „Spróbujemy pożyczyć samochód. Weroniki jest w warsztacie.

Nika twierdzi, że pojechałeś do Moritzburga. Anke właśnie dzwoni do Uwego”. „Twój samochód stoi na parkingu. Gdzie jesteś, do czorta? Pola-złeś znowu dookoła tego stawu?”. Julia: „Gdzie jesteś? Czemu nie odbierasz komórki?”

Melania musi się z Tobą skontaktować. Coś strasznego stało się na uczelni”. Melania: „Zadzwoń do mnie natychmiast. Szuka cię policja. Ten Artur, o którego ostatnio pytałeś, miał śmiertelny wypadek samochodowy. Policja jakoś ciebie z nim powiązała.

Boję się z nimi rozmawiać”.

„To był gówniany pomysł. Ty i ten telefon zaufania”. Krzysztof: „Zadzwoń do mnie natychmiast! Sytuacja wygląda fatalnie. Interesowałeś się ostatnio pewnym studentem. Zginął dzisiaj w wypadku samochodowym w niezupełnie jasnych okolicznościach. Chłopaki z dochodzeniówki twierdzą, że ta sprawa może mieć związek z tobą, a ty jak na złość zniknąłeś i nie odbierasz żadnych telefonów”.

Szumiało mi w głowic, czułem się tak, jakby klatka piersiowa była za mała, żeby pomieścić moje oszalałe serce. Spróbowałem się podnieść. Coś zakłuło mnie w boku. Raptem zaczęło mi jeszcze bardziej brakować powietrza. Zrobiło mi się mdło, słabo, ciepło, tak jak wtedy przy

tym kamieniu.

- Co pan wyczynia?! - krzyknęła przerażona pielęgniarka. - Wyrwał pan drenaż ssący!

Rozwyla się aparatura, rozdzwonił dzwonek. Zaparło mi dech w piersiach. Z trudem łapałem powietrze. W ostatniej chwili zdążyłem tylko wykrztusić.

- Niech pani zadzwoni pod ten ostatni numer telefonu...

\* \* \*

Zadzwoniła do niego, chociaż przez moją głupotę przeżyła horror. Krzysztof przyjechał.

- Wpuścili mnie tu tylko dlatego, że nakłamałem, że jestem twoim bratem. Kiedyś tak przecież miało być... Zresztą, co to za różnica, niczego mezmiamająca czcza formalność - wyrzucał z siebie słowa nienaturalnie szybko, jakby próbował za nimi ukryć wszystko to, o czym nie chciał mówić.

Pomyślałem, że chyba muszę strasznie wyglądać. Zwykle nie był tak wylewny. Z natury jest małomówny, oszczędny w słowach. Pewnie teraz pod potokiem wypowiedianych słów próbował ukryć własną niepewność. Czulem się strasznie. Przed paroma godzinami mnie rozintubowali. Ponoć kiedy próbowałem się podnieść, wysunął mi się dren. Pozbawione drenażu płuco zapadło się ponownie, zacząłem się dusić, spadła mi saturacja, pojawiły się zaburzenia rytmu serca, które przeszły w migotanie komór... Musieli mnie de fi brylować.

Udało się, migotanie komór ustąpiło i pojawił się normalny rytm zatokowy serca, ale na wszelki wypadek przetrzymali mnie w śpiączce farmakologicznej jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny. Od rury intubacyjnej nadal bolało mnie gardło, a przed oczyma widziałem Marco, który oprowadzał mnie po tej swojej Wenecji. Pamiętam, jak siedzieliśmy we trójkę w ulubionej restauracji Paolo, wciśniętej między Most Accademii, Canal Grandę i renesansowe pałace. Rozmawialiśmy o włoskiej kuchni, winie i kobietach. Potem nagle słowa Marco zaczęły mi się mieszać ze słowami wypowiedzianymi przez tego niemieckiego lekarza, który po odłączeniu od respiratora próbował mnie mobilizować do spontanicznego oddechu.

Głos Marco oddalał się coraz bardziej, jego oczy zaczęły mi przypominać oczy Rafała, a w uszach dźwięczały słowa: „Idź, ja zdążyłem już wrócić”. Co za bzdury, nawet nieprzytomny nie mogę się od tego uwolnić. Reanimowani ludzie opowiadają, że widzieli swoje ciało z góry, że lecieli ku światłu, że czuli się wolni, a ja przez natłok ostatnich koszmarnych wydarzeń nawet reanimowany widziałem Marco i z nim rozmawiałem. To był taki fantastyczny facet, a tak mi dokopał tą swoją śmiercią...

Krzysztof przysunął krzesło do mojego łóżka, usiadł i milczał.

- Mamy pięć minut - rzucił. - Za chwilę mnie stąd wyrzucą.

Zamilkł, jakby tym milczeniem sam sobie chciał zaprzeczyć.

- Ten wypadek uratował cię przed zupełnie innym problemem... - powiedział po chwili.

W pierwszej chwili go nie zrozumiałem. Co on bredzi?

- Wygląda na to, że ktoś utkał misterną pajęczynę, w którą chciał cię złapać - zaczął wyjaśniać. - Nie wyszło mu tylko przez przypadek. Gdybyś nie walnął łbem w ten kamień, nigdy byś się z tego nie wyplątał. Przyszłoby ci świat w kratkę oglądać pewnie do końca życia... Szczęście w nieszczęściu... A swoją drogą, to ty, facet, masz idiotyczne pomysły. Coś ci się pod kopułą ostatnio pomieszało? Nikt o zdrowych zmysłach nie poszedłby na taki spacer...

- To nie był spacer... - udało mi się wycisnąć jakiś syczący szept przez spuchnięte struny

głosowe i obolałe gardło. Zaczęłam kaszleć jak oszalała. Saturacja spadła, czujniki rozwyły się ostrzegawczo... Pielęgniarka wsunęła pospiesznie głowę przez szparę uchylonych drzwi.

Spojrzała na Krzyska wzrokiem pełnym nagany.

- Mówiłam, pięć minut i żadnych stresów... - rzekła z wyrzutem.

- Jeszcze dwie minuty. - Patrzył na nią błagalnie, a ja jak na złość nie mogłam przestać kaszleć.

- Proszę uciskać ręką te złamane żebra, kiedy pan kaszle. - Spojrzała na mnie o wiele łagodniej. - Będzie przy kaszlu zdecydowanie mniej bolało. - Wysłała w moim kierunku promienny uśmiech.

- Dwie minuty i ani sekundy dłużej! - rzuciła zimno w stronę Krzysztofa.

Krzysiek przyglądał mi się przerażony. „Pewnie zbladłem przy tym kaszlu i usta musiały mi trochę zsinieć” - pomyślałem. On nie lubił takich widoków. Rzucił studia na akademii medycznej po zajęciach z anatomii patologicznej. Śmialiśmy się z niego, że pokonały go zajęcia w prosektorium. Wtedy nikt nie przypuszczał, że w przyszłości zostanie gliną.

- Ty już lepiej nic nie mów... - wykrztusił. - Nie strasz ludzi...

„O której ten chłopak miał wypadek?” - napisałem niezdarne na podanej przez niego kartce.

- Około siedemnastej - odpowiedział odruchowo. - Pies znalazł cię nieprzytomnego z rozbitym łbem około dziewiątej. Właściciel psa jest tego pewny. Nie patrzył na zegarek, ale on zawsze około dziewiątej, po jakimś tam serialu, wychodzi z psem na spacer. Mieszka w ostatnim domu z tych stojących tuż pod lasem. Znaleźli cię jakieś dwieście metrów dalej.

Karetka przejęła cię o dwudziestej pierwszej piętnaście. Byłeś wychłodzony, zmarznięty i nieprzytomny. Leżałeś tam, zdaniem lekarzy, minimum dwie godziny. Przez przypadek masz niepodważalne alibi... - Nagle przerwał w pół zdania. Zaczął mi się uważniej przyglądać. - Skąd wiesz o tym chłopaku? Przecież kiedy pisałem ci tego SMS- a, byłeś już nieprzytomny.

„Tuż przed moją reanimacją pielęgniarka przyniosła mi komórkę. Zdążyłem przeczytać wszystkie SMS-y. Nie tylko ty mi o tym napisałeś...”

- Nie tylko ja? - zapytał zdziwiony.

„Jeszcze Julia i Melania...” - bazgroliłem coraz

bardziej niezdarne. Długopis z trudem ślizgał się po kartce. Poczulem się bardzo zmęczony. To wszechogarniające zmęczenie sprawiło, że wszystko inne stało się mniej ważne.

- Wezmę z depozytu tę twoją komórkę. I tak nie możesz z niej korzystać...

„Weź, tylko zadzwoń do Andre, oni martwią się pewnie o mnie...”

Wstał. Kiedy był już w drzwiach, nagle się odwrócił.

- Nie rozmawiaj o tym z nikim... Tak będzie dla ciebie bezpieczniej...

\* \* \*

Musiał zadzwonić do Andre, bo on i Weronika odwiedzili mnie następnego dnia.

Wpuszczono ich na parę minut.

- Kamień z serca! - krzyczał Andre od progu. - Już odchodziliśmy z Weroniką od zmysłów... Anke też szalała. Ona w takich sytuacjach makabrycznie się nakręca. Wymyśliła już setki scenariuszy różnych nieszczęśliwych wypadków. Kiedy udało nam się przekonać jakoś Uwego i pojechaliśmy we czwórkę szukać cię do Moritzburga, to dowiedzieliśmy się, że miałeś wypadek. Anke ma niesamowity tupet - mówił szybko, usta mu się nic zamykały.

- Zobaczyliśmy twój samochód na parkingu. Wyparowała do najbliższej knajpy i spytała prosto z mostu, czy w tej dziurze wydarzyło się dzisiaj coś ciekawego.

Powiedziała, że nic interesują jej żadne hippiczne imprezy, że jest dziennikarką i ma napisać artykuł na temat życia w miejscowościach turystycznych poza sezonem. Pierwszą nowiną, jaką usłyszała, były wieści o tobie. Opowiedziano jej, że w lesie odnaleziono polskiego turystę, który potknął się i uderzył głową w granitową rzeźbę przedstawiającą ścianę z oknem i że właśnie przed piętnastoma minutami odjechał karetką pogotowia na sygnale w kierunku Drezna. Jakiś facet z psem zaczął się chełpić, że to jego pies cię znalazł, że to mądre bydlę, bo od razu wiedziało, że nie jesteś pijany, bo do pijaków to ten pies nic podchodzi. Facet wspomniał, że uznano to za wypadek, ale widział, jak

lekarz wzywał kripo, czyli nie wykluczał działania osób trzecich. Kryminalni przyjechali i nikomu nie wolno było się tam kręcić. Anke tryumfowała, że miała rację, że stało się coś strasznego - Andre mówił jak najęty. Nawet nic próbowałem mu przerwać. - Na tym ugrzęźliśmy. Znikąd nie mogliśmy się

dowiedzieć niczego więcej. Na pogotowiu jakaś biurokratyczna jędrza za nic na świecie nie chciała nam powiedzieć, dokąd cię zawieźli. Na

obdzwanianiu szpitali zeszło nam do dwunastej... Koszmarna jest ta źle pojęta tajemnica lekarska - nikt nikomu nic nie powie.

Nawet na uczelni niczego nie wiedzieli albo też ukrywali to przed nami. Andreas, przyciśnięty do muru, powiedział tylko, że odwołałeś wasz mecz, podając jako powód jakieś niespodziewane, bardzo ważne dla ciebie spotkanie... - Zacząłem się zastanawiać, dlaczego on tak dużo mówi. Czyżby i on, podobnie jak dzień wcześniej] Krzysztof, próbował coś ukryć za słowami?

- Ta portierka w domu asystenta też nic nie wiedziała... -Niezrażony brakiem reakcji z mojej strony, Andre ciągnął dalej. - Uspokajała nas tylko, że złego diabli nie biorą. Nie bardzo nam to pomogło... Dobrze, że twój kumpel do mnie wczoraj zadzwonił... - zaczął się nagle zacinać i jąkać. - To był jedyny optymistyczny akcent wczorajszego dnia... - Spojrzał w kierunku Niki i w tym momencie niespodziewanie zamilkł.

Weronika siedziała na jedynym krześle znajdującym się w mojej sali. Miałem wrażenie, że go w ogóle nie słucha. Nie patrzyła nawet w naszą stronę. Wzrok wbiła gdzieś za okno, jakby puste lądowisko dla helikopterów na dachu sąsiedniego budynku, z powiewającym na wietrze barwnym rękawem informującym o sile wiatru, stało się dla niej dużo ważniejsze od naszej rozmowy. Błada, z podkrążonymi oczyma, w niczym nie przypominała uśmiechniętej Niki, którą widziałem przed paroma dniami, kiedy wspólnie oglądaliśmy tamtego kuca.

- Stało się coś jeszcze? - spytałem. Przemknęło mi przez myśl, że dziwnie się zachowują, zupełnie dla nich nienaturalnie. „Musiało się stać coś jeszcze”

- pomyślałem. Andre szybko uciekł wzrokiem w bok. Milczał. Udawał, że nie usłyszał tego pytania.

- Czy coś się jeszcze stało? - powtórzyłem odrobinę głośniejszym głosem, starając się nie przekroczyć tej częstotliwości drgania strun głosowych, przy której zaczynałem natychmiast kaszleć. Weronika nawet nie drgnęła. Wydawała się zupełnie nieobecna. Nie odrywała wzroku od szarości za oknem.

- Zostaliśmy wezwani na po licję... - zaczął niepewnie Andre. - Taka głupia sprawa...



Dlaczego kłamiesz?! - rzuciła ostro Nika. Nic słyszałem dotychczas krzyczącej Weroniki. - Dlaczego nie powiesz Konradowi prawdy? Odwróciła się w moją stronę i akcentując każde słowo, wyartykułowała: - Wezwano nas na policję w związku z nieszczęśliwym wypadkiem, a może morderstwem. Właściwie nie nas, tylko mnie, bo to w końcu ja jestem podejrzana, a denatem jest mój były chłopak - mówiła coraz głośniejszym, coraz szybszym głosem. - Jakiś niemiecki kretyń zawiadomiony przez polską policję przesłuchiwał mnie w sprawie śmierci Artura Litońskiego. Artur był w mojej grupie studenckiej. Musisz go pamiętać. Miałeś z nami zajęcia. Taki wysoki blondyn, zawsze pedantycznie ubrany, idealnie ogolony, zawsze starannie uczesany, cedzący powoli słowa, celebrowający każdą wypowiedź, wręcz zachwycony swą mądrością... Wkurzał wszystkich swoim sposobem bycia. Nie uwierzę, że nie zwróciłeś na niego wcześniej uwagi. - Spojrzała na mnie. - Tacy ludzie wzbudzają antypatię. Tych antypatycznych pamięta się chyba najlepiej... Policja twierdzi, że Artur nie żyje, że miał wypadek samochodowy. Okoliczności tego wypadku wzbudziły podejrzenia policji. Stało się to zaraz po tym, jak ruszył samochodem spod akademika, gdzie się pakował przed wyjazdem na stypendium... Wybierał się do Londynu... - Zaczynała się coraz częściej. Coraz dłuższe stawały się przerwy pomiędzy zdaniami. - On w tym domu studenckim tak naprawdę nigdy nie mieszkał... Jego matce nie mieściło się w głowie, żeby jej synek mógł upaść tak nisko, by mieszkać w akademiku z całą bandą znacznie od niego biedniejszych i pewnie głupszych studentów... Zajmował ten pokój tylko po to, żeby mieć gdzie spędzać przerwy pomiędzy zajęciami, żeby nie musiał, jak inni, pałętać się po stołówkach lub bibliotekach. Miał tam tylko parę rzeczy. Przede wszystkim książki... Pewnie tylko po nie tam pojechał... Ten niemiecki kretyń powiedział, że od miłości tylko krok do nienawiści i że już niejedna porzucona kobieta pozbyła się byłego kochanka... Mówił jeszcze mnóstwo innych idiotycznych rzeczy, jakby pastwienie się nade mną sprawiało mu wyjątkową przyjemność... Dobrze, że przypomniałam sobie, że chłopak Anke jest adwokatem. W obecności Uwego rozmowa przybrała zupełnie inny obrót. Policjant z niechęcią przyznał, że widziało nas tamtego wieczoru wiele osób, co oznacza, że jednak mam alibi.

A szkoda, bo wszystko tak ładnie pasowało do tej układanki. To przesłuchanie trwało i trwało... Miałam wrażenie, że nigdy się nie skończy. W kółko musiałam wyjaśniać, co ja tutaj robię, jak się nazywam, czemu zrezygnowałam ze studiów w Niemczech, dlaczego znowu tu wróciłam... Policjant stawiał te debilne pytania, a ja nic mogłam uwierzyć, że Artura już nie ma... - powiedziała cicho. - Wiesz, to takie dziwne uczucie...

- To wy tu pogadajcie, a ja poczekam na zewnątrz... - Andre dźwignął się pospiesznie.

„Fajny facet z tego Andre” - pomyślałem. Po jego wyjściu ogarnął mnie nagle strach przed dalszym ciągiem tej rozmowy. Kompletnie nie nadają się do tego typu zwierzeń.

- Wiesz, to takie dziwne uczucie... - mówiła cicho, nie patrząc nawet w moją stronę. - Jeszcze nie tak dawno życzyłam mu w myślach wszystkiego co najgorsze i wcale nie dlatego, że mnie porzucił. Trzy pierwsze lata studiów spędziłam w Dreźnie. Mieszkaliśmy, jak teraz, w trójkę w tym naszym mieszkaniu. Było mi tu dobrze. Czułam się jak u siebie w domu, bezpiecznie... Mieszkaliśmy wśród przyjaciół. Z Andre bardzo się lubiliśmy. Łączył nas wspólny koń i wyprawy na ściankę, letnie wycieczki po Chorwacji, zimowe wypadki na narty... Pod względem temperamentu i zainteresowań dobraliśmy się jak w korcu maku. Z Anke rozumialiśmy się zawsze doskonale. Ja lubię ją za to, że jest tak pozytywnie postrzelona...

Potem na krótką wymianę przyjechał tutaj Artur.

Był tylko parę tygodni... I w tym krótkim czasie udało mu się wszystko zniszczyć. Zgrywał biednego, zagubionego, nieszczęśliwego...

Dałam się na to nabrać. Kiedy wyjeżdżał do Polski, pojechałam z nim. Już po miesiącu zaczęłam żałować, że dałam mu się tak omotać. Jemu była potrzebna w Niemczech nie dziewczyna, lecz niańka.

W Polsce za niańki robili inni - jego mama, siostra, babcia... W Polsce byłam mu już niepotrzebna. Z dnia na dzień coraz bardziej tęskniłam za Dreznem, za moimi przyjaciółmi... Wrócić nie było łatwo. Po pierwsze - z powodu biurokracji. Po drugie dlatego, że on przysłał się do mnie i nic chciał mnie wypuścić. Wtedy właśnie życzyłam mu w myślach wszystkiego najgorszego. Nie wiem, czy pan rozumie

- spojrzęła na mnie przelotnie - on mnie wcale nie kochał i już nie potrzebował, ale nie chciał mnie stracić. Taka chęć posiadania dla posiadania. Walczył

o mnie za wszelką cenę tylko po to, żeby uniknąć smaku porażki. Myślę, że pan nie może tego zrozumieć... Znowu stałem się dla niej obcy.

Wróciliśmy do dawnych relacji. Była studentka i był asystent, a pomiędzy nimi dystans, który nagle był jej potrzebny.

- Kiedy starałam się o powrót do Drezna, on nieoczekiwanie też wystąpił o stypendium...

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wycofał się w ostatniej chwili. Rodzice go przekonali, że dla jego świetlanej przyszłości lepszy będzie Londyn - mówiła z ironią. - Durnowate są te ludzkie ambicje...

- Zamilkła.

W pokoju było coraz ciemniej. Czarny zarys jej postaci zaczął się powoli zlewać z coraz bardziej ciemniejszym światem za oknem. Czekalem. Byłem pewny, że jeszcze coś powie.

Ciężko mi było tutaj wrócić... Nie wiem, czy pan to rozumie... - mówiła cicho. - Odezwały się głupie ludzkie ambicje... Uczucie przegranej... Strach przed przyznaniem się do porażki... Jednocześnie tęskniłam za tym, co było kiedyś, i miałam nadzieję że z dniem powrotu do nich to powróci... Andre i Anke przyjęli mnie tak, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała, jakbym wróciła do nich po spędzonym w Polsce weekendzie, a nie po prawie dwóch długich latach. Znowu poczułam, że jestem wśród przyjaciół. Przeraziło mnie wczoraj, że Artur tak mało dla mnie znaczył... Za co miałabym go zabić? Za to, że nareszcie znowu mogę być sobą? Wczoraj ten policjant zadawał mi w kółko dziesiątki idiotycznych pytań, a ja próbowałam odnaleźć w sobie smutek... Powtarzałam w myślach, że odszedł człowiek, że przecież musi mi być smutno... A w środku czułam tylko pustkę... Zupełnie nic...

Przeplakałam całą noc. Andre i Anke pewnie myśleli, że z żalu po śmierci Artura, a ja płakałam z wściekłości, że nic nie czuję... - Zamilkła. Czekala, a ja nie za bardzo wiedziałem, co mam jej powiedzieć.

- Jestem beznadziejna... - wyrzuciła nagle z siebie.

- Bzdura! - zaprzeczyłem gwałtownie. - Ja cię rozumiem.

Podniosła głowę, obróciła twarz w moją stronę.

- Na żal pożegnania też trzeba sobie zasłużyć...

Rozumiem cię - powtórzyłem. - Nic tak dawno czułem podobnie... - Wiedziałem, że to za mało, że muszę jeszcze coś dodać. - Wychowywałem się w domu dziecka... - starałem się

mówić obojętnie. Zawsze denerwował mnie ten temat. Taka zadra z przeszłości. - Jak wszyscy moi koledzy, chciałem mieć rodziców, rodzeństwo... Jednak nikt mnie nie adoptował., - Z trudem ubierałem myśli w słowa. Męczyłem się strasznie. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek komuś tak wiele chciał o sobie powiedzieć. - Byłem już dorosły, kiedy się dowiedziałem, że adopcja była niemożliwa z powodu braku zgody mojej biologicznej matki. Nigdy jej nawet nie widziałem. Zachowywała się trochę jak ten Artur. Nie potrzebowała mnie do niczego, nie kochała mnie, miała gdzieś tam własne życie i własne plany, do których ja nigdy nie pasowałem, ale nie chciała mnie stracić. Była jak ten pies ogrodnika. Sam nie chce, ale innym też nie da... Kiedy przed paroma tygodniami pojechałem na jej pogrzeb, dziwiłem się, że nic nie czuję. Patrzyłem bezmyślnie na opadające z drzew liście... Słowa księdza nie przemawiały do mojej wyobraźni, stojący obok ludzie byli mi całkiem obcy... Nie było we mnie nic - ani żalu, ani rozpaczy, ani nawet nie było już nienawiści... Tylko taki dziwny spokój i zupełna obojętność... Odszedłem stamtąd, zanim rzucono pierwszą garść ziemi na trumnę. Nie wyobrażałem sobie kondolencji...

- Nie wiedziałam - szepnęła zmieszana. - Przepraszam..

- Za co mnie przepraszasz? - przerwałem jej gwałtownie. - Nie masz za co przepraszać. Chciałem ci tylko powiedzieć, że dobrze cię rozumiem. Wszystko jest z tobą w porządku. Naprawdę. Na wszystko, nawet na żal pożegnania, trzeba sobie zasłużyć.

\* \* \*

Pielęgniarka przyniosła telefon do łóżka. Z kamiennym wyrazem twarzy podała mi słuchawkę.

- Ma pan minutę - powiedziała chłodno. - To służbowy telefon. Nie można blokować linii...

- Nie spiesz się na zwykły oddział! - Krzysztof powoli cedził każde słowo. - Na reanimacji jesteś bezpieczny. Tam mysz się do ciebie nie prześlizme niezauważona.

Zastanów się, kto cię może aż tak nienawidzić...

Na twoim miejscu myślałbym intensywnie.

Ten ktoś wie doskonale, że wcześniej czy później możesz zacząć się domyślać... A wtedy staniesz się dla niego niebezpieczny...

- Chyba oszalałeś! - Dech mi zaparło. - Z tym Arturem to pewnie był wypadek...

A z tobą jakiś dziwny zbieg okoliczności... Powiało sarkazmem. - Gdzie jest teraz Natalia?

Pielęgniarka stanęła nade mną i bez słowa wyciągnęła rękę w kierunku słuchawki.

- Ponoć w Paryżu... - rzuciłem pospiesznie. - Muszę kończyć.

„Swoją drogą, ciekawe, co słyhać u Natalii” - pomyślałem. Rozstałem się z nią szybciej, niż ona zdołała mnie porzucić. Zresztą, czy można porzucić kogoś, z kim się tylko sypia?

Niebyło między nami nic więcej. Żadnych wspólnych marzeń, żadnych planów wybiegających poza najbliższe popołudnie, kolację i spędzoną razem noc. Nie było deklaracji, wyznań, czułych szeptów...

Była ze mną, bo tutaj nic było tamtego faceta. Byłem z nią, bo jakoś nie miałem ochoty szukać nikogo innego. Chciałem na chwilę odpocząć od tych wielkich, powalających uczuć i emocji. Byłem dla niej podróbką kogoś zupełnie innego. Jak on się nazywał? Jules Chartier? Louis Chartier? Albo coś w tym stylu. Nie pamiętam.

Ciekawe, czy on wiedział, że w Polsce jest ktoś, kto umila Natalii czas pomiędzy próbami, występami, wystawnymi kolacjami w gronie zaprzyjaźnionych z nią snobów i - jak się dopiero

niedawno dowiedziałem - lekcjami francuskiego. Nigdy nie spotykałem się z dwiema kobietami naraz. W pewnym sensie byłem im, albo bardziej sobie, wierny. To jakoś nie mieściło się w kanonie przyzwoitości, nawet tej specyficznej, bo wyznawanej przeze mnie.

Natalia - to imię nie budziło żadnych emocji, tylko wyblakłe i rozmyte wspomnienia. Aż dziwne, że to było tak niedawno. „Beznadzieja” - pomyślałem.

Wczoraj wpadł do mnie Andre. Wniósł tutaj nagle tyle życia. Dziękował mi za coś. Myślę, że za rozmowę z Weroniką, Mówił, że mają już tego kuca, że stoi w stajni w boksie obok Ferdka... A w ogóle szkoda, że nie pracuję na ich uczelni, że niedługo będę musiał wyjechać.

Mam nadzieję, że go dobrze zrozumiałem. Muszę jeszcze popracować nad tym moim niemieckim...

\* \* \*

Przyjechał, jakby Drezno leżało o rzut kamieniem od jego domu, nic dalej jak na przedmieściach naszego miasta, jakby dzieliło je od jego komendy nie więcej niż dwadzieścia minut drogi. Przywitał się niedbale. Przysunął sobie krzesło do mojego łóżka i zaczął miętosić w palcach wyjętego z kieszeni papierosa.

- Tutaj się nie pali - powiedziałem pospiesznie.

- Przecież wiem - zreflektował się błyskawicznie. - Nie rób ze mnie idioty.

Papieros zniknął gdzieś głęboko w kieszeni jego spodni, a jego miejsce zajął wyjęty stamtąd długopis. Wkładał go do ust, wyciągał, przekładał pomiędzy palcami. Nie patrzył na mnie, lecz gdzieś za okno. Zaczęło mnie to denerwować.

- Przyjechałeś sobie pomilczeć? - rzuciłem w jego stronę. Spojrzał na mnie uważniej, coś jakby cień uśmiechu przebiegło po jego twarzy.

- Przyjechałem pomyśleć...

Wyciągnął z kieszeni notes, przewertował parę kartek i znowu wbił wzrok w tężejącą z minuty na minutę szarość za oknem. Mrok wkradał się też do środka. Ostre kontury łagodniały, kształty zaczęły się zlewać z ciemnością. Zrobiło się sennie. Nagle przestał mnie już intrygować. Ciekawość przegrała z sennością. Wsłuchałem się w tykanie ściennego zegara, w odgłosy dochodzące z korytarza. Oczy zaczęły mi się kleić, powieki zdawały się coraz cięższe... Ze snu wyrwał mnie dźwięk otwartych z impetem drzwi i błysk nagle zapalonego światła.

- Dlaczego panowie siedzą tak po ciemku? - Głos pielęgniarki przedzierał się z trudem do mojej uśpionej świadomości.

- Kiedy przyszedłem, to brat spał - tłumaczył się pospiesznie Krzysztof. - Nie chciałem mu przeszkadzać...

Dziewczyna kiwnęła ze zrozumieniem głową, spojrzała wymownie na zegar.

- Ma pan jeszcze dziesięć minut. Chyba że pan umyje brata, to wtedy może pan tu zostać odrobinę dłużej.

Patrzyłem z przerażeniem, jak dziewczyna nalewa do plastikowej miedniczki wodę, wyjmując ze szczelnie zamkniętego worka Sterylnie czysty ręcznik, wyciąga jednorazową szczoteczkę do zębów, napełnia wodą kubek, obok niego kładzie na taborecie tubkę pasty do zębów i stawia płyn do płukania jamy ustnej. Krzysztof podwinął rękawy, umył ręce. Czekał, aż ona wyjdzie.

- Nie wygłupiaj się! - syknąłem przez zaciśnięte zęby. - Sam się umyję - warknąłem. - Na

pielęgniarka się raczej nie nadajesz... Namocz mi tylko ręcznik...

Odetchnął z ulgą. Usiadł na brzegu swojego łóżka. Postawił przede mną tę miednicę z wodą. Obok niej położył ręcznik. Zagapił się gdzieś za okno. Pozornie przestał się mną interesować.

- Sporządziłem pewną listę... - powiedział nieoczekiwanie.

- Listę? - Spojrzałem na niego zaskoczony.

- Tak - potwierdził skwapliwie. - Zależy mi na tym, żebyś był szczery. Cały czas mam wrażenie, że mogłem kogoś pominąć. No wiesz, twoje życie pod tym względem należy do wyjątkowych...

Mydło wysliznęło mi się z ręki, wpadło do miski, rozbryzgując naokoło setki kropel wody.

Spodnie Krzyśka wyglądały jakby były upstrzone przez dziesiątki mokrych plam. Nie odskoczył do tyłu. Nie drgnął nawet. Chyba wcale tego nie zauważył. Skoncentrował się na tym swoim notatniku. Otworzył go, kolejny raz przewertował parę kartek.

- Kiedy byliśmy w klasie maturalnej, kochałeś się w Ani. Opatrzność nad tobą czuwała, że pomimo tego obezwładniającego uczucia zdałeś maturę i dostałeś się na studia. Ona poszła na politechnikę, a my na medycynę. Szerokość dzielącej nasze uczelnie ulicy sprawiła, że serce zaczęło ci bić wolniej, uczucia zbladły, dawne emocje rozmyły się w natłoku nowych wrażeń.

Anię zastąpiła rozkochana w anatomii i sekcjach Zosia. Minęło zaledwie parę miesięcy i Zosia wydała ci się za mało subtelna, nie tak dziewczęca, jak marzyłeś. Nie mogłeś sobie wyobrazić, że możesz kochać kogoś, kto gołymi rękami śledzi przebieg tętnicy podobojczykowej na śmierdzących formaliną zwłokach. Miejsce Zosi zajęła Edyta. Wernisaż gonił za wernisażem. Plenery przeplatały się z zajęciami na uczelni. Oblałeś anatomię patologiczną, bo nagle szczytem twoich marzeń stało się to, żeby zostać jej modelem. Raptem zapragnąłeś, żeby twoje mięśnie przypominały mięśnie antycznych młodzieńców z płaskorzeźb zdobiących starożytne mury. Czas spędzany na siłowni się opłacał. Równie dobrze prezentowałeś się na jej płótnach, jak i w atlasowej pościeli w jej sypialni. Ja zrezygnowałem z medycyny, a ty z Edyty. Pamiętam, jak w trakcie gry w tenisa uzmysłowiłeś sobie, że wolisz jechać na narty zamiast na kolejny malarski plener. Później

r

była Agnieszka. Śmigaliśmy razem z wami na nartach, wspinałem się po górach...

Przemierzyliśmy z plecakami setki kilometrów. Pojechaliśmy do Francji, żeby przejść drogę świętego Jakuba z Saint-Jean-Pied-de-Port do Santiago de Compostela w Hiszpanii. Szliśmy z książką Paula Coelho w ręce. Zaręczyłeś się z nią w Pampelunie. Zazdrościłem wam wtedy tej miłości i towarzyszących jej wzruszeń. Wyjechałem na stypendium, a gdy wróciłem, to byłeś już z Marią.

Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego rozstałeś się z Agnieszką... - wyliczał monotonnym głosem. - Marię poznałeś w Paryżu. Wpadłeś na nią zupełnie przypadkiem na Place de la Concorde. Zagapiłeś się na obelisk, odwracając się, potrąciłeś kogoś i nagle usłyszałeś obok polską mowę. Latałeś do Paryża co najmniej raz w miesiącu.

Po pół roku rzuciła dla ciebie Paryż i posadę w renomowanym biurze podróży.

Zamieszkaliście razem. Remontowaliście mieszkanie. Planowaliście datę ślubu... Rozstałeś się z nią jakiś rok później. Potem była Iga, dziewczyna kwiat, jakby przeniesiona z czasów hippisów.

Dobrze, że ci się mózg nie zlasował od wypalanej wtedy marihuany. Los ci sprzyjał, twój

anioł stróż jakoś za tobą jeszcze nadażał - zdążyłeś oprzytomnieć, kiedy jeden z jej kumpli umarł po przedawkowaniu narkotyków. Później była poukładana i praktyczna do bólu Renata. Nie potrafiłeś się jakoś znaleźć w tym uporządkowanym świecie. Wiał dla ciebie nuda. Potem była Małgorzata, tak krótki epizod w twoim życiu, że nawet nie zdążyłem jej poznać. Z tego, co pamiętam, to trochę dłużej byłeś z Beatą. Wszystko wyglądało pięknie, ale jak zawsze nic trwało za długo i skończyło się zupełną klapą. Następna była Justyna.

Jakoś nigdy za nią nie przepadałem. Chociaż raz zdołała mnie zaskoczyć. To było tuż po śmierci Marco, kiedy zaopiekowała się tobą. Zadzwoiła wtedy do mnie. Przez moment miałem wrażenie, że wcześniej jej nie znałem, że oceniałem ją zbyt powierzchownie. Ostatnio spędzałeś czas z natchnioną Natalią...

Woda już zdążyła ostygnąć. Dech mi zapało w piersiach, a jemu usta się nic zamykały.

„Do czego on, do diabła, zmierza” - pomyślałem.

- Umyłeś się już? - spytał niespodziewanie. - Pielęgniarka za chwilę wróci - dodał obojętnie.

Nie czekając na odpowiedź, odstawił miskę na taboret i spojrzał na mnie uważnie.

- To wszystko?

- Muszę jeszcze umyć zęby...

- Co? - spytał nieprzytomnie.

- Nie zdążyłem umyć zębów... - powtórzyłem.

- Ja nie o to pytam.

Dobrze wiedziałem, że nie o to pyta. Nałożył mi pastę na szczoteczkę. Podał kubek z wodą. Wyciągnął rękę w moją stronę i zastygł w tym ruchu.

- Wiem, że był ktoś jeszcze, chociaż jej nigdy nie widziałem... Wyjechałeś na wakacje i wróciłeś odmieniony... Było to pomiędzy Beatą a Justyną...

Jakiś bardzo krótki, ale burzliwy epizod...

- Nikogo więcej nic było... - przerwałem mu gwałtownie.

- Kłamiesz - stwierdził dobitnie i wlepił we mnie wzrok.

- Nic - zaprzeczyłem gwałtownie. „On już przesadza - pomyślałem. - Zapomniał, że jest w szpitalu, a nie na komisariacie”.

- Niech ci będzie - powiedział z ociąganiem. - Może „kłamiesz” brzmi odrobinę za ostro.

Powiedzmy, że mijasz się z prawdą...

- Nie kłamię i nie mijam się z prawdą - warknąłem przez zaciśnięte zęby. Coraz bardziej denerwowało mnie to dziwne przesłuchanie. - To było coś zupełnie innego - dodałem po chwili.

Bo to była zupełnie inna historia, pomyślałem. Rozstałem się z Beatą ale zostały wcześniejsze

zobowiązania. Nie chciałem nikogo więcej zawieść. Wystarczyło, że kolejny raz w życiu zawiodłem siebie. Pojechałem jako lekarz na turnus rehabilitacyjny. To nie były moje klimaty - wszechobecna nuda przeplatana rozmowami ze schorowanymi starszami, którym nagle zamarzyła się podróż nad morze. Była tam też grupa młodych niewidomych.

Współpracowałem z ich instruktorką. Karolina była moim zaprzeczeniem. W głębi duszy ją podziwiałem. Była ciepła i konsekwentna do bólu, zaangażowana i nieustępliwa. A uśmiechem na twarzy dążyła do postawionego sobie celu. Od uśmiechu do krzyku, od zachęty

po ostrą reprimendę... Każdego dnia mobilizowała swoich podopiecznych do ciężkiej pracy.

Prowadziła z nimi zajęcia od rana do wieczora, a myślę, że i po nocach obmyślała nowe strategie, które już następnego dnia konsekwentnie wcielała w życie.

- Męczysz, ich - rzuciłem kiedyś zaczepnie. Pięliśmy się właśnie na wydmy, wracając z grupowej wędrówki po plaży. - Oni przyjechali tutaj odpocząć...

- Odpocząć? - powtórzyła za mną bezwiednie. - Jeżeli teraz się nie zmobilizują, to będą mogli odpoczywać już zawsze. Życie wyautuje ich, wyrzuci

na margines społeczeństwa. - Patrzyła na mnie z rozczarowaniem. - Udajesz, czy naprawdę tego nie

rozumiesz? - zaperzyła się na dobre. - To ludzie z dużym niedowidzeniem: Od tego, czego się teraz nauczą, zależy ich przyszłość. Muszą się nauczyć widzieć rękami i uszami... Jeżeli tego nie robią, to będzie im kiedyś jeszcze ciężiej... Możesz spróbować razem z nami...

- Ale ja widzę - palnąłem bez zastanowienia.

Zatrzymała się raptownie. Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Myślałam, że chcesz zrozumieć...

I wtedy poczułem, że chcę i muszę zrozumieć.

Jak innym, zasłaniała mi oczy opaską, dawała laskę do ręki, wprowadzała pomiędzy krzewy i drzewa. Początkowo potykałem się o każdy leżący na ziemi konar, zahaczałem nogami o wystające korzenie, wplątywałem się w malinowe chaszczki, od czasu do czasu walczyłem o życie, przeklinając szpetnie pod nosem. Z każdym dniem szło mi, tak jak innym, coraz lepiej. Nauczyłem się widzieć świat laską trzymaną w dłoni, dopowiadać sobie wszystko, korzystając z otaczających mnie dźwięków...

Pamiętam naukę czytania, kiedy byłem przekonany, że mam zbyt grubą skórę na palcach, żeby móc wyczuć zaszyfrowany świat pisma Braille'a, te kombinacje wypukłych punktów, zawsze wpisanych w sześciopunkt nazywany znakiem tworzącym. System zbudowany ze znaków składających się z sześciu punktów ułożonych w

dwóch kolumnach, po trzy w każdej. Nawet teraz pamiętam: litera „a” to wypukły górny punkt w lewej kolumnie prostokąta... Pamiętam zabawy na orientację, kiedy zacząłem doceniać dźwięki, które przecież zawsze słyszałem, a które wcześniej stanowiły dla mnie niewiele znaczące tło, monotony, pozbawiony większego sensu szum. Kiedyś siedzieliśmy na plaży. Karolina przewiązała mi oczy opaską, nasypała na rękę garść rozgrzanego słońcem piachu.

- Co czujesz?

- Piasek. Jest miękki i drobny, rozgrzany słońcem. Pomiędzy jego ziarnami wyczuwam drobne kamyki. Jeden z tych kamyków jest lżejszy od innych. Myślę, że to bursztyn. Jest tu też jakaś ciągnąca się nitka, dziwnie poskręcana, sucha na brzegach, krusząca się w pakach.

Sądzę, że to wyrzucony przez wodę i przesuszony przez słońce i wiatr glon. Ukłuło mnie coś w palec.

To coś ma ostre krawędzie z jednej strony, jest gładkie i zaokrąglone z drugiej. Myślę, że to fragment połamanej muszli.

- Czy możesz to sobie wyobrazić?

- Widzę to... - Sam byłem zaskoczony tym faktem. - Widzę, to wyraźnie...

A teraz - ujęła moją dłoń i przyłożyła do swojej twarzy. Przesuwałem palcami po jej ustach po grzbiecie nosa, czułem muśnięcia jej rzęs...

- A mnie? Mnie mógłbyś sobie wyobrazić?

- Pewnie tak, brakowałoby mi tylko kolorów. . - W pierwszej chwili przestraszyłem się tego, co powiedziałem. Karolina to była burzą emocji, nieokiełznany niczym żywioł, to były też, kolory. Miała kasztanowe włosy, zawsze związane niedbale aksamitką przeraźliwie zielone oczy, osmalaną słońcem skórę. Kochała wyraziste barwy, jej ulubione to były błękit i zieleń, tuż za nimi kolor żółty

i czerwony... Nie zakochałem się w niej. Nie pożądałem jej ani przez chwilę. Byłem nią zauroczony.

Pewnego dnia wybraliśmy się na wycieczkę na latarnię morską. W pierwszej chwili pomyślałem, że tym razem to jednak przesada, jak niewidomi mogą cokolwiek zobaczyć? A jednak zobaczyli... Widzieli wysokość dzięki bólowi mięśni po pokonaniu dziesiątków niekończących się schodów. Zobaczyli otwartą przestrzeń dzięki podmuchowi wiatru na twarzy, skrzekowi kołujących w powietrzu mew. Odwracali twarze w kierunku szumu fal. Potrafili dokładnie usłyszeć szum lasu za plecami. Stali zauroczeni i szczęśliwi, jak wszyscy inni zdobywcy tej latarni. Może umknęło ich uwadze parę szczegółów: błękit nieba, pojedyncza czarna chmura na horyzoncie, stado rybitw biegających po plaży, dziecko budujące zamek z piasku... Pamiętam, do portu wpływał kuter. Na chwilę poprzez szum morza i skrzek mew przedarł się dźwięk sygnału. Odwrócili twarze w stronę portu. Zachowywali się jak wszyscy inni, nawet te ich okulary o ciemnych szklach wśród dziesiątek przeciwsłonecznych okularów wyglądały normalnie.

Niesamowita była ta dziewczyna i miała niesamowitego, jak ona sama, chłopaka. Pracował na tym turnusie jako fizjoterapeuta.

- Wyjątkowa jest ta twoja wybranka - rzuciłem, kiedy siedzieliśmy razem przy ognisku. Obajnie odrywaliśmy wzroku od szalejącej w tańcu Karoliny.

Jej sukienka wirowała w powietrzu, bosa stopy wzbijały tumany piachu, co chwilę porywała do tańca innego z podopiecznych. Podeszła do siedzącego tuż obok nas niewidomego mężczyzny. Trochę się bronił.

- Nie dam rady, Karolinka, ja przecież...

- Ale ja widzę ~ przerwała mu pospiesznie - to wystarczy za nas dwoje...

- Kochają ją - rzuciłem w kierunku Andrzeja.

- Nie dziwię im się - zabrzmiało dwuznacznie.

- Zazdrosny? - spytałem pod nosem.

- Coś ty, chyba żartujesz! - zaprzeczył gwałtownie. - Ona ich rozumie jak nikt inny na świecie...

Urodziła się niewidoma - dodał po chwili. - W wieku pięciu lat przeszła skomplikowaną operację.

Udało się. Ona walczy nie z nim i, ale ze swoimi lękami i słabościami sprzed lat... Trudno sobie wyobrazić lepszego instruktora...

Wróciłem stamtąd odmieniony, naładowany pozytywną energią, wzbogacony o coś, czego nie potrafiłem nazwać, a co zostało we mnie na zawsze.

- No więc jestem pewien, że był ktoś jeszcze pomiędzy Beatą a Justyną - wyrwał mnie ze



wspomnień głos Krzysztofa. Uparł się dzisiaj na mnie czy co? Nie dawał za wygraną.

- To była zupełnie inna historia - powtórzyłem.

- Skoro tak uważasz...

\* \* \*

- Przyjechała do pana jakaś znajoma. - Pielęgniarka spojrzała na mnie chłodno. - Ostatnio ruch u pana jak na targowisku. To oddział intensywnej opieki medycznej, a nie kawiarnia.

Jutro przeniosą pana na chirurgię. Tam odwiedziny są dozwolone... - dokończyła matowym głosem.

Milczałem. Poirytowana brakiem odpowiedzi odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi.

- Ma pan dziesięć minut - powiedziała kategorycznie. - Za dziesięć minut przychodzi do pana ktoś z rehabilitacji. Spróbują pana spionizować...

- A ta znajoma?

- Przedstawiła się, ale nie zdołałem powtórzyć nazwiska -burknęła w moją stronę. - Proszę pamiętać, dziesięć minut i ani chwili dłużej! Na tyle zgodził się ordynator - dodała zimno.

Julia weszła niepewnie. Obrzuciła pomieszczenie wzrokiem pełnym lęku, W zbyt obszernej garsonce, porozcinanym swetrze, obcisłych getrach, z ciężkimi okularami na nosie i włosami, które sterczały w każdym możliwym kierunku, wyglądała bezradnie i okropnie.

Spojrzała na mnie z przerażeniem. „Muszę wyglądać koszmarnie” - pomyślałem. Już wcześniej widziałem to po minie Krzysztofa. Tylko Andre i Nika zachowywali się normalnie.

Minęło parę dni od tamtego wydarzenia. Miałem wstrząśnienie mózgu ze złamaniem podstawy czaszki. Krwiak okularowy, typowy dla złamania podstawy czaszki, musiał już zmieniać kolor z sinoczerwonego na zielonożółty. Miałem na twarzy liczne otarcia naskórka.

Uderzyłem łbem w ten kamień i wylądowałem twarzą na wysypanej drobnym żwirem i przykrytej cienką warstwą lodu ścieżce. Chirurg potrzebował dużo czasu, żeby usunąć mi z twarzy wbite w skórę kłujące drobiny. Rana na czole goiła się powoli. Z zajęć z chirurgii pamiętam, że rany tłuczone goją się najdłużej. Brakuje jakby skóry. Dzisiaj rano wyjęto mi dren z klatki piersiowej, ale butla stała jeszcze

przy łóżku, pełna dziwnej, czerwono podbarwionej surowiczej wydzieliny. Bandaż przyciskający opatrunek znacznie przekraczał swoim rozmiarem wielkość problemu. Najbardziej przeszkadzały mi połamane żebra.

Sprawały ból przy każdym ruchu i przy każdym głębszym oddechu. Oddychałem zbyt płytko, raz po raz spadało stężenie tlenu w surowicy krwi, co powodowało alarmujące wycie aparatury kontrolnej. Sygnał dźwiękowy mobilizował mnie do wykonania paru trochę głębszych oddechów. Początkowo zalecono mi gimnastykę oddechową, ale widząc brak poprawy, zaordynowano tlen na stałe w ilości dwóch litrów na minutę... Przewody doprowadzające tlen kończyły się w obrębie mojego nosa. Dobrze, że już nie miałem tej maski, która wcześniej przykrywała mi pół twarzy. Musiałem wyglądać koszmarnie. Dobrze o tym wiedziałem. Pewnie można się było mnie przestraszyć.

- Boże, jak ty wyglądasz... - wyszeptała przestraszona.

- Nie jest źle - próbowałem ją uspokoić. - Czuję się już lepiej j...

- Słyszałam, że byłeś nieprzytomny, że twoje serce się zatrzymało, że cię reanimowali.

Byłeś zaintubowany... - mówiła matowym głosem. - Nie miałam siły, żeby tu wcześniej

przyjechać... Docierały do mnie skąpe wiadomości które mnie przerażały... Czulałam się jak sparaliżowana... To mnie przerosło... - mówiła monosylabami.

Przysunęła sobie taboret do mojego łóżka. Usiadła. Spuściła głowę. Milczała.

Zastanawiałem się, po co przyjechała.

- Wszyscy się o ciebie niepokoją- odezwała się cicho. - Melania umiera ze zdenerwowania. Profesor kazał cię pozdrowić... Tak mi przykro. Nawet nie możesz sobie tego wyobrazić, jak mi jest przykro...

Pewnie powiedziałyby coś jeszcze, czego mogłaby później żałować, ale w drzwiach stanął dobrze mi już znany fizjoterapeuta.

- Przepraszam państwa - rzucił z uśmiechem. - Muszę przeszkodzić. - Spojrzał przepaszająco w kierunku Julii. - Jutro przeprowadzka na oddział chirurgiczny. Tam wymagana jest odrobina samodzielności. Musimy sprawdzić, jak z tą pańską samodzielnością...

\* \* \*

Jej się tu nie spodziewałem. Siedziałem na łóżku, próbując się zmierzyć z odległością dzielącą mnie od łazienki. Kręciło mi się w głowie, szumiało w uszach. Ręką próbowałem ucisnąć to miejsce na klatce piersiowej, które najbardziej bolało, nie dając o sobie zapomnieć przy każdym, nawet najmniejszym ruchu i każdym odrobinę głębszym oddechu. Musiałem odruchowo zacząć płycej oddychać, bo wszechobecną ciszę nagle rozdarł ryk aparatury kontrolnej. W pośpiechu przyłożyłem do twarzy maskę z tlenem, żeby kolejny raz nie musiała tu wbiegać ta przestraszona, bojąca się własnego cienia, młoda pielęgniarka. „No, kurde - pomyślałem - chyba się zsikam, bo nigdy nie zdołam dojść do tej ubikacji. Do wczoraj miałem cewnik. Było to trochę niewygodne, ale przynajmniej nic musiałem się o nic upominać, nikogo o nic prosić. Durna męska ambicja uniemożliwiała mi poproszenie tej młodej pielęgniarki o kaczkę. Dziewczyna ma ze dwadzieścia lat, krótkie blond włosy, błękitne oczy i niewinny uśmiech. Z taką dziewczyną chętnie umówiłbym się na kawę. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak mógłbym ją poprosić o przyniesienie kaczki. „Pielęgniarki zmieniają się o czternastej - pomyślałem. -Może przyjdzie ta starsza kobieta, która była wczoraj. Jeżeli dyżur przejmie inna młoda dziewczyna, to pewnie pęknie mi pęcherz”.

Kolejny raz próbowałem się nieudolnie podnieść z łóżka, kiedy niespodziewanie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Natalia. Jeszcze tylko jej w tej chwili tutaj brakowało. Zatrzymała się w drzwiach, omiotła mnie wzrokiem, odruchowo zaczęła się cofać i pewnie by uciekła, gdyby nie stojąca za nią pielęgniarka.

- Niech pani wejdzie do środka! - ponagliła ją dziewczyna. - Tutaj nic ma odwiedzin.

Trzeba mieć na to specjalną zgodę ordynatora.

Jeżeli ktoś panią zobaczy, to będę miała dużo nieprzyjemności... Już jedną reprimendę zaliczyłam. Pana Konrada bez przerw)' ktoś odwiedza...

Podziałało. Natalia zrobiła krok do przodu, a pospiesznie zamknięte za nią drzwi uniemożliwiły jej ucieczkę. W odwiedziny przyjechała do mnie ta grzeczna, poukładana i czarująca wersja Natalii. Miała na sobie rozpięty, wełniany, granatowy płaszcz sięgający za kolana, odsłaniający wąską czarną spódnicę tuż nad kolano, sweterek w tym odcieniu zieleni, który podkreślał szmaragdowy kolor jej oczu, czarno-zieloną apaszkę na szyi. Włosy związane były z tyłu szeroką czarną aksamitką, której końce spadały na ramiona w płątanie

kasztanowych włosów. Subtelny makijaż podkreślał rysy twarzy,...

Na jej policzkach malował się rumieniec zażenowania... Gdyby nie jasne wspomnienie naszej zażyłej znajomości, mógłbym pomyśleć, że jakiś anioł zapragnął odwiedzić mnie w ponurych murach tego szacownego szpitala.

- Co cię tutaj sprowadza? - rzuciłem niechętnie.

- Zadzwoił do mnie Krzysztof...

- I co? - spytałem z ironią. - Zachęcał cię do podróży w tak okropną jesienną pogodę z Paryża do Saksonii?

- Nie - odpowiedziała pospiesznie - wręcz przeciwnie. Kategorycznie mi tę podróż odradzał...

- To czemu go nie posłuchałaś? Dobrze ci radził.

Muszę z tobą porozmawiać... - zaczęła niepewnie. - Pomyślałam sobie, że to wszystko moja wina... I nagle poczułam się okropnie... Szukałeś mnie później. Pewnie zmieniłeś zdanie. Mnie już nie było. Dowiedziałeś się o Louisie. Poczuleś się oszukany. Zapragnąłeś zmienić swoje życie. Wplątałeś się w jakieś gówno... - wyrzucała z siebie zdanie za zdaniem. - Nie opowiadałam ci o Louisie bo to nie wydawało mi się ważne -brnęła dalej. - Poznałam go wcześniej niż ciebie... Było mi z tobą tak dobrze. Walczyłam z sobą. Trudno mi było wyznaczyć ci prawdę. Kontrakt podpisałam dużo wcześniej... Jego zerwanie pociągnęłoby za sobą wysokie kary pieniężne. Przeciagałam to trochę... Każdego dnia chciałam ci o tym powiedzieć i każdego dnia to przekładałam... Pewnie poczułeś się przeze mnie oszukany...

- Daruj sobie... - rzuciłem zimno i obojętnie.

- Co mówisz? - nie dosłyszała.

- Daruj sobie te brednie! - powtórzyłem głośnie.

Stała nadal przy drzwiach, jakby poczucie, że w każdej chwili może stąd wyjść, było jej niezbędnie potrzebne.

- Chciałam cię przeprosić - wykrztusiła. - Pewnie gniewasz się na mnie...

- Skądże...

- To bardzo dobrze - ucieszyła się. - Od razu poczułam się lepiej... Bałam się, że się na mnie gniewasz... - paplała bez sensu. - Powiedziałam Louisowi, że jesteś moim przyjacielem, taką bratnią duszą, która pomogła mi przeżyć okres oczekiwania na wyjazd do Francji.

Przyjechał tutaj ze mną. Twierdzi, że przyjaciel nie zostawia się w biedzie. Czeka na mnie na parkingu przed szpitalem... To fantastyczny facet. Rozumiemy się bez słów - rozgadała się na dobre. - Na razie gram w jednym klubie w Paryżu. Może to nie to samo co prawdziwy koncert - ludzie tam jedzą, piją, rozmawiają... Ale forsy nie da się porównać. Minęło zaledwie parę dni, a ja wiem, że żyję... Latem będę grać w jakimś lokalu na Riwierze. Dźwięk skrzypiec stwarza niepowtarzalną atmosferę do pocałunków, westchnień, wyznań... Louis dobierze mi odpowiedni repertuar. Trochę klasyki, trochę współczesnych utworów, które grane na skrzypcach nabierają swoistego uroku, stają się słodkie, romantyczne, niepowtarzalne. Wyobraź sobie - błękitna woda przechodząca powoli w granat, ostatnie promienie słońca igrające na falach, czerwone skały spadające do morza, lekki wiatr przynoszący ochłodę, czyjaś bliskość i słodki dźwięk skrzypiec... Możesz to sobie wyobrazić?

- nakręcała się coraz bardziej. - Bomba, nic z nadętej atmosfery filharmonii, tylko burza

uczuc, które zostają na zawsze... Co tak dziwnie na mnie patrzysz? - dokończyła niespodziewanie.

- W ciągu paru dni taka niesamowita metamorfoza... Kto by pomyślał... burza uczuć i ani odrobiny seksu? W jakim wieku jest ten twój Louis?

- palnąłem bez zastanowienia.

Tego się nie spodziewała. Cofnęła się. Oparła plecami o drzwi. Przymrużyła niebezpiecznie oczy. Nagle przysł gdzieś jak bańka mydlana urok grzecznej, niewinnej, poukładanej dziewczynki. Przede mną stała rozjuszona kurtyzana. Jeszcze chwila i wybuchnie. Nagle rozdzwoniła się jej komórka.

- Tak, kochanie... - zameldowała się przymilnie.

- Już schodzę - szebiotąła radośnie. - Wiem, że jest zimno. Oczywiście, że nie możesz się przeziębć...

Poczułem ulgę. Koniec odwiedzin i Natalia nareszcie znowu zniknie. A może wtedy uda mi się wreszcie skorzystać z toalety.

- Jeżeli chodzi o seks, to jesteś niedościgniony - wysyczała w moim kierunku. - Jeszcze teraz czuję dreszcze... Ale życie nie składa się tylko z seksu... - dokończyła o wiele spokojniej, jakby znowu zaczęła się kontrolować. - Planujemy z Louistem się pobrać.

On jest bardzo wierzący. Ja też pragnę całkowicie odmienić swoje życie. Chcę się odciąć od przeszłości. Potrzebuję wewnętrznego spokoju...

Byłem nią już bardzo zmęczony. Moje myśli coraz wolniej podążały za jej słowami.

- Jeżeli o mnie chodzi, to życzę wam wszystkiego najlepszego...

- Naprawdę? - Zabrzmiało to tak, jakby raptem poczuła się rozczarowana.

- Naprawdę - powtórzyłem obojętnie.

- I nie masz żalu? - próbowała wzbudzić we mnie emocje.

- Nawet najmniejszego.

- Mimo że wydarzyło się to wszystko? - przyglądała mi się z narastającym niedowierzaniem.

- Zgadza się.

- Może chciałbyś poznać Louisa?

- Dziękuję, nie jest mi to do niczego potrzebne.

\* \* \*

Byliśmy z Niką u Konrada, a ja jakoś nie mogłem się uspokoić. Jak to się mogło stać?

Przecież to jakiś obłąd! Dobrze, że on żyje. Nie wylogował się ze swojej poczty na moim komputerze i zobaczyłem te wysłane do niego maile. Wiem, że nie czyta się cudzej korespondencji, ale nie mogłem się powstrzymać. Włączyłem translator. Kiedyś dostałem go w prezencie od Niki. Źle zrobiłem. Z minuty na minutę rosło we mnie przerażenie. Oblałem się zimnym potem, serce waliło mi jak oszałałe, czułem ścisk w gardle. Kurde, o co tu chodzi? Co to za gówno? Wszystko wygląda tak, jakby to robił ktoś z nas. Jakbyśmy to my chcieli zabić Konrada. W grę wchodzi tylko Weronika, Anke i ja. Niemożliwe! To jakieś brednie! Brednie? Boże, co za obłąd! Konrad zapewne myśli tak samo, pewnie nic może w to uwierzyć. Przecież nikt inny nie znał jego planów. Skąd ktoś mógł wiedzieć, że on pojedzie odrąbywać ten oblodzony samochód do Bautzen i wybierze się na spacer po tamtym cmentarzu? Dzień wcześniej to ja mu nawijałem o urokach Bautzen. Skąd ktoś mógł przewidzieć, że pojedziemy

do Moritzburga? Planowaliśmy pojechać zobaczyć kuca, ale o tym wiedzieliśmy tylko Nika, on, Anke i ja. Obeszliśmy ten staw już po ciemku. Potknął się i przewrócił niedaleko miejsca, gdzie go znaleziono dzień później. To wiedziałem tylko ja i Weronika. Kiedy zniknął, zaczęliśmy go szukać w Moritzburgu. Nie pamiętam, kto z nas wpadł na ten pomysł. Jeżeli Konrad nie pisał tych listów sam do siebie, to tym szaleńcem jest jedno z nas. Wstawałem i siadałem z powrotem. Nosilo mnie po całym mieszkaniu.

Przeczytałem te maile już chyba z dziesięć razy.

Ich tekst znałem prawie na pamięć. To musi być ktoś z nas. Ktoś, kto zna te miejsca tak dobrze jak ja. Dziewczyn nie było. Weronika miała po zajęciach coś sekretnego do załatwienia. Anke odrabiała popołudniowy dyżur w poprawczaku. Czas dłużył mi

· · I r r r r ~ w 1 · ·

się w meskonczoność. Ze zdenerwowania nie mogłem już usiedzieć. Fotel parzył mnie w tyłek. Co za gówno! Co to znaczy, do jasnej cholery! Anke nie zna języka. Zresztą nie znała wcześniej Konrada. Zostaje tylko Weronika. Niemożliwe!

Weronika? Oszalałem! Dlaczego Nika chciałaby go zabić?

\* \* \*

Usłyszałem, jak otwiera drzwi, jak wchodzi. Domyśliłem się, że zagląda przez uchylone drzwi do mojego pokoju.

- Gdzie byłaś? - rzuciłem w przestrzeń za moimi plecami. Starłem się, żeby to zabrzmiało obojętnie.

- W szpitalu. Konrada przenieśli już na chirurgię. Zaniósłam mu coś do czytania.

Obiecałam, że jutro wpadniemy do niego razem... - mówiła wesoło. - Potem pojechałam do stajni. Myślałam, że cię tam spotkam. Mówiłeś, że się dzisiaj wybierasz... Coś ty się tak zadekował w domu?

- Nic, tak jakoś, chciałem trochę popracować na komputerze...

- Nie odwrócisz się nawet? - spytała zdziwiona.

- Nie przywykłam mówić do czyichś pleców.

Podeszła do mnie. Zasłoniła mi oczy.

- Zgadnij, co mam?

- Nie wiem... - burknąłem niepewnie.

- No, zgaduj, do trzech razy sztuka! - zachęcała pogodnie. - Mam to na sobie - dodała.

- Kurtkę? - palnąłem bez zastanowienia. Płatało mi się gdzieś w pamięci, że nie przywiozła z Polski zimowej kurtki.

- Pudło!

- Piżamę? - brnąłem dalej po omacku. Anke kupiła sobie ostatnio coś, co jako strój uniwersalny służyło jej do chodzenia po domu, a co ponoć w założeniu chińskiego producenta miało być piżamą.

- Pudło! Skoncentruj się trochę bardziej, bo przyjdzie ci zaprosić mnie na lody. - Usta się jej nie zamykały.

- Nie wiem, poddaję się - powiedziałem zrezygowany. - Możemy od razu iść na te lody, bo bardzo chcę z tobą pogadać...

- No spróbuj! - nie ustępowała.

- Mówiłaś, że w Polsce chodzisz głównie w spódnicach, że tutaj brakuje ci spodni...

- No więc?

- No więc spodnie.

Odwróciłem się i oniemiałem. To nie były spodnie. Weronika stała tuż obok mnie w sukience, która - mimo że była długa i sięgała do ziemi - więcej pokazywała, niż przykrywała. Kusila tą swoją przewrotną grzecznością. Góra była dopasowana, obcisła, koronkowa, zapięta po samą szyję na dziesiątki powleczonej ciemnym atłasem guziczków.

W pasie suknia była przewiązana szerokim paskiem z ciemnego atłasu, co podkreślało wąską talię. A ku dołowi nagle się rozszerzała, tańcząc przy każdym ruchu. Zamurowało mnie. Nie mogłem oderwać wzroku od Weroniki. Pewnie spodziewała się, że coś powiem, a ja nie potrafiłem wydusić z siebie słowa.

- Nic podoba ci się? - patrzyła na mnie rozczarowana.

- Podoba - wykrztusiłem z trudem. - Nawet bardzo... Ale po co ci taka sukienka?

Usiadła mi na kolanach. Zmusiła, bym na nią spojrzeł.

- By uwodzić takich facetów jak ty... - szepnęła.

Nim zdążyłem zareagować, zeskoczyła z moich kolan, zakreśliła się w kółko...

- Żartowałam.

- Szkoda, już myślałem...

- Źle myślałeś. - Uśmiechnęła się. - Musimy zdobyć forszę na utrzymanie obu koni. Trzeba ściągnąć chętnych do nauki. To strój na sesję fotograficzną na Ferdku... Jak ci się podoba?

- Podoba - stwierdziłem lapidarnie.

- To Konrad podsunął mi tę myśl. On ma rewelacyjne pomysły - powiedziała nieoczekiwanie.

r

- Pożyczyłam ten strój ze studia... Świetny, nie uważasz?

„Uważam” - pomyślałem. Patrzyłem, jak przynosi z łazienki swoje wysokie buty do jazdy konnej, jak je naciąga na nogi, jak tańczy w przedpokoju przed lustrem. Ostatecznie zdecydowała się na sesję zdjęciową w tej sukience, ale z bosymi stopami, na koniu bez siodła i bez ogłowia, żeby pokazać, jak wygląda prawdziwa harmonia pomiędzy jeźdźcem i koniem.

Patrzyłem na nią i nie mogłem uwierzyć, że moja Nika ukuła to wszystko.

\* \* \*

Było już bardzo późno. Umierałem nad książką, udając, że się uczę. Raz po raz łapałem się na tym, że głowa opadała mi bezwiednie, film się urywa, a marzenia senne przeplatają się z rzeczywistością. Anke okupowała już od ponad godziny łazienkę, wtórując co chwilę słuchanej empetrójce. Te koszmarne dźwięki co rusz wyrzywały mnie ze szponów senności.

Anke śpiewa fatalnie, a ze słuchawkami założonymi na uszy robi to jeszcze gorzej niż zwykle.

Aż mi się wnętrzności od tego jej potępieńczego wycia przewracały. Weronika zasnęła na tapczanie w moim pokoju. Próbowałem wypełnić myśli nudną farmakologią. I tak nie miałem się gdzie położyć.

Nie chciałem jej budzić. W myślach błąkałem się pomiędzy preparatami z naparstnicy stosowanymi w niewydolności serca a włosami Weroniki rozrzuconymi na poduszce, jej cichym oddechem, delikatnym uśmiechem raz po raz goszczącym na jej twarzy... Ciche pukanie zlało mi się w jedno z ogarniającą mnie powoli nicością. W pierwszej chwili wydało mi się,

że się przesłyszałem. Mógłbym dać głowę, że te krótkie dźwięki należały już do rozpoczynającego się snu.

- Andre, czyś ty ogłuchł? Otwórz wreszcie te drzwi! - Głos wydzierającej się z łazienki Anke wydał mi się nagle bardzo realny. - Ten ktoś obudzi całe piętro...

Teraz już nie miałem wątpliwości, że te dźwięki to pukanie do naszych drzwi. Za drzwiami stał zupełnie obcy mężczyzna. Na pewno nigdy go nie spotkałem.

- Pan do kogo? - Starłem się, żeby to zabrzmiało w miarę przyjaźnie.

- Nazywam się Krzysztof. Dzwoniłem do was przed paroma dniami na prośbę Konrada...

- Proszę wejść! - Ruchem ręki zaprosiłem go do środka. „Dziwna pora na odwiedzin” - pomyślałem.

Wszedł, zdjął kurtkę, powiesił ją na wieszaku, usiadł za stołem i nie spieszył się do jakichkolwiek wyjaśnień.

- Może herbaty? - spytałem niepewnie.

- Chętnie... - odpowiedział powoli.

Robiąc mu tę herbatę, widziałem, że mi się bacznie przyglądał. Analizował każdy mój ruch, jakby czynność parzenia herbaty chciał rozłożyć na czynniki pierwsze. „Dziwny facet - pomyślałem. - Jest w nim coś niepokojącego”. Postawiłem przed nim parujący kubek z herbatą, a on wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

Wyłuskał z niej jednego. Miętosił go w palcach. Odgiął się do tyłu. Zaczął się huśtać na tylnych nogach krzesła.

- Mieszkacie tu we trójkę? - spytał niespodziewanie. „Skoro wie, to po co pyta?” - pomyślałem.

- We trójkę... - potwierdziłem z ociąganiem.

- A gdzie są teraz dziewczyny?

- Jedna myje się w łazience, a druga już zasnęła... - „Co za wścibskie pytania - przemknęło mi przez myśl. - Wkurzający, natrętny, dziwny człowiek...”.

- Czyli wszyscy jesteście w domu? - chciał się upewnić.

- Z racji pory i biorąc pod uwagę, że jest środek

tygodnia, to jakby logiczne - burknąłem

poirytowany. Teraz i ja przestałem być układny i grzeczny.

- Logiczne, mówisz... - Zamilkł i nadal huśtał

się na krześle. Coraz bardziej przeszkadzało mi to jego zachowanie. Gbur jakiś, chodzące zaprzeczenie Konrada... Anke opuściła wreszcie łazienkę. Wyszła niekompletnie ubrana, z turbanem z ręcznika na głowie, w kusych spodenkach od pizamy i przyklejonym do mokrego ciała męskim

podkoszulku.

Przywykłem do takich widoków. Nigdy mi one nie przeszkadzały. W końcu od lat mieszkaliśmy razem.

- Przepraszam. - Cofnęła się zaskoczona. - Myślałam, że jesteśmy sami.

Wróciła za chwilę szczerze owinięta w swój szlafrok w pluszowe misie. Wyglądała idiotycznie. Takie kompletnie niespójne zjawisko, mieszanina działań przystosowawczych do pracy w poprawczaku i prawdziwej Anke. Wygolone asymetrycznie włosy, kolczyk w górnej

wardze, czerwień zmieszana z czernią na głowie, drapieżnie czarny lakier na paznokciach, a do tego biały szlafrok w błękitne niedźwiadki. Przesunął po niej obojętnym wzrokiem.

Nie odezwał się słowem. „Co za denerwujący facet”

- stwierdziłem kolejny już raz. Irytował mnie i drażnił z minuty na minutę coraz bardziej.

Anke

usiadła zmieszana.

Spojrzała pytająco w moją stronę.

- Pan dzwonił do nas przed paroma dniami w imieniu Konrada - rzuciłem wyjaśniająco.

Kiwnęła w jego stronę głową, ale nie wyciągnęła do niego ręki. Chyba speszył ją ten człowiek, a może jego zachowanie.

- Jestem Anke - rzuciła.

- Krzysztof - powiedział niedbale.

- Pan z daleka? - Anke próbowała nadać bieg temu dziwnemu spotkaniu.

- Z daleka. Przyjechałem jakieś dwie godziny temu. Zadzwoił do mnie Konrad i ściągnął mnie do Drezna. Prosił, żebym przyjechał. Chciał, żebym spróbował z wami porozmawiać, zanim zrobią to jutro inni...

Spojrzałem na niego uważniej. Co on bredzi? Siedział, huśtał się na krześle, wypijał kolejne łyki herbaty i chyba już po raz setny próbował nie zapalić.

Na przemian bawił się tym papierosem i paczką zapalek.

- U nas się nie pali - warknęła nieoczekiwanie Anke. Musiał ją nieźle irytować.

- Wiem, przeczytałem przy wejściu. Informacja jest większa od nazwy akademika - rzucił niedbale, niezrażony atakiem Anke. - Na tyle potrafię jeszcze czytać...

„Kurde, ale denerwujący typ” - pomyślałem po raz kolejny. - Ja nie mówię o przepisach. Ja mówię, że nie pali się u nas w domu - oznajmiła Anke wrogo i zaczepnie.

- Przecież zrozumiałem... - bąknął pod nosem.

Dołączyła do nas Nika.

Siedzieliśmy przy stole. Milczeliśmy. Nie mogliśmy zrozumieć, czego chce od nas w środku nocy ten obcy człowiek. W końcu nie wytrzymałem.



- Mówił pan, że Konrad chciał, żeby pan z nami porozmawiał... Robi się już późno...  
- No właśnie - ożywił się nagle. Przestał się na chwilę huścić. Omiótł nas wzrokiem.  
- Czy jesteście mi w stanie udowodnić, że nikt z was nie jest wmieszany w tę dziwną przygodę Konrada? - spytał bez ogródek.

- W tej sprawie byliśmy już przesłuchiwanymi... - warknąłem.

- No, niezupełnie - przerwał mi. - Z tego, co wiem, to byliście przesłuchiwanymi w sprawie nieszczęśliwego wypadku Artura Litońskiego, a nie w sprawie Konrada. W tej pierwszej, przynajmniej fizycznie, nie mogliście uczestniczyć, w tej drugiej jest to wysoce prawdopodobne.

- Obraża nas pan - rzuciłem się do niego. - Nikt nie ma prawa obrażać nas w naszym domu!  
- Poniosły mnie nerwy. Przestałem się kontrolować. W dupie miałem savoir-vivre.

Powyżej dziurek w nosie miałem tego faceta i jego wkurzającego zachowania. Poczulem się zwolniony z zasad gościnności. Był obcy. Wtargnął do nas niespodziewanie. Wdarł się nie-proszony w nasz świat. Atakował nas bezpodstawnie. W jednej chwili przestało być dla mnie ważne, że powołał się na przyjaźń z Konradem.

- Nie mam zamiaru was obrażać - mówił nadal spokojnie. - Próbuję was przygotować na to, co będzie jutro.

- O czym pan mówi? - Ciągle nie rozumiałem.

„Co za wkurzający typ” - pomyślałem kolejny już raz.

- To nie przez komórkę ściągnięto Konrada na tamo bezludzie - zaczął tłumaczyć. - On dostawał maile. Sprawa maili wyszła na światło dzienne dopiero dzisiaj. Jego połączenia komórkowe prześledziłem wcześniej wiele razy. Nauczyłem się ich prawic na pamięć. One niczego nie tłumaczyły. Dzisiaj powiedział mi o mailach. Przeczytałem je...

Nagle zrobiło mi się gorąco. Czulem się tak, jakby w naszej kuchni raptem zabrakło powietrza. „Nie tylko ja przeczytałem dzisiaj prywatną korespondencję Konrada - pomyślałem przerażony - ten obcy też już ją znał”.

- To nikt z nas - powiedziałem kategorycznie.

- Musisz mi to udowodnić! - Zabrzmiało to jak rozkaz.

- O czym wy mówicie? - wdarł się w tę rozmowę głos Weroniki. - O jakich mailach?

- Konrad odbierał pocztę na moim kompie - powiedziałem wyjaśniająco. - Nie wylogował się. Dzisiaj przez przypadek przeczytałem jego korespondencję. Ktoś umówił się z nim mailowo na spotkanie w Moritzburgu. Kiedy przeczytałem tego maila, to prawie zawału dostałem...

- Przekonaj mnie o tym, że to nikt z was! - przerwał mi ostro ten facet. - Musisz mi to udowodnić!

Dziewczyny patrzyły na niego przerażone. Ja poczułem serce w gardle. Tamten wyjął z kieszeni notes, a z niego parę wydrukowanych kartek. Położył je na stole.

- To po polsku - stwierdziła Anke. - Nie rozumiem po polsku...

- Jeśli po polsku, to tylko ja mogłabym to napisać. - Głos Niki drżał podejrzenie. - Pan przyszedł mnie oskarżać? Przed paroma dniami próbowano mi udowodnić, że mam związek ze śmiercią Artura Litońskiego. Nie wytrzymam tego...

To jakiś obłęd... - Głos jej się łamał.

Oczy błyszczały podejrzenie.

- Kim pan jest? - rzuciłem się na nieznajomego.

- Jakim prawem nas pan atakuje?

Wtargnął pan tutaj, powołując się na Konrada...

- Bo jestem przyjacielem Konrada - powiedział dobitnie. - Konrad przysłał mnie do was, żebym wam pomógł. Jestem oficerem policji.

\* \* \*

- „Niemożliwe - pomyślałem. - Tak samo jak Konrad, nic wierzę, że to ktoś z nich”.

Chłopak, który otworzył mi drzwi, wyglądał przyjaźnie. Rozczochrane, zdecydowanie za długie włosy sterczały mu w różne strony, zapięta na jedyny guzik koszula wyglądała tak, jakby nigdy nie widziała żelazka, a dzinsy świeciły dziurami na poprzecieranych kolanach.

Stał bosy na kamiennej zimnej posadzce, przestępując z nogi na nogę. Powołałem się na Konrada.

Jego imię podziałało jak słowo klucz. O nic więcej nie pytał, otworzył szeroko drzwi, ruchem ręki zaprosił do środka. Teraz już nieważna była ani późna pora, ani to, że się nie znamy. zaproponował mi herbatę, a ja nagle poczułem się okropnie. Wpuścił mnie do tego ich świata, potraktował ufnie i przyjaźnie, a ja przyszedłem ich zaatakować. Z łazienki wyszła dziewczyna, która wyglądała tak, jakby szokowanie otoczenia było jej głównym życiowym mottem. Szybko się cofnęła, a po minucie wróciła owinięta szczelnie w puchaty szlafrok z motywem dziecięcych zabawek. Kiedy tuliła twarz w miękki kołnierz, budziła sympatię i instynkty opiekuńcze. Druga z dziewcząt dołączyła do nas chwilę później.

Obudziłem ją chyba natarczywym pukaniem. Ciekawość zmusiła ją do wstania z łóżka i przyczłapania do kuchni. Usiadła z nami przy stole i tak jak inni milczała. Czas płynął nieubłaganie. Cisza męczyła mnie coraz bardziej. W końcu nie przyjechałem do nich, żeby sobie pomilczeć.

„Przekonajcie mnie, że to nikt z was! Pokażcie mi inne możliwości!” - powtórzyłem kolejny raz.

Patrzyli na mnie z minuty na minutę coraz bardziej wrogo. Wtem chłopak wyciągnął rękę po leżące przede mną na stole pudełko zapalek. Wyjął z niego kilkanaście drewnienek. Ułamał główki kilku z nich, parę skrócił, kilka rozdwoił na końcu. Następnie z kamiennym wyrazem twarzy zaczął układać je w rzędach. Przemknęło mi przez myśl, że chyba zwariował. Też mu się dziwnej zabawy w środku nocy zachciało. Pojawiło się parę rzędów, z których każdy wyglądał inaczej. Pozornie nie było w tym żadnej logiki, żadnego sensu. W pierwszym rzędzie ułożył trzy zapalki - niezmienną, bez główki i skróconą. W drugim położył tylko jedną zapalkę, niezmienną. W trzecim rzędzie znalazły się niezmienną i bez główki. W czwartym niezmienną, bez główki i rozczepioną. W kolejnym tylko niezmienną...

Obserwowałem go z narastającym zainteresowaniem. Powstawały kolejne rzędy, w których w rozmaitych kombinacjach pojawiała się zmienna liczba różnych zapalek.

- Andre, oszalałeś? - nie wytrzymała Weronika.

- Odbiło ci? Wypowiedziała głośno to, co i ja pomyślałem.

- To chyba nie najlepszy moment na zabawę... - dodała.

Chłopak, niezrażony uwagami, zaczął uzupełniać rzędy o brakujące zapalki, układając z nich kolumnę z boku.

- Dodam, że samochód ma tylko Weronika i że stoi on od paru dni w warsztacie -

powiedział niedbale. - Uwe tylko raz pożyczył nam swój pojazd, gdy poszukiwaliśmy Konrada w Moritzburgu - dodał. - Wszyscy albo nikt... - rzucił jakby bez sensu.

Spojrzałem na te jego układanki, przebiegiem wzrokiem po rzędach i nagle stało się dla mnie jasne, że to nikt z nich. Ulżyło mi. Żadnych zbędnych słów, kilka rzędów zapalek i nie miałem już najmniejszych wątpliwości. „Niegłupi jest ten facet - pomyślałem. - A sprawia wrażenie, jakby do czterech nie potrafił zliczyć”.

- Ależ zgłodniałem - stwierdził nieoczekiwanie Andre. Wstał gwałtownie, ruszył w kierunku lodówki stojącej w rogu kuchni.

- Chyba stępałam przez te moje podopieczne. - Anke wpatrywała się jak zahipnotyzowana w rozłożone na stole zapalki. - Nic nie rozumiem...

- Domyślam się... - wszedłem jej w słowo. - Konrad to niezmienną zapalka. Bez główki to zapewne pan Andre -mówiłem pewnie. - Ta skrócona to pani. A ta rozczepiona to pani Weronika. Kolejne rzędy to kolejne wydarzenia... To się nie zgadza... Nie pasuje do siebie.

Nikt z was nie mógł wiedzieć o wszystkim.

Andre zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się gwałtownie. Spojrzał uważnie w moją stronę.

- A mówią, że w policji pracują sami... - palnął bez zastanowienia, lecz w pół zdania przerwał zmieszany.

- Jak widać nic sami... - rzuciłem przyjaźnie.

\* \* \*

Parzył mnie schowany w kieszeni kurtki telefon Konrada. Przejrzałem wszystko chyba z dziesięć razy. Przeanalizowałem połączenia, przeczytałem wiadomości, a ciągle miałem wrażenie, że coś przegapiłem, że jakiś szczegół musiał umknąć mojej uwadze. Konrad miał rację, twierdząc, że ten ktoś nie chciał z nim rozmawiać. Tylko na samym początku, dzień po tym jego dyżurze, kiedy brał prysznic i nie słyszał telefonu, włączyła się trzy razy poczta głosowa. Co prawda dziewczyna nie zostawiła żadnej wiadomości, ale co miała powiedzieć?

Poczta głosowa włączyła się tylko wtedy. Później już zawsze nieodebrane połączenia były zbyt krótkie. Ktoś bardziej dawał znać o sobie, nękał go i prześladował, niż rzeczywiście chciał z nim rozmawiać. Że też ja tego wcześniej nie zauważyłem!

On się miotał i szukał, a ktoś się nim tylko bawił. Zabawa była wredna i idiotyczna, sadystyczna i niemoralna, ale jak długo ograniczała się do głuchych telefonów, tak długo pozostawała zabawą. Wiem, że jest w tym coś dziwnego. Nie potrafię tego określić, czuję to intuicyjnie, nic umiem tego nazwać. To wszystko wydaje się nierealne, bez sensu... Wydarzenia są niespójne, nie pasują do siebie, nie układają się w żadną logiczną całość... Bo niby dlaczego? Zawsze najważniejszy jest motyw, czyli odpowiedź na pozornie proste pytanie - dlaczego? Sprawdziłem dokładnie wszystkie byłe dziewczyny Konrada. Mało prawdopodobne, żeby to była jedna z nich. W takim przypadku sprawa byłaby nieco prostsza... Przynajmniej motyw byłby jasny, przejrzysty i zrozumiały. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka... Może to jakiś skrzywdzony przez niego student? Wątpię, natychmiast sam sobie zaprzeczyłem. Etyka zawodowa nie należy do przedmiotów priorytetowych, a Konrad nie należy do nadmiernie wymagających. Nie wyobrażam sobie, żeby groził komuś niezaliczeniem. Wyrozumiały i pobłażliwy wobec własnych słabości, łatwo wybaczał słabości innym. Przed dwoma laty prowadziłem śledztwo w pozornie podobnej sprawie.

Rozżalony, zdesperowany student zaczął się z nożem w rękę w podziemnym garażu na asystenta od algebry liniowej, który groził mu niedopuszczeniem do egzaminu, stratą semestru, a w konsekwencji powtarzaniem roku.

Chłopak był przyparty do muru: groziło mu wylanie z uczelni, nie miał wsparcia w rodzinie, rzuciła go właśnie dziewczyna, ojciec przestał przysyłać pieniądze i ta lufa z algebry liniowej była dla niego gwoździem do trumny. Całą odpowiedzialnością za swoje nieszczęścia obarczył Bogu ducha winnego asystenta, który okazał się na tyle sprawny fizycznie, że zdołał się obronić. Biegły psychiatra udowodnił w trakcie przygotowań do procesu, że chłopak był niepoczytalny, że jego zachowania psychotyczne były wynikiem zaburzeń lękowych połączonych z napadami paniki. Asystent okazał się wielkoduszny i wyrozumiały. Student wylądował na leczeniu szpitalnym, stracił rok, ale zyskał zrozumienie rodziców. Z tego, co wiem, zmienił uczelnię i skończył studia. Niby podobnie, ale jednak zupełnie inaczej... W przypadku Konrada wszystko wydawało się absurdalne. I jeszcze do tego ta zbieżność w czasie ze sprawą Litońskiego. Litoński miał wypadek. W pierwszej chwili można było sądzić, że jednak ktoś losowi dopomógł.

Szczegółowe śledztwo wykazało jednak co innego. Idealny, poukładany, nadęty, nielubiany, obdarzony przesadnym poczuciem własnej wartości student zażywał leki przedwiekowe. W ostatnim czasie potrzebował ich dużo, z każdym dniem coraz więcej i więcej... Bez nich nie był już w stanie podnieść się z łóżka, wyjść z domu, pójść na uczelnię, przebrnąć przez zajęcia, przeżyć popołudnia... Bojąc się ataku innych, bronił się, atakując. Zachowywał się jak zaszczute zwierzę, W jego mieszkaniu znaleziono mnóstwo lekarstw. Obok preparatów ziołowych i leków bezrecepturowych królowały benzodiazepiny, bez których nie potrafił już egzystować. Leki były różne, bo jak się okazało w trakcie śledztwa, leczył się u różnych lekarzy, zarówno tam, gdzie studiował, jak i tam, skąd pochodził. Prosił o wypisanie specyfików wszędzie i na okrągło. Jeden z leczących go lekarzy potwierdził, że w ostatnim czasie zaburzenia lękowe u Litońskiego bardzo się nasiliły.

Już na samą myśl o tym, że ma pojechać na stypendium zagraniczne, zlewał się potem, ręce mu drżały, serce biło jak oszalałe, a nogi robiły się jak z waty. Lęk ma koszmarnie oblicza. Wszystko nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy pod wyraźnym naciskiem rodziców zmienił podanie o stypendium w Dreźnie na wniosek o stypendium w Anglii. Nie miał siły przeciwstawić się rodzicom, bał się im odmówić. Ta Anglia przerosła go już zupełnie. Miał pojechać sam do obcego kraju, miał być sam wśród obcych ludzi. Musiał zaistnieć w nieznanym mu rzeczywistości bez jakiegokolwiek wsparcia. Doskonale pamiętał, jak ciężko było mu przed dwoma laty w Dreźnie. Dobrze, że była tam Nika. Ona mu pomogła. Nie odstępował jej na krok. Nieustannie potrzebował jej towarzystwa, Opieki i wsparcia. Był zachwycony pełną akceptacją grona jej znajomych. A teraz miał wyjechać bez Weroniki. Jeden z leczących go lekarzy, przerażony przebiegiem ostatniej wizyty Litońskiego, próbował nawiązać kontakt z jego rodzicami. Ci jednak, głusi na jego argumenty, zagrozili, że podadzą do sądu każdego, kto będzie próbował zrobić z ich syna świra. W Dreźnie może by jeszcze jakoś podołał. W końcu dużo łatwiej jest gdzieś powrócić, niż jechać w nieznaną. Znał uczelnię, akademiki, miasto... Miał tam kilku znajomych. Poza tym do Drezna miał jechać z Weroniką. Co prawda od pewnego czasu nie układało się już między nimi tak jak dawniej. Weronika musiała wiecznie gdzieś pędzić, potrzebowała ruchu, ciągłej zmiany, najlepiej czuła

się w towarzystwie różnych, jemu coraz bardziej obcych, ludzi. Miała mnóstwo znajomych, z którymi ciągle się spotykała, włóczyła po górach, wspinała, pływała, szalała na nartach i jeździła konno. A że on za tym nie przepadał albo po prostu się bał, coraz częściej spędzał czas w czterech ścianach, sam ze swoimi lękami, wszczynając awantury z zazdrości o nią, o wszystkich i o wszystko. Nie dziwię się wcale, że miała go dość. Pewnie z dnia na dzień czuła się coraz bardziej osaczona i nieszczęśliwa. Jego lęki ograniczały ją, odgradzały wysokim murem od reszty świata, przeszkadzały coraz bardziej. Dzisiaj ją poznałem. Jest trochę jak kwiat - potrzebuje słońca, adoracji, otwartych przestrzeni, powietrza. Ciepła, bezpośrednia, przyjacielska, na pewno mogłaby być dla niego wsparciem, gdyby choć trochę się przed nią otworzył... Zdecydował inaczej. Lękał się odtrącenia i śmieszności, a może bał się przeciwstawić rodzinie. Perspektywa wyjazdu do Anglii sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej przerażony. Miał jechać sam, w obce miejsce, znaleźć się wśród obcych ludzi, a on przecież nawet w gronie tych dobrze znanych czuł się jak osaczony. Odmówił psychoterapii, bo matka twierdziła, że już do końca życia będzie miał żółte papiery, że jeżeli kiedykolwiek ta sprawa wyjdzie na jaw, to przekreśli jego zawodową karierę, już nigdy nie będzie lekarzem. Uwierzył jej, bo przecież rodzicom wierzył zawsze, chociaż, jak tłumaczył biegły psychiatra, zaburzenia lękowe bardzo często wynosi się z dzieciństwa, z domu, z kręgu rodziny... Zażywał więc te swoje leki, z każdym dniem potrzebując ich coraz więcej. Coraz częściej mieszał je z alkoholem, jakby samo działanie tych pierwszych stało się już za słabe, niedostateczne. Wybuchowa mieszanka na noc, rano aspiryna na kaca, dwie tabletki przedwiekowe popite kubkiem kawy jako ekwiwalent niezjedzonego śniadania... Świat oglądał jakby przez mgłę. W tym świecie sztucznie stworzona odwaga przeradzała się w chamstwo, powodując, że od dawna już nie miał żadnych przyjaciół, a grono przyznających się do niego znajomych topniało w oczach. Nikt go nie kochał, także Weronika w końcu się od niego odwróciła. Nikt go nie lubił, bo i nie było za co. Z każdym dniem powiększała się liczba wrogich mu ludzi. Atak jako najlepsza forma obrony zrażał do niego wszystkich i tak z dnia na dzień był coraz bardziej przerażony i coraz bardziej wyizolowany. Tamtego dnia pakował książki na wyjazd. Znalazł wśród nich ich wspólne zdjęcie. To była fotografia zrobiona jeszcze w Saksonii. Przedał ją na pół. Przez chwilę miał nadzieję, że to choć odrobinę pomoże. W niczym mu jednak nie ulżyło, przeciwnie - spotęgowało tylko ból. Połowa zdjęcia z uśmiechniętą twarzą Weroniki przestała nagle pasować do tej drugiej połowy. Podarł zdjęcie Weroniki na drobne strzępy. To tylko nasiliło żal. Poczuł się raptem jeszcze bardziej samotny i przygnębiony. Tabletki zażył wcześniej niż zwykle, jeszcze w tamtym pokoju w akademiku. Wysoki poziom leku stwierdzony w surowicy krwi denata świadczył o tym, że musiał ich zażyć co najmniej dziesięć. Nikt się już nigdy nic dowie, czy chciał popełnić samobójstwo, czy tylko tak bardzo się bał tego samotnego wyjazdu do Londynu. Długo znosił do samochodu pudła wypełnione książkami. Portier twierdził, że ponad godzinę kręcił się tam i z powrotem. Oddał klucze na portierni tuż przed siedemnastą. Powiedział, że resztą rzeczy zajmą się jego rodzice. Raptem się rozgadał. To było dla niego nienaturalne. Opowiadał portierowi, że następnego dnia skoro świt wyrusza samochodem w kierunku Francji, że ma już zarezerwowane miejsce na promie, że zrezygnował z podróży tunelem, bo nie mógł sobie wyobrazić wielokilometrowej jazdy pod wodami kanału La Manche. Opowiadał, że już za trzy dni rozpocznie studia w Londynie... Zasnął za kierownicą około pięciuset metrów od akademika, jego samochód przejechał przez

pas oddzielający dwa kierunki jazdy, po czym dachował. Ostatecznie stanął na kołach, wyginając swym pędem metalowy słup ulicznej latarni i owijając się wokół niego w nienaturalny wprost sposób. Litoński zginął na miejscu. Zdaniem lekarza, z takim poziomem leków we krwi nawet nie zdołał się obudzić i ten jego sen płynnie przeszedł w sen wieczny. Naoczny świadek wypadku zeznał, że samochód jechał z nadmierną szybkością, a kierowca nie podejmował żadnej próby, by zapanować nad pędzącym pojazdem. Drogówka powzięła podejrzenia, że auto miało niesprawny lub uszkodzony układ hamulcowy, co dało nadgorliwemu młodemu podchorążemu podstawę do wyciągnięcia wniosku o nieczym udziale w tym zdarzeniu osób trzecich. Wezwani policjanci z dochodzeniówki zaczęli węszyć i raptem dowiedzieli się, że Konrad ostatnio bardzo się interesował tym chłopakiem. „Bez sensu - przemknęło mi kolejny raz przez myśl. - Tu się coś nie zgadza”. Wszystko wygląda na idiotyczny zbieg okoliczności.

\* \* \*

Konrad wyglądał już znacznie lepiej. Przeniesiony na oddział chirurgiczny błyskawicznie odżył. Leżał w sali z młodym Niemcem, z którym od pierwszej chwili świetnie się dogadywali. Mężczyzna miał wypadek na motocyklu, poturbował się strasznie, ale przekornie żartował, że obrażenia, które odniósł, tracąc panowanie nad pojazdem przy wchodzeniu w zakręt z prędkością bliską stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, są niczym w porównaniu ze skutkami uderzenia głową w bryłę granitu. Facet był informatykiem ze świeżym, tegorocznym dyplomem. Podjął właśnie pracę, a nie mogąc jej przerwać z powodu okresu próbnego, spędzał całe godziny, leżąc w łóżku z komputerem opartym o zdrowe kolano i z drugą nogą zawieszoną na wysięgniku. Projektował różnym firmom strony internetowe. Robił to już od wielu lat, uniezależniając

się dzięki temu finansowo od rodziców. Twierdził, że wypadek trochę zmienił jego spojrzenie na świat i że teraz marzy nie o nowym ścigaczu, lecz o harleyu- davidsonie, na którym wygląda się znacznie dostojniej i na którym trudniej się zabić. Miał dziewczynę, odwiedzała go codziennie, paplając głośno i radośnie i przynosząc dziesiątki magazynów motoryzacyjnych, których wertowanie zajmowało obu mieszkańcom pokoju całe popołudnia.

Przyjechałem, żeby pogadać z Konradem. Ostatnie dni spędziłem na śledzeniu dalszych losów wszystkich jego wcześniejszych wielkich, niepowtarzalnych i zaskakująco krótkich miłości. Anka wyjechała po studiach na politechnice do Emiratów Arabskich. Ze względów finansowych było to wprost genialne posunięcie, choć w przypadku samotnej młodej kobiety odrobinę ryzykowne. Wkrótce poznała jakiegoś Francuza, będącego tam również na kontrakcie. Wyjechali razem do Francji.

Rok później się pobrali. Pracują w dobrze prosperującej firmie z siedzibą w Marsylii. Są też jej współudziałowcami. Prywatnie chyba też wiedzie jej się nie najgorzej, chociaż akurat tego nic udało mi się bliżej ustalić. Zośka skończyła medycynę, zrobiła specjalizację z patomorfologii, pracuje na uczelni, wyżywa się naukowo, nie założyła rodziny. Spotykali się dość często z Konradem przy okazjach kolejnych inauguracji roku akademickiego. U obojga emocje już dawno opadły, a miejsce gorącej namiętności zajęła poprawna i wyważona obojętność. Edyta mieszka we Włoszech, gdzieś w Toskanii. Wyszła za Włocha, którego stać na finansowanie jej malarstwa i który jest z niej i jej sztuki bardzo dumny. Natknąłem się na notatkę o otwarciu jej wystaw\`7d' we Florencji. Dziennikarz był powściągliwy w ocenie

wartości prezentowanych prac. Ograniczył się do lapidarnego stwierdzenia, że są odważne i nowatorskie i że z tego powodu mogą wzbudzić wśród zwiedzających liczne kontrowersje. Natomiast z wielkim zaangażowaniem komentował zaokrąglone ciężą kształty bądź co bądź pięknej artystki. Agnieszka pracuje jako nauczycielka w wiejskiej szkole na Mazurach. Ma stary drewniany dom z ogrodem pełnym kwiatów, psa, kota, dwuletnie dziecko i męża, który, jak ona, jest zachwycony urokiem jezior, rozlewisk i lasów. Znalazłem jej profil na Facebooku. Poszperałem trochę. Spływ)' kajakowe, regaty żeglarskie, cała galeria różnych kwiatów, ule stojące tuż przy polu kwitnącego rzepaku... Znowu odżyła w mojej pamięci tamta nasza wspólna wędrówka szlakiem świętego Jakuba i jej zaręczyny z Konradem w Pampelunie. Przerzuciłem nawet stare zdjęcia z tamtych wspólnych wakacji. Wtedy przez chwilę im tego zazdrościłem. Wierzyłem w ich miłość na zawsze... Pasowali do siebie jak połówki tego samego jabłka.

Aż dziwne, że nie są razem...

Bogu dzięki, Agnieszka teraz też wygląda na szczęśliwą. Może i dobrze, że nie jest z Konradem...

Maria wróciła do Paryża. Odzyskała swoje biuro podróży, organizuje wycieczki po całej Europie. Zadzwoiłem do niej pod pretekstem, że szukam dobrej wakacyjnej oferty na wycieczkę szlakiem zamków nad Loarą. Pogadaliśmy o wszystkim i o niczym, zaprosiła mnie z Ewą do siebie. Obiecała zostawić nam klucze do swojego domu położonego w pobliżu zamku w Chambord, bo ona właśnie w czasie naszego urlopu wyrusza w podróż poślubną.

Ma to być wyprawa dookoła świata śladami bohaterów powieści Juliusza Verne'a, co ponoć było jej marzeniem od zawsze, w każdym razie odkąd nauczyła się czytać i odkąd przygody bohaterów Verne'a stały jej się tak bliskie. Iga przebywa na leczeniu odwykowym. Jest w szpitalu od paru miesięcy. Zgłosiła się dobrowolnie na leczenie po tym, jak z trudem ją odratowano po przedawkowaniu narkotyków. Już dawno przestała tańczyć. Nie ta kondycja i nie te mięśnie... Ostatnią reklamę telewizyjną z jej udziałem widziałem jakoś przed trzema laty... Renata ułożyła sobie życie. Znalazła męża idealnie do niej pasującego - pedantycznego, praktycznego i nudnego do bólu, ale robiącego zawrotną karierę. Są właścicielami szkoły językowej przygotowującej specjalistów różnych dziedzin do pracy za granicą. Zależnie od motywacji zainteresowanego i zasobności jego portfela oferują całą gamę możliwości: od niewiele wnoszących zajęć w grupach, które ciągną się latami, po indywidualne lekcje parę godzin dziennie, które proporcjonalnie do ilorazu inteligencji uczestnika i jego zdolności językowych potrafią przygotować do wyjazdu i pracy zawodowej za granicą w ciągu od dwóch do kilku miesięcy. Małgorzaty nie zdołałem odnaleźć. Byli z sobą tak krótko, że nawet nie zdążyłem jej poznać. Konrad twierdził, że to było totalne pudło, że nawet na chwilę nie zaiskrzyło z żadnej strony, że kompletnie do siebie nie pasowali... Beata wyszła za mąż. Jest szczęśliwą mamą malej córeczki. Siedzi w domu, cieszy się macierzyństwem i jak zawsze udziela się społecznie. Justyna po rozstaniu z Konradem wyjechała. Nigdy za nią nie przepadałem. Zdanie matury było dla niej nieosiągalne. Interesował ją tylko świat mody i plotki ze świata show-biznesu.

O tym mogła rozprawiać godzinami. Sercowe perypetie fil-mowych gwiazd znała lepiej niż własny życiorys, a Waterloo kojarzyło jej się ze starym przebojem zespołu ABBA, a nic z napoleońską klęską. Była pustą i zapatrzoną w siebie, nadmiernie wypacykowaną, sztucznie

uśmiechniętą lalką Barbie.

Ewa jej nie cierpiała, co powodowało, że niezbyt często spotykaliśmy się razem. Nie lubiłem jej, ale raz mi zaimponowała. Było to po śmierci Marco, kiedy zaopiekowała się Konradem. Marco odszedł, a życie Konrada na chwilę się zatrzymało. Nie jadł, nic pił, nie był w stanie pracować. Pojechał do profesora i spędził z nim wiele godzin na rozmowach o wartości ludzkiego życia i o przemijaniu. Stary dał mu parę dni wolnego. Konrad zupełnie nie nadawał się wtedy do pracy. Na pogrzebie odczytał tamten list od Marco do Ani. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, kiedy Ania wyjęła mu z ręki list i odeszła. Później szedł w kondukcje żałobnym jakby nieobecny, jakby nagle cały świat ograniczył się do tego pożegnania... Na cmentarzu stał z tyłu, na uboczu, daleko od wszystkich. Kiedy Justyna poszła złożyć kwiaty na mogile, gdzieś zniknął. Widzieliśmy go z daleka, jak szedł powoli drogą prowadzącą od wsi w kierunku lasu. Droga była wąska, nieutwardzona, pełna wybojów, wiła się pomiędzy świeżo zaoranymi polami ze sterczącymi jeszcze gdzieniegdzie z ziemi suchymi łętowinami kartofli i wyschniętymi łanami kukurydzy. Tuż pod lasem płynął strumień tak płytki, że ledwie przykrywał wodą sterczące z dna kamienie i pojedyncze zielone pasma wodorostów. Za mostkiem była już tylko łąka, aż dziwne, że o tej porze roku jeszcze tak świeżo zielona, oddzielająca strumień od ściany lasu. Po łące brodził spóźniony bocian, podnosząc na przemian do góry przeraźliwie chude nogi. Konrad chciał być sam i my próbowaliśmy to uszanować. Wlekliśmy się za nim noga za nogą, nie starając się go dogonić.

Po jakimś czasie znaleźliśmy go na piaszczystym wzgórku pod wysoką ścianą sosen. Siedział, milczał, udawał, że nas nie widzi... Justyna usiadła tuż obok niego, jakby się donikąd nie spieszyła, jakby nie miało znaczenia, że od domu dzieli nas parę godzin drogi, że mimo tego nieszczęścia jutro trzeba będzie rozpocząć nowy dzień, chociażby wydawał się on bezsensowny, i że trzeba będzie się dźwignąć i pójść do pracy. Siedziała tuż obok, nie mówiąc nic, jakby to, że wraz z odejściem Marco cały świat Konrada nagle się zatrzymał, było dla niej zrozumiałe i oczywiste... Pomyślałem wtedy, że chyba źle ją osądzałem. Pozory mylą. Przesiedzieliśmy tam wtedy wszyscy parę godzin. Mrok już zapadał i wieczorne mgły zaczęły się snuć nad łąkami, kiedy ruszyliśmy w kierunku wsi. Do samochodów dotarliśmy, gdy świat otuliła już ciemność, a wszystko wokół zatraciło swoje realne kształty... Konrad do dziś dnia nie pozbierał się jeszcze po śmierci Marco. Później, kiedy wrócił Rafał i zamieszkał w tamtym mieszkaniu Ani, wszystko odżyło z nową siłą... Przed paroma tygodniami rozstał się z Justyną. Justyna wyjechała. Pocieszyła się dość szybko. Stała do castingu.

Zakwalifikowano ją do konkursu na top modelkę. Nie ma teraz czasu mścić się na Konradzie.

Wie też doskonale, że Konrad nie pasowałby do tego jej show-biznesu. Po Justynie była już tylko Natalia... Zadzwoiłem do niej. Wiem, że po moim telefonie odwiedziła Konrada w szpitalu. Właśnie ma wyjść za mąż. Raczej to ona czuje się winna.

- Kupujesz nowy samochód? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Konrada. - Sądząc po tym, co oglądasz, chyba ostatnio awansowałaś albo bardzo poprawiły się zarobki w twojej branży.
- Coś ty. Moja bryka mi wystarczy - odpowiedziałem pospiesznie. - Pooglądać nie można?
- Wpadłeś do mnie pooglądać samochody? - Przyglądał mi się podejrzliwie.
- Przyjechałem zobaczyć, jak się czujesz... - odpowiedziałem wymijająco.
- Chyba żartujesz! Nie rozczulaj mnie! - Patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Wystarczyło



zadzwoń.

- No, niezupełnie... - rzuciłem z ociąganiem. - Chciałem zobaczyć, jak się czujesz, i trochę z tobą pogadać.

Przyjechałem porozmawiać, ale nie wiedziałem, jak zacząć tę rozmowę. Sąsiad Konrada, nie chcąc nam przeszkadzać, naciągnął słuchawki na uszy i wglębił się w projekt kolejnej strony internetowej.

- Nie znalazłem punktu zaczepienia - rzuciłem w stronę Konrada. - Prześledziłem z grubsza losy twoich byłych wybranek. Może nie wspominają, cię z rozrzewnieniem, ale nie przypuszczam, żeby chciały się mścić. Jakoś ułożyły sobie życie, wyglądają raczej na szczęśliwe...

- Zostaw to! - przerwał mi.

- Co mam zostawić? - nie mogłem zrozumieć.

- Zostaw to wszystko. To jakieś bzdury... - mówił rozdrażniony.

- Jakie bzdury?

- Jakie to ma teraz znaczenie? - spytał zaczepnie. - Dla mnie żadne. Przeszło, minęło, przecież już nikt nie dzwoni...

- Skąd wiesz, że nikt już nie dzwoni?

- Domyślam się. Masz mój telefon... Powiedziałbyś mi przecież... Zostawmy to!

- Dlaczego? - Zacząłem mu się wnikliwie przyglądać.

- Co: „dlaczego”? - udawał, że nic rozumie.

- Dlaczego mamy to zostawić? - powtórzyłem inaczej.

- Bo nie ma to już żadnego znaczenia! - powiedział dobitnie.

- Chyba żartujesz! - zatkało mnie.

- Zostaw to! - powtórzył gwałtowniej.

Spojrzałem na niego uważnie. „Chyba jednak przy tym upadku coś mu się stało w głowę” - pomyślałem. Siedział na łóżku, nie patrząc na mnie.

Cały czas wertował jakiś magazyn. Nie zatrzymywał wzroku na niczym. Przerzucał tylko wódkę kartki czasopisma.

- Podejrzewasz kogoś? - olśniło mnie nagle. - Próbujesz kogoś chronić? Chyba do reszty zwariowałaś! - Aż się we mnie zagotowało.

Omiótł mnie przelotnie wzrokiem i dalej przekładał te kartki. We mnie aż kipiało.

Wielkoduszny się znalazł, a dopiero wczoraj wyszedł z reanimacji.

- Czy mógłbyś mi oddać mój telefon? - spytał nieoczekiwanie. - Na tym oddziale nic ma zakazu używania komórek - tłumaczył się nieporadnie. - Byłoby mi łatwiej komunikować się ze światem. Jak

cię znam, to i tak już wszystko sprawdziłeś...

- Dam ci inny, kupię tylko kartę... - wszedłem mu w słowo.

- Nic chcę innego - stwierdził zaczepnie.

- Tamten jest dowodem rzeczowym w sprawie...

- wyjaśniłem. - Dam ci inny.

- Wolę swój - powiedział dobitnie.

- Jaka to różnica? - Chciałem, żeby to zabrzmiało obojętnie.

- Dla mnie olbrzymia... - warknął. - Choćby lista kontaktowa...  
- Wklepię ci ją... Będę się dzisiaj nudził wieczorem w hotelu...  
- Chcę swój - powiedział odrobinę głośniej. Znałem ten jego ton. Byliśmy o krok od awantury.

- Nie ma mowy. Zabezpieczyliśmy go. Jak już mówiłem...

- Nie chrzań! Oddam ci go za pięć minut - syknął. - Muszę tylko coś sprawdzić...

Usiadł. Wyprostował się. Zebrał się jakby w sobie.

- Muszę sprawdzić tylko jedno połączenie... - powtórzył.

- Które? - spytałem rzeczowo.

- To tuż przed moim upadkiem. Wiem na pewno, że dzwonek komórki był ostatnim dźwiękiem, który dotarł do mojej świadomości, zanim ogarnęła mnie ciemność...

- Przecież już ją po wypadku przeglądałeś - próbowałem grać na zwłokę.

- Tak...

- I co?

- Nic - burknął. - Skoncentrowałem się na innych rzeczach. Widziałem mnóstwo nieodebranych połączeń z numerem Andre, Melanii, Julii i twoim. I mnóstwo SMS-ów...

- Skoro to wszystko wiesz...

- Wtedy sprawdzałem tylko, czy nie było połączenia z numerem zastrzeżonym - przerwał mi gwałtownie.

- I co?

- I nie było - odpowiedział pospiesznie.

- No to chyba nie ma sprawy - próbowałem bagatelizować. - Skoro nie było...

- No właśnie... - przerwa! mi gwałtownie i nagle zamilkł.

Siedział. Patrzył na świat za oknem, jakby ten śnieg przechodzący co chwilę w deszcz interesował go bardziej niż nasza rozmowa.

- Co: „no właśnie”? - nie rozumiałem.

- Właściwie nic, ale ktoś jednak w tym momencie zadzwonił...

- Jesteś pewny?

- Jestem! - rzucił rozdrażniony. - Nie rób ze mnie świra.

Kurde, jak mogłem tego nie zauważyć. Stary miał rację, mówiąc, że nie powinienem prowadzić tej sprawy, bo dotyczy ona zbyt bliskiej mi osoby... Tracę dystans. Nic umiem patrzeć obiektywnie. Kieruję się emocjami. Znamy się od wielu lat, wiele nas łączy. Moi rodzice zawsze traktowali go jak drugiego syna, ja - jak brata. Emocje gubią, powodują, że zmysły tracą ostrość, a zażyłość przyćmiewa logikę myślenia. Jak to stary mówił? Że moje myślenie podczas śledztwa jest życzeniowe, że widzę tylko to, co chcę zobaczyć i na co pozwalają mi moje uczucia i emocje. Myślałem, że on chrzani. Teraz widzę, że było w tym dużo racji. Nauczyłem się tej jego komórki na pamięć, a jednak nie zwróciłem na to uwagi.

Jak to możliwe? Przecież analizowałem wszystko. „Pewnie nie wszystko, skoro on tak mówi” - pomyślałem.

- Sprawdzę... - powiedziałem pojednawczo. - Jutro ci powiem...

- A nie możesz sprawdzić teraz? - burknął. - Zaburzy ci to śledztwo? - dodał zaczepnie.

- Jasne, że nie.

- To dlaczego nic chcesz sprawdzić?

- Chyba nie podejrzewasz, że nie powiem ci prawdy?

- Pewnie powiesz, jak ją już przemielisz i uzdatnisz... - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Patrzył na mnie spođe łba, a ja miałem wrażenie, że ta włożona w kieszeń spodni jego komórka zaczyna mnie parzyć.

- Sam mówiłeś: Julia, Melania, Andre i ja... Nie było żadnych innych prób połączeń.

- Ale od kogo było to pierwsze, kilkanaście minut po osiemnastej? - pytał natarczywie.

Uratowała mnie pielęgniarka, bo on zapewne by nie ustąpił.

- Powiem ci jutro. Wyrzucą mnie. Muszę już lecieć...

Moje słowa zwały się w jedno z informacją, wypowiedzianą przez pielęgniarkę nieznośnym sprzeciwu tonem, że czas odwiedzin już dawno się skończył. Dziewczyna wparowała bez pukania. Omiotła wzrokiem salę. Uśmiechnęła się szeroko i zdecydowanym gestem ręki wskazała mi drzwi.

Brakowało jeszcze tylko słowa „raus”, ale na to ostatnie już nie miałem ochoty czekać.

- Pan wybaczy - zabrzmiało zupełnie nieprzeprasząco i było skierowane nie do mnie, a do Konrada. - To nie klub ani pub, ale szpital... Tutaj

są chorzy... A u pana ciągły ruch, drzwi się nie zamykają. Doktor mówił, że ma pan jeszcze dużo odpoczywać, mieć spokój... - tłumaczyła już o wiele przyjaźniej, uśmiechając się przy tym ciepło. To szpitalne wcielenie Konrada musiało budzić w kobietach instynkty opiekuńcze. Rozczochrany, z parodniowym zarostem na twarzy, w piżamie niechlujnie zapiętej na dwa dolne guziki, z powoli blednącymi śladami siniaków na twarzy musiał wydawać się żeńskiej części personelu bezradny...

Ciekawe, ile było w tym prawdy, a ile gry Konrada... Jakoś nie do końca wierzyłem w tę jego duchową przemianę... Czyżby chciał kogoś znowu omotać? Miałem nadzieję, że nie chodziło mu o tę młodą dziewczynę o anielskich wprost rysach twarzy, opadających na ramiona jasnych włosach, szmaragdowych oczach i władczym sposobie bycia...

- Pan nie rozumie po niemiecku? - Dziewczyna przeniosła wzrok na mnie. - Czas odwiedzin się skończył - wyartykułowała jeszcze głośniejszym, jakby intonacja głosu miała mi ułatwić zrozumienie.

Wstałem pospiesznie. Dzisiaj nikt mi tego nie musiał drugi raz powtarzać. Zbiegając po schodach, wyjąłem z kieszeni komórkę Konrada. Spojrzałem na listę połączeń. Melania...

Stanąłem jak wryty. Jak to, Melania? Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Melania?

Dlaczego właśnie ona? To musi być jakiś niefortunny zbieg okoliczności. Znałem ją trochę.

Była nudna i poukładana, staroświecka i nadgorliwa, zawsze starannie ubrana i uczesana, w obcisłych garsonkach podkreślających przemijające powoli wdzięki, z burzą jasnych loków na głowie, z całą masą biżuterii brzęczącej przy każdym ruchu i zupełnie niepasującej do atmosfery tej sędziwej uczelni. Dużo starsza od swoich współpracowników, dbała o nich jak kwoka o swoje kurczęta. Poznałem ją przed paru laty, kiedy wpadłem do Konrada na uczelnię z biletem na mecz piłki nożnej. Wzięła mnie wtedy na spytki, nękała jakimiś durnymi pytaniami, zamiast wziąć z moich rąk ten bilet, położyć go na biurku i poinformować Konrada, że przyniosłem go w czasie, kiedy on prowadził zajęcia. Słyszając, że jestem jego przyjacielem, zrobiła mi pranie mózgu na temat niezdrowego stylu życia, który on prowadzi, zarywanych nocy, wypijanego alkoholu, wypalanych papierosów i zupełnego braku jakiegokolwiek stabilizacji. Przesiedziałem tam wtedy ponad godzinę, wypijając obowiązkową herbatę i

jedząc obowiązkowy kawałek ciasta. Na koniec obarczyła mnie winą za nieodpowiedzialne życie Konrada, chociaż ja nigdy nie miałem wpływu na jego prywatne życie, szczególnie jeżeli chodziło o kontakty z kobietami. Podobne uwagi o Konradzie wysłuchiwałem od żony po każdej jego wizycie w naszym domu. Ewka nieustająco powtarza, że byt kształtuje świadomość i że to nie komunistyczne wymysły, lecz prawda, i że zgodnie z tą teorią styl życia Konrada jest nieuniknioną konsekwencją jego dzieciństwa spędzonego w domu dziecka. Pod tym względem poglądy Ewy i Melanii się nie różniły. Po tamtym spotkaniu unikałem jak ognia kontaktów z Melanią. Spojrzałem jeszcze raz na listę połączeń.

Może jednak coś źle odczytałem? Nie, nie pomyliłem się. Tego feralnego dnia Melania zadzwoniła do niego piętnaście po szóstej. „To może nie mieć żadnego znaczenia - kalkulowałem. - Zapewne chciała mu tylko powiedzieć coś na temat jego studentów... Może chciała zapytać, czy jadł kolację... Może chciała po prostu z nim pogadać i wstrzeliła się tak fatalnie z tym telefonem... Jeżeli nie... Jeżeli nie, to ja już zupełnie nic nie rozumiem...”.

\* \* \*

Nie czekał na mnie w sali, lecz przy stoliku w rogu korytarza. Stolik postawiony był jakby na przekór logice, wciśnięty na siłę pomiędzy opasłą donicę z jakąś drzewiastopodobną rośliną a szeroki drewniany parapet okna. Czuł się dzisiaj chyba lepiej, a może zmusili go, żeby się jakoś pozbierał i doprowadził do porządku. Piżamę zastąpiły T-shirt i spodnie, z twarzy uniknął parodniowy zarost, nawet włosy, mimo że zdecydowanie za długie, były bardziej uporządkowane.

- Czekasz na którąś? - zażartowałem.

- Też. - Udawał, że nic usłyszał ironii w moim głosie. - Była Weronika z Andre - ożywił się nagle. - Podrzucili mi nowe ciuchy... Koszulkę kupili, a spodnie pożyczył mi Andre. Może są ciut za szerokie, ale w sumie obleci... Chyba schudłem... Dziewczyna, która ma dzisiaj dyżur, obiecała, że wieczorem mi je trochę zwęzi. Na razie podarowała mi agrafkę... Jakoś się trzymają. Dałem Weronice i Andre klucze do pokoju. Podrzucą mi jutro sweter i kurtkę, a wtedy stanę się prawie wolnym człowiekiem... - mówił rozmarzonym głosem. - Tutaj ponoć jest fantastyczny park. Zajmuje olbrzymi obszar, ze wszystkich stron ograniczony budynkami szpitala. Weronika mówiła, że ozdobą parku są fontanny. Jest

ich kilka. Jedna z nich jest olbrzymia, tworzą ją jakieś mityczne postacie i plujące wodą ryby. Dwie pozostałe przedstawiają legendarne niemieckie skrzaty, które ponoć przynoszą szczęście. Są jeszcze dwa stawy ze złotymi rybkami. Teraz wszystko zamarzło... Wodę już spuszczone. Szkoda...

O tej porze roku fontanny są raczej wątpliwą atrakcją, ale i tak się cieszę na ten spacer...

Raptem poczułem się fatalnie. Ja o tym nie pomyślałem... Nie zapytałem go nawet, czy ma jakąś bieliznę. Wczoraj zastanawiałem się, co mu przynieść i wymyśliłem tylko wodę mineralną. -Jak tam twój kumpel z sali? - spróbowałem zrobić unik, uciec od uwierających sumienie przemyśleń.

- On raczej nie ruszy ze mną do parku - stwierdził sceptycznie. - Ale za to odwiedził go dzisiaj szef z jego firmy i zlecił mu mnóstwo nowej pracy, którą można wykonywać, leżąc i która ma go mobilizować do szybkiego powrotu do zdrowia. Śmiał się, mówiąc: „im więcej pracy, tym więcej radości”. Czasami odnoszę wrażenie, że ta ich mentalność to jakiś swoisty rodzaj utopii... Dziwny naród... Ale facet jest w porządku -dodał pośpiesznie.

- Równy gość.

Przy nim czas mija szybciej. Próbowałem się jakoś wpasować w tę ciasnotę pod oknem.

Uderzyłem kolaniem w kanciastą nogę stołu, plecami gruchnąłem w dębowe deski parapetu, przekląłem szpetnie pod nosem. Też mi miejsce na spotkanie! Widziałem na tym samym piętrze przestronną świetlicę z wygodnymi fotelami okalającymi okrągłe stoliki. Ściany w ciepłych barwach cieszyły oczy, zapowiadając przytulność na przekór pogodzie za oknem.

Przez uchylone szklane drzwi dochodziła ze środka cicha muzyka. Na stole stał ekspres do kawy, a w powietrzu unosił się niepowtarzalny zapach świeżo mielonych ziaren...

- Może pójdziemy do świetlicy? - zaproponowałem.

- Byłem tam. Mnóstwo ludzi - odpowiedział, - Nie da się pogadać... - dodał pospiesznie.

- I tak nikt nas nie rozumie... - spróbowałem jeszcze powalczyć o to minimum wygody.

- Żebyś się nic zdziwił - przerwał mi. - Jeden lekarz na wizycie rozmawiał ze mną po polsku. Mówił nawet całkiem nieźle, pomijając oczywiście

ten ich charakterystyczny akcent. Zdawał maturę z języka polskiego. Zważywszy, że uczył się polskiego tylko w szkole średniej, i to przed wielu laty, zaskakująco dużo pamięta. Jakiś uzdolniony językowo... - mówił szybko, jakby nic chciał mnie dopuścić do głosu. Zaskoczyła mnie ta ilość wypowiedzianych przez niego słów. Ostatnio był raczej małomówny, wręcz milczący.

„Dziwna zmiana” - pomyślałem.

- Dawniej uczniowie często wybierali sobie tutaj w szkole średniej język polski jako drugi język obcy - kontynuował niezrażony moim milczeniem. - Zresztą nie o to chodzi. Pal licho ten ich polski! Muszę się skupić. Tam w świetlicy jest trochę za głośno - dokończył niespodziewanie.

Tego się właśnie obawiałem.

- No więc, kto dzwoni! tuż po osiemnastej? - zapytał nagle bez żadnego wstępu.

- To był telefon bez znaczenia... - rzuciłem obojętnie.

- Co ty powiesz... - Spojrzał na mnie uważniej.

- Kompletny przypadek - dodałem szybko.

- Skoro przypadek, to tym bardziej możesz mi powiedzieć - naciskał.

- Mogę - grałem na zwłokę - ale nie ma w tym sensu.

- Daj mi szansę, żebym mógł to sam ocenić - rzucił rozdrażniony.

- Melania... - Starąłem się, by to brzmiało obojętnie.

- Melania? - spytał zaskoczony. Wpatrywał się we mnie natarczywie, jakby wątpił, czy mówię prawdę.

- Melania - powtórzyłem dobitnie.

- To niemożliwe...

- A jednak.

- Czysty przypadek - kalkulował obojętnie. - Telefon od Melanii nie ma żadnego znaczenia.

Czysty przypadek -powtórzył.

- A nie mówiłem? - tryumfowałem.

Spojrzał uważniej w moją stronę, jakby chciał się jeszcze raz upewnić, czy usłyszał prawdę.

- Mówisz poważnie, czy robisz ze mnie idiotę?

- Mówię poważnie.

- Bez sensu... - mruczał pod nosem. - Pewnie chciała mnie poinformować o złym stanie wiedzy moich studentów albo w oględnych słowach wyrazić

się o mojej głupocie. Zapewne miała ochotę powiedzieć mi, że przeze mnie i przez Rafała oni teraz całe dni pracują, a na koniec spytać się o mój stan zdrowia i napiętnować moje kretyńskie zachowanie na tutejszej uczelni...

- Pewnie masz rację - przerwałem mu. - Też mi się wydaje, że chciała powiedzieć coś w tym stylu - przytaknąłem gorliwie. - Spodziewałeś się kogoś innego? - spytałem, udając obojętność.

Nie odpowiedział. Siedział i bawił się przedmiotem, który był chyba papierośnicą.

Pomyślałem, że musi mu brakować tych jego papierosów. Ja bym mocno odczuwał ich brak.

Przekładał papierośnicę z ręki do ręki, przyglądał się jej uważnie.

- Zgadnij, od kogo ją dostałem? - spytał, a ja własnym uszom nie mogłem uwierzyć. O czym on, do diabła, teraz myśli? O papierosach i papierośnicy?

- Nie mam pojęcia - burknąłem zaskoczony.

- To pooglądaj...

„Faktycznie dziwna - pomyślałem. - Wykuta z metalu, ciężka, z wyrzeźbioną na wieczku postacią lwa z rozpostartymi skrzydłami. Lew ma łapy skute łańcuchem, którego ogniwa próbuje przegryźć zębami, Z jego oblicza bije gniew, oburzenie i jawna nienawiść. Wydaje się, że pod sierścią grają napięte do bólu mięśnie... Zmierzwiona grzywa niepokornie okala głowę. Król zwierząt, nagle zamknięty w potrzasku, walczy o godność. Dziwne - skutny, a nie ma w nim nic z przegranej. Wręcz przeciwnie, bije z niego siła, potęga i godność”. Wewnątrz papierośnicy nie było nawet śladu tytoniu. Ten szlachetny przedmiot nic pasował do trywialnej roli pudełka na papierosy. Dziwna papierośnica - srebrna, gdzieś tam zaśnieździała, przez ten ciemny nalot na srebrnej powierzchni jakaś niedzisiejsza i tajemnicza.

Skąd on mógł mieć taką papierośnicę? Konrad był zawsze praktyczny do bólu. Nigdy nic podejrzewałem go nawet o posiadanie takich przedmiotów.

- Nie wiem... - powiedziałem z ociąganiem.

- Naprawdę nie wiesz? - Spojrzał na mnie wyraźnie rozczarowany.

- Skąd mam to wiedzieć... - Urwałem w pół zdania. W tym momencie jakieś niewyraźne i mgliste wspomnienie zaczęło się wyłaniać z mojej pamięci. Opowiadał mi kiedyś, że dostał nietypowe życzenia urodzinowe. Była w nich zawarta jakaś przypowieść o lwic, którego schwytano w niewolę.

Nie było w nim ani lęku, ani uległości, tylko złość. Swym zachowaniem budził respekt i szacunek. Z pętami na łapach wydawał się jeszcze potężniejszy niż zwykle. Podjął walkę, by przegryźć pęta i przez fakt, że się nie przeląkł, już był zwycięzcą. Nic byłem pewien, czy dokładnie pamiętałem ową przypowieść, ale jej sens był mniej więcej taki. Nie miałem pojęcia, jaka była jej pierwotna wersja. Skojarzyła mi się z cytatem zapamiętanym ze szkoły: „A ze słabością łamać uczmy się za młodu!”. Kiedy Konrad mi ją opowiedział, jakoś dziwnie długo o tym myślałem. Było to przed rokiem, a może jeszcze trochę wcześniej. Mówił o życzeniach, nic nie wspominał o prezencie. Ta papierośnica pasowałaby idealnie do tamtych życzeń. Mogłaby być ich uzupełnieniem...

- Naprawdę nie wiesz? „Chyba wiem” - pomyślałem.
- Od Marco? - spytałem niepewnie.
- Od Marco.
- Znowu cię to prześladowuje...

Nie, dlaczego - zaprzeczył gwałtownie. - Lubię tę papierośnicę. Przypomina mi go. Nic używam jej... Jest pusta... To taka szczególna pamiątka. Po trosze przypowieść, po trosze przestroga... Oddali mi dzisiaj moje rzeczy osobiste - wyjaśnił. - Ten drobiazg zawsze noszę przy sobie jak dowód osobisty, papierosy, prawo jazdy i klucze do domu.

Nagle mnie zatkało. Czyżby on myślał, że to Marco do niego zadzwonił? Zwariował?

Czyżby mu się coś w łeb stało przy tym upadku? Może doszło do uszkodzenia centralnego układu nerwowego? Może za szybko po tym wszystkim zaczął wstawać? Zachowuje się niby normalnie, wygląda zdecydowanie lepiej, ale bredzi. Wyraźnie mu się pod tym względem pogorszyło. Jeszcze wczoraj wyglądał znacznie gorzej, ale rozmawiał sensownie.

- Może chcesz się położyć? - zacząłem niepewnie.

Spojrzał w moją stronę i nagle wybuchnął śmiechem.

Nie oszalałem. - Aż się pokładał ze śmiechu. - Nic z tych rzeczy... O co ty mnie podejrzewasz? Myślałem, że to Rafał... Wiem, że to też idiotyczne ale dzień wcześniej napisał do mnie maila. Prosił o pomoc w załatwieniu dziesiątek spraw na uczelni.,.

Nie chciałem mu pisać, że chwilowo jestem w Saksonii. Bałem się, że będzie mnie zamęczał pytaniami. Napisałem więc bardzo lapidarnie: „zadzwoń wieczorem”. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pojedę do Moritzburga. Pamiętam, że kiedy szedłem na to spotkanie, myślałem o tym, że pewnie zadzwoni akurat w jego trakcie... - Przerwał gwałtownie.

Uśmiech zamarł mu na twarzy. Wziął leżącą na stole papierośnicę i zaczął się jej znowu przyglądać.

- Wiesz, kiedy wracała mi świadomość po reanimacji, to wydawało mi się, że gadam z Marco... Miałem wrażenie, że siedzimy we trójkę - on, ja i ten jego kumpel Paolo w jednej z trattori nad Canal Grandę, pijemy wino i rozmawiamy. Głos Marco mieszał mi się z głosem lekarza... Mówił, że czas wracać, bo on już wrócił. W tym śnie wyglądał tak jak zawsze, nawet uśmiechał się tak samo. Idiotyczne... Znowu zamilkł. Jakby odruchowo ścisnął w rękę papierośnicę. Wlepił wzrok w szarość i jesień za oknem. „Przygniotła go ta śmierć Marco - pomyślałem. - Minęło parę miesięcy, a on nie może się pozbierać”. Przyjaźnili się, odkąd Marco zaczął u nich pracować. Młodszy o parę lat od wszystkich kolegów pracujących w zakładzie etyki zawodowej, zawojował ich odmiennym spojrzeniem na świat, niekonwencjonalnymi metodami nauczania, ciepłym, spontanicznym sposobem bycia, niestandardowymi poglądami... Był inny. Trochę jak przybysz z innych czasów, a może z innej planety. Tak inny, że pozornie niepasujący do naszych czasów. Maturę zdawał jeszcze we Włoszech, później studiował na naszej uczelni. Po studiach został w Polsce. Ukończył dwa fakultety. Był lekarzem i psychologiem, co sprawiało, że był prawdziwym człowiekiem renesansu. Zaczął pracę na uczelni. Przyjaźnili się, choć pozornie różniło ich wszystko.

Konrad wydawał się przy nim konserwatywny, mało spontaniczny... Ze swoimi miłosnymi wzlotami

i upadkami zupełnie nie pasował do postaw i poglądów reprezentowanych przez Marco.

Pozornie tak różni, a dobrali się jak w korcu maku... Konrad wiedział o operacji Marco. Ta operacja zakończyła się totalną klęską. Marco odszedł, a Konrad nie potrafił się pogodzić z jego śmiercią. Pewnie gdzieś tam w sercu czuł się współodpowiedzialny... Nie do wiary, że ktokolwiek może się czuć współwinny takiej śmierci.

- W każdym razie to nie Rafał dzwonił - spróbowałem przerwać ciszę, która z minuty na minutę ciążyła mi coraz bardziej. Nie chciałem pozwolić mu dzisiaj kolejny raz przeżywać śmierci Marco. - Zadzwoiła Melania - dodałem.

- Już to mówiłeś - rzucił rozdrażniony. - Głupi zbieg okoliczności - burknął pod nosem.

Myślni chyba chciał być przy Marco. - Rzecz zupełnie bez znaczenia - dodał.

\* \* \*

Właśnie zamierzałem pożegnać się z Konradem, kiedy nagle jak spod ziemi pojawiła się obok nas ta dziewczyna. Myślę, że Konrad się jej nic spodziewał.

Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Co ty tu znowu robisz? - wykrztusił. Nie zabrzmiało to przyjaźnie.

-Ja tylko na chwilę - bąknęła niepewnie. - Nic chcę przeszkadzać - wymamrotała niewyraźnie pod nosem, patrząc wymownie w moją stronę. Stała, przestępując z nogi na nogę, jakby się wahała, czy powinna usiąść. Ubrana w zbyt obszerny sweter, powycierane dzinsy, z wełnianym szalikiem omotanym wiele razy wokół szyi i zawiązanym z przodu w wielki węzeł, który zapewne przeszkadzał jej nawet przy połykaniu, z szopą rozczochranych kasztanowych włosów na głowie, bez cienia makijażu na bladej, pozbawionej wyrazu twarzy, zlewała się idealnie z tłem. Jedyne szczegóły przyciągające wzrok były ciemnobrązowe, grube, ciężkie oprawki okularów, przykrywających prawie pół jej twarzy. Te okulary musiał zauważyć każdy.

Jestem pewny, że gdyby ktoś miał stworzyć jej portret pamięciowy, to zacząłby i skończył na opisie tych okularów. Wyraźnie przyćmiewały całą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu resztę. „Dziwna dziewczyna - pomyślałem. - Dawno nie wydziałem takiego dziwadła”. Stała teraz, patrzyła na Konrada i czekała na to, co powie, a on jak na złość milczał.

Mierzył ją, podobnie jak ja, od stóp do głów wzrokiem z dziwnym grymasem na twarzy. Dziewczyna z minuty na minutę sprawiała wrażenie coraz bardziej zakłopotanej.

Zapewne nie takiej reakcji spodziewała się po Konradzie. Przeszępowała nerwowo z nogi na nogę.

- Przeszkadzam? - spytała niepewnie.

Nic przeszkadzasz - rzucił, mieląc powoli każde słowo. Nie brzmiało to szczerze. - Pozwólcie że was sobie przedstawię. Oto Julia, córka znanej ci już Melanii i najbliższa przyjaciółka również znanej ci Beaty, a to...

- Krzysztof - wyprzedziłem go szybko, nim zdążył palnąć jakieś głupstwo. „Swoją drogą, trochę szkoda - pomyślałem. - Ciekawe, jak by mnie przedstawił. Znajomy?

Przyjaciel? Brat? Glina?”.

Nie wiem, dlaczego zwróciłem uwagę na jej dłonie. Zupełnie nie pasowały do stylu jej ubioru.

Były delikatne, zadbane, z wyciętymi skórkami i dokładnie opiłowanymi, pociągniętymi równo lakierem paznokciami. Wyglądały, jakby tylko przez jakiś niefortunny przypadek wystawały ze zbyt długiego rękawa pozaciąganego swetra w koszmarnym szaroburym kolorze.



Ten dysonans nasuwał myśl, że przebrała się za kogoś innego. Poczulem złość sam na siebie, że nawet prywatnie muszę być gliną. Zboczenie zawodowe. Wkurza mnie to, ale tak chyba jest nie tylko w zawodzie policjanta. Konrad opowiadał mi kiedyś, że jechał tramwajem i zobaczył na twarzy jakiegoś pasażera znamię barwnikowe, które mogło być czerniakiem złośliwym. Nie mógł oderwać od tego znamienia wzroku. Facet spoglądał w jego kierunku coraz bardziej nerwowo. Wysiadł na następnym

przystanku. Konrad wyskoczył za nim. Zrównał się z idącym mężczyzną i próbował mu o tym powiedzieć. Tamten wpadł w furję, zwymyślał go od zboczonych idiotów, zagroził wezwaniem policji... Ciekawe, jaką awanturę zrobiłaby ta dziewczyna, gdybym spytał, dlaczego udaje kogoś innego, dlaczego się za kogoś przebiera? Z zamyślenia wyrwała mnie wyciągnięta w moim kierunku jej ręka.

Przez chwilę poczułem zaskoczenie. W moim świecie nikt już nie całuje kobiet w rękę.

Koleżanki z pracy poczułyby się tym faktem zdyskwalifikowane i poniżone, rozpętałyby natychmiast wojnę w obronie równouprawnienia kobiet, wyruszyły na krucjatę przeciwko mężczyznom. Zresztą nic mogę sobie nawet wyobrazić, żebym miał całować w rękę dziewczynę, z którą trenuję na strzelnicy albo ćwiczę samoobronę, którą traktuję w pracy jako pełnoprawnego partnera, której ufam bezgranicznie jak każdemu z naszego zespołu. Jediną kobietą, której dłoń pocałowałem, była babcia Ewy, ale ta starsza dama pochodzi z innej epoki, a poza tym należał jej się wyjątkowy szacunek, że udało jej się wychować wnuczkę bez wsparcia rodziców Ewy, Ale ta Julka? Co ona sobie myśli? To, że podała mi rękę jak do pocałunku, wzbudziło we mnie niechęć. „Nadęta, pusta lala, udająca kogoś innego” - pomyślałem. Brzydzę się takim ludźmi. Nie schyliłem się do jej dłoni, tylko niezręcznie ją uściskałem. Wypadło to fatalnie. Miałem wrażenie, jakbym ścisnął pęczek marchwi, do tego zlany wcześniej zimną wodą, a nie ludzką dłoń. Nie zdołała mnie zdominować. Nic udało jej się już od pierwszej chwili naszej znajomości rzucić mnie na kolana. Poczula się urażona.

Zrobiła krok do tyłu. Omiotła mnie przelotnym, pełnym niechęci spojrzeniem, wydeła z pogardą usta i skupiła wzrok na Konradzie. Raptem stałem się dla niej niewidzialny, miałem gęstość otaczającego mnie powietrza. Wszystkie jej zmysły skoncentrowały się na nim.

Przysunęła sobie krzesło w jego kierunku, usiadła tuż przy nim i wbiła w niego wzrok. On milczał. Wsunął do kieszeni w spodniach pokazywaną mi wcześniej papierośnicę. Wbił wzrok w przestrzeń za oknem, jakby ten świat za szybą, szary, posępny i zachlapany, był w tej chwili dla niego najważniejszy. To nie było zachowanie typowe dla Konrada. Oni milczeli, a ja przyglądałem się obojgu z narastającą ciekawością.

- Przyjechałaś taki szmat drogi, żeby sobie pomilczeć? - rzucił nagle w jej stronę.

Zabrzmiało to oschle i nieprzyjaźnie. - Nie masz już zajęć na uczelni? Żadne sieroty cię nie potrzebują? - Jego głos był przesycony ironią. - Zabrakło ci tych, którym musisz pomagać, więc postanowiłaś skoncentrować swoją uwagę i siły na mnie?

- Przywiozłam ci sok ze świeżych malin i ciastka owsiane... - odezwała się bez sensu.

- Mam uwierzyć, że przejechałaś taki szmat drogi, żeby mi przywieźć sok i ciastka?

Przemierzyłaś w tym celu kilkaset kilometrów w tę paskudną jesienną pogodę? Nic rozczulaj mnie! - oświadczył lodowato.

- Pomyślałam sobie, że może ci tutaj czegoś brakuje... - powiedziała cicho, prawie szeptem.

- Mam wszystko - burknął w odpowiedzi. - Odwiedzin też mam sporo... Dziękuję!

Niczego nie chcę! - powiedział gwałtownie. Nie rozumiałem jego zachowania. Było dla niego takie nietypowe. - Dziękuję! - powtórzył dobitniej.

- Dlaczego? - Zamrugła szybko powiekami, jakby się bała, że się rozplącze. - Kiedyś bardzo lubiłaś ciastka owsiane... - dokończyła ciszej.

- Przeminęło z wiatrem... - powiedział niedbale.

- Co przeminęło z wiatrem? - wydawała się go nie rozumieć. - Ciastka? - Oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdziwienia, dziwnie duże i wilgotne. „Co, do cholery, wstąpiło w tego Konrada?” - pomyślałem.

- Owsiane ciastka przeminęły z wiatrem wraz z Beatą...

Po twarzy dziewczyny przebiegł dziwny grymas.

Głupie żart y... - warknęła niespodziewanie. Byłeś i zostaniesz na zawsze palantem.

Chcesz się kłócić? - dodała głośnie. Zniknęła gdzieś słodka, brzydka, zagubiona dziewczynka. Jej miejsce zajęła rozjuszona wiedźma. - Przecież to idiotyczne - zreflektowała się nagle. Ton jej głosu zmatowiał, stał się znowu przyjazny, zszedł o parę oktaw niżej. „A jednak przebieraniec - pomyślałem.

- W pokutnym stroju przyszedł tu ktoś zupełnie inny”.

- Idiotyczne, mówisz? - Konrad udawał, że nic słyszał jadu w jej głosie. - Tamta sprawa już się zakończyła... W każdym razie na to wygląda - dodał

z przekąsem. - Koniec tamtej historii oznacza koniec rozejmu między nami. Nie ma już zawieszenia broni.

Skąd mam wiedzieć, że nic przechodzisz właśnie do nowej ofensywy? - powiedział dziwnie poważnie.

Podniósł głowę i przeszył ją wzrokiem. - Ludzie się nie zmieniają...

- O czym ty mówisz? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Co ty pieprzysz? - Znów straciła panowanie nad sobą. - To przecież tylko sok i ciastka...

- Za sok i ciastka też dziękuję... - powiedział kamiennym głosem. - Nie potrzebuję niczego... Tutaj bardzo dobrze karmią, jak jeszcze trochę tu pobędę, to po wyjściu stąd nic zmieszczę się w spodnie...

- Niczego ode mnie nie potrzebujesz? - przerwała mu gwałtownie, patrząc na przyniesioną przeze mnie wodę mineralną, krzyczącą wprost polską etykietką. - Dlaczego?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Konrad nie odrywał wzroku od jej twarzy. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Julia w popłochu uciekła wzrokiem.

- Te ciastka nie są ode mnie - burknęła. - Nawet mnie o to nie podejrzewaj! - parsknęła rozdrażniona. „Dziwna dziewczyna - pomyślałem kolejny już raz. - Zmienia się jak kameleon, wije jak piskorz, zupełnie nie panuje nad emocjami... A ponoć studiuje pedagogikę”.

- Te ciastka są od mojej mamy... - usłyszałem.

- Skoro od Melanii, to może zaryzykuję... - wycodził powoli Konrad. - We własnym interesie powinno jej zależeć na utrzymaniu mnie przy życiu...

- mówił niby żartem, ale nadał skupiał wzrok na jej twarzy. - Chociaż, czy ja wiem? Ostatnio mam pewne wątpliwości.

Nie chodzi o to, że ona mnie nie lubi - kalkulował głośno - ale zawsze bliższa ciału koszula...

Nie ma jak więzy rodzinne! Nie znam tego co prawda z autopsji, ale potrafię sobie

wyobrazić.

Mówił rzeczy, które były dla mnie niezrozumiałe. Julia nie podnosiła głowy. Wbiła wzrok w posadzkę, jakby analizowała ułożenie kafli na podłodze. Zaciśnęła palce na brzegu stołu.

Pochyliła się do przodu. Ukryła pół twarzy za tym swoim szalem. Raptem jakby zmaląła.

„Dziwne to wszystko - pomyślałem. - Już od dłuższej chwili ta wymiana zdań w niczym nie przypomina towarzyskiej rozmowy. Czuję się, jakbym obserwował bokerskie starcie.

Zupełnie nic z tego nie rozumiem”. - Zaryzykuję - powiedział Konrad z ociąganiem. Wyciągnął rękę w kierunku ciastek, wziął jedno z nich i nagle zatrzymał rękę z ciastkiem tuż przy ustach. - Chociaż nie - powiedział niespodziewanie. - Najpierw odpowiedz mi na jedno jedyne pytanie. - Wydawało mi się, że dziewczyna spojrzała na niego z lękiem. - Czy mają już w zakładzie kogoś nowego na moje miejsce?

Chyba nic tego pytania się obawiała, bo nagle parsknęła śmiechem.

- Czyżbyś jeszcze raz uderzył się w głowę? - rzuciła prawie wesoło. - Bo wygląda na to, że ci się pogorszyło.

- Nie, tu mnie bardzo pilnują. Pielęgniarki śledzą każdy mój krok, analizują nawet to, ile razy sikam - żartował, ale nie brzmiało to jak żart. Zabrzmiało śmiertelnie poważnie.

Raptem przyszło mi na myśl, że coś dzisiaj jest nie tak z moją percepcją. „Zmęczenie materiału” - pomyślałem. Miałem zaburzenia w rozumieniu mowy, w odbiorze wysyłanych przez innych ludzi sygnałów. Nie rozumiałem niczego i nikogo. Przestałem rozumieć nawet Konrada.

- Nie miałem jakoś okazji ponownie uderzyć się

w głowę - kontynuował Konrad. - Już poprzednie uderzenie to było o jeden raz za dużo...

- Czemu ty dzisiaj chrzaniś takie bzdury? - zasyczała przez zaciśnięte zęby Julia.

- Nareszcie przestała mnie boleć głowa... - odpowiedział pozornie bez sensu.

- To chyba dobrze - spojrzała na niego uważnie, jakby zastanawiała się, co tak naprawdę mogą znaczyć jego słowa.

- Pewnie tak... - wycedził powoli. - Chociaż nie do końca jestem tego pewien. Nareszcie mogę myśleć. Przez wiele dni tępe pulsowanie w głowie zakłócało mi logiczne myślenie...

Nic wiem, czy to aby na pewno jest dobre... - dokończył powoli.

Prowadzili tę dziwną rozmowę, nic patrząc nawet w moją stronę. Czuję się jak widz w kinie, niemy obserwator toczącej się obok akcji. Film był ciężki, ambitny, coraz mniej zrozumiały, a mnie zaczęło się nagle spieszyć do domu. Szkoda było mi czasu na słuchanie tych idiotyzmów. Czas mnie gonił. Robiło się późno. Kończył się weekend. Koniec weekendu nie ułatwiał podróżowania. Czekają mnie jeszcze parę godzin jazdy. Rozpadało się też na dobre. Temperatura wahała się około zera i straszyla gołoledzią. Nie zmieniłem jeszcze opon na zimowe. Zabrakło mi cierpliwości i czasu, żeby przez parę godzin czekać bezproduktywnie w kolejce pod warsztatem. Poniedziałek jak zawsze zapowiadał się koszmarnie. Nie cierpię poniedziałków - nowe wyzwania, które zrodziły się w trakcie weekendu, stare problemy, o których na krótko przez weekend udało się zapomnieć. Dzisiaj późnym wieczorem przyjdzie mi się spowiadać Ewce z tego wyjazdu.

Bardzo się przeraziła tym wypadkiem Konrada. Zwykle bardzo mu niechętna, potępiająca jego miłosne podboje, nagle wpadła w panikę. Mówiła, że to także nasza wina, że jesteśmy mu za mało bliscy, że w końcu nikt nie jest doskonały, a każdy powinien mieć poczucie

przynależności i wsparcia, że pewnie gdyby miał do nas większe zaufanie, to nie wpakowałby się w tę kabałę, że przecież my należymy do jego świata, tworzymy nieformalnie część jego rodziny, że przecież każdy ma prawo błędzić. Nie pomogło tłumaczenie, że kiedy dzwonił Konrad, ja akurat nie miałem zasięgu. Byłem już tak zdesperowany, że o mało nie powiedziałem jej, że w końcu to ona zawsze mnie odciągała od Konrada. Dobrze, że stłumiłem to w sobie, bo i bez tego Ewa przepłakała całą noc. Przez te dwa dni wysłałem jej dziesiątki SMS-ów z zapewnieniami, że Konrad ma się już całkiem dobrze. Kiedy wrócę w nocy, to niewiele więcej będę miał jej do powiedzenia. Dwa

razy byłem u Konrada w szpitalu. W niczym nie posunęło to śledztwa.

Poszedłem z Andre na piwo, bo myślałem, że może wtedy coś mi wpadnie do głowy.

Powłóczyłem się wieczorem sam po Dreźnie. Piękne miasto. Byłem tu kiedyś latem. Wtedy chyba jest najpiękniejsze, choć i teraz, przyprószone śniegiem, wygląda tajemniczo, dostojnie i zupełnie nierealnie. Śnieg skrzypiał mi pod stopami, skrzące płatki wirowały leniwie w powietrzu, wody rzeki wydawały się posępnie szare, rozjaśnione tu i ówdzie plamami niesionej kry, dym z kominów przycumowanych przy brzegach parowców unosił się ponad szarą taflą, mieszając się z delikatnymi, snującymi się gdzieniegdzie pasmami mgły. Niebo był szaroczarne, jakby w ten późnojesienny wieczór zabrakło już światu innych kolorów.

Nawet światło gazowych latarni nie było w stanie rozświetlić otaczającej szarości. Mury też wydawały się szare, budowle posępne, a fontanny z zamarzniętymi taflami lodu absurdalnie niepotrzebne... Pomyślałem, że kiedyś muszę tu przywieźć moją Ewę. Co ja jeszcze robiłem w ten weekend? Wczoraj dałem namówić się Weronice na przejażdżkę na Ferdku, Kiedyś jeździłem konno, mam nawet z tamtych czasów srebrną odznakę jeździecką. Przestałem, bo mi jakoś zaczęło czasu brakować na wszystko, w tym również na konie. W pierwszej chwili myślałem, że już nie potrafię. Z trudem podciągnąłem się na strzemieniu, niepewnie przerzuciłem nogę ponad końskim zadem. A Ferdek ruszył nagle klusem, zmuszając mnie do szybkiej powtórki z angliczowania. I raptem pomyślałem, że pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina. Po godzinie galopowałem po leśnej ścieżce i nagle poczułem się wolny, jakby mi skrzydła urosły u ramion. Pęd zimnego powietrza zatykał oddech. Wiatr szumiał w uszach, tłumiąc stukot końskich kopyt. Wtedy przypomniało mi się, jak w ogólniaku próbowałem zarazić tym sportem Konrada. Poszedł ze mną do stajni, nawet nic musiałem go do tego długo namawiać, ale pech chciał, że przy czyszczeniu kopyt koń szarpnął nogę. Konrad stwierdził, że życie go już dostatecznie pokopało i nie muszą go dodatkowo kopać zwierzęta. Nigdy już nie dał się namówić. Twierdził, że jak na przyjaciół, to konie są dla niego odrobinę za duże.

Teraz życie kopnęło go znowu... W poniedziałek muszę porozmawiać z Melanią. Ten jej telefon do Konrada to pewnie nic nieznaczący ślad, po prostu zbieg okoliczności, ale swoją drogą ciekawe, co ona mu chciała wtedy powiedzieć. Myślami błędziłem daleko. Nagle wymknęły mi się spod kontroli i płynęły przez głowę jak rzeka. „Chyba jestem bardzo zmęczony” - pomyślałem. Konrad i Julia dalej prowadzili z sobą tę niezrozumiałą dla mnie grę słowną, której nawet już nie chciało mi się śledzić.

- Ludzie się nie zmieniają... - Jak z zaświatów dotarł do mnie głos Konrada. Jakimś cudem to wypowiedziane pewnym głosem stwierdzenie przedarło się przez mętlik w mojej głowic.

- Dlaczego tak mówisz? - zachnęła się.

- Bo to prawda... Na przykład ty, jak przed laty, koncentrujesz się tylko na tym, żeby mnie zmienić...

- Zmieniłeś się! - przerwała mu gwałtownie. - Nie udawaj! Przecież nie jesteś aż tak zakłamany, żeby tego nie przyznać!

- Brednie! W środku jestem taki sam.

Konrad zaczął wodzić wzrokiem za idącą

korytarzem pielęgniarką. Nadal rzucał jakieś półsłówka, ale nie odrywał oczu od przechodzącej tuż obok dziewczyny. To była ta sama pielęgniarka, która wyrzuciła mnie za drzwi wczoraj po południu. Jasne włosy miała dzisiaj z tyłu uporządkowane gumką, niesforny kosmyk opadał jej na czoło, przyjazny uśmiech przyciągał wzrok. Rozdawała wkoło uśmiechy. Chwyliła pod rękę starszą kobietę, która nie potrafiła samodzielnie się podnieść ze zbyt głębokiego fotela. Innemu staruszkowi tłumaczyła coś przyjaźnie. Obcisłe spodnie i dobrze dopasowana bluza podkreślały jej smukłą sylwetkę, a błękitny kolor mundurka pogłębiał błękit i tak już przeraźliwie niebieskich oczu.

Dziewczynę musiał intrygować wbity w nią wzrok Konrada, bo krzątając się po korytarzu, raz po raz spoglądała w jego kierunku. Poczulem się niezręcznie. Julia zamilkła zdezorientowana, a Konrad przyglądał się tamtej dziewczynie coraz intensywniej, coraz bardziej nachalnie, coraz bezczelniej. W swojej kolejnej wędrówce w kierunku dyżurki zatrzymała się nagle tuż przy nas.

- Czy mogę w czymś pomóc? - rzuciła pogodnie, przyglądając się uważnie Konradowi.

- Nie, wszystko w porządku... - wykrztusił z trudem. „Co mu tak nagle mowę odjęło?” - pomyślałem.

- Naprawdę? - Dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku.

- No, może niezupełnie - przyznał niechętnie. - Jakoś nagle zaczęła mnie boleć głowa... - dodał cicho przeproszającym tonem. - Wszystko wiruje mi przed oczami. Chyba nie zdołam wstać...

- Co pan mówi? - nie zrozumiała.

- Nie mogę wstać... - powtórzył tak niewyraźnie, że i ja z trudem go zrozumiałem.

- Tak nagle? - spytała z niedowierzaniem. - Mówiłam, że powinien pan jeszcze zostać w łóżku - zaczęła go nagle strofować. - To był poważny uraz. A

tu tylko goście i goście... A niektórzy przychodzą każdego dnia... - Spojrzała wymownym wzrokiem w moim kierunku.

- Zaraz zawołam lekarza. Proszę się nie ruszać!

Broń Boże, proszę nie wstawać!

- Nie dałbym rady...

W pierwszej chwili myślałem, że on udaje. Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem nabierałem przekonania, że mówi prawdę. Co z nim jest, do cholery?

- Ma pan nudności? - dopytywała się pielęgniarka.

- Tak.

- Widzi pan normalnie?

- Przez moment widziałem nieostro... Teraz już wszystko wróciło do normy.

- Proszę wyciągnąć ręce przed siebie! - Dziewczyna wyglądała na zdenerwowaną.

- Nie dam rady. Jest mi jakoś tak mdło... Zresztą, po co miałbym wyciągać ręce? To

przecież bez sensu... Nie mam udaru -bełkotał niewyraźnie Konrad. - Muszę się położyć - dokończył niespodziewanie.

- Proszę wyciągnąć ręce przed siebie! To nie jest takie trudne... - zachęcała go coraz bardziej zdenerwowana dziewczyna. - To tylko jeden ruch rąk, a później dam już panu spokój.

Konrad spróbował wyciągnąć przed siebie ręce i nagle osunął się na podłogę. Wydawało się, że kamienna posadzka zadudniła pod ciężarem upadającego bezwładnie ciała. Rzuciłem się w jego kierunku, ale było już za późno. Odepchnięte przez mnie krzesło przewróciło się z hukiem. Kurde, przecież jemu jeszcze przed chwilą nic nie było. Siedziałem tuż obok nich, znudzony ich niezrozumiałą wymianą zdań i raptem jemu coś się stało. Jak spod ziemi pojawił się lekarz. Stałem, patrzyłem i nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Przecież cały czas byłem tuż obok - jak jemu mogło się coś stać? Dupa ze mnie, a nie glina! Zabrali go na oddział intensywnej opieki medycznej. Widziałem, jak go tam wnoszą, jak szczerlnie zamykają za nim szklane drzwi. Ja pozostałem po ich drugiej stronie. Wskazano mi krzesło tuż przy wejściu na oddział, poproszono, bym usiadł. Miałem cierpliwie czekać na rozmowę z lekarzem. Nie mogłem usiedzieć. Miotałem się po korytarzu tam i z powrotem. Wydawało mi się, że to wszystko trwa całą wieczność. Minuty wlokły się w nieskończoność. W końcu zza tych szklanych drzwi wyszedł jakiś lekarz. Powiedział, że to mógł być atak padaczki, będący wynikiem doznanego przed paroma dniami urazu głowy, albo najzwyklejsza w świecie reakcja ortostatyczna, bo przecież on długo przebywał w łóżku i zapewne za szybko go spionizowano... W każdym razie w żadnym wypadku nie powinien był dzisiaj tak długo siedzieć na korytarzu,. Mówił jeszcze, że wykonano rezonans magnetyczny głowy, w którym nie stwierdzono żadnych istotnych nieprawidłowości. Uspokajał mnie, że wszystko jest pod kontrolą, że Konrad jest przytomny, że przed chwilą z nim rozmawiał...

\* \* \*

Byłem już na wysokości Bautzen, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, co się stało z Julią. Kiedy Konrad runął na ziemię, krzyknęła coś. Później odskoczyła do tyłu, oparła się plecami o ścianę i z dziwnym grymasem na twarzy obserwowała przebieg wydarzeń. Potem siedziała tuż obok mnie pod tymi szklanymi drzwiami wiodącymi na reanimację. Nie spojrzała nawet w moją stronę.

Nadal byłem dla niej jak powietrze.

Wyszedłem na papierosa. Kiedy wróciłem, jej już nie było. Zresztą, pal ją λίγο, ona jest chyba stuknięta. Pamiętam, jak Konrad opowiadał mi o tych zajęciach z mowy ciała.

Obudził mnie wtedy pięć minut po tym, jak udało mi się zasnąć po dyżurze. Nie miałem siły mu tłumaczyć, że my też korzystamy czasami z podobnych metod, ale ludzie potrafią być lepszymi aktorami, niż nam się wydaje. Wszystko można ukryć i wyćwiczyć. Wierzę, że bywają idealni kłamcy. Zresztą wystarczy spojrzeć choćby na aktorów. Grają, a jednak poddajemy się ich sztucznym emocjom, płaczymy i śmiejemy się z nimi, wierząc im, choć wiemy od samego początku, że tylko udają. To ona prowadziła tamte zajęcia na uczelni. Po ich zakończeniu powiedziała mi, że tamtej dziewczyny nie było w sali. Chyba łatwiej jest omawiać ten temat, niż panować nad własnym ciałem. Podając mi rękę jak do pocałunku, próbowała mnie sobie tym gestem podporządkować, narzucić własne reguły gry, już od początku ustalić relację między nami po swojemu. W trakcie rozmowy z Konradem raz po raz chowała twarz za tym swoim szalem, jakby się bała, że jej mimika zdradzi, co naprawdę

myśli. Ręce opierała o kolana w ten sposób, że nie było widać jej dłoni, jakby i one mogły się wyrwać spod jej kontroli. Oprócz porozciąganego swetra, który nijak nie pasował do jej wypielęgnowanych rąk, zwróciłem też uwagę na ciekawy, stary, srebrny zegarek z porcelanowym cyferblatem, rzymskimi cyframi i wskazówkami tak misternie rzeźbionymi, jakby ten przedmiot miał służyć tylko ku ozdobie. Mój wzrok przyciągnął jeszcze kunsztowny pierścienek, który podobnie jak zegarek kompletnie nie pasował do jej niechlujnego stroju. „Dziwna dziewczyna -pomyślałem kolejny już raz - niespójna w sposobie bycia, niewiarygodna w wyglądzie... Taki cudaczny przebieraniec. Ta ich rozmowa też była nietypowa”. Nagle pożałowałem, że nie słuchałem jej uważniej. W jej sposobie mówienia było coś niepokojącego. Półśłówka, niedopowiedzenia, niezrozumiałe zdania wypowiedzane pozornie bez sensu... A może to była tylko gra? Może tym dwojgu zależało na tym, żebym niewiele z niej zrozumiał? Może ważniejsza była intonacja głosu i to, co się kryło między wypowiedzianymi wyrazami, niż sens wypowiedzianych słów? Aż dziwne, że wcześniej nie zdałem sobie z tego sprawy. Jechałem coraz wolniej. To, co spadało z nieba, zamieniało się już na szybie w cienką warstewkę lodu. Letni płyn w spryskiwaczach tylko pogarsza!

sytuację. Najgorsze były jednak opony. Że też nic zdążyłem ich zmienić! Są w życiu rzeczy ważne i ważniejsze - jeszcze w piątek te opony należały do tych mniej ważnych. Teraz stało się już dla mnie jasne, że byłem w błędzie. Co chwilę wpadałem w poślizg, mimo że znacznie zwolniłem. Ta szybkość i tak nie gwarantowała dotarcia do domu przed świtem.

Samochód przede mną zaczął gwałtownie hamować. Bez logiki przycisnąłem pedał gazu, zarzuciło mnie, zniosło na pas awaryjny, wjechałem kołami w zbrylony śnieg na poboczu.

Kurde, co ja dzisiaj wyprawiam? Muszę jechać jeszcze wolniej. Nie jestem przecież aż takim idiotą, żeby się zabić... Raptem przemknęło mi przez myśl, że coś podobnego już dzisiaj słyszałem. Kiedy tak walczyłem z pogodą, ruchem na autostradzie i własną bezsilnością, przypominałem sobie, co krzyknęła

Julia: „Nie wygłupiaj się! Nie jesteś aż takim idiotą”.

To przecież bez sensu, pomyślałem. Konrad osunął się na podłogę. Walnął całym ciężarem ciała o posadzkę, a ona krzyknęła: „Nie jesteś aż takim idiotą”? Teraz już kompletnie przestałem cokolwiek rozumieć. Zatrzymałem się przy stacji benzynowej.

Zamówiłem podwójne espresso i dałem się namówić na jakieś ohydne francuskie ciastko z przeraźliwie słodkim nadzieniem, polane niewyobrażalnie mdłym waniliowym sosem.

Rozpaczliwie próbowałem sobie jeszcze coś przypomnieć. Męczyła mnie ta ich rozmowa.

Była jakaś absurdalna. Jakby prowadzili ją z sobą ludzie nienormalni. Jeszcze parę minut wcześniej gadaliśmy z Konradem. Raptem jak spod ziemi pojawiła się ona i do rozmowy wkradła się jakaś groteskowa nuta. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że rozmawiając w ten sposób, chcieli, abym nic nie rozumiał. Ta pozornie bezsensowna rozmowa musiała być dla nich ważna. Pamiętam, jak Julia wyduła usta w dziwnym grymasie, przymrużyła z wściekłości oczy, kiedy on nagle zaczął obserwować tamtą pielęgniarkę. Czyżby poczuła się zazdrosna? Bzdura, przecież oni się prawie nie znają...

Musiał być jakiś inny powód. Może to jednak prawda, że ludzie się nie zmieniają...

Kilkanaście dni bez nowego obiektu pożądania to w przypadku Konrada wprost niemożliwe.

On potrzebował tych swoich miłosnych wzlotów i upadków, tak jak inni potrzebują

powietrza. Przemknęło mi wtedy przez myśl, że Konrad chyba zdrowieje i wszystko zaczyna wracać do normy. I nagle, tak pomiędzy łykami kawy i kęsami tego koszmarnego ciastka, olśniło mnie: Julia chyba pomyślała, że on padając na podłogę, chce tylko jeszcze bardziej skupić na sobie uwagę tamtej dziewczyny. Boże, ależ ten Konrad jest porąbany! Wrócę i uduszę go własnymi rękami, jeżeli to okaże się prawdą!

\* \* \*

Naburmuszona pielęgniarka kazała mi opuścić szpital. Poinformowała mnie pozbawionym wszelkich emocji głosem, że stan pacjenta jest stabilny i nie ma sensu, żebym przesiadywała całą noc pod drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej. Może powiedziała to trochę inaczej, może ubrała w bardziej oględne słowa, okrasiała miłym tonem i sztucznym, przyklejonym do twarzy uśmiechem, udała, że liczę się też ja i moje zmęczenie, ale tak naprawdę chodziło jej o to, żeby mnie stamtąd wyrzucić. W pierwszej chwili zaczęłam oponować. Ale jej głos stał się nagle bardziej stanowczy i zdecydowanie mniej miły. Powołała się na regulamin obowiązujący na terenie szpitala. Postukała palcem w tablicę wiszącą przy drzwiach wejściowych na oddział. Podparła się jakimiś paragrafami, których i tak nie znałam. Powiedziała mi, że nie zobaczę Konrada, bo pacjent nie potrzebuje w tej chwili żadnych emocji, ani tych miłych, ani niemiłych. Słowo „niemiłych”

zaakcentowała wyraźnie, jakby chciała obarczyć mnie winą za to, co się stało. Ja i bez tego czułam się winna, i to z zupełnie innego powodu. Jeszcze niedawno siedział pod tymi drzwiami również Krzysztof. Poszedł zapalić. Po jakimś czasie ja też wyszłam na chwilę.

Chciałam się przejść. Wydawało mi się, że brakuje mi powietrza, że za chwilę się uduszę.

Nie było mnie około godziny. Kiedy wróciłam, Krzysztofa już nie było. Nie mam pojęcia, gdzie zniknął. Myślę, że pojechał do Polski. Słyszałam, jak mówił wcześniej do Konrada, że idzie ju t ro do pracy. Niechętnie dźwignęłam się z krzesła. Ruszyłam powoli opustoszałym już zupełnie korytarzem. Moje kroki odbijały się echem od pustych ścian i szczelnie pozamykanych drzwi, dudniły po kamiennej posadzce, jakbym to nie ja, a szwadron wojska szedł w środku nocy przez ten pusty szpitalny korytarz. Myślami nadal byłam przy tamtym stole wciśniętym w róg korytarza. Całe przedpołudnie szykowałam się na spotkanie z

Konradem. Słowo po słowie tworzyłam w myślach scenariusz tej rozmowy, Stoczyłam z sobą prawdziwą wojnę, zanim przekonałam sama siebie, że należy mu wyjawić prawdę.

Zdobyłam się na odwagę i pojechałam do szpitala. Serce biło mi jak oszalałe, nogi drżały, dłonie miałam lodowate i wilgotne ze zdenerwowania. Wydawało mi się, że nigdy nie zdołam pokonać schodów prowadzących na pierwsze piętro. Nie leżał w łóżku, nie było go w sali. Siedział przy stole na korytarzu, a obok niego ten obcy facet.

Nie mam pojęcia, kim jest ten Krzysztof. Nigdy go wcześniej nie spotkałam. Milczał, raz po raz przyglądając mi się uważnie. Rozmowa się nie kleiła.

To wszystko było takie nienaturalne. Konrad siedział, półsłówkami dawał mi do zrozumienia, że jakimś cudem domyśla się prawdy. Później postanowił zniszczyć wszystko, co zdołałam osiągnąć, jakby nagle poznał moje myśli, odkrył mój cel i zamiary.

Chciał mi pokazać cały bezsens moich wysiłków. Powiedział, że ludzie się nie zmieniają. Jednym zdaniem przekreślił to wszystko, co stało się moją ideą, pomysłem na niekonwencjonalną pracę dyplomową, celem samym w sobie, czymś, co mną zawładnęło bez reszty, podporządkowało sobie wszystkie moje myśli, plany i czyny. Chciałam udowodnić



sobie, jemu i innym, że każdego można zmienić, pomimo uwarunkowań społecznych, całego systemu wychowania, zakodowanych standardów zachowań, nawyków, lęków i uprzedzeń, że wszystko zależy od siły bodźców, że odpowiednie bodźce mogą raptem pobudzić zupełnie zapomniane obszary ludzkiej wrażliwości, mogą oczyścić, odrodzić, odbudować, przywrócić wiarę w dawno zapomniane, a może nigdy nieznanne uczucia i słowa. Stworzyłam go jakby na nowo, odmieniłam jego sposób postrzegania świata, oddaliłam jego lęk przed przegraną.

Każdego dnia podziwiałam z daleka stworzone przez siebie dzieło, a on nagle jednym zdaniem to wszystko zniszczył.

- Ludzie, Julka, się nie zmieniają... - powiedział jakby mimochodem, - W każdym razie nie dorośli - dodał. - Niepotrzebnie włożyłaś w to tyle wysiłku...

Para w gwizdek... -mówił obojętnym głosem.

- Dlaczego tak mówisz? - przerwałam mu gwałtownie. Raptem poczułam serce gdzieś w gardle. Świat wokół mnie zawirował. Czyżby on się wszystkiego domyślał? Miałam ochotę się wycofać, uciec. Było za późno. Tkwiłam tuż przy nim, przy tym stoliku na korytarzu.

Mogłam tylko ukryć twarz za zwojami szala, którego zapomniałam ściągnąć.

- Bo to prawda... - rzucił gdzieś w przestrzeń ponad moją pochyloną głowę. - Nie trzeba daleko szukać - cedził powoli każde słowo. - Na przykład ty, jak przed laty, koncentrujesz się tylko na tym, żeby mnie zmienić...

- Zmieniłeś się! - przerwałam mu gwałtownie. Próbowałam obronić to, w co wierzyłam. - Stałeś się kimś zupełnie innym...

- Brednie! - burknął pod nosem. - To twoje pobożne życzenia! Ludzie się nie zmieniają.

Przez chwilę mogą odgrywać jakieś role, ale w środku pozostają nadal tacy sami.

I nagle postanowił mi to udowodnić tu i teraz.

Zaczął wodzić oczami za tamtą młodą pielęgniarzką.

Po chwili ona również zaczęła co rusz zerkać w jego stronę. Zawsze wydawał się kobietom bardzo atrakcyjny, przynajmniej tym z mojego otoczenia. Z wiecznie zbyt długimi, lekko kręconymi, prawie czarnymi włosami, ze smagłą cerą przyciemnioną zazwyczaj dwudniowym zarostem, z ciemną oprawą prawie czarnych oczu, z błakającym się po twarzy delikatnym uśmiechem, z tym ciepłym, przyjaznym sposobem bycia musiał wydawać się wszystkim kobietom kimś wymarzonym i wyjątkowym. Przed dwoma laty Beata przedstawiła mi go jako swojego chłopaka. Nigdy nie zapomnę, jakie wtedy zrobił na mnie wrażenie. Pomyślałam, że mam życiowego pecha, bo ja nigdy nie spotykam na swej drodze takich facetów. Kiedyś śnił mi się nawet w nocy. Szliśmy po szerokiej plaży o zachodzie słońca, morze było lekko pofalowane, trzymaliśmy się za ręce... Sen był tak realny, że czułam w nim nawet ciepły dotyk jego dłoni, delikatny podmuch wiatru na twarzy, słyszałam szum fal, skrzek kołujących nad nami mew... Obudziłam się wściekła na siebie, że zawsze muszę ulokować swoje uczucia w kimś nieosiągalnym. Był z Beatą, przez ten fakt od razu wykreśliłam go z listy facetów wartych zainteresowania. Lubiłam się z nimi spotykać... Dobrze pamiętam, jakie kiedyś robił na mnie wrażenie. Wiem, jakie robi teraz... Zaczął wpatrywać się w tę dziewczynę, żeby mi udowodnić, że nic się nie zmieniło, że jak dawniej uwielbia zdobywać, że chce i potrafi. Do mnie odzywał się matowym głosem, półsłówkami. Każde jego słowo rzucone w moją stronę bolało coraz bardziej, Wołałabym, żeby zaczął na mnie krzyczeć, żeby nazwał mnie idiotką. Zasłużyłam. Wykorzystałam okazję. Nie chciałam się mścić. Nawet przez ułamek sekundy taka

myśl nie zagościła mi w głowie. Chciałam tylko udowodnić, że i on może się zmienić. Myślałam, że mu w tym pomogę, przecież od lat go to męczy. Miota się, szuka czegoś, tworzy coś wymarzonego, a później wycofuje się w popłochu, bojąc się, że ktoś kocha w nim tę stworzoną przez niego sztuczną postać, a nie jego samego. Myślę, że te kobiety w większości kochały go naprawdę. W każdym razie na pewno kochała go Beata. Kiedy w środku nocy zjawiał się w naszym domu, w pierwszej chwili pomyślałam, że to jeszcze jeden sen, w którym on gra główną rolę. Jego cichy głos zlewał się z marzeniami sennymi, z trudem przebijając się do zaspanej jeszcze świadomości. Poznałabym go wszędzie. Kiedyś bardzo lubiłam ton jego głosu. Przed dwoma laty, jako chłopak Beat'7d', należał do wąskiego grona moich przyjaciół. Pasowali do siebie jak ulał. Wydawało się, że ta ich miłość nie może się zakończyć niczym innym jak złożeniem przysięgi małżeńskiej i bajkowym „żyli później długo i szczęśliwie”. Mieszkali razem. Lubiałam bywać u nich w domu. Można było się trochę ogrzać ich ciepłem.

Aż nagle pewnego dnia on się wyprowadził. Uciekł w popłochu, jakby się przestraszył, że prędzej czy później i tak przyjdzie mu to wszystko stracić. Pewnie pomyślał, że im szybciej, tym lepiej, że im mniej wspomnień, tym mniej później bólu i goryczy. Może przez moment poczuł pustkę, która zastąpiła wszystkie ciepłe chwile tej właśnie zakończonej miłości.

Natura nie lubi próżni. Romans gonił romans, rozczarowanie rodziło kolejne rozczarowanie i pewnie gdzieś tam w środku coraz większy żal, że kiedyś w dzieciństwie nie był kochany, a teraz nic potrafi ufać i kochać. To, co zrobił, było bez sensu.

Beata naprawdę go kochała. Chciałam mu to wytłumaczyć. Spotkałam się z nim we włoskiej restauracji na obrzeżach miasta. Ja mu mówiłam o wielkości ich uczucia, a on z uśmiechem na twarzy sprowadził tę całą znajomość do seksu. Jak on to wtedy powiedział? Że nawet czekolada jedzona codziennie może się przejeść? Puściły mi nerwy, zachowałam się nieprofesjonalnie, nazwałam go „samcem rządzonym przez penis”. Wysłam oburzona, zostawiając go w tej restauracji. Pięć minut później już tego żałowałam. Głupi honor nie pozwolił mi tam wrócić.

Chciałam pomóc, a w sumie dokopałam im jeszcze bardziej. Na mediatora to ja się nie nadaję!

Staralam się wyrzucić go ze wspomnień. Chciałam poczuć się nim rozczarowana.

Wmawiałam sobie, że nikt mnie wcześniej tak nie zawiódł. Próbowałam go sobie obrzydzić.

W myślach przypisywałam mu niesłusznie cechy, których on nie posiadał... I nagle, wtedy w nocy, usłyszałam jego głos. Odruchowo zaczęłam się wsłuchiwać. „Niemożliwe - pomyślałam. - To nie może być on. Skąd nagle Konrad znalazłby się w środku nocy u nas w domu?”. To, co mówił, nie pasowało do niego. Jednak na pewno był to głos Konrada. Mama mówiła, że jego światem ostatnio zatrzęsło - nagle zmarł Marco. Oni się przyjaźnili.

Nikt nie rozumiał tej przyjaźni. Byli jak dzień i noc, choć może były to tylko pozory i Marco znał go lepiej niż inni. Melania mówiła, że śmierć Marco załamała wszystkich, ale najbardziej Konrada. Nic jadł, nie pił, nie był w stanie pracować... Taki koszmar może zmienić każdego...

Konrad rozmawiał z Melanią przyciszonym głosem. Wstrzymywałam oddech, by nie uronić ani słowa. Nie drgnęłam nawet na łóżku, żeby przypadkiem nie skrzypnęło. Słyszałam puszczaną taśmę dyktafonu, słyszałam jego rozmowę z tamtą dziewczyną. „Konrad, nie-Konrad” - pomyślałam. To, co mówił, było zupełnie do niego niepodobne.

Jakby głosem Konrada wypowiada! te słowa jakiś obcy, nieznan mi człowiek.

„To się ustosunkuj! Zrób to z fantazją! Strzel go w gębę na środku korytarza! Spluń mu pod nogi! Otwórz tamtej idiotce oczy!... A później go olej! Zostaw go otumanionego na środku korytarza i odejdz! To dupek!”. Nie mogłam uwierzyć, że te słowa przeszły Konradowi przez gardło. „Zrób to z fantazją! Strzel go w gębę na środku korytarza! Spluń mu pod nogi!

Otwórz tamtej idiotce oczy!...”. Melania cofała tę taśmę kilkakrotnie, jakby i ona nie mogła uwierzyć, że ta wypowiedź wyszła z ust Konrada. Do rana już nie mogłam zasnąć. Na początku chciałam tylko pomóc. Przerażona tym, co usłyszałam, sparaliżowana jego lękiem, który i mnie się udzielił, obmyślałam strategię, jak można odszukać tamtą dziewczynę.

Wszystko inne przyszło dużo później, zupełnie nieoczekiwanie, ale kiedy wykluło się już w mojej podświadomości, pojawiło się jako myśl, to owładnęło mną bez reszty, wypełniło całą moją świadomość, stało się sensem samym w sobie, pchnęło mnie do wszystkiego... Na początku chciałam tylko pomóc - jemu i tamtej dziewczynie. A może powinnam pomyśleć: tamtej dziewczynie i jemu, bo przecież wtedy ona była najważniejsza. Dzień później zadzwoniłam do niego. Musiałam stoczyć z sobą całą wojnę, żeby nie zadzwonić przed południem. Zżerała mnie ciekawość. Chęć spotkania z nim stała się nagle silniejsza od wszystkiego. Nie chciałam przyznać się przed sobą, że przez te dwa lata nie mogłam o nim zapomnieć. Nawet tam, w Chile... Wyjechałam, bo chciałam się przekonać, czy różnice kulturowe, uwarunkowania społeczne, szerokość geograficzna wpływają na to, co się czuje.

Pracowałam jako wolontariuszka w domu dziecka. Teraz już wiem, że domy dziecka na całym świecie są chyba takie same. Może powinnam to sformułować inaczej - domy dziecka są różne, ludzkie uczucia są takie same. Pamiętam, jak kiedyś Beata powiedziała, że marzy o tym, by poznać rodziców Konrada. Siedzieliśmy wtedy w parę osób w małej pizzerii niedaleko ogrodu botanicznego i świętowaliśmy urodziny Konrada.

Jeszcze czułam się otumaniona zapachem bżów, oczarowana barwami rododendronów, zauroczona niepowtarzalną czerwienią azalii, jeszcze gdzieś tam w środku serce mi biło zgodnie z rytmem wiosennego świergotu ptaków, a tu niespodziewanie w ten wiosenny nastrój wdarło się tamto zdanie. Niby nic, lecz nagle wszyscy zamilkli. Przemknęły mi w pamięci wszystkie rozmowy z Konradem i raptem stało się dla mnie jasne, że on nigdy, przy żadnej okazji nie wspominał o swojej rodzinie, o rodzicach. Milczenie się przedłużało, jakby wszyscy czekali, co on odpowie, jakby to, co powie, stało się dla wszystkich niezwykle ważne. Konrad spojrział przelotnie na Beatę, zaciągnął się trzymanym w rękę papierosem, podniósł do góry kieliszek i zaczął się przyglądać liżącej szkło, chybotliwej powierzchni ciemnoczerwonego trunku, pozornie koncentrując na tym papierosie i winie całą swoją uwagę. A potem z kamiennym wyrazem twarzy powiedział, że kiedyś było to też jego marzeniem, ale z marzeń się wyrasta. Nic zrozumiała go. Zatrzepotała ze zdziwienia rękami i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kiedy on obojętnym tonem dodał, że wychował się w domu dziecka, że to ludziom z bidula wszystko w swym życiu zawdzięcza. Zaczęłam spędzać popołudnia w domu dziecka. Chciałam za wszelką cenę go zrozumieć. Zrozumiałam znacznie później, dopiero w Chile, kiedy poznałam Matilde. Matilde miała czternaście lat, długie włosy starannie zaplecione w gruby, sięgający połowy pleców warkocz i klarowne podejście do otaczającej ją rzeczywistości. Żadnych pozorów, żadnej tkliwości... Czasami kiedy ją obserwowałam, miałam wrażenie, że całą sobą krzyczy: „ręce precz ode mnie i od moich

myśli!”. Pamiętam, jak siedziała kiedyś na schodach prowadzących z werandy do ogrodu i skrętnie zapisywała coś w notatniku.

- Co robisz? - pochyliłam się nad nią. Odskokczyła do tyłu jak oparzona. Spojrzała na mnie niechętnie. Wymownie zamknęła zeszyt. Tym gestem jednoznacznie odcięła się od mojego pytania. Nie odeszłam, stałam nad nią nadal, udając, że nie widzę

jej niechętnego wzroku i zaciętego wyrazu twarzy.

- Pytałam, co robisz? - Chciałam, żeby to zabrzmiało wesoło. - Wszyscy właśnie szykujemy się powoli do kolacji... -dodałam bez większego sensu.

- Nic - burknęła pod nosem.

- A jednak coś robisz...

- Po co pytasz? - spytała zaczepnie. - Przecież to dla ciebie zupełnie nieważne. Chodzi ci tylko o tę kolację. Ja dzisiaj jestem w grupie sprzątającej. Mam jeszcze czas - warknęła wrogo. - Spisuję to, czego nie chcę nigdy zapomnieć... - dorzuciła obojętnie.

- Prowadzisz pamiętnik? Ja też kiedyś pisałam...

- Nie, to nie jest pamiętnik - przerwała mi gwałtownie, kręcąc przy tym przecząco głową. - To swoisty spis, spis błędów, których drugi raz już w życiu nie popełnię.

- Pokażesz? Może i mnie się na coś się przyda...

- Wątpię - powiedziała dobitnie. - Każdy robi w życiu swoje błędy. Moje błędy i tak pani w niczym nic pomogą. Ma pani inne życie.

Pamiętam mój dyżur w Boże Narodzenie. W okresie świątecznym w domu dziecka pozostawało niewiele dzieci. Wśród nich była też Matilde. Po kolacji wszyscy składali sobie życzenia.

- Ja nie chcę od nikogo życzeń i nie będę też nikomu ich składać - burknęła dziewczyna pod nosem. - Jest pani już dorosła, więc powinna pani wiedzieć, że kiedy się coś dostaje od życia, to życie żąda w zamian czegoś innego. Za każdym razem żąda coraz więcej i więcej, aż w końcu już nam nic

nie zostaje. Nic chcę nic, ale i nie dam nic nikomu...

Próbowałam ją namówić. Mówiłam, że przecież chodzi tylko o życzenia. Matilde z każdą minutą stawała się bardziej rozdrażniona. Nagle jej oczy zaczęły dziwnie błyszczeć.

- Nic pani nic rozumie! - wycedziła powoli przez zaciśnięte zęby. - Nie zna się pani na tym! Nie powinna tu pani pracować. Tu mieszkają dzieci, a nie tresowane zwierzęta...

Zamurowało mnie. Dziewczyna wydeła pogardliwie usta i patrzyła na mnie z politowaniem. Zapewne oczekiwała, że zacznę się bronić, a ja nagle pomyślałam, że ona ma rację, że jej rozumowanie jest

dla mnie obce, tak jak obce i niezrozumiałe było dla mnie kiedyś postępowanie Konrada.

Następnego dnia zagadnęłam Markę. Ona pracowała tam już od dawna, twierdziła, że całe swoje zawodowe życie. Mówiła, że wraz z tym, jak te dzieci rosły, ona się starzała, że kocha je i tylko dlatego pracuje tam nadal, bo nic mogłaby dla nich wszystkich stworzyć rodzinnego domu dziecka, a przecież wszystkie je kocha tak samo. Marita opowiedziała mi, jak do tego doszło, że to wesołe, ufne dziecko, jakim była kiedyś Matilde, zmieniło się w sfrustrowaną nastolatkę. A wszystko poszło o adopcję. Matilde porzucono. Miała kilkanaście miesięcy, kiedy ktoś zostawił ją w kościele. Kościelny, zamykając świątynię, usłyszał jakiś szelest i w rogu pomiędzy ławką a konfesjonałem odnalazł skulone, zabiedzone, przerażone dziecko.

Przez parę tygodni dziewczynka przebywała na plebanii, bo miejscowy ksiądz wierzył, że odnajdą się jej rodzice. Policja też wszczęła poszukiwania, ale jakby z dużo większą rezerwą, zakładając z góry, że to nie może mieć większego sensu. Jeżeli ktoś był na tyle okrutny, by zostawić dziecko, to bardzo mało prawdopodobne, żeby po nie wrócił. Potem Matilde znalazła się w domu dziecka. Była tutaj szczęśliwa aż do dnia, kiedy zjawilo się pewne małżeństwo. Ci ludzie byli bogaci. Mieli już prawie wszystko: sieć ekskluzywnych hoteli w całym kraju, helikopter, olbrzymi dom z dużym ogrodem w mieście, pensjonat w górach, stylową willę nad morzem... Do pełni szczęścia brakowało im tylko dziecka. Zapragnęli adoptować dziewczynkę. Od pierwszej chwili najbardziej spodobała im się Matilde.

Dziewczynka miała wtedy osiem lat. Kiedy przyjechali, właśnie bębniła w klawisze stojącego w świetlicy, od dawna już rozstrojonego pianina i próbowała naśladować głos niedawno usłyszanej w radiu piosenkarki. Wiecznie rozczochrane włosy podskakiwały jej w takt muzyki, a bosa jej zwyczajem stopy przytupywały wesoło, jak do tańca. Kolorową bluzkę i pocerowane na kolanach getry przykrywał fartuszek, który dostała kiedyś w prezencie od któregoś z wychowawców. To był bardzo ważny element jej garderoby, bo w jego kieszeniach mieściły się wszystkie skarby, które Matilde zawsze musiała mieć przy sobie.

Nosiła w kieszeniach pędzle, kłębuszki różnobarwnych włóczek, klej, kredę, kolorowe pastele i mały szkicownik. Uwielbiała malować, rysować, wyklejać... Powstające obrazy były na tyle ciekawe, że dyrektorce domu dziecka udało się zainteresować pracami Matilde władze mia-steczka i tak dziewczynka w wieku ośmiu lat miała już pierwszą wystawę: jej prace wisiały na ścianach korytarza wiodącego do sali obrad w miejscowym ratuszu. Wiecznie umazana farbami, podskakująca wesoło, radosna i ciepła, była dla wszystkich nieustającym źródłem radości. Niestety, spodobała się też tym obcym. Początkowo Matilde od czasu do czasu spędzała z nimi popołudnia. Po pewnym czasie zaczęli ją zabierać na weekendy. Stopniowo tych wspólnie spędzanych weekendów robiło się coraz więcej i więcej. Pojechała z nimi na wakacje. Spędzała w ich domu święta. Każdy jej powrót od nich przynosił nowe zmiany.

Dziewczynka coraz mniej przypominała dawną Matilde. Najpierw kazała się przesadnie starannie czesać, przylizywać dokładnie wszystkie włosy, a pojedyncze niesfornie sterczące pasma upinać skrzętnie spinkami. Później zaczęła chorobliwie często myć ręce. Myła je w kółko, nawet po dotknięciu klamki, po każdym, choćby przelotnym, podaniu komuś ręki. Nie do pomyślenia stały się klej za paznokciami, poplamione farbami dłonie, kolorowe kropki na przedramionach, umazana pastelami twarz... Pewnego razu wybuchła histerycznym płaczem i długo nie mogła się uspokoić, kiedy krople zupy pomidorowej wylądowały na śnieżnobiałym kołnierzyku szkolnego mundurka, który dostała od tamtych dwojga. Początkowo wszyscy przyglądali się temu z rozbawieniem. Z czasem rozbawienie zmieniło się w strach. Dziewczynka przestała być ciepła i radosna.

Stała się nienaturalnie poważna i nadzwyczaj powściągliwa. Próbowano się od niej czegokolwiek dowiedzieć. Matilde milczała. Z każdym kolejnym wyjazdem było coraz gorzej. Zaczęła wstawać skoro świt, aby do upadłego biegać wokół budynku. Mówiła, że tężyzna fizyczna jest w życiu bardzo ważna, a poranna gimnastyka ma dla człowieka niebotyczne znaczenie. Powtarzała ciągle, że tylko ci, którzy mają mocne i zdrowe ciało, mają też zdrowego ducha. Kiedyś zwymiotowała do talerza, próbując zjeść do końca zbyt dużą porcję

jedzenia, którą ktoś jej przypadkiem nałożył.

Twierdziła, że należy zjeść wszystko, że jedzenia się nie zostawia, że miliony ludzi na świecie głodują, więc wyrzucając jedzenie, grzeszy się wobec Boga i ludzi. Wieczorami układała pedantycznie w kostkę swoje ubrania i pewnego razu wpadła w szał, gdy ktoś przez przypadek na nich usiadł. Kładąc się spać, uważała, żeby nie pomiąć pościeli. Leżąc w łóżku, wyglądała jak mumia. Inne dzieci zaczęły się z niej śmiać. Ze łzami w oczach wyrzuciła swoją ulubioną przytulankę, twierdząc, że tylko słabi potrzebują takiego wsparcia. Nic ściągała butów nawet na łące, bo nie należało to do dobrego tonu. Po każdym wyjeździe stawała się dla mieszkańców domu dziecka coraz bardziej obca. Próbując się upodobnić do marzeń tamtych ludzi, z dnia na dzień coraz mniej była sobą. Myślała zapewne, że tylko w ten sposób zdobędzie ich sympatię, będzie godna ich miłości, zasłuży sobie na bycie członkiem ich rodziny. Oni wcale nie pragnęli Matilde takiej, jaka była naprawdę. Do ich wizji szczęścia brakowało im dziecka, które - jak samochód albo wystrój wnętrza w salonie - byłoby skrojone według ich uznania i na ich modłę. Pragnęli zobaczyć w niej odbicie swoich marzeń. Coraz mniej było w Matilde wesołej, pogodnej dziewczynki, a coraz więcej lęku, który z dnia na dzień narastał, aż przerodził się w ciągle towarzyszący jej strach. Nieoczekiwanie tamci ludzie stracili zainteresowanie dziewczynką. Wycofali się, jakby dziecko było samochodem, który im się podobał i który chcieli kupić, ale po jeździe próbnej poczuli się nim rozczarowani. Przestała im odpowiadać po tym, jak w rozmowie z psychologiem usłyszeli, że dziecko to też człowiek i że w tym człowieku trzeba szanować to, co w nim jest inne, akceptować go takim, jakim jest, wychowywać w granicach zdrowego rozsądku, nie zabijając jego osobowości, nie niszczyć jego wnętrza... Po tej rozmowie z panią psycholog Matilde nagle przestała im się podobać. Pracownicy domu dziecka odetchnęli z ulgą... Tamci nie zjawili się już nigdy więcej. Matilde jeszcze długo na nich czekała, myjąc ręce, czyszcząc buty, porządkując pedantycznie pokój... Minęło dobrych kilka miesięcy, zanim dotarło do niej, że oni już nigdy po nią nie przyjadą. Musiał jej to ktoś powiedzieć. Dzieci w swej szcerości bywają okrutne. Zamknęła się w pokoju. Krzyczała coś. Przesiedziała tam całe popołudnie. Nie zjawiała się na kolacji. Wieczorem nie poszła się umyć. Stali pod drzwiami, nasłuchując, jak śmieje się i płacze na przemian. Następnego dnia do śniadania usiadła już zupełnie inna Matilde. Zamiast gładko uczesanych, poupinanych spinkami włosów miała na głowie rozwichrzoną czuprynę, wymięta sukienka zastąpiła pedantycznie wyprasowane wdzianko z wykrochmalonym na sztywno kołnierzykiem, a na idealnie ostatnimi czasy czystych dłoniach pojawiły się ślady tuszu... Wygrzebała nawet spod szafy porzuconą wcześniej przytulankę. Wyrwała się z krępujących ją więzów, zapragnęła znowu być sobą.

Odtąd jednak nic nie było tak jak dawniej. To już była zupełnie inna Matilde. Nie ufała nikomu. Niczego od nikogo nie chciała. Nie miała żadnych oczekiwań. Zbrzydło jej już przymilanie się innym.

Po dziurki w nosie miała rozczarowań. Nagle zapragnęła wieść spokojne, obojętne, bezpieczne życie bez wielkich wzlotów, ale i bez upadków. Marita opowiadała o Matilde, a ja wtedy pomyślałam o Konradzie. Przyszło mi na myśl, że z Konradem musiało być kiedyś podobnie, a może nawet tak samo. Po latach ciągłych rozczarowań i przegranych w dorosłym życiu udowodniał sobie, że zasługuje na miłość i może być kochany. Nie wierząc do końca, że można go kochać dla niego samego, podszywał się co

rusz pod inne postacie. Próbował dopasowywać się idealnie do oczekiwań swoich kolejnych wybranek, a kiedy zdobywał to, o czym marzył, wycofywał się w popłochu z obawy, że dziewczyna go zostawi, kiedy odkryje, jaki jest naprawdę.

Nagle jeszcze bardziej pożałowałam słów wykrzyczanych do niego w tamtej włoskiej restauracji. Przecież już wtedy wiedziałam, czułam instynktownie, byłam pewna, że w jego postępowaniu musi istnieć jakiś związek przyczynowo-skutkowy. Chciałam go zniszczyć, chociaż gdzieś w środku czułam, że go krzywdzę...

To było silniejsze ode mnie. Nie mogłam mu darować, że tak po prostu zmarnował coś cennego. I nie tyle o Beatę mi chodziło, ile o to, co było między nimi. Poniosły mnie wtedy nerwy, dałam mu się sprowokować, zachowałam się nieprofesjonalnie. Na nic zdała się ogólnie znana wiedza, że nigdy nie należy atakować ludzi, lecz tylko ich poglądy. Ja i tak uderzyłam wtedy prosto w niego. „Idiotka - pomyślałam - do tego po socjopedagogice”. Tam, w Chile, dzięki Matilde wszystko zrozumiałam. Szkoda, że trochę za późno.

Nie mogłam się doczekać tego popołudniowego spotkania z nim. W końcu minęło już trochę czasu. Dziwne, ale ja pamiętałam go z tamtej włoskiej restauracji, jakbyśmy byli tam zaledwie wczoraj. Zawsze lubiłam mu się przyglądać. Ujmujący w sposobie bycia, zawsze pogodny, spontaniczny w reakcjach, potrafił nie tylko mówić, ale i słuchać, przyciągał wzrok smagłą cerą, czarnymi oczyma, południowo-europejskim typem urody. Pamiętam, spóźniłam się trochę na to spotkanie. Beata zadzwoniła do mnie tuż przed moim wyjściem. Szlochając do słuchawki, dołała tylko oliwy do ognia. Nigdy jej nic powiedziałam, że spotkaliśmy się wtedy. Bo i po co? Ta rozmowa okazała się przecież totalną klęską. Siedział w rogu sali, odgradzony od całej reszty płataniną jakichś pnączy tworzących gęstą zieloną ścianę, rosnących w tym zakopconym, ciemnym pomieszczeniu jakby wbrew logice. Były to chyba dwie rośliny, bo ich liście wyraźnie się różniły. Jedne były w całości ciemnozielone, drugie, pomimo identycznego kształtu, miały seledynowe brzegi. Siedział tuż przy ścianie zbudowanej z ciemnych, pokrytych mchem kamieni, po których sączyła się woda.

Wąskie strużki łączyły się w większe strumienie, które podskakiwały na kamieniach wystających gdzieś ze ściany. Pojedyncze strumienie zlewały się z sobą, żeby na koniec utworzyć mały wodospad, spadający migoczącą w świetle świec ścianą wody na kamienne stopnie niknące gdzieś za gęstwiną zieleni. Moje zmysły musiały pracować wtedy bardzo intensywnie, bo zapamiętałam mnóstwo bezsensownych szczegółów, które nie miały ani wtedy, ani potem żadnego znaczenia. Pamiętam włoskiego kelnera, który postawił przed nim lampkę schłodzonego prosecco, szkło kieliszka zroszone kropelkami rosy, śnieżnobiałą koszulę tamtego Włocha, jego wyprasowane na kant spodnie, czubki czarnych butów, w których można było się przejrzeć... Konrad miał na sobie niebieską koszulę niedbale rozpiętą pod szyją. Pamiętam podwinięte rękawy, mocno opalone przedramiona, ciemne włosy, jeszcze mokre od padającego na zewnątrz deszczu, rękę bawiącą się niezapalonym papierosem... Lunęło tuż przed osiemną. Musiał iść w tym deszczu, bo przylegająca mu do ciała, nasiąknięta wodą koszula była na ramionach i plecach intensywniej niebieska.

Od tamtego popołudnia minęły dwa lata, a ja pamiętam wszystko - każdy gest, każde słowo, każde spojrzenie... Jestem pewna, że żaden szczegół nie zatarł się w mojej pamięci. Pamiętam, jak z daleka pomachał mi ręką. Obserwował mnie, kiedy przepychałam się pomiędzy gęsto ustawionymi stolikami. Wstał na przywitanie, jakby fakt, że właśnie rozstał się z Beatą, nic

między nami nie zmieniał, jakby zupełnie nas nie dotyczył... Byłam wściekła na siebie, że tak dobrze mi jest w jego towarzystwie. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym i raptem zaczęliśmy mówić o zbliżających się wakacjach. Powiedział, że nie wypiera się żadnych wcześniejszych zobowiązań, że pojedzie jako lekarz na turnus rehabilitacyjny.

Niespodziewanie zbliżyliśmy się do zapalnego tematu. To Beata namawiała go na ten wyjazd.

Później nasza rozmowa zmieniła się w regularną kłótnię. Pamiętam, jaki był zaskoczony moim wybuchem. Patrzył na mnie zdziwiony. Z jego twarzy zniknął goszczący tam zwykle uśmiech. Wykrzyczałam mu w twarz słowa, które miały zobrazować to, co o nim myślę, chociaż wcale tak nie myślałam. Wyszłam, żeby już po chwili tego żałować.

Tym razem umówiliśmy się nie we włoskiej restauracji, lecz w małej knajpce. Może i lepiej, bo to miejsce położone w pobliżu kortów i jego domu nie budziło we mnie żadnych emocji... Przed dwoma laty graliśmy tam raz w tenisa. Spotkaliśmy się na kortach w czwórkę i nazwaliśmy tę naszą grę deblem, chociaż z prawdziwym tenisem nie miało to nic wspólnego. Z naszej czwórki tylko Konrad miał pojęcie o tym sporcie. Inni musieli na początku zaznajomić się z nieznaną nomenklaturą. Gra jak to gra - po ostatniej piłce nagle straciła znaczenie. Poszliśmy wtedy razem na piwo właśnie do tej małej restauracji. Nic się tutaj w ciągu ostatnich dwóch lat nie zmieniło - duszno, tłoczno, szaro od dymu... Wtedy grał w tle jakiś pianista, dzisiaj słychać było tylko szum rozmów. Był już. Czekał, wpatrując się jak zahipnotyzowany w swoją komórkę, która leżała na stole tuż przy kuflu piwa.

- Nie zadzwoniła? - Staralam się, żeby to pytanie zabrzmiało obojętnie, chociaż zżerała mnie ciekawość.

- Nie, nie zadzwoniła - powiedział rozdrażniony. - Pewnie też więcej nie zadzwoni. Może jej już wszystko dawno przeszło... Zresztą to nie ten typ...

- Odkąd tak znasz się na ludziach?

- W pewnym sensie od zawsze - mruknął pod nosem.

- Umiesz to perfidnie wykorzystywać - rzuciłam złośliwie. - Nie zmieniłeś się. - Przyglądałam mu się uważnie, wściekła sama na siebie, że jak dawniej mi się podoba. - Jak widać, łajdactwa ci służą - powiedziałam z przekąsem i nagle sama

przestraszyłam się swoich słów.

Ostra wymiana zdań wisiała na włosku. Znowu, jak wtedy, przed dwoma laty, dzielił nas krok od awantury. Próbowałam jakoś odwrócić jego uwagę od tych moich nieopatrznie wypowiedzianych słów. Zapaliłam papierosa, zaciągnęłam się głęboko i wypuściłam ustami smużki dymu. Wiedziałam, że go zaskoczę. Kiedyś tępiłam go za te jego papierosy. Przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Zaproponowałam mu pomoc. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że okaże się to takie łatwe. Ta dziewczyna była w pierwszej z tych jego studenckich grup. Powiedziała, że życie jest wartością samą w sobie i choć nie tak dawno przez moment pomyślała, że jak wszystkie wartości się dewaluuje, to już po paru godzinach doszła do wniosku, że mimo wszystko była w błędzie. Niby nic, ale zabrzmiało dziwnie. Nic kłamała. Wszyscy jej uwierzyli. Od razu się domyśliła, czemu ma służyć ta niekonwencjonalna zabawa. Po zajęciach podeszła do mnie. Stałam na korytarzu, czekając na Konrada, który



dyskutował jeszcze w sali z jakimś studentem. Powiedziała, że chciałaby ze mną porozmawiać. Zależało jej na spotkaniu jeszcze tego samego popołudnia. Zgodziłam się.

Spotkałyśmy się na Starym Mieście, zaledwie parę metrów od mojej ulubionej herbaciarni. Z tego miejsca widać już było ciężkie ciemnozielone zasłony upięte stylowo przy ramach olbrzymich okien, mdłe światło sączące się ze środka, masywne mosiężne lampy z mozaikowymi abażurami, stojące na blatach dwóch widocznych z zewnątrz stołów. Raptem zateśkniłam za tym wnętrzem. Kiedyś bywałam tam często. Pomyślałam, że wczesnym popołudniem zwykle jest tam jeszcze pusto, że będzie można swobodnie porozmawiać.

Zaproponowałam tej dziewczynie filiżankę herbaty. Zgodziła się bez zastanowienia, chyba było jej wszystko jedno, gdzie będziemy rozmawiać. Usiadłyśmy w rogu sali, zupełnie na uboczu, z dala od innych. Ona milczała, wpatrywała się w postawioną przed nią filiżankę z parującym płynem, bezmyślnie mieszała łyżeczką malinowe konfitury. Ja ze zdenerwowania zamówiłam sobie herbatę po gruzińsku. Oprzytomniałam dopiero w momencie, kiedy duży łyk gorącego płynu zaparł mi dech w piersiach. O Boże, na śmierć zapomniałam o wódce dodawanej do tej herbaty. Zmieszana z wódką słodycz miodu okraszonego nutą wanilii, podana na gorąco z naparem z herbaty spowodowała, że momentalnie zrobiło mi się gorąco, a po krótkiej chwili świat wokół mnie zawirowało. Boże, ależ ja mam słabą głowę. Czy można się upić herbatą?

- O rany - wykrztusiłam z trudem. - Zapomniałam o tej wódce - dodałam po chwili. - Marzyła mi się słodka herbata jako antidotum na tę pluchę na dworze. Jestem tak jakoś śmiesznie skonstruowana, że kiedy jest chłodno, to potrzebuję więcej cukru. Mam koleżankę, która jesienią zjada codziennie tabliczkę czekolady. Twierdzi, że czekolada to najlepszy antydepresant. Nie wiem, czy to prawda, ale ja czułabym się fatalnie, gdybym systematycznie co miesiąc przybierała po dwa kilogramy. To dopiero można wpaść w depresję... - plotłam bez sensu. Pomyślałam sobie, że mnie pokarało. Kiedy zamawiałam herbatę z podwójnym wkładem, myślałam o miodzie. Może miodu też więcej dostałam, tego nie byłam pewna, ale co do wódki, to nie miałam żadnych wątpliwości. Po twarzy dziewczyny zaczął się błąkać uśmiech. Pomyślałam, że bredzę chyba wyjątkowo żałośnie.

- Pani się denerwuje? - spytała zdziwiona.

- Mam na imię Julia... - próbowałam uciec od tego pytania.

- Denerwujesz się? - powtórzyła, wpatrując się we mnie uważnie.

- Nic - zaprzeczyłam gwałtownie, chociaż serce nagle podskoczyło mi do gardła. - Dlaczego pytasz?

- Może mi się tylko tak wydawało - zrobiła nagle unik.

Czułam się fatalnie. To nie było zdenerwowanie, tylko jakieś bliżej nieokreślone poczucie winy. Czułam dyskomfort, wewnętrzny niepokój. Powinnam była Konradowi o tym powiedzieć. Podszedł do mnie po zajęciach, a ja nagle postanowiłam, że nie powiem mu prawdy.

„Nic, naprawdę nic, jej na pewno nie było w tej grupie...” - rzuciłam bez zająknięcia. Sama nic mogłam uwierzyć, że potrafię tak gładko kłamać. Po twarzy Konrada przebiegł cień.

Poczułam się okropnie. Może w końcu wydusiłabym z siebie prawdę, gdyby nic to, że odwrócił się nagle na pięcie i odszedł, zapominając się ze mną pożegnać. Jak można cokolwiek tłumaczyć oddalającym się plecami?

- Nazywam się Agnieszka - dotarł do mnie jak z zaświatów głos dziewczyny. - Jesteś córką Melanii Malczyckiej? - spytała niespodziewanie. - Lubię twoją mamę... - stwierdziła, nie czekając na odpowiedź. - Ma ciekawe pomysły. Zaprosiła nas kiedyś na zaskakujące zajęcia. Było to spotkanie z lekarzami w ramach grupy Balinta - ożywiła się nagle. Jakby to, że na chwilę można odepchnąć od siebie tamten temat, było jej bardzo na rękę, - To było niesamowite doświadczenie. Takie zupełnie inne spojrzenie na relacje lekarz-pacjent.

Przestają się liczyć aspekty medyczne, rozpoznanie również traci na znaczeniu, ważne są tylko relacje międzyludzkie... - mówiła jak najęta. - Znasz ideę grup Balinta? - spytała niespodziewanie.

- Niespecjalnie - mruknęłam pod nosem.

- To takie grupowe pranie mózgu na podstawie przypadków wziętych z życia... Na każdy problem można spojrzeć z różnych stron - próbowała wyjaśnić. - Każdy z nas widzi wydarzenia inaczej, jakby przez pryzmat swoich doświadczeń i swojej wrażliwości... Grupa pracuje nad danym przypadkiem. To pomaga się zdystansować, odreagować, osiągnąć wewnętrzny spokój...

- Chyba nie rozumiem - powiedziałam niepewnie.

- Wyobraź sobie, kilkanaście osób siedzi w kole

i jedna z nich opowiada jakieś wydarzenie, które zapadło jej głęboko w pamięć, które przerosło ją lub zaskoczyło. Jakąś relację międzyludzką, która nagle wymknęła się spod kontroli. Później ta osoba się wycofuje, a pozostali członkowie grupy rozpatrują różne aspekty tego wydarzenia. Na tych zajęciach po raz pierwszy dotarło do mnie, że medycyna to nie tylko wiedza. To cała gama emocji.

- Jakoś nadal tego nie czuję...

- Jeden z lekarzy opowiedział pewne wydarzenie, które od paru tygodni nie dawało mi spokoju. Pojechał na wizytę do pacjenta. Odwiedzał

go często, lecz medycznie niewiele mógł mu już pomóc. Warunki socjalne były przerażające. Dziadek leżał w brudnym barłogu, pościel cuchnęła moczem, a obok niego wały się resztki jedzenia. W pomieszczeniu było zimno, a przychodząca do pacjenta pielęgniarka koncentrowała się na nakarmieniu go i zmianie pampersa. Lekarz walczył o miejsce w domu opieki społecznej, a kiedy mu się to nareszcie udało i poinformował o tym pacjenta, ten splunął mu pod nogi... Zadziwiająca-dodała po chwili. - Zadziwiająca... - powtórzyła. - Aż trudno uwierzyć, jak skomplikowane bywają relacje międzyludzkie...

Czekałam na dalszy ciąg jej relacji, lecz ona raptem zamilkła. „Chyba nie będzie mi dane poznać ideologii grup Balinta” - pomyślałam. Nic wiedziałam, że Melania prowadzi takie zajęcia. Herbata już dawno ostygła i nawet ta wódka przestała mi już przeszkadzać. Wypiłam parę łyków. Agnieszka milczała, a ja zapatrzyłam się na świat za oknem. Pojedynczy przechodnie przemykali szybko, próbując osłonić się od deszczu i wiatru płachtami parasoli.

Nie przepadam za jesienią. Tyle w niej smutku, melancholii i przemijania...

- Ktoś ostatnio doradzał mi splunięcie pod nogi jako formę ustosunkowania się do pewnego problemu... - Głos Agnieszki z trudem przedarł się do mojej świadomości. - Uderzenie kogoś w twarz jako sposób zmanifestowania własnego zdania... - zaczęła nagle zbliżać się od interesującego mnie tematu.

- Głupi pomysł... - weszłam jej w słowo.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona. - Bo nic wypada? -zaatakowała mnie nagle. Tego się nie spodziewałam. - Nic bądźmy obłudni! Ktoś nas kopie, a my mamy to godnie znosić? W ten idiotyczny sposób wyrażać swoją kulturę osobistą? Cierpieć w milczeniu, żeby światem mogły rządzić kanalie... - dociskała mnie do muru coraz bardziej.

Teraz już nie byłam pewna, co powinnam jej odpowiedzieć. - Tamte rady mi pomogły... Naprawdę! - mówiła głośno. - Pozwoliły mi odbić się od dna, spojrzeć na sprawę z innej strony, nabrać do pewnych rzeczy dystansu... Uchroniły przed zrobieniem z siebie totalnej idiotki...

- Splunęłaś komuś pod nogi? - nie mogłam uwierzyć własnym uszom. - Uderzyłaś kogoś w twarz? - Byłam przerażona. „Melania miała rację - pomyślałam. - Konrad kompletnie nie nadaje się do pracy w telefonie zaufania. On z tą jego skrzywioną moralnością nie powinien udzielać rad innym”.

Nie - zaprzeczyła gwałtownie Agnieszka. - Nie zrobiłam tego, ale mogłam zrobić... Sama myśl że mogę się tak zachować, mi wystarczyła. Od razu poczułam się lepiej...

Zamówiłam drugą herbatę z nadzieją, że zmysły mi się wyostrzą i że zacznę tę dziewczynę choć trochę rozumieć.

- Nie wiem, co doktor Adamczak ci powiedział...

- spojrzała na mnie uważnie.

- Właściwie nic - palnęłam bez zastanowienia. Przestraszyłam się jej wzroku.

- Jak to nic? - Patrzyła na mnie zaskoczona. - Tak zupełnie nic, a ty ni stąd, ni zowąd postanowiłaś poprowadzić dzisiaj z nami te zajęcia?

Przeszyła mnie wzrokiem na wylot, aż mi się nagle zrobiło gorąco. „Muszę się nauczyć kłamać - pomyślałam. - Okazuje się, że to równie ważna umiejętność jak mówienie prawdy”, - Może nie całkiem nic... Trochę... Parę słów, które sprawiły, że postanowiłam pomóc...

- Głupio mi - powiedziała nieoczekiwanie. - Doktor się przejął... Ty się w to zaangażowałaś...

Kiepsko to wyszło...

„Nie do końca kiepsko - pomyślałam. - W każdym razie nie dla mnie”.

- Doktor Adamczak mnie zaskoczył... - mówiła dalej. -Myślałam, że to taki totalny luzak...

Wczoraj chciałam się z nim skontaktować. Dzwoniłam do niego wieczorem parę razy. Nie odbierał... Chciałam mu tylko powiedzieć, że bardzo mi pomógł... Było już późno, na pewno grubo po dziesiątej. Pomyślałam, że mu przeszkadzam... Zrezygnowałam, a dzisiaj uświadomiłam sobie, że on mnie szuka... Głupio wyszło...

- Może trochę...

- Czuję się fatalnie... Kiedy opowiadałam mu tę swoją historię, to w miarę jak mówiłam, nabierałam do niej dystansu. Dotarło do mnie, jak bardzo się mylę, mówiąc, że wszystko straciło dla mnie znaczenie. Nadal wiele rzeczy było ważnych. Opowiadałam mu o małej dziewczynce na przystanku tramwajowym, o starszej kobiecie siedzącej na balkonie...

Rozłączyłam się, bo czułam w głowie zupełny mętlik. Musiałam sama z sobą dojść do ładu.

Nawet nie drgnęłam. Nadal trzymałam słuchawkę w dłoni, siedziałam w ciemnym pokoju na podłodze, opierałam się plecami o ścianę. Przed tą rozmową wydawało mi się, że liczy się tylko mój smutek i Kamil. Nie mogłam uwierzyć, że są na świecie rzeczy, które nadal są dla mnie ważne, ważniejsze niż to poczucie przegranej, istotniejsze niż rozczarowanie, bardziej

znaczące niż Kamil. Powiedziałam doktorowi Adamczakowi, że muszę się jakoś ustosunkować do tego świństwa wyrządzonego mi przez Kamila. Wcześniej milczał, lecz po tych słowach wybuchnął: „To się ustosunkuj, do jasnej cholery...! Zrób to z fantazją! Strzel go w gębę! Spluń mu pod nogi! Otwórz tamtej idiotce oczy! A później go olej! Zostaw go otumanionego na środku korytarza i odejdz!...”. Pomyślałam, że rozpacz zdecydowanie obniżyła moją zdolność percepcji, że musiałam się przesłyszeć... Nigdy bym nie podejrzewała, że ten facet reprezentuje takie poglądy.

- Nagle zamilkła. Wyprostowała się. Spojrzała w moją stronę lekko zażenowana. - Przepraszam - burknęła pod nosem. - Głupio mówić o wykładowcy „facet”...

- Przecież to jest facet...

- Przemyślałam wszystko... Nie zajęło mi to wiele czasu. W duchu od razu przyznałam mu rację - mówiła. - Postanowiłam się wznieść ponad własną rozpacz i pożegnać się z Kamilem ze swoistą klasą. Poczułam chęć zburzenia jego wewnętrznego spokoju, zasiania w nim niepewności, zmniejszenia jego poczucia wygranej. Zemsta, cóż za cudowne słowo! Palnąć go w gębę - to nie w moim stylu. Obmyśliłam moją zemstę inaczej. Miałam u siebie parę jego rzeczy, kilka drobiazgów, których chciałam się pozbyć. W mojej szafie wysiały jego ubrania, na półce w łazience stały przybory toaletowe, w sypialni walał się jego podręcznik chorób wewnętrznych, kilka jego płyt stało na półce obok moich... Zapakowałam wszystko starannie.

Przejrzałam całe mieszkanie. W ostatniej chwili dołożyłam jeszcze nasze zdjęcie z ostatnich wspólnych wakacji w Saksonii. Na zdjęciu staliśmy na kamiennym moście Bastei w Szwajcarii Saksońskiej. Przecięłam tę fotografię na połowę. Trochę żał mi było, że oddaję mu ten niepowtarzalny widok za moimi plecami: wapienne skały schodzące pionową ścianą w kierunku wijącej się gdzieś w dole Łaby, parowce wielkości pudełek od zapalek płynące po rzece, pociąg, z tej wysokości do złudzenia przypominający dziecięcą kolejkę elektryczną, motorówki pozostawiające na srebrze rzeki wachlarze białego pieniącej się wody... Kiedyś tam pojedę... Nawet to, że byłam tam z Kamilem, nie jest w stanie zepsuć mi tego miejsca... - Przerwała. - Zanudzam cię? - spytała nieoczekiwanie.

- Nie, skądże, próbuję sobie wyobrazić to miejsce.

- Kiedy przygotowałam już to wszystko, zadzwoniłam do Mariusza - wróciła do swojego opowiadania. - To mój starszy kuzyn. Kiedyś przepadalіśmy za sobą, później z różnych powodów więzy rodzinne między nami się poluzowały, natłok codziennych obowiązków sprawił, że z czasem spotykaliśmy się coraz rzadziej, a ostatnio widywaliśmy się sporadycznie i najczęściej przypadkiem. Kamil i Mariusz nigdy wcześniej się nie spotkali. Mariusz ma furę jak się patrzy, wygląda, jakby go wycięto z magazynu mody, zachowuje się jak książkę, więcej wydaje miesięcznie na siłownię i ubrania niż ja na wszystko razem przez pół roku.

Pracuje w jakiejś międzynarodowej firmie, częściej bywa w Szwajcarii niż w kraju. Miałam olbrzymie szczęście, że go zastałam w domu. Niewiele mu powiedziałam, więcej się chyba domyślił. Sam zaproponował pomoc. Odwieźliśmy Kamilowi jego rzeczy. Postawiliśmy pudło z tym wszystkim pod jego nogami na korytarzu w zakładzie farmakologii. Odeszliśmy, trzymając się za ręce. Objęci wsiedliśmy do samochodu, żeby pięć minut później pojechać na lody. Nie splunęłam mu pod nogi... Zrobiliśmy to wykwintniej i z większą klasą.

Nie muszę się wstydzić swego zachowania i nie mam sobie nic do zarzucenia, ale myślę, że poczuł się, jakbym go „strzeliła w gębę” albo „splunęła mu pod nogi” i „zostawiła go

ogłupiałego na korytarzu”. Zresztą, ogłupiałego na korytarzu to go i tak zostawiłam... Tego jego głupiego wyrazu twarzy chyba nigdy nie zapomnę. Odwróciłam się na pięcie i odeszłam. „Olałam go”, jak radził doktor Adamczak, i od razu było mi lepiej. Zniknęło uczucie przegranej. Mariusz o nic nie pytał i nic więcej nie chciał wiedzieć. Wyjątkowo nigdzie się nie spieszył. Po lodach wypiliśmy kawę, a po niej zjedliśmy jeszcze po dwie rurki z bitą śmietaną. Zasłodziłam się tak okropnie, że od nadmiaru cukru zrobiło mi się niedobrze i to stało się dla mnie ważniejsze, o wiele ważniejsze od świństwa, które zrobił mi Kamil. Usłyszałam od mojego kuzyna, że mam klasę, bo nie zachowałam się jak zakochana idiotka, lecz jak pełna godności współczesna kobieta, która w elegancki sposób zdołała utrzyć nosa tej durnowatej i zarozumiałej kanalii. Powiedział, że facet od razu nie przypadł mu do gustu, że jest słodki jak tort czekoladowy, którego on nie cierpi, i oślizgły jak wąż, którym się brzydzi, i że zwykle takich ludzi omija z daleka. Tamtego wieczoru nie mogłam uwierzyć, że jeszcze dzień wcześniej miałam myśli samobójcze, że dałam się powalić i wdeptać w glebę przez takie moralne zero... - Zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się, czy powinna mi coś jeszcze powiedzieć. Dopija herbatę, dojadła konfitury. Rzuciła wzrokiem na sąsiedni stolik, gdzie przed chwilą usiadły jakieś dwie starsze kobiety. Przysłuchiwała się, co zamawiają, jakby to, że życzą sobie herbaty jaśminowej z miodem akacjowym, było dla niej informacją najwyższej wagi.

- Po powrocie do domu zadzwoniłam jeszcze do

pani profesor Wrońskiej w sprawie operacji - odezwała się cicho. - Powiedziała, że kiedy podejmę decyzję, to mogę do niej w każdej chwili zadzwonić. Podała mi nawet swój prywatny numer telefonu. Ona jest trochę nietypowa jak na nauczyciela akademickiego i szefa klinik i... To znamię miałam już od dawna, wydaje mi się, że od zawsze. Nagle powiększyło się trochę, otoczyło jaśniejszą obwódką i zaczęło swędzieć. Początkowo myślałam, że to nic takiego. Nietypowa reakcja po nadmiernej ekspozycji na letnie słońce. W końcu moje wakacje były pełne słońca. W czerwcu, zaraz po egzaminach, zeglłowaliśmy przez trzy tygodnie pomiędzy chorwackimi wyspami na Adriatyku. Później spędziłam kilkanaście dni jako wychowawczyni na koloniach letnich w Łebie. We wrześniu przewędrowaliśmy z plecakami pół Saksonii... Słońca to mi w tym roku nie brakowało. Po wykładzie o czerniaku złośliwym podeszłam do prowadzącej wykład profesor Wrońskiej. W pierwszej chwili wybuchnęła śmiechem. Powiedziała, że to typowa reakcja studentów, którzy po jej wykładzie często oceniają wszystkie swoje znamiona barwnikowe jako wyjątkowo nietypowe i potencjalnie niebezpieczne. Zaprosiła mnie do gabinetu, dokładnie pooglądała to moje znamię i stwierdziła, że jednak trzeba je wyciąć.

Wycięto mi je ambulatoryjnie dwa dni później.

Pani Wrońska zadzwoniła do mnie po paru dniach.

Poinformowała mnie, że musimy się spotkać. Sparaliżowało mnie. Świat zawirował mi przed oczyma. Zrobiło mi się słabo. Bałam się, że zaraz upadnę. Jej słowa nie dotarły do mnie. Co ona takiego powiedziała? To niemożliwe! Jak to? To znamię okazało się jednak groźne? Poprosiła, żebym do niej przyjechała. Zaprosiła mnie do swojego gabinetu, posadziła w głębokim fotelu, poczęstowała pierniczkami w czekoladzie i herbatą z sokiem malinowym, jakby to miało złagodzić informację, że mam raka. Powiedziała, że zmiana nie jest wycięta doszczętnie, że trzeba koniecznie powtórzyć zabieg.

Ona mówiła, a ja oczyma wyobraźni widziałam już tę szramę na pół mojej nogi. Twierdziła, że trzeba przeprowadzić diagnostykę węzłów chłonnych, wykluczyć odległe przerzuty... Należy zrobić tomografię komputerową czaszki, scyntyografię kości, badanie ultrasonograficzne jamy brzusznej, rentgen klatki piersiowej, rezonans magnetyczny wątroby... Mówiła tak, jakby była pewna, że muszą istnieć przerzuty. Poinformowała mnie, że od tych badań uzależniona jest dalsza terapia.

Wspomniała coś o interferonie. Nie wszystko zrozumiałam. Jej słowa zagłuszało bicie mojego serca. Roztaczała przede mną wizję długotrwałego leczenia, ciągłych kontroli... Raptem dotarło do mnie, że przyjdzie mi teraz żyć w ciągłym lęku... Mówiła spokojnie, uśmiechała się przy tym ciepło, jakby nic zdawała sobie sprawy, że nagle zatrzęsło całym moim światem. Nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Piernik utkwiał mi w gardle.

Myślałam, że się nim uduszę. Dała mi czas na zastanowienie. Uścisnęła mi rękę na pożegnanie. Wymownym spojrzeniem na zegar wiszący na ścianie dała do zrozumienia, że musimy się już pożegnać, bo za chwilę rozpoczyna następne zajęcia. Kiedy stałam przy drzwiach zupełnie otumaniona, wcisnęła mi do ręki kartkę ze swoim numerem telefonu.

Powiedziała, że ma syna w moim wieku i że potrafi sobie wyobrazić, co czuję. Myślę, że nikt nie może sobie wyobrazić tego, co czułam, nawet ona. Zadzwoiłam do Kamila. Bardzo potrzebowałam jego obecności i wsparcia. Właśnie miałam z nim o tym porozmawiać, kiedy niespodziewanie pokazał mi te obrączki, powiedział o dacie ich ślubu. W ciągu paru godzin runął cały mój świat. Wszystkie daty przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Plany przestały się liczyć. Że też jeden dzień może tak wszystko zmienić! Załamalam się. Przez krótki moment myślałam, że nie ma po co walczyć... Że lepiej się nie szarpać... - mówiła cicho. - Że łatwiej będzie zasnąć i więcej się nie obudzić... Właściwie to doktor Adamczak otworzył mi oczy. Szkoda, że tego ode mnie nic usłyszał... Naprawdę, bardzo chciałam...

- Dziewczyna zamyśliła się na chwilę. Bawiła się bezwiednie stojącą przed nią na stole, pustą już od dawna filiżanką. - Czerniak czerniakiem, można go wyciąć - zaczęła po chwili niepewnie. - Nie ja pierwsza jestem chora i nie ja ostatnia. Trzeba to wyciąć do końca. Muszę przejść diagnostykę... To jest jasne. Prawdopodobnie czekają mnie później kuracja interferonem i regularne kontrole... Dużo tego wszystkiego, ale przestało mnie przerażać. Dam radę - z Kamilem czy bez niego. Tamtego Kamila, któremu chciałam zaufać, i tak nie ma. Pewnie go nigdy nie było. Wszystko to sprawa pozorów, gry słów i gestów, wiele dopowiadającej wyobraźni. Całe szczęście, że to wszystko wydało się teraz, a nie potem...

Początkowo mówiła niepewnie i powoli. Później, widząc, że jej słucham, rozkręcała się z minuty na minutę coraz bardziej, mówiła coraz głośniej i coraz odważniej. To był ten sam głos, który słyszałam w nocy, ale zupełnie już inna dziewczyna. Jakby ktoś ją odmienił, wlał w nią nowe życie, nappełnił ją nadzieją. „Kto by pomyślał, że Konrad ma takie zdolności - pomyślałam mimo woli. - Nieodkryty wcześniej, samorodny talent. Jest niekonwencjonalny, bezpośredni, niespętany zasadami, niezepsuty przez przemyślenia filozofów, niezastraszone przez widmo porażki...”. A Melania uważała, że sobie w tym telefonie zaufania nie poradzi.

Poradził sobie znacznie lepiej, niż zrobiłby to ktokolwiek inny. Zapewne nie tego spodziewałby się po nim ten ich profesor, ale w końcu jakie to ma znaczenie. W ostatecznym rozrachunku liczy się efekt, a efekt był zaskakujący i niepodważalny.

- Wiesz - wyrwał mnie z zamyślenia głos dziewczyny -kiedy zadzwoniłam do tego telefonu

zaufania, to chciałam się tylko wygadać. Czułam, że muszę to z siebie wyrzucić... Ze tylko wtedy uda mi się spokojnie zasnąć... Doktor Adamczak był ostatnią osobą, na którą chciałam trafić. Nawet nie przypuszczałam, że on może tam dyżurować. Jakoś mi do tego nie pasował. Gdy usłyszałam jego głos, w pierwszej chwili pomyślałam, że nawet dzwoniąc tam, muszę mieć pecha... Mówiłam, a on słuchał. Zupełnie się nie odzywał. Powiedziałam, że muszę się do tego wszystkiego ustosunkować. Nagle przerwał mi gwałtownie... Mówił podniesionym głosem, prawie krzyczał. A mnie to właśnie było potrzebne. Paroma wykrzyczanymi zdaniami zdołał mnie wyrwać ze szponów rozpacz, sprowadzić z otchłani bólu z powrotem na ziemię. Myślę, że uratował mi tym życie. - Zamilkła na chwilę. Znow zaczęła się bawić filiżanką. - Jestem bardzo wdzięczna doktorowi Adamczakowi - powiedziała, akcentując wyraźnie każde słowo. - Okazuje się, że go wcześniej kompletnie nie znałam. To świetny człowiek... - Znow urwała. Spojrzała na mnie uważniej. - Przekaż mu, proszę, to wszystko ode mnie... Ja nic zdążę. Nie będę już dzwonić. To nic jest rozmowa na telefon. Jutro rano mam się zgłosić do szpitala... Pewnie trochę to potrwa. Powiedz mu, proszę, że wszystko jest już dobrze... Nie musi mnie już szukać... Nie musi się o mnie martwić... To takie miłe, że jestem dla kogoś ważna...

Zamilkła i spojrzała na mnie uważnie znad pustej filiżanki po herbacie.

- Przekażesz mu?

- Oczywiście, że przekażę - potwierdziłam gorliwie, żeby nawet przez chwilę nie miała wątpliwości. Dobrze, że mu tego wszystkiego sama nie powiedziała.

Siedziałyśmy, rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, piłyśmy kolejne herbaty i jadłyśmy kolejne konfitury. Czas biegi gdzieś obok. Za oknami szarość nabierała głębi, by w końcu przejść w czerń. Nigdy się wcześniej nad tym nie zastanawiałam, że nawet ciemność zależy od pory roku. Ciemność może być granatowa - jak latem, kiedy niebo jest rozgwieżdżone, a księżyc rzuca jasną poświatę, brązowa - jak śnieżną zimą, atramentowoniebieska - jak wiosną, kiedy dzień jest długi, a świt nadchodzi szybko, albo czarna - jak jesienią. Jesienią wszystko wydaje się gorsze. W każdym razie tamtego wieczoru ciemność była czarna. Ani blade światło księżyca, ani migotliwe światło gwiazd nie było w stanie przebić

r

się przez gęstą powłokę chmur. Świat za oknem był czarny i nawet światło latarni nie było w stanie rozproszyć tej czerni. Wracając z herbaciarni, pomyślałam, że nic nie powiem Konradowi o tym spotkaniu, że zostawię tę dzisiejszą popołudniową rozmowę tylko dla siebie. Konrad się zmienił, ale ta zmiana może się okazać przejściowa, nietrwała.

Ponoć dorośli ludzie w ogóle się nie zmieniają, a co dopiero w tak krótkim czasie. Coś nagle drgnęło w nim w środku, coś nim wstrząsnęło, sprawiło, że zaczął czuć i rozumieć inaczej. „A może zawsze czuł i rozumiał inaczej, tylko nie potrafił się do tego przyznać?

Odkrył teraz sam siebie i tak już zapewne zostanie - pomyślałam. - Nie! - zaprzeczyłam po chwili własnym myślom. - To wszystko trwało za krótko”. Wpadłam na pewien pomysł. Był jeszcze niewyraźny i blady, rozmyty i bez wyrazu, wylaniał się powoli z mojej podświadomości, przerażał mnie, wydawał się nieetyczny i niewłaściwy, powstał jakby wbrew mojej woli, moim poglądom na temat wolności, zupełnie sprzeczny z moją naturą...

Wracałam do domu powoli, noga za nogą, walcząc z sobą i z własnym poczuciem moralności. Poślizgnęłam się na zamrożonej kałuży, chwyciłam się latarni, w ostatniej chwili

złapałam równowagę. Czyżby niebiosa od razu chciały mnie pokarać za te myśli? „To nic niebiosa, tylko jesień - pomyślałam natychmiast. - Niebiosa na pewno nic interesują się takim błahymi ziemskimi sprawami”.

- Szlag by to trafił! - mruknęłam pod nosem. - Jak ja nie cierpię późnej jesieni. A potem pomyślałam, że w końcu cci uświęca środki... Kiedyś ten pogląd wydawał mi się bardzo naciągany, tłumaczył wiele oszustw i kanciarstw, nadawał inny wymiar historycznym niesprawiedliwościom, tłumaczył przemoc tyranów, usprawiedliwiał błędy i niekompetencję głów państw i podrzędnych polityków... Ale w końcu ja też mogę zrobić wyjątek. Wyjątki zwykle potwierdzają regułę... Podszyję się pod tę dziewczynę, pociągnę to jeszcze parę dni, a może parę tygodni, zmienię go dla innych, a może dla mnie samej, bo w głębi serca go kocham, nie dopuszczając do siebie tej myśli, od pierwszego dnia naszej znajomości. Dwa dni później wieczorem wykręciłam po raz pierwszy numer Konrada... Jak dobrze, że telefon w naszym domu ma numer zastrzeżony. Odczekałam cztery sygnały i zdążyłam się rozłączyć, zanim włączyła się skrzynka głosowa jego telefonu. Zadzwoiłam do niego parę godzin później, już ze swojego telefonu.

Było grubo po północy. Konrad nie spał, odebrał natychmiast. Mówił dość dziwnie, język mu się plątał, wyglądało na to, że jest pijany. Był pijany z powodu tej historii, lęku o tamtą dziewczynę i swojej bezsilności. Pamiętam, jak wrzeszczał do słuchawki: „Niech ta gówniara robi, co chce. Wisi mi to i powiewa... Rozumiesz, co do ciebie mówię? Mam to w dupie!”. W jego pijackim bełkocie z trudem dało się zrozumieć co drugie słowo, ale ogólny sens był dla mnie jasny. „W końcu każdy ma swoje życie. W dupie ją mam, bo ona ma mnie w tym samym miejscu. Nie cierpię tej gówniary, chociaż nawet jej nie znam. Czemu milczysz, do jasnej cholery? Jesteś tam jeszcze? Czemu nic nie odpowiadasz? Nic mnie to więcej nie obchodzi! Niech spada! Rozumiesz?...”.

„Ale się w to wszystko zaangażował” - pomyślałam. Ta historia wdarła się przebojem w jego życie, przyćmiła wszystko inne. Nigdy bym go o to nie podejrzewała. Przez chwilę poczułam się podle, ale ta chwila była bardzo krótka, bo już następnego dnia, kiedy dotarło do mnie, że on jest sam, bo właśnie rozstał się z Natalią, serce zabiło mi mocniej, zmysły się wyostrzyły, cel stał się jeszcze bardziej jasny. Trudno, wszystko rodzi się w bólu, a skrupuły zwykle tylko przeszkadzają. Muszę go zmienić dla niego, dla innych i dla mnie samej.

\* \* \*

Już chyba po raz dziesiąty myliłam drogę. Wszystkie szpitalne korytarze są do siebie takie podobne. Dziwne, że pacjenci się tutaj nie gubią. W końcu trafiłam w miejsce, które wydawało mi się znajome. W każdym razie byłam pewna, że tę wysoką, sięgającą prawie pod sufit palmę w wielkiej drewnianej donicy widziałam już wcześniej, a nawet pomyślałam wtedy, że jest sztuczna, bo czyż takie olbrzymie drzewo może rosnąć na korytarzu w szpitalu? Ziemię w donicy szczelnie pokrywała idealnie przystrzyżona trawa, a pień palmy służył za podporę olbrzymiej, kwitnącej na niebiesko orchidei, która miała około dwóch metrów długości, a jej zwisające luźno powietrzne korzenie sięgały prawie podłoga. Podeszłam bliżej, dotknęłam liści i ze zdziwieniem stwierdziłam, że rośliny były żywe, a wciśnięty w trawę szklany przedmiot przypominający swym kształtem gruby termometr informował o wilgotności podłoga tej roślinnej kompozycji. Takich roślin nie da się pomylić z innymi ani zapomnieć.

Poczułam się pewniej. „Wiem, gdzie jestem” - pomyślałam. Pamiętałam, że powinnam



skręcić przy tej palmie korytarzem w prawo. Parę metrów dalej, po lewej stronie, we wnęce oddzielonej od korytarza ścianą pnących się po drewnianym rusztowaniu bluszczu, stoi stolik z paroma czasopismami i dwa wygodne głębokie fotele. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w szpitalach nie może być kwiatów. Czyżby tutaj obowiązywały inne przepisy? Stolik stał, tak jak pamiętałam, tylko czasopisma, które w ciągu dnia leżały porozrzucane po całej powierzchni blatu, teraz czyjaś ręka ułożyła pedantycznie w stojaku pod ścianą. Wydawało mi się, że za stolikiem trzeba skręcić jeszcze raz w prawo, pchnąć szklane drzwi oddzielające oddział od klatki schodowej i ruszyć schodami w dół. Wszystko było tak, jak zapamiętałam.

Były drzwi, były szerokie schody... Kiedy dotarłam nareszcie do drzwi wyjściowych, zobaczyłam za nimi Krzysztofa. Stał po ich drugiej stronie, próbując się dostać do środka. Drzwi nie ustępowały pod naporem jego ręki. Dźwięk energicznie przyciśniętego dzwonka wyrwał z drzemki przysypiającego w dyżurce portiera. Starszy mężczyzna wdał się w dyskusję z Krzysztofem. Zapewne wizyty o tej porze nie były przewidziane w regulaminie tego szpitala, bo raz po raz pokazywał mu wiszącą na ścianie gęsto zapisaną tabliczkę na przemian z cyferblatem znajdującego się za jego plecami ściennego zegara. Przystanąłam zdezorientowana. Jego się tu nie spodziewałam. Nie o tej porze. Sądziłam, że od paru godzin jest już w drodze do domu. „Dziwny facet” - pomyślałam. Próbowałam ich wyminąć. Portier obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Tak go pochłonęła wymiana zdań z Krzysztofem, że tylko burknął w moim kierunku jakieś niewyraźne „dobranoc”. Znalazłam się za drzwiami i odetchnęłam z ulgą. Ten Krzysztof od pierwszej chwili nie przypadł mi do gustu. Boję się ludzi, których nie potrafię ocenić, nie umiem zaszukadkować. On był dla mnie wielką niewiadomą. Siedzieli z Konradem na korytarzu, pogrążeni bez reszty w rozmowie.

Zauważyli mnie dopiero wtedy, kiedy stanęłam tuż przy nich. Krzysztof obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Pomyślałam, że przeszkodziłam im w tej rozmowie. A może tak mi się tylko wydawało...

Uścisk dłoni wypadł koszmarnie. Wpatrywał się we mnie wnikliwie, jakby chciał przeszyć mnie wzrokiem na wylot, zobaczyć we mnie coś, czego ja w sobie nie dostrzegałam. Próbowałam się od niego zdystansować, odciąć murem obojętności, udąć, że go nic widzę. Chciałam, żeby poczuł, że po tym podaniu dłoni przestał dla mnie istnieć.

Niespieszony, przyglądał mi się nadal. Po jego twarzy błąkał się ironiczny uśmiech. Huśtał się ciągle na tylnych nogach krzesła. Siedział z rękami luźno położonymi na kolanach, z nogami wyciągniętymi przed siebie, zagłębiony w to krzesło tak, jakby chciał sobie z niego zrobić fotel. Był rozluźniony i swobodny. Ja za to coraz bardziej się denerwowałam. Omiałał mnie raz po raz uważnym wzrokiem. Irytowało mnie to, przeszkadzało mi z każdą chwilą coraz bardziej. Pociłam się ze zdenerwowania. Peszył mnie, dekoncentrował. Nie patrzyłam w jego stronę, ale czułam, jak jego wzrok przesuwają się po mojej twarzy, wędruje po moim luźnym swetrze, zatrzymuje się na dłoniach, aby po chwili powrócić w kierunku mojej twarzy i przyglądać jej się jeszcze intensywniej, jeszcze natarczywiej, prawie bezczelnie. Udawał, że nas nie słucha. A może rzeczywiście nie słuchał. Dziwny facet... Boję się ludzi, których nie potrafię rozgryźć, o których nic nie wiem...

\* \* \*

Portier wciąż był nieprzejednany. Zasłaniał się przepisami, regulaminem szpitala, ciszą nocną... Co chwilę się odwracał i pokazywał mi wiszącą na ścianie tuż za jego plecami zegar.

Wskazówki nieubłagane pokazywały godzinę drugą w nocy. Pomimo rzetelnego spełniania swoich zawodowych obowiązków patrzył na mnie z nieukrywaną sympatią.

- Mówi pan, że chodzi o brata? Że był pan u niego dzisiaj po południu, kiedy brat nagle stracił przytomność, a teraz jest na oddziale intensywnej opieki medycznej? - próbował połączyć w całość to wszystko, co mu wcześniej powiedziałem. - I że był pan już w drodze do Polski, kiedy nagle ogarnął pana jakiś bliżej niesprecyzowany niepokój? Pan jest chyba szalony! - Zabrzmiało to dziwnie przyjaźnie. - Wrócił pan mimo tych koszmarnych warunków na drogach? Przed chwilą właśnie słuchałem radia. Na A4 w kierunku Zgorzelca był olbrzymi karambol z udziałem dziesiątków samochodów. Ponoć na wysokości Bautzen pada deszcz, który natychmiast

zamarza na szybach samochodów. Reporter mówił, że nawierzchnia autostrady przypomina lodowisko. Ponoć w karambolu brały udział nawet piaskarki, jakiś wóz ADAC-u i karetka pogotowia. Apelowali właśnie o wzmożoną uwagę, a właściwie o to, żeby dzisiaj w nocy zostać w domach... Takie straszne warunki, a pan wrócił. - Patrzył na mnie z

nieukrywaną sympatią. - Wy, Polacy, jesteście bardzo rodzinni. Moja prababcia była Polką... - rozgadał się na dobre. - Nie, nie mogę pana wypuścić - stwierdził ze smutkiem w głosie. - Sam pan to chyba rozumie. Zadzwoń na oddział - ożywił się nagle. - Będzie pan mógł spytać o brata. Co prawda, u nas informacji nie udziela się przez telefon, ale powiem, że pan

czeka tutaj u mnie na portierni. Pewnie ktoś z oddziału zejdzie do pana...

Pielęgniarka z nocnej zmiany poznała mnie od razu.

- Ależ pan jest uparty... - Ku mojemu zaskoczeniu jej głos brzmiał przyjaźnie. - Z bratem

r

wszystko w porządku. Spi od paru godzin. Jest jeszcze monitorowany, ale wszystko wygląda stabilnie. Może pan przyjść do niego rano. Teraz proszę jechać się wyspać! Jemu już nic nie grozi...

No, chyba może mi pan zaufać? - Z pewnością sama wyczuła dwuznaczność swoich słów, bo na jej twarzy na chwilę zapłonął rumieniec.

Przestałem się upierać. Przed paroma minutami

widziałem kątem oka wychodzącą ze szpitala Julię i to, żeby z nią pogadać, stało się nagle dla mnie bardzo ważne.

\* \* \*

Wyszłam na zewnątrz i natychmiast poczułam na twarzy dziesiątki małych, ostrych, lodowych igiełek. Powietrze wydawało się aż gęste od nich. Przenikliwy wiatr przeszywał mnie na wylot. Ubierając się w południe, nie przewidziałam takiej pogody. Rozejrzałam się dookoła i jak okiem sięgnąć nie zobaczyłam ani jednego przechodnia. Wokół panowała ciemność. Nikłe światła latarni oświetlały drogi dojazdowe i wejścia do pojedynczych budynków. Serce zabiło mi szybciej. Wynajęłam pokój w centrum miasta, prawie tuż obok dworca. Do przystanku tramwajowego musiałam przejść ścieżką biegnącą przez duży park ograniczony z zewnątrz kompleksem budynków szpitalnych. Szłam szybko, moje kroki stukały rytmicznie po bruku. Ciekawe, czy z tego przystanku tuż za główną bramą szpitala jeździ jakiś

nocny tramwaj w kierunku centrum? Nie wpadłam na pomysł, żeby to sprawdzić wcześniej.

Nie przewidziałam, że będę tutaj tak długo. „Latem musi tu być pięknie - przemknęło mi przez myśl. - Wtedy pewnie ten obiekt nawet nie przypomina szpitala”.

Poszczególne budynki były znacznie oddalone od tej biegnącej centralnie drogi. Obszar pomiędzy budynkami zajmował park z olbrzymimi starymi platanami. Gdzieś pomiędzy drzewami przycupnęły pojedyncze rzeźby naśladujące w ciemnościach ludzkie postacie. Wcześniej z okien szpitala widziałam olbrzymią, nieczynną o tej porze roku fontannę. Latem naprawdę musi tu być pięknie. Latem na pewno, ale nie teraz. W tej otaczającej mnie ciemności wszystko wydawało się nierzeczywiste i straszne. Obok mnie przejechała karetka, która po chwili zatrzymała się tuż przed budynkiem z napisem „Notaufnahme”. Na krótko wszystko stało się znowu bardzo realne - karetka, ludzie, nosze, przenoszony przez nich z samochodu do izby przyjęć pacjent... Minęłam kolejny budynek i przyspieszyłam kroku. Rozglądałam się nerwowo, szłam coraz szybciej i szybciej, oczami wyobraźni za każdym rogiem widziałam czyhające na mnie niebezpieczeństwo. Wyobraźnia tworzyła budzące grozę obrazy. Duszę ze strachu miałam na ramieniu. Nagle wydało mi się, że moje kroki odbijają się podwójnym echem. Przyspieszyłam i te drugie również przyspieszyły. Zaczęłam biec, ale echo tych obcych kroków też znacznie przyspieszyło.

Bałam się odwrócić. Pędziłam przed siebie w kierunku malującej się w oddali bramy. Wokół jak okiem sięgnąć nie było nikogo. „Diabli by to wzięli” - pomyślałam. Słysząc tylko te podwojone kroki. Te drugie stawały się jakby wyraźniejsze i głośniejsze. Początkowo łudziłam się, że słyszę podwójne echo własnych kroków, lecz teraz byłam już pewna, że ktoś za mną idzie. Strach mnie paraliżował. Nie miałam odwagi się odwrócić. Obserwowałam tylko swój cień w świetle stojących przy drodze latarni, wyczekując z duszą na ramieniu pojawienia się obok mojego tego drugiego cienia.

- Julka! - usłyszałam nagle tuż za moimi plecami - Nie goń tak! Mam samochód na parkingu z drugiej strony szpitala. Mogę cię podwieźć.

\* \* \*

Z dużym ociąganiem wsiadła do mojego samochodu. Miałem wrażenie, że wolałaby iść dalej pieszo i czekać w tych ciemnościach na jakiś nocny tramwaj niż skorzystać z mojej propozycji. Przyglądała mi się uważnie, kiedy próbowałem zdrapać z szyb osiadłą tam warstwę lodu. Ręce mi zgrabiały z zimna. Linijka, która miała zastąpić skrobaczkę do szyb, złamała mi się w rękę. Wściekły sam na siebie, szpetnie zakląłem pod nosem. Ze też ja się zupełnie nic przygotowałem do tego ataku zimy! Kiedy nareszcie udało mi się doprowadzić do porządku szyby, odmrozić lusterka i odpalić silnik, nagle uświadomiłem sobie, że o tej porze nie ma w tym mieście miejsca, w którym można by w cieple porozmawiać. Restauracje i kawiarnie od paru godzin były już nieczynne, ulice opustoszałe, domy straszyły rzędami dawno uśpionych okien... Szkoda, bo ja właśnie chciałem z Julią pogadać.

- Gdzie się zatrzymałaś? - rzuciłem w kierunku postawionego kołnierza i twarzy schowanej za zwojami szala.

Milczała. Patrzyła naburmuszona gdzieś przed siebie. Pomyślałem, że nie usłyszała. Silnik wył, wycieraczki próbowały zgarniać z szyb resztki lodu, a do tego, jak na złość, zepsuła się chyba nawigacja, bo ciepły kobiecy głos powtarzał w kółko, że dojechałem właśnie do celu.

- Gdzie mam cię podwieźć? - spytałem głośniejsze.

- Nic jestem głucha - warknęła w odpowiedzi.

„To jakaś idiotka - pomyślałem. - Skąd Konrad ją wystraszył?”

- Wyduś to z siebie! Podanie adresu nie jest aż takie trudne! - Próbowałem panować nad emocjami. Potwornie denerwowała mnie ta dziewczyna. - Ja jeszcze nie mam noclegu. Muszę coś znaleźć. Moja dziewczyna odchodzi już pewnie od zmysłów. Muszę

do niej jak najszybciej zadzwonić - tłumaczyłem spokojnie. Walczyłem z narastającą niechęcią. „Kurde, ależ dziwadło - pomyślałem. - Gdzie ten Konrad znajduje takich znajomych?”

Nadal milczała. Wycieraczki chrobotwały po bryłkach lodu. Silnik chodził. Powoli zaczęło mi wracać czucie w rozgrzewających się palcach.

- Nie chcesz, to nie mów. - Postanowiłem nie dać się sprowokować. - Jeżeli miejsce twojego pobytu objęte jest tajemnicą, to mogę cię podrzucić do najbliższego postoju taksówek. Jestem zmęczony. Zmarzłem. Nie mam ochoty tkwić tutaj dłużej...

Poprawiła sobie szal. Obrzuciła mnie pełnym niechęci spojrzeniem. Wydęła usta w trudnym do określenia grymasie.

- Podwieź mnie, proszę, do najbliższego postoju taksówek! - Słowo „proszę” wcale nie łagodziło wypowiedzi, która zabrzmiała jak niedopuszczające sprzeciwu polecenie.

- Jak sobie życzysz... - rzuciłem ironicznie. - Twoja prośba jest dla mnie rozkazem...

- Na planie obiektu widziałam, że postój taksówek jest przy wąskiej uliczce tuż obok głównego wejścia na teren szpitala... poinformowała mnie łaskawie.

Postój znaleźliśmy szybko, ale nie było tam ani jednego auta, a w wiacie obok dwóch pijacków dyskutowało głośno i burzliwie. Julka położyła rękę na klamce. Chciała wysiadać.

- Naprawdę wysiadasz? - spytałem obojętnie.

- Naprawdę. W końcu przecież coś przyjedzie...

- pocieszała się.

- Wolisz ich towarzystwo od mojego? - spytałem z kpiną w głosie, wskazując na jednego z pijanych mężczyzn, który zataczając się, wystartował w naszą stronę. Bełkotał, że na dzisiaj ma już chyba dość, bo widzi czarne taksówki zamiast żółtych.

- Sama nie wiem... - bąknęła pod nosem.

- Ja bym na twoim miejscu nie wysiadał...

Typ za oknem samochodu zbliżał się szybko. Dzieląca nas odległość malała w oczach.

Dziewczyna skuliła się w sobie.

- Zostanę...

- Dokąd mam cię podwieźć?

- Może w kierunku centrum. Tam musi być jakiś postój taksówek...

Udało mi się ruszyć z miejsca, zanim tamten nietrzymający pionu facet dopadł moje auto.

Jechałem powoli. Nawierzchnia ulic lśniła jak tafla lustra. Przejechałem skrzyżowanie na czerwonym świetle, bo nic byłem w stanie się zatrzymać. Dobrze, że o tej porze i przy tej ślizgawicy ruch w mieście zamarł.

- Jedziesz jak idiota! - krzyknęła. - Ja wysiadam! Nie zauważyłeś czerwonego światła?... - krzyczała coraz głośniej. Ze zmęczenia spadła mi nagle tolerancja wobec głupoty. W pracy

muszę znosić wiele, ale tutaj byłem zupełnie prywatnie.

Jechałem coraz wolniej i wolniej, aż jakimś cudem udało mi się zatrzymać.

Wysiadaj! - powiedziałem spokojnie. Wysiadaj! -powtórzyłem głośniejszym głosem, widząc, że nawet nie drgnęła. - Chyba poradzisz sobie sama. Nie mam ochoty ci się już więcej narzucać...

- Chyba żartujesz! - zasyczała z oburzenia. - Mam tutaj wysiąść? Tutaj nic nie ma! Z jednej strony widzę jakiś rozpadający się budynek, z drugiej park... Tutaj jest zupełnie ciemno. Nawet latarnie się nie świecą.

„Fakt” - pomyślałem. Miejsce nic było najbezpieczniejsze. Wysadziwszy ją tutaj, mógłbym mieć później wyrzuty sumienia. Ruszyłem. Jechaliśmy w milczeniu. Kto chciałby o tej porze rozmawiać z wariatką? Żadnych ludzi, żadnych samochodów, żadnych taksówek, tylko wymarłe, opustoszałe ulice śpiącego miasta...

Ręką trzymała się nerwowo uchwyty. Raz po raz spoglądała na mnie z nieukrywaną wrogością.

- Spokojnie - próbowałem rozładować narastające napięcie. - Nie mam ochoty cię zgwałcić.

Nie jesteś w moim typie. Nie mógłbym cię zamordować, bo morderstwem się brzydzę. Nie porwę cię dla okupu... Choćby z racji zawodu nie mógłbym tego zrobić... To byłoby nieetyczne... Mam swoje zasady... Nie jestem ani zepsuty do szpiku kości, ani skorumpowany... - zapewniałem ją.

- Kim ty jesteś? - przerwała mi gwałtownie.

- Zapomniałaś? - wykrztusiłem zaskoczony. - Mam na imię Krzysztof...

-Ja nie o to pytam - przerwała mi.

- Pytasz mnie o zawód? - Zatkano mnie. - Ciebie interesuje, gdzie pracuję? - chciałem się upewnić. - Skończyłem prawo, ale praca w kancelarii prawniczej wydawała mi się strasznie nudna. Jestem oficerem policji...

- Kim? - wykrztusiła zdziwiona.

- Gliną- rzuciłem niedbale. - Oficerem policji...

- Konrad po ciebie zadzwonił?

- W pewnym sensie...

Dziewczyna nagle zamilkła. Spuściła głowę. Ukryła twarz w zwojach szalika. Skuliła się w sobie, zacisnęła dłonie... Co ja takiego, do cholery, znowu powiedziałem?

- Po co on do ciebie zadzwonił?

- Chciał pogadać... Odwróciła twarz w kierunku szyby.

- Dokąd mam cię podwieźć?

- Wynajęłam pokój w hotelu przy WeiBeritzstrasse - burknęła pod nosem. - To tuż przy Centrum Kongresowym, niedaleko Starego Miasta, w pobliżu dworca Bahnhof Mitte...

- Wiesz, jak tam dojechać?

- A skąd miałabym wiedzieć? - warknęła nieoczekiwanie. - Mam słabą orientację przestrzenną. Nie znam Drezna.

Silnik zaczął nareszcie pracować znacznie ciszej, samochód nagrzewał się powoli. Nagle zrobiło mi się gorąco. Pewna myśl zaświtała mi w głowie. Ależ ze mnie idiota! Ze też ja wcześniej na to nie wpadłem.

\* \* \*

Położyłam się w ubraniu na łóżku. Nie zapalałam nawet światła. I tak było dostatecznie jasno, bo przez opuszczone tylko do połowy żaluzje wdzierało się do środka światło ulicznych latarni. Widziałam, jak za oknem zaczął padać śnieg. Hotelowy pokój wydawał mi się jeszcze bardziej obcy niż po południu. Teraz wszystko stało się jasne

- Konrad rozmawiający ze mną tak dziwnie, siedzący z nim przy stole policjant...  
„Przyjechałam za późno

- pomyślałam. - Za późno, żeby spokojnie porozmawiać z Konradem”. Niepotrzebnie powiedziałam o wszystkim mojej mamie. Była przerażona. Nie widziałam nigdy takiej Melanii. Nic pamiętam z dzieciństwa, żeby kiedykolwiek na mnie krzyczała. Brzydziła się przemocą i wykrzyczanymi racjami. Mówiła zawsze, że szeptem też można dyskutować.

Szanowała w drugim człowieku jego poglądy i racje. Gdy usłyszała, co zrobiłam, na chwilę przestała być sobą...

- Tyś chyba oszalała! - krzyknęła. - Każda przesada jest nienormalna. Tobie się coś przestawiło w głowie!

Chodziła tam i z powrotem po kuchni, a loczek na czubku jej głowy podskakiwał rytmicznie. Chwilę wcześniej była już gotowa do wyjścia. Buty na wysokich obcasach stukały rytmicznie po kafkach kuchennej podłogi, a srebrne bransoletki na ręce brzęczały przy każdym ruchu. Wybierała się z ojcem do filharmonii. A teraz zarówno koncert, jak i cały świetnie zapowiadający się wieczór przestały się dla niej liczyć. Rozpięła bluzkę pod szyją, jakby nagle zaczął ją dusić ten koronkowy kołnierzyk. Zdjęła krępującą jej ruchy garsonkę.

Rzuciła ją na stojące tuż obok mnie krzesło. Przysiadła na blacie stołu, jakby to, że przestanie się miotać tam i z powrotem pomiędzy stołem a oknem, miało podziałać na nią kojąco i chociaż trochę ją uspokoić.

- Wychowałam potwora - powiedziała matowym głosem. Nie spojrzała nawet w moją stronę. - Totalna wychowawcza porażka - mówiła cicho. - Jesteś straszna. Przerażasz mnie - wyrzucała z siebie słowa, którymi chyba chciała mnie zranić. - Nie liczysz się z niczym i z nikim. Realizujesz swoje cele, nie patrząc na konsekwencje. Nawet nie masz pojęcia, ile przy okazji wyrządzasz ludziom krzywdy.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Przecież chciałam dobrze. Niemożliwe, żeby ona tego nie rozumiała. Do tej pory zawsze miałyśmy z sobą świetny kontakt.

- Niszczysz ludzi i ich uczucia! - mówiła głośno. - Jakim prawem chcesz zniszczyć Konrada? - Na chwilę skupiła wzrok na mojej twarzy. - Bo jest inny? Bo mu życie dokopało, a ty uznałaś, że być może to jeszcze za mało? Bo zapragnęłaś przeprowadzić eksperyment na żywym organizmie? Zamarzył ci się niepowtarzalny temat na pracę dyplomową? - padało pytanie za pytaniem. Moja własna mama w obronie Konrada gotowa była mnie atakować, oceniać i niszczyć.

- Porażka! Jesteś moją życiową porażką... - mówiła z gniewem. - Uczę etyki, a moja własna córka postępuje tak nieetycznie. Idiotyzmów was uczą na tych studiach, skoro po ich ukończeniu nie rozumiecie prostych, intuicyjnie wyczuwalnych spraw. Totalna pedagogiczna porażka...

Raptem zeskoczyła ze stołu, chwyciła tę swoją garsonkę i wyszła, jakby nasza kuchnia nagle zrobiła się za mała, żeby pomieścić nas obie. Słyszałam, jak powiedziała coś do ojca, jak trzasnęły za nimi drzwi.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Dlaczego ona nic nie rozumiała?

Przecież ja kocham Konrada, jak mogłabym chcieć go zniszczyć? Przecież nie zrobiłam nic złego - przeciągnęłam tylko tę historię z telefonami o parę dni dłużej... Co w tym takiego złego? Widziałam, jak rodzice wyszli z bramy, jak wsiedli do samochodu.

Nie podnieśli wzroku w kierunku okna, a ja tak na to

ich spojrzenie czekałam. Dlaczego? Przecież zawsze tak robią. Czyżby przekreślili mnie przez Konrada? Zadzwoiłam rozżalona do Beaty.

Opowiedziałam jej wszystko. W końcu ona bardzo dobrze знаła Konrada. Mogła to wszystko ocenić i zrozumieć. Zrozumiała. „Zadzwoiłam do Beaty - powtórzyłam w myślach - i ona mnie rozumiała”. A później to ja przestałam cokolwiek rozumieć. Ta rozmowa z Beatą odbyła się na początku ubiegłego tygodnia. Później już nic dzwoniłam do Konrada z naszego zastrzeżonego numeru telefonu, a on ciągle brnął w to wszystko coraz dalej i dalej... Robił rzeczy, które przestałam rozumieć. Rozmawialiśmy każdego dnia, opowiadał mi, co robi, a ja opowiadałam to Beacie, bo ją ta historia bardzo zainteresowała. Raptem zrobiło mi się duszno, w skroniach zaczęło pulsować, klatka piersiowa zdawała się za mała, żeby pomieścić moje oszalałe serce. Gwałtownie zerwałam się z łóżka. Zapaliłam lampkę na nocnym stoliku, jakby ta odrobina światła mogła mi w czymś pomóc. Nic, to niemożliwe! Boże, to przecież niemożliwe, że ja jestem aż taką idiotką! Jak można, studiując socjopedagogikę, tak się nie znać na ludziach! Gdzie jest ten numer telefonu do Krzysztofa? Żegnając się, wcisnął mi w rękę swoją wizytówkę. Powiedział, że to tak na wszelki wypadek, gdybym chciała z nim pogadać. Wzięłam ją odruchowo, wcisnęłam w kieszeń kurtki. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek z niej skorzystam.

\* \* \*

Było mi już wszystko jedno. Czuję się potwornie zmęczony. Przemarzłem do szpiku kości.

W duchu przeklinałem sam siebie. Pakując się na ten wyjazd, nie posłuchałem Ewy i nie zabrałem z sobą żadnych ciepłych ubrań. Trzecia w nocy to najgorsza pora na szukanie noclegu, szczególnie w tym obleganym przez turystów mieście i o tej porze roku. Cena znalezionej sypialni znacznie przekraczała zasobność mojego portfela. Dobrze, że ktoś kiedyś wymyślił karty kredytowe. Ale wypad na narty mogę sobie w tym roku wybić z głowy. Cena jednego noclegu przekraczała koszt tygodniowego zimowego szaleństwa na Słowacji. Czterogwiazdkowy hotel był może i wart tej ceny, ale ja marzyłem tylko o łóżku.

Cały ten przepych z podświetlanym basenem, sauną, marmurowymi schodami, rybami pływającymi w akwarium, które stanowiło jednocześnie sklepienie korytarza, oszklonymi windami i restauracją pod szklaną kopułą w tej chwili do niczego nie był mi potrzebny.

Rozgrzałem się trochę pod prysznicem. Litry gorącej wody, które spuściłem sobie na głowę, i puszysty hotelowy szlafrok zrobiły swoje. Wszystko stopniowo odpłynęło i zmalowało, tracąc na wcześniejszym znaczeniu. Pragnąłem tylko zasnąć. Do Ewy nie zadzwoniłem. Było już za późno. Czekał ją ciężki dzień w instytucie - mieli przyjmować jakichś gości z Portugalii, dyskutować o wspólnym projekcie, prezentować własne prace... Jej SMS-a na dobranoc przeczytałem jeszcze w samochodzie. Dalej była na etapie współczucia dla Konrada i poczucia własnej winy. Żadnych wyrzutów z powodu mojego przedłużającego się tutaj pobytu. Wręcz przeciwnie, była pełna podziwu, że pomimo ataku zimy, zupełnie na to nieprzygotowany, postanowiłem zostać. Wydawało mi się, że ledwie zdołałem zasnąć, kiedy

rozdzwonił się mój telefon. W pierwszej chwili pomyślałem o Konradzie. Tylko on nie miałby skrupułów, żeby o tej porze do mnie zadzwonić.

- Nie, stary, tylko nie teraz... - jęknąłem do telefonu. - Ledwie zdążyłem zasnąć...

Z drugiej strony panowała cisza. Nagle uświadomiłem sobie, że to przecież nie może być on. Konrad leży na oddziale intensywnej opieki medycznej i stamtąd na pewno nie może zadzwonić.

- Słucham - rzuciłem lekko zmieszany do słuchawki.

Cisza się przedłużała.

- Tu Julia Malczycka - usłyszałem. - Czy mógłbyś się ze mną spotkać?

Z trudem zdążyłem na tę poranną kawę. Nie mogłem się obudzić. Budzik w komórce dzwonił jak oszalały. Przystawiałem go chyba ze cztery razy, ale on i tak za każdym razem dzwonił zbyt wcześnie. Nie mogłem otworzyć oczu. Powieki miałem ciężkie jak z ołowiu.

Wydawało mi się, że fizyczną niemożliwością jest oderwanie głowy od poduszki. Cztery godziny snu to dla mnie o wiele za mało. Chciałem kolejny raz przestawić budzik, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że przecież o ósmej umówiłem się z Julią na poranną kawę w jej hotelowej restauracji. Dobiegał kwadrans po siódmej, kiedy udało mi się zwlec z łóżka.

Nieogolony, nieumyty, w koszmarnie

wygniecionym ubraniu zdołałem jakimś cudem przejechać w szczyt pół miasta i zdążyć. Spotkaliśmy się w drzwiach restauracji. W obcisłych spodniach i dopasowanym sweterku, w butach na wysokich obcasach i z delikatnym makijażem na twarzy wyglądała dziś zupełnie inaczej. „Nawet ładna jest ta dziewczyna” - pomyślałem.

Siedzieliśmy, piliśmy kawę, rozmawialiśmy o pogodzie, o hotelach, zbyt krótkiej nocy i oczywiście o Konradzie.

- Mówiłaś, że chciałaś mi powiedzieć coś

ważnego... - wszedłem jej nagle w słowo, kiedy kolejny raz opowiadała o widoku ze swojego hotelowego okna, o śniegu, który spadł dzisiaj nad ranem, i kocich łapach odcisniętych na śnieżnym puchu pokrywającym parapet jej hotelowego okna. Podniosła do ust filiżankę z dawno już ostygłą kawą, jakby chciała się schować za tą odrobiną porcelany. Wypiłem już trzecią kawę, a i tak w połowie jeszcze spałem. Miałem wrażenie, że wszystko płynie wolniej i bardziej majestatycznie - krew w żyłach, myśli w głowie, obrazy przesuwające się przed oczami... Nic mogłem się na dobre rozbudzić.

r

Wszystko we mnie jeszcze drzemało. Świat wydawał mi się jakiś nieostry i nierealny. W nocy przygotowałem się w myślach do tej rozmowy, a teraz nie potrafiłem się skupić. Ona dryfowała, a ja leniwie podążałem za nią myślami. Przeraziło mnie, że pewnie obudzę się na dobre dopiero koło południa. „Stracony czas” - pomyślałem. - Nie cierpię, kiedy czas przecieka mi przez palce”.

- Mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać... - zagadnąłem kolejny już raz. - Zadzwoniłaś do mnie nad ranem. Obudziłaś mnie, kiedy ledwo zdążyłem zasnąć. Chciałaś rozmawiać z obcym facetem, którego w dodatku nie lubisz, o padającym śniegu za oknem? - Sam czułem, że zabrzmiało ironicznie.

- Rzeczywiście, nie o pogodzie chciałam z tobą rozmawiać - stwierdziła gwałtownie i raptem zamilkła.



- No więc o czym?

- O czymś zupełnie innym... W każdym razie nie o pogodzie... - płatała się coraz bardziej.

Już od dłuższej chwili nie patrzyła w moją stronę. Wzrok wbiła we fragment blatu stołu tuż przy moich bawiących się łyżeczką rękach. - O mnie i o Konradzie... - powiedziała ciszej.

„O niej i o Konradzie... Jak to brzmi - pomyślałem. - Konrad jest moim przyjacielem, a jej do wczoraj nawet nie znałem”.

- No to zaczynaj! Niech się czegoś ciekawego dowiem...

- W tym rzecz, że nie wiem, jak zacząć... - Spojrzała niepewnie w moją stronę i zamilkła.

- Pomogę ci - wszedłem jej w słowo. - Sam początek tej całej historii wydaje mi się stosunkowo prosty. - Zerknęła na mnie jakby przestraszona. A może mi się tylko tak wydawało. Niezrażony mówiłem dalej: -Jakaś dziewczyna chciała się wygadać, miała myśli samobójcze, szukała podświadomie pomocy i zadzwoniła do telefonu zaufania. Przez przypadek trafiła na Konrada. Znała

go. Chodziła do niego na zajęcia. Zadzwoniła do niego również dzień później. Myślę, że chciała mu podziękować. Powiedzieć, że wszystko dobrze, że jej przeszło. Dzwoniła trzy razy. Trzy razy włączyła się poczta głosowa. Wiadomości nie zostawiła. Na jej miejscu też bym się nie nagrał. Potem zaczął do Konrada wydzwaniać ktoś zupełnie inny. Ktoś, komu wcale nie zależało na rozmowie. Tego jestem pewny.

- Staralem się mówić obojętnym tonem. Spojrzałem w jej stronę. Nawet nie drgnęła. Siedziała nadal z uniesioną do ust filiżanką w ręku. Najmniejszy grymas nie zdradził jej emocji. - Myślę, że to byłaś ty. To ty dzwoniłaś do Konrada. -Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak atak. - Nie rozumiem tylko jeszcze dlaczego. Uświadomiłem to sobie dopiero dzisiaj w nocy. W tym wszystkim coś mi już od dawna nie pasowało, nie dawało spokoju, wydawało się nielogiczne.

Tamtą dziewczyną powinna być Weronika. Zdawało się, że nie ma innej możliwości. Drogą eliminacji została już tylko ona. Ona albo nikt, ale przecież ktoś rozmawiał z Konradem.

Przesłuchałem tę rozmowę parę razy. Wszystko wskazywało, że to Weronika, a jednak okazało się, że nie. Za głęboko w tym siedziałem. Straciłem dystans.

Nic powinienem się zajmować tą sprawą. Początkowo nawet przez myśl mi nie przeszło, że to od pewnego momentu była już zupełnie inna historia niż ta opowiedziana w telefonie zaufania.

Przerzuciłem wiele życiorysów. Nic ciekawego nie znalazłem. Utknąłem, bo zabrakło mi pasującej do tej historii osoby... Poznałem ją dopiero wczoraj - mówiłem spokojnie. -Teraz wszystko stało się jasne.

A ten telefon od twojej mamy nabrał teraz innego znaczenia...

Spojrzała na mnie uważnie. Już od dłuższej chwili nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

Wydawało mi się, że uniosła lekko brwi ze zdziwienia.

- Moja mama dzwoniła do Konrada? - zapytała zaskoczona.

- Dzwoniła tuż po szóstej... Konrad nie mógł już wtedy odebrać.

- To było na pewno w związku z pracą...

- Nic sędzę... - przerwałem jej. - Początkowo też tak myślałem, ale teraz jestem pewny, że było zupełnie inaczej. Twoja mama wiedziała, że to ty wydzwaniałaś do Konrada. Była pewna albo tylko się domyślała... - spekulowałem. -Znam trochę Melanię. Musiała być przerażona

całą tą historią. Może się bała, że coś jeszcze wymyślisz. Zadzwoniono do niej

po śmierci Artura Litońskiego. W końcu jest opiekunką jego roku. W pierwszym odruchu, przerażona, napuściła policję na Konrada. To Melania powiedziała sierżantowi, że w ostatnim czasie jeden z jej kolegów z pracy bardzo się interesował Arturem Litońskim. Wszczęto śledztwo, które nie miało sensu... Tuż po rozmowie z policją Melania zadzwoniła do Konrada... Każdy na jej miejscu poczułby się podle. Pewnie i ona tak się poczuła. To był ten telefon, który Konrad usłyszał, zanim stracił przytomność... I tak zapewne będę musiał z nią porozmawiać... Ja albo ktoś inny od nas... - Przerwałem. Julia milczała. Nic broniła się. Nie zaprzeczała. Nie chowała się za ścianą niedopowiedzeń i kłamstw. Odstawiła filiżankę.

Wyprostowała się.

- Dzwoniłam do Konrada... - powiedziała pewnie. - To chyba nie jest jeszcze przestępstwem - rzuciła zaczepnie. - Ale później przestałam dzwonić, a mimo to on brnął w to z każdym dniem coraz dalej i dalej... Dawno już przestałam to rozumieć... O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać - dokończyła.

- Powiedziałeś wczoraj, że nie znasz Saksonii... Spojrzała na mnie zdziwiona. Pewnie zaskoczyła ją nagła zmiana tematu.

- To prawda, nie znam - odrzekła niepewnie. - W Dreźnie jestem dopiero drugi raz. Przed paroma dniami byłam u Konrada w szpitalu. Drugi raz przyjechałam wczoraj. Nie miałam jeszcze czasu się tutaj rozejrzeć - dodała wyjaśniająco. - Kupiłam nawet przewodnik: Drezno Florencją Północy. Piękne miasto. Przyjaźni ludzie. Muszę przyjechać tu kiedyś na dłużej...

- Ja nie mówię o Dreźnie... - przerwałem jej.

- Nie mówisz o Dreźnie? - Zatrzepotała ze zdziwienia rękami. - To o czym mówisz?

- O Saksonii.

- O Saksonii? Drezno to przecież stolica

Saksonii... - Patrzyła na mnie zdezorientowana.

Pewnie znów wzięła mnie za idiotę. A może próbowała odgadnąć, do czego zmierzam.

- Mówię o Bautzen...

- Bautzen? - powtórzyła za mną odruchowo. - Coś mi to mówi... Wiem, jadąc tutaj, przejeżdża się obok miasta o tej nazwie.

- Ten opis cmentarza w Bautzen nie pochodził z Internetu... Musiałaś tam kiedyś być...

- Jaki cmentarz w Bautzen? - Spojrzała na mnie ze zdumieniem. - O czym ty mówisz? Ja nigdy nie byłam w tym mieście...

- Chyba żartujesz... - przerwałem jej.

- Nie, mówię zupełnie poważnie - zaprzeczyła gwałtownie. - Zresztą nigdy nie zwiedzam cmentarzy... Po co?

- Skoro tak mówisz... - wycodziłem powoli, nie przestając się przyglądać jej twarzy. Nie uciekała wzrokiem. Podniosła głowę i patrzyła na mnie zdziwiona. „Ciekawe, mówi prawdę, czy kłamie? Czy może być aż tak dobrym kłamcą?”

- A Moritzburg?

- Co: „Moritzburg”?

- Lubisz to miejsce?

- Nigdy tam nie byłam - oświadczyła stanowczo. - Mówiłam ci już, że nigdy wcześniej nie byłam w Saksonii. Czy ty w ogóle mnie słuchasz? - spytała rozdrażniona. - O Moritzburgu

możesz pogadać z Konradem. To on mi o nim opowiadał.

Ponoć jest tam pięknie - dodała. - Konrad był tam dwa razy: pierwszy raz pojechał do Moritzburga z tymi studentami, a dzień później wybrał się sam...

- A więc nie znasz Moritzburga? - powtórzyłem pytanie.

- Nie znam.

- Nie jestem tego taki pewien...- próbowałem ją sprowokować. - Swoją drogą, świetnie opisujesz. Nigdy tam nie byłem, a czytając te opisy, mogłem sobie to wszystko wyobrazić...

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Patrzyła na mnie coraz bardziej zdezorientowana.

- Czytałem twoje maile do Konrada... Wiem, że nie czyta się cudzej korespondencji... - rzuciłem przeproszająco. - Nigdy bym tego nic zrobił, gdyby nie te szczególne okoliczności...

- Co? - nagle puściły jej nerwy. -Jaki kit mi tu wciskasz? - aż się zagotowała ze złości. - W co ty mnie wrabiasz? Nigdy nic napisałam żadnego maila do Konrada - zaprzeczyła gwałtownie.

- Chyba żartujesz... - powątpiewałem.

- Co ty chrzaniisz, do cholery? Nie znam nawet jego adresu internetowego...

- To akurat jest bardzo proste - przerwałem jej. - Ten adres zna każdy zainteresowany student. To adres uczelni. Jest na stronie zakładu etyki. Proste, jak u twojej mamy: konrad.adamczaketyka...

To taki łatwy adres do kontaktu ze studentami.

- Nic znam tego adresu - przerwała mi ostro. - Nie piszę maili do mamy. Nie mam takiej potrzeby.

Wolę dzwonić -mówiła podniesionym głosem. Kobiety siedzące dwa stoliki dalej odwróciły z niesmakiem głowy w naszym kierunku. Zaczęły coś szeptać, patrząc na nas wymownie. - Do Konrada też nigdy nie pisałam. Próbujesz mnie wrobić w jakieś gówno? - syczała. -Jakim prawem? Bo masz taki kaprys? Bo jesteś gliną? Bo uważasz, że tobie wszystko wolno? - obrzucała mnie pytaniami, na które nic miałem ochoty odpowiadać.

- Czytałem, a nawet wydrukowałem te maile...

Mam je w kieszeni... - Puściłem mimo uszu jej pytania. Mówiłem spokojnie. Ten mój spokój doprowadzał ją do szału.

- Nic wiem nic o żadnych mailach... - syczała z oburzenia. - Przyjechałeś tu służbowo?

Węszysz? Pod płaszczykiem przyjacielskiej rozmowy prowadzisz przesłuchanie? Obrzydliwe! - nakręcała się coraz bardziej.

-Jestem tu prywatnie - przerwałem jej. - Konrad jest moim kumplem...

- Dziwne, że jakoś nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy... -zauważyła z ironią w głosie.

- Nie takie dziwne... Kiedy Konrad był z Beatą, ja byłem trochę zajęty...

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wpatrywała się w moją twarz, jakby chciała z niej wyczytać, czy mówię prawdę. „Pamiętam doskonale tamten czas - pomyślałem. - Nigdy go nie zapomnę”. Konrad szalał za Beatą, a w moim życiu pojawiła się Ewa. Od tej pory nie było już czasu na wspólne wypady na piwo, grę w tenisa, narty... Dawną zażyłość zastąpiły zdawkowe rozmowy telefoniczne.

Obu nam wtedy było szkoda czasu na tę naszą przyjaźń.

Jemu na krótko cały świat przysłoniła nowa dziewczyna, a ja się naprawdę zakochałem.

Rozmowa z Julią rozwiła mi wiele wątpliwości.

W drodze na to spotkanie dostałem SMS-a od Konrada: „Leb pracuje mi już trochę lepiej. Wiem nareszcie, co to była za melodia - Giovanni Marradi, Justfor You. Dzwonić i pisać maile musiała Beata, chociaż nie mam pojęcia dlaczego”. Przebiegłem parę razy wzrokiem po tekście. Jakoś nie mogłem przyjąć do wiadomości, że za tym stała Beata. Dlaczego Beata? Ma męża, dziecko, wygląda na szczęśliwą. Niezbadany jest świat ludzkich uczuć i emocji. Dlaczego właśnie Beata?

Dlaczego ona, skoro wszystko wskazuje na Julkę?

- Masz jakieś wieści od Konrada? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Julii.

- Ponoć wszystko w porządku. Przysłał mi SMS-a. Dzisiaj czuje się już lepiej... Słuchaj, czy znasz utwór Giovanniego Marradi Justfor You?

- Co? - nie mogła zrozumieć. - O czym ty mówisz? - zważyła. - Przecież rozmawiamy o Konradzie...

- Tak jakoś nagle mi się przypomniało. Słyszałem go dzisiaj rano w radiu... - skłamałem.

- Nie znam - burknęła. - Nic mi to nie mówi.

Zamilkła urażona.

- Zadzwoiłam parę razy do Konrada... Wiem, że to było podłe - wróciła do tematu. - Koszmar!

Wstydę się tego. Chciałam dobrze... Wyszło fatalnie. Wiem, że to żadne wytłumaczenie. Dałam plamę... Tak bardzo zależało mi na tym, żeby go zmienić, że nie wzięłam pod uwagę tego, jaką wyrządzam mu krzywdę. Wykorzystałam sytuację.

Zachowałam się paskudnie. Zawiodłam jego zaufanie - wyliczała matowym głosem. - Pewnie mi tego nigdy nie wybaczy... Dzwoniłam, fakt, ale nie pisałam żadnych maili - mówiła pewnym głosem. - Musisz mi uwierzyć...! Wczoraj chciałam powiedzieć Konradowi o tych telefonach. Nic było okazji, bo ty siedziałeś obok. Wiem, że on się wszystkiego domyśla...

Mówił takie dziwne rzeczy. Gdzieś między słowami przemycił wszystko, nawet żal do Melanii. Byłoby na pewno inaczej, gdybym to wszystko zdołała mu wcześniej sama wytłumaczyć. Teraz jest już za późno. Wczoraj chciał mi zrobić na złość.

Pokazać, że te moje starania nie miały żadnego sensu. Przez moment był dawnym Konradem... A może tylko ja tak opacznie to rozumiałam... - Zamyśliła się, a ja czekałem, co powie dalej. Raptem żal mi się zrobiło tej dziewczyny. - Nie miałam pojęcia o żadnych mailach. Już od wielu dni nic rozumiałam, co on wyprawia. Aż wreszcie dziś w nocy uświadomiłam sobie, że jest ktoś, kto musiał poprowadzić to dalej... Uwierz mi! - zabrzmiało jak prośba.

„Wierzę” - pomyślałem. Jak to Konrad napisał w tym SMS-ie? „Giovanni Marradi, Justfor You. Dzwonić i pisać maile musiała Beata, chociaż nie mam pojęcia dlaczego”.

- Wierzę.

- Naprawdę? - spytała podejrzliwie. - A Konrad?

- Co Konrad? - nie rozumiałem.

- Uwierzy mi?

- Uwierzy.

- Wybaczy mi? - spytała cicho.

- Tego to ja już nie wiem...

- A ty byś mi na jego miejscu wybaczył? - Już dawno przestała ze mną walczyć i mnie

atakować. Spuściła głowę, jakby czekała na wyrok.

- Ja nie jestem Konradem...

- Znasz go przecież...

Spojrzała na mnie badawczo, jakby moje prywatne zdanie nabrało nagle dla niej mocy wyroczeni.

- Znam go bardzo dobrze. A może znałem... On się ostatnio zmienił. Nie mam pojęcia, co zrobi ten nowy Konrad...

Siedziała naprzeciw mnie, próbowała się nawet uśmiechać. Włosy zaczesane gładko w koński ogon, regularne rysy twarzy, duże czarne oczy w ciemnej oprawie, ładnie wykrojone usta... „Ładna jest ta dziewczyna - pomyślałem. - Jest dziwna, nawiedzona i zdrowo kopnięta, ale na pewno kocha Konrada”. Jak mogłem tego wczoraj nie zauważyć? Musiałem być już bardzo zmęczony.

\* \* \*

r

Nie widziałem go parę tygodni. Śledztwo umorzono. Zabrakło dowodów. W końcu każdy może się umówić z każdym przez Internet i póki co nie jest to przestępstwem. Konrad przewrócił się sam, czego dowiedli niemieccy policjanci. Nie było w tym wydarzeniu udziału osób trzecich. Wiem, że spotkał się z Beatą gdzieś na mieście. Powiedział, że mu to dobrze zrobiło, że ludzie powinni z sobą rozmawiać, że za mało liczył się w życiu z uczuciami innych i że to on poczuł się nagle winny całej tej sytuacji... Konrad bardzo się zmienił.

Zmieniła go śmierć Marco, historia z tamtą

studentką na zajęciach etyki, ten nieszczęsny dyżur w telefonie zaufania... Zmieniła go Julia... A może to było zupełnie inaczej? Może gdzieś w głębi zawsze taki był? Może tylko nie miał odwagi być sobą? Wpadł do nas na obiad. Rwa ugotowała specjalnie dla niego jego ulubioną zupę grzybową. Grzybowa z makaronem - paskudztwo, po prostu koszmar, jakby nagle ziemniaków na świecie zabrakło, ale on właśnie taką lubi najbardziej. Na to popołudnie moje kulinarne upodobania przestały się liczyć, bo przecież, jak to powiedziała Kwa, jeśli nie ona, to nikt na świecie mu tej jego zupy nie ugotuje. Według Ewki wychudł i zmizerniał, więc stwierdziła, że mu się należy podwójna porcja. Na deser było jego ukochane tiramisu. Siedział, śmiał się, opowiadał...

Usta mu się nie zamykały. Postanowił sprzedać mieszkanie i kupić dom na przedmieściach.

Przechowywał u siebie psa, którego Julka bała się pokazać Melanii. Wybierał się na narty, wbrew zaleceniom lekarza. Planował wiosną wypad do Rafała do Wenecji. Zamówił u Paolo jakiś nowy obraz z weneckim pejzażem. Postanowili z Julią, że wyruszą na włóczęgę po górach, zabierając z sobą dzieci z domu dziecka. Opowiadał, jak mu się nagle studenci zaktywizowali, przynosząc śpiwory i karimaty... Rwie oczy robiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Zwolnij, Konrad! Nie dasz rady. W takim tempie długo nie pociągniesz...

Spojrzał na nią, dziwnie poważniejąc.

- Carpe diem! Chwytaj dzień! Jedno ostatnio zrozumiałem, to mianowicie, że wszystko jest takie ulotne...tak bardzo ulotne.